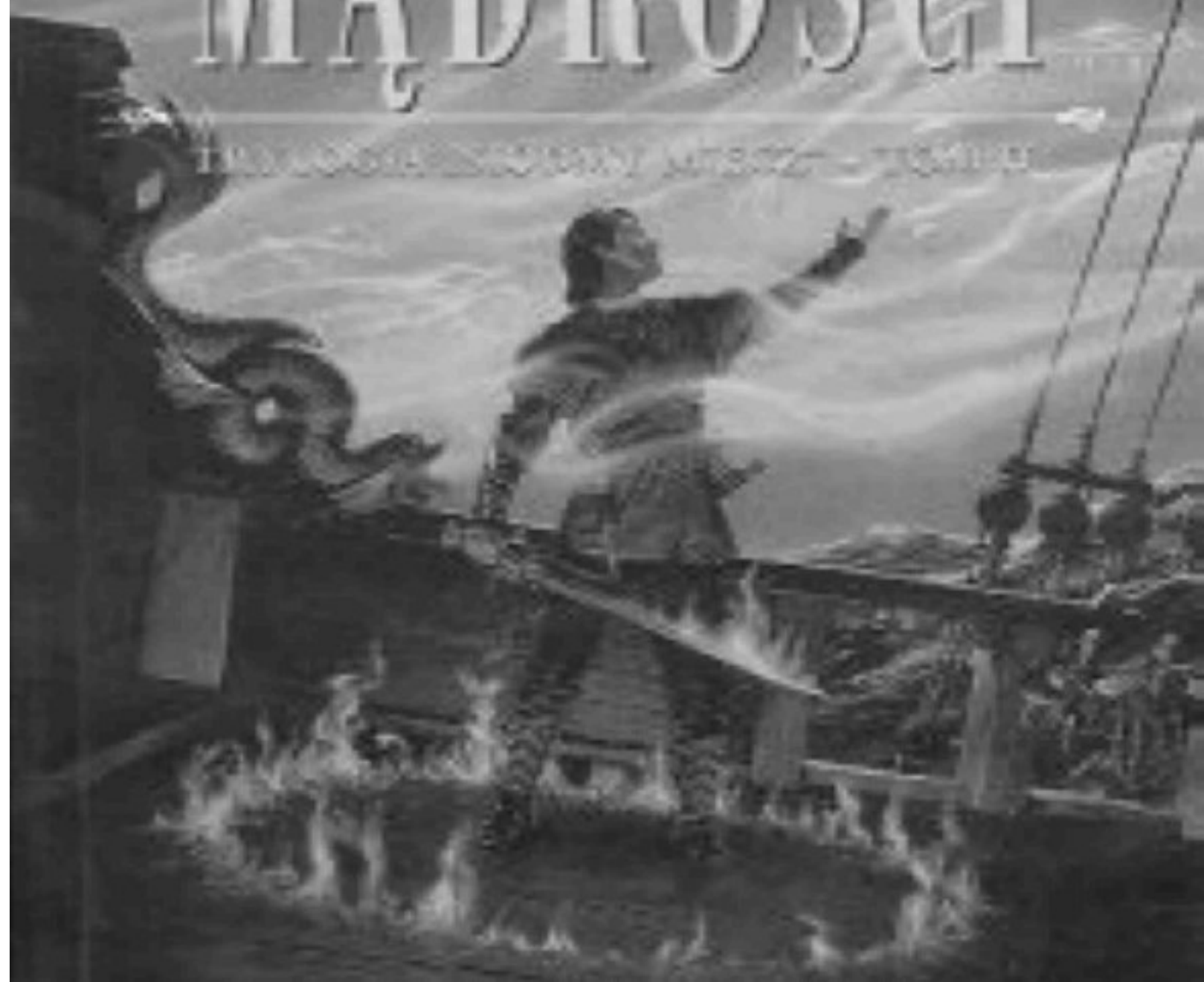


DAVE DUNCAN

DAR MĄDROŚCI

TRANSLACJA I WSTĘP WYKŁADY — TOMIAK



DAVE DUNCAN

Siodmy miecz 02: Dar madrosci

TRYLOGIA "SIÓDMY MIECZ" TOM

II

(Przełożyła Anna Reszka)

Oczywiście, mojemu bratu Michaelowi!

Czwarta przysięga

Ma szczęście ten, kto ratuje życie kolegi, a błogosławieni są ci, którzy ratują się nawzajem. Dla nich tylko jest ta przysięga – najważniejsza, absolutna i nieodwołalna:

Jestem twoim bratem.

Moje życie jest twoim życiem.

Moja radość twoją radością,

Mój honor twoim honorem,

Twój gniew moim gniewem,

Moi przyjaciele twoimi przyjaciółmi,

Twoi wrogowie moimi wrogami,

Moje sekrety twoimi sekretami,

Twoje przysięgi moimi przysięgami,

Moje dobro twoim dobrem,

Jesteś moim bratem.

Księga pierwsza: Jak szermierz uciekł

1

–Quili! Obudź się! Kapłanko!

Krzykom towarzyszyło bębnienie do zewnętrznych drzwi. Quili przewróciła się na bok i schowała głowę pod koc. Przecież dopiero co się położyła.

Rozległo się skrzypnięcie, a po chwili znowu łomotanie, tym razem w wewnętrzne drzwi; było bliższe i dużo głośniejsze.

–Uczennico Quili! Musisz przyjść!

Bębnienie. W lecie nigdy nie wystarczało nocy na sen. W pokoju było ciemno. Koguty jeszcze nie zaczęły pisać... Nie, jeden zapał w oddali. Trzeba się obudzić. Może ktoś jest chory albo umierający.

Zaskrzypiały wewnętrzne drzwi.

–Kapłanko! Musisz wstać. Przybyli szermierze. Quili!

–Szermierze?

Dziewczyna usiadła.

Salimono był krępy męczyzną, farmerem trzeciej rangi. Z natury bardzo spokojny, potrafił czasami zachowywać się jak podniecone dziecko. Teraz wymachiwał ręką, w której trzymał migoczącą świeczkę z knotem z sitowia. W każdej chwili mógł zaproszyć ogień, podpalić swoje siwe włosy, siennik kapłanki albo stare krokwie. Nikłe światło wydobywało z mroku kamienne ściany, chudą twarz posłańca, oczy Quili.

–Szermierze... przyplnęli... Och, wybacz, kapłanko! Odwrócił się szybko, a Quili podciągnęła koc pod brodę.

–Salo, powiedziałaś “szermierze”?

–Tak, kapłanko. Są w łodzi. Na przystani. Piliphanto ich widział. Pospiesz się, Quili.

Ruszył do drzwi.

–Zaczekaj.

Quili żałowała, że nie może zdjąć głowy, potrząsnąć nią i nasadzić z powrotem na kark. Przez pół nocy nosiła na rękach dziecko Agol. Z pewnością był to najgorszy przypadek kołki w dziejach Ludzi.

Szermierze? Małeńki pokoić wypełnił się zapachem gęsiego łaju. Piliphanto znano jako zapalonego rybaka, co wyjaśniało, dlaczego przed świtem znajdował się na przystani. Nad wodą zawsze jest jaśniej, więc mógł rozpoznać sylwetki szermierzy. Nie był myślicielem, ale i nie półgłówkiem.

–Co zamierzacie zrobić?

–Oczywiście, ukryjemy kobiety! – powiedział Salimono, odwrócony plecami do kapłanki.

–Co!? Dlaczego?

–Szermierze.

Niedobrze. Bardzo niedobrze. Quili wiedziała o szermierzach niewiele, ale więcej

niż Salo. Ukrycie kobiet byłoby w tej sytuacji najgorszym posunięciem.

–Nie! Obrazicie szermierzy! Wpadną we wściekłość!

–Ale, kapłanko...

Quili była uczennicą drugiej rangi. Wieśniacy nazywali ją kapłanką z grzeczności, bo tylko ją jedną mieli. Skończyła dopiero siedemnaście lat. Nie mogła wydawać rozkazów Salo, farmerowi trzeciej rangi, dziadkowi i zastępcy Matipodiego. Z drugiej strony, jako miejscowy ekspert od szermierzy, wiedziała, że ukrycie kobiet byłoby wielką prowokacją. Potrzebowała czasu

do namysłu.

–Zaczekaj na zewnątrz! Nie pozwól kobietom uciec. Zaraz przyjdę.

–Tak, Quili.

W pokoju zrobiło się ciemno, ale dziewczyna nadal widziała płomyki tańczące pod powiekami. Zewnętrzne drzwi trzasnęły i rozległy się okrzyki Salimono.

Quili wyskoczyła spod koca i od razu dostała gęziej skórki. Ruszyła do okna po nierównej i lodowatej posadzce z kamienia. Otworzyła okiennice, wpuszczając do środka słabą poświatę i szum deszczu.

Jedna z sukienek była zabłocona, bo poprzedniego dnia Quili przerywała marchew. Okazało się, że druga jest w równie oplakany stanie, ale na szczęście w skrzyni leżała trzecia, przywieziona ze świątyni. Do dzisiaj pozostała jej najlepszym ubiorem. Dziewczyna otrzepała ją i jednym ruchem wciągnęła przez głowę. Stwierdziła, że suknia jest przyciasna. Co sobie pomyślą szermierze o kapłance, która nosi tak dopasowany strój?

Quili miała zapuchnięte oczy i suchość w ustach. Przyczesła włosy, wzięła buty i skierowała się do wyjścia, stukając drewnianymi podeszwami o kamienne płyty. Otworzyła skrzypiące zewnętrzne drzwi, jednocześnie zdejmując z kołka opończę. Niebo tuż nad horyzontem, pod zwałem czarnych chmur, trochę pojaśniało. Coraz więcej kogutów witało świt.

Po drugiej stronie stawu zebrało się kilkunastu dorosłych i kilkoro dzieci. W ich stronę zmierzały jeszcze dwie albo trzy osoby. Blask kopających i skwierczących pochodni odbijał się w lustrze wody siekanej przez krople deszczu. W paru oknach tańczyły płomyki świec. Nie było wiatru. Siąpił dość ciepły, letni deszczyk.

Quili ruszyła błotnistą ścieżką biegnącą wokół stawu. Wkrótce miała przemoczone włosy. Krople deszczu ściekały jej za kołnierz.

Po co szermierze mieliby tu przyjeżdżać?

Kilka osób zaczęło mówić jednocześnie, ale Salimono je uciszył.

–Czy to bezpieczne, kapłanko?

–Ukrywanie kobiet nie jest bezpieczne! – oświadczyła Quili zdecydowanie.

Kandoru opowiadał jej nieraz o spalonych wioskach. – To byłaby prowokacja. Uciec powinni raczej mężczyźni!

–Ale oni nic nie zrobili! – zawołała jedna z kobiet.

–To nie my! – dorzucili inni. – Przecież wiesz!

–Ciii! – rzuciła Quili.

Wszyscy umilkli. Byli starsi i rośniejsi od młodej kapłanki, ale jej słuchali. Prości i krzepcy wieśniacy, wystraszeni i zagubieni.

–Salo, wysłałeś lady wiadomość?

–Pilo poszedł.

–Uważam, że wszyscy mężczyźni powinni się schować...

–Nie zrobiliśmy tego! – rozbrzmiał chór przerażonych głosów.

–Cisza! Wiem. Poświadczę za was, choć. nie zawiadomiono o tym, co się stało

Zapadła cisza.

–Kto miałby powiadomić? – bąknęła Myi po chwili.

Nie pozostał przy życiu ani jeden szermierz.

Czy to miało znaczenie? Quili nie wiedziała.

Czy świadkowie, którzy nie donieśli o zabójstwie, byli równie winni jak sprawcy?

Tak czy inaczej, Quili sądziła, że niebezpieczeństwo grozi tylko mężczyznom.

Szermierze rzadko zabijali kobiety.

–Pójdę ich przywitać. Nie zrobią mi krzywdy – oznajmiła dziewczyna z udawaną pewnością siebie. Ostatecznie kapłanki były nietykalne. – Mężczyźni natomiast powinni zająć się wyrębem lasu albo czymś innym, póki nie dowiemy się, po co przybyli szermierze. Kobiety niech przygotowują jedzenie. Goście będą chcieli zjeść śniadanie. Może udadzą się prosto do dworu, ale spróbujemy zatrzymać ich tutaj jak najdłużej. Ilu ich jest, Salo?

–Nie wiem.

–Cóż, idź przekaz wieść adeptowi Motipodiemu. Reszta niech się weźmie do karczowania wzgórze. Ustalcie sygnały. Ruszajcie!

Gdy mężczyźni wypełnili polecenie, Quili otuliła się opończą.

–Myi, przygotuj posiłek. Najlepiej mięso. I piwo.

–A jeśli zapytają, gdzie są mężczyźni?

–Skłamcie – odparła Quili.

Czy te słowa padły z ust kapłanki?

–A jeśli będą chcieli... wziąć nas do łóża? – spytała Nia.

Jej mąż Hantula był prawie tak stary jak Kandoru. Quili roześmiała się, zaskakując samą siebie. Przed oczami miała koszmarne wizje rzezi, a tymczasem Nią marzyła o przystojnym młodym szermierzu.

–Zabaw się, jeśli chcesz!

–Mężatka? Czy to w porządku? – W głosie Nony brzmiało niedowierzenie.

Quili sięgnęła pamięcią do świątynnych lekcji.

–Tak. W porządku. Nie z pierwszym lepszym szermierzem, tylko z wolnym, który jest na służbie Bogini i zasługuje na naszą gościnność.

Kandoru zawsze mówił, że zostać wybranką wolnego szermierza to wielki zaszczyt dla kobiety. Gdy dziewczyna go poznała, był już tylko emerytem i rezydentem. Z powodu wieku i szwankującego zdrowia musiał ograniczyć się do jednej kobiety, ale czasami mówił takim tonem, jakby winą obarczał Quili.

–Nie spodoba się to Kolo – mruknęła Nona, od niedawna mężatka.

–A powinno – stwierdziła Quili. – Gdybyś w ciągu roku urodziła dziecko, mogłoby

nosić znak szermierzy.

Kobiety zaczęły szeptać z ożywieniem. Quili była dziewczyną z miasta, a poza tym ich kapłanką. Skoro mówiła, że coś jest dobre, należało jej wierzyć. Szermierze nigdy nie gwałcili. Tak twierdził Kandoru. Nie musieli.

–Naprawdę? Cały rok? A najwcześniej kiedy?

Quili nie wiedziała. Spojrzała Nonie w oczy. W blasku dogasających świec trudno było dostrzec ich wyraz. Nawet jeśli ta kobieta była w ciąży, na razie nie było tego widać.

–Wstrzymaj się z nowiną kilka tygodni, a złożę świadectwo przed znaczącym.

Nona splonęła się, a pozostałe wieśniaczki wybuchnęły śmiechem. Niewiele mogły dać swoim dzieciom. Znak szermierzy był wart więcej niż złoto. Dla dziewczyny oznaczał większy posag, dla chłopca szansę przyjęcia do rzemiosła. Nawet młody mąż przełknąłby dumę, mając w perspektywie takie korzyści i ogólny szacunek. Śmiech rozładował napięcie. To dobrze! Teraz wieśniaczki ani nie uciekną, ani niechcący nie sprowokują przybyszów do użycia siły.

Quili stwierdziła, że czas iść przywitać gości. Zadrżała i szczelniej otuliła się opończą. Nagle uświadomiła sobie, że spotkała w życiu tylko jednego szermierza. Kandoru, swojego zamordowanego męża.

Deszcz osłabł. Zbliżał się świt. Koguty rywalizowały zawzięcie. Quili zostawiła trajkoczące kobiety i ruszyła drogą prowadzącą do Rzeki. Za domem Salimono szlak opadał i dalej biegł ciemnym płytkim wąwozem.

Dziewczyna szła wolno, rozchlapując wodę w kałużach. Nie chciała się pośliznąć i dotrzeć do przystani umorusana błotem. Powinna wziąć ze sobą pochodnię.

Co sprowadziło tu szermierzy?

Może trafili w te strony przypadkiem? Ale przecież niewiele statków kierowało się w dół Rzeki, gdyż na południu leżała tylko bezludna Czarna Kraina. Jeszcze mniej prawdopodobne było, że szermierze przyплыли z północy, ponieważ tam znajdowało się Ov.

Może zamierzali pomścić Kandoru. Szermierze nie mieli litości dla zabójców współbraci. Kandoru powtarzał jej to wiele razy. Musi ich przekonać, że szukają w niewłaściwym miejscu. Powinni uwierzyć kapłance, choć jako żona Kandoru nie była bezstronna. Poza tym wielu innych świadków mogło potwierdzić, że zabójcy przybyli z Ov.

Niedobrze tylko, że nie powiadomiono o zabójstwie. Quili nie musiała powtarzać w myślach kodeksu kapłańskiego, by wiedzieć, że zapobieganie rozlewowi krwi jest jednym z najważniejszych obowiązków wobec Bogini.

Dziewczyna potknęła się o kamień. Nawet w świetle dziennym ta część wąwozu stanowiła mroczny tunel, zamknięty z obu stron przez strome ściany, a od góry nakryty kopułą z gałęzi drzew. Z boku cicho szemrał strumień. Deszcz ustał albo zatrzymał go liściasty dach. Quili stąpała ostrożnie, wyciągając przed siebie tece.

Jeśli szermierze trafili tu przypadkiem, mogli nic nie wiedzieć o Ov i czyhającym na nich straszliwym niebezpieczeństwie.

A może sprowadziła ich Ręka Bogini. W takim razie musiało im chodzić o coś

więcej niż morderstwo starego wojownika. Ich celem mogło być samo Ov. Wojna! Może na przystani czeka cała armia. Na wieść o masakrze w Ov Kandoru powiedział: "Czarnoksiężnikom nie wolno zbliżyć się do Rzeki!". Gdy pogłoski się potwierdziły, oświadczył: "Bogini nie puści tego płazem. Wezwie szermierzy".

Dwa dni później Kandoru nie żył. Nie zdążył nawet dobyć miecza. Zabiło go kilka dźwięków muzyki. Był uczciwym i na swój sposób dobrym człowiekiem, choć dla młodej nowicjuszki niezbyt atrakcyjnym mężem. Przez całe życie przestrzegał kodeksu szermierzy. Quili żałowała, że nie umiała go wesprzeć. Powinna bardziej się starać.

Miejscowy ekspert... Całą swoją wiedzę czerpała z opowieści, które godzinami snuł Kandoru. Staremu mężczyźnie pozostały tylko wspomnienia młodości i siły, kobiet i wojaczki. W długie zimowe noce trzymał w objęciach młodziutką żonę i mówił bez końca. Powinna była okazać większe zainteresowanie.

Quili zatrzymała się nagle z łomoczącym sercem. Co to? Trzask gałązki?

Wyteńczyła słuch, ale słyszała tylko szum potoku i kapanie deszczu. Z pewnością jej się zdawało. Ruszyła dalej, wolniej i ostrożniej. Postąpiła lekkomyślnie, wyruszając bez światła, choć w nocy słabo widziała. Kapłanki były nietykalne. Nikt, nawet największy łotr, nie zrobiłby krzywdy kapłance. Tak mówiono.

Powinna się cieszyć, że Kandoru będzie pomszczony. Wyszła za mąż w wieku piętnastu lat. Rok później owdowiała. Mając siedemnaście lat, stwierdziła ze wstydem i skruchą, że coraz trudniej obchodzić jej żałobę. Mogłaby wrócić do świątyni, skoro szermierz Kandoru już nie potrzebował jej usług, ale została. Wieśniacy przyjęli ją z otwartymi rękami, podobnie jak niewolnicy. Pani pozwoliła Drugiej zostać w domku i zapewniła utrzymanie, dostarczając mąki, rzadziej mięsa. Od czasu do czasu przysyłała drobne podarunki: niezbyt zniszczone sandały, smakołyki z kuchni.

Jeśli szermierze wiedzieli o czarnoksiężnikach, jeśli planowali atak na Ov, musiała ich być cała armia.

Potykając się w ciemności, omal nie wpadła na ciemną postać, która stała na drodze. Krzyknęła i odskoczyła, gubiąc but.

–Kapłanka! – zawołała piskliwie. – Jestem kapłanką!

–To dobrze! – powiedział młody tenor. – A ja jestem szermierzem. Jak mogę ci służyć, świątobliwa?

Sytuacja była osobliwa. Stojąc w ciemności na jednej nodze, z walącym sercem, Quili mimo wszystko potrafiła docenić jej niedorzeczność. Ani ona, ani obcy nie mogli rozpoznać nawzajem swoich rang. Kto miał pozdrawiać, a kto odpowiedzieć? Szymierze nigdy nie wysłaliby na zwiady Pierwszego. Drugiego również. W takim razie nieznajomy musiał przewyższać ją rangą.

Dziewczyna wyrecytowała powitalną formułkę, której towarzyszyły rytualne gesty. Udało się jej nie upaść w błoto, nawet przy ostatnim ukłonie:

–Jestem Quili, kapłanka drugiej rangi. Moim największym i najpokorniejszym pragnieniem jest, żeby Bogini obdarowała cię długim i szczęśliwym życiem oraz skłoniła do przyjęcia moich skromnych usług i pomocy w osiągnięciu twoich szlachetnych celów.

Nieznajomy cofnął się o krok i dobył miecza, co dziewczyna raczej usłyszała, niż zobaczyła. Drgnęła i omal nie straciła równowagi, ale w porę przypomniała sobie, że szymierze mają swoje rytuały, między innymi wymachiwanie bronią przy pozdrowieniu.

–Jestem Nnanji, szymierz czwartej rangi. Mam zaszczyt przyjąć twoją szlachetną ofertę.

Po raz drugi rozległ się świst, gdy mężczyzna schował miecz do pochwy. Kandoru nie władał swoim tak zręcznie.

–Zawsze stoisz na jednej nodze, uczennico? Dziewczyna nie sądziła, że szymierz ma tak dobry wzrok.

–Zgubiłam but, adeptcie.

Mężczyzna zaśmiał się i schylił. Po chwili Quili poczuła, że silna dłoń obejmuje jej nogę w kostce.

–Jest. Proszę!

Szymierz założył kapłance but i wyprostował się.

–Dziękuję. Dobrze widzisz w ciemności...

–Większość rzeczy robię bardzo dobrze – rzucił chłopak wesoło. Jego głos brzmiał za młodo jak na czwartego, wręcz chłopięco. – Co to za miejsce, uczennico?

–Posiadłość czcigodnego Garathondi, adeptcie. Szymierz odchrząknął cicho.

–Jaki jest jego zawód?

–Budowniczy.

–A co buduje budowniczy szóstej rangi? Zresztą mniejsza o to. Ilu szymierzy jest we dworze?

–Żadnego, adeptcie.

Czwarty znowu chrząknął, zaskoczony.

–Jak się nazywa najbliższa wioska albo miasteczko?

–Osada Poi, adeptcie. Leży stąd około pół dnia marszu na północ.

–W takim razie powinni tu stacjonować szymierze...

To nie było pytanie, więc nie musiała mówić, że rezydent Poi zginął tego samego dnia co jej mąż, a o zabójstwie nikogo nie powiadomiono. Zapobiegać rozlewowi

krwi!

–A miasto?

–Ov, adeptcie. Kolejne pół dnia drogi od Poi.

–Hmm? Czy przypadkiem znasz imię dowódcy z Ov?

On również nie żył. Podobnie jak wszyscy jego ludzie. Odpowiedź: “nie” byłaby kłamstwem. Nim dziewczyna zdążyła się odezwać, szermierz zadał następne pytanie.

–Są tu jakieś kłopoty, uczennico Quili? Zbójcy? Bandyty?

–Nie ma bezpośredniego zagrożenia, adeptcie. Mężczyzna zaśmiał się.

–Szkoda! Nawet smoka? Dziewczyna zawtórowała mu z ulgą.

–Ani jednego.

–I nie widziałas ostatnio żadnych czarnoksiężników? Wiedział o czarnoksiężnikach!

–Ostatnio nie, adeptcie. Westchnął.

–W takim razie, skoro jest bezpiecznie, sprowadzono nas tutaj, żebyśmy kogoś poznali. Jak w Ko.

–Ko?

–Nigdy nie słyszałaś poematu, “Jak Aggaranzi Siódmy rozgromił zbójców z Ko”? – spytał zdziwiony. – To wspaniała opowieść! Honor, wielkie czyny, mnóstwo krwi. Jest bardzo długi, ale zaśpiewam ci go przy okazji. A teraz, skoro nie ma zagrożenia, wrócę i złożę raport. Chodźmy!

Wziął ją za rękę i ruszył wężozem. Miał silne i bardzo duże dłonie, ale wyjątkowo delikatne, zupełnie nie jak ręce rolników albo nawet jej własne ostatnimi czasy.

Dziwne, ale nie czuła strachu, choć dopiero co poznany młody szermierz wiódł ją w nieznaną. Gdy potknęła się na koleinach, szepnęła: “Ostrożnie!” i zwolnił. Drogę przecinały trzy potoki. Quili nie widziała kamieni umożliwiających przejście, ale dzięki Nnanjiemu bezpiecznie przekroczyła strumyki i nie zmoczyła nóg.

–Sprowadziła was Najwyższa, adeptcie?

–Tak! Żeglarz mówi, że nigdy nie słyszał takiej historii. Przebyliśmy długą drogę! Bardzo długą!

Mówił z entuzjazmem, bez nabożnego lęku. Rzeka była Boginią, więc każdy statek mógł popłynąć w nieoczekiwanym kierunku, jeśli miał na pokładzie Jonaszów.

Należeli do nich zwłaszcza wolni szermierze, prowadzeni Jej Ręką. Tego rodzaju przejawy boskiej mocy zdarzały się zbyt często, żeby można je uznać za prawdziwe cuda, ale Quili żadnego nie potraktowałaby tak lekko jak młody szermierz.

Las zrzędł, wąwóz się poszerzył, wpuszczając szarość przedświt. Quili widziała teraz trochę lepiej. Stwierdziła, że Nnanji jest wyższy, niż sądziła, chudy i zdumiewająco młody jak na Czwartego. Wydawał się niewiele starszy od niej, ale może tylko robił takie wrażenie ze względu na swobodny sposób bycia. Usta mu się nie zamykały. Kandoru zginął jako Trzeci. Niewiele osób dowolnego rzemiosła zdobywało wyższą rangę.

–Skąd wiecie, jaką drogę przebyliście? – zapytała dziewczyna.

–Shonsu wie wszystko! Płynęliśmy skokami. On obudził się już przy pierwszym. Chyba śpi z otwartymi oczami. – Kimkolwiek był Shonsu, Nnanji żywił dla niego

większy szacunek niż dla Bogini. – Mnie chłód zbudził przy trzecim. – Zadrzał. – Przybywamy z tropików.

–Jakich tropików, adeptcie?

–Nie jestem pewien. Z gorącej krainy. Shonsu potrafi to wyjaśnić. Bóg Snów jest tam bardzo cienki i wisi wysoko na niebie. Robił się coraz szerszy i obniżał, w miarę jak posuwaliśmy się na północ. Tutaj widzicie siedem oddzielnych pierścieni, prawda? Kiedy wyruszaliśmy, były bledsze i znajdowały się zbyt blisko siebie, by można je odróżnić. Jednocześnie przemieszczaliśmy się na wschód. Tak twierdzi Shonsu. Deszcz zaczął padać dopiero po ostatnim skoku.

Quili doszła do wniosku, że Shonsu jest kapłanem. Nigdy nie słyszała o szermierzu podobnym do niego.

–Po czym poznał, że plyniecie na wschód?

–Po gwiazdach i oku Boga Snów! Musisz zapytać Shonsu. On mówi, że w Hann jest teraz środek nocy.

Hann!

–Byłeś w Hann, adeptcie?

Szermierz spojrzał na kapłankę, zdumiony jej reakcją. Quili spostrzegła, że twarz Czwartego jest umazana ziemią i tłuszczem.

–Niezupełnie. Próbowaliśmy przeprowić się do Hann ze świętej wyspy.

–Świątynia! – wykrzyknęła dziewczyna. – Odwiedziliście wielką świątynię?

–Odwiedziliśmy? – prychnął adept Nnanji. – Ja w niej się urodziłem.

–Nie!

–Tak! – Chłopak błysnął białymi zębami w szerokim uśmiechu. – Moja matka udała się do Bogini, żeby poprosić o lekki poród, i raptem zaczęła rodzić. W ostatniej chwili zaprowadzono ją na tyły świątyni. Kapłani uznali, że to wydarzenie można zaliczyć do cudów.

Szermierz wyszczerzył się jeszcze bardziej. Najwyraźniej robił sobie z niej żarty.

–Ojciec wrzucił do misy sześć miedziaków, a gdyby dał na ofiarę siedem, urodziłbym się pewnie przed samym ołtarzem.

Było to najprawdziwsze bluźnierstwo, ale uśmiech Nnanjiego okazał się zaraźliwy. Quili zaśmiała się mimo woli.

–Nie powinieneś żartować z cudów, adeptcie.

–Może. – Czwarty zatrzymał się i dodał pokorniejszym tonem: –Widziałem wiele cudów w ciągu ostatnich dwóch tygodni, uczennico Quili. Odkąd zjawił się Shonsu.

–Jest twoim mentorem?

–W tej chwili nie. Przed bitwą zwolnił mnie z przysięg, ale mówi, że mogę je teraz odnowić.

Bitwa?

–Uważaj!

Nnanji otoczył dziewczynę ramieniem, chroniąc przed wpadnięciem w błotnistą kałużę. Choć ją minęli, nie odsunął się od kapłanki. Quili była zadowolona, że ma na sobie opończę. Poczowała się nieswojo. W przeszłości rzadko rozmawiała z Czwartymi, a jeszcze żaden jej nie obejmował. Młody szermierz uśmiechał się do niej bardzo

przyjaźnie. Bardzo.

We dworze było niewielu mężczyzn w jej wieku, w tym jedynie dwóch nieżonatych. Ze względu na profesję wszyscy traktowali ją z respektem, a zresztą i tak nie miałyby o czym z nimi rozmawiać. Znali się jedynie na uprawach i stadach. Quili już zapomniała, czym jest prawdziwa konwersacja, szczególnie z mężczyzną. Kiedyś, lata temu, paplała tylko z dziewczętami, przyjaciółkami ze świątyni. Czwarty gawędził z nią jak z równą sobie, co jej bardzo pochlebiało. Jednocześnie miała wyrzuty sumienia, że rozmowa sprawia jej przyjemność.

Dotarli do końca wąwozu. Przed sobą ujrzeli Rzekę, jasną wstęgę ciągnącą się aż po wschodni horyzont. Świat powoli nabierał kolorów. Bóg Słońca miał się pojawić za parę minut. Nadal mżyło. Quili zobaczyła, że szermierz jest brudny nie tylko na twarzy. Krople deszczu ściekały z umorusanych barków na tors i kilt... Dziewczyna głośno wciągnęła powietrze.

–Krew! Jesteś ranny?

–Nie moja! – Chłopak uśmiechnął się z dumą. – Wczoraj stoczyliśmy wielką bitwę! Shonsu zabił sześciu wrogów, a ja dwóch!

Quili zadrżała, a szermierz mocniej objął ją ramieniem. Wiedziała, że takie zachowanie nie przystoi kapłance, ale nie mogła się wyswobodzić ze stalowego uścisku. Szczelniej owinęła się płaszczem. Kandoru nigdy nie dotykał jej w miejscu publicznym. Wymagał, żeby szła krok za nim.

–Zabiłeś dwóch ludzi?

–Trzech. Dwóch w bitwie, ale wcześniej musiałem walczyć o promocję.

Gwardzista, któremu rzuciłem wyzwanie, wybrał miecze zamiast floretów. Próbował mnie przestraszyć, więc go zabiłem. Zresztą i tak go nie lubiłem.

Dziewczyna roześmiała się, ale po chwili uważnym spojrzeniem zmierzyła zuchowatego szermierza. Dwa znaki na jego czole były świeże i opuchnięte, włosy czarne i tłuste, ale gdzieniegdzie spod warstwy brudu przeświecał rudy kolor. Młodzieniec miał jasne oczy, prawie niewidoczne rzęsy i bardzo jasną skórę w miejscach wymytych przez deszcz. Wyglądał na rudzielca. Ubrudził się pewnie miksturą, którą przefarbował sobie włosy.

–Proszę, adeptcie!

Quili próbowała się uwolnić z uścisku szermierza. Zbliżali się do przystani. Brzegi Rzeki usypane z drobnych kamyczków były strome. Jedynie przy ujściu strumienia znajdował się skrawek płaskiego terenu. Przy wysokim poziomie wody ledwo wystarczało miejsca, żeby zawrócić wóz. Tego dnia łacha piasku była całkiem odsłonięta, podobnie jak koniec moła od strony lądu.

Do drugiego końca cumowała mała jednomasztowa łódź. Quili nie dostrzegła armii szermierzy, ale obleciał ją strach. Zaczęła się wyrwać, jednak Nnanji trzymał ją mocno, prowadząc z uśmiechem ku przystani. Nad wodami Rzeki ukazała się krawędź słonecznego dysku.

–Podobasz mi się! – oświadczył szermierz. – Jesteś ładna. Bogini nie dała ci dużo ciała, ale wykonała dobrą robotę.

Quili przyszło do głowy, żeby zrzucić opończę i uciec. Jednak Czwarty biegał o

wiele szybciej od niej.

–Byłem Drugim w świątynnej gwardii, póki Bogini nie przysłała Shonsu, ale od dzisiaj jestem wolnym szermierzem.

–Co masz na myśli?

Wcale nie musiała pytać. Doskonale wiedziała, o czym mówi Nnanji.

–Jak sądzisz, dlaczego Bogini postawiła cię na mojej drodze? Zawsze do tej pory musiałem płacić za kobiety, oczywiście z wyjątkiem koszarowych dziewczek. Wczoraj kupiłem sobie niewolnicę, ale okazała się do niczego. Twój czcigodny Garathondi zaproponuje nam kilkudniową gościnę...

Quili wpadła w panikę.

–Puść mnie!

Zaskoczony Czwarty od razu spełnił jej życzenie.

–O co chodzi?

–Jak śmiesz w ten sposób traktować kapłankę?! – krzyknęła w przypiływie odwagi.

Nnanji zrobił urażoną minę.

–Myślałem, że ci się to podoba. Dlaczego wcześniej nie powiedziałaś? Masz na myśli... Chyba najpierw się umyję. Wyglądam okropnie, prawda?

Quili odzyskała panowanie nad sobą.

–Zastanowię się – odparła taktownie.

Szermierz najwyraźniej nie był skory do przemocy. Zachowywał się jak duży szczeniak, który ma ochotę pobaraszkować. Kapłanka niedawno pouczyła Nie, że powinna spełnić obowiązek. Teraz stwierdziła, że łatwiej jest udzielać rad niż ich słuchać. Postanowiła jednak, że ulegnie Czwartemu, jeśli ten jej zapragnie. Lepiej zawczasu oswoić się z tą myślą...

–Poczekam, aż zobaczysz Shonsu – stwierdził Nnanji z rezygnacją. – Na jego widok kobietom zaczynają błyszczeć oczy. Chodźmy! Czekają na mnie.

Co takiego? Czyżby Czwarty sądził, że wyszła gościom na spotkanie, by wybrać sobie najlepszego szermierza? Cóż za arogancja! Niewiarygodna bezczelność! Quili aż zaniemówiła z oburzenia, idąc wolno w stronę molo. Nnanji zagwizdał umówiony sygnał, choć wyraźnie było ich oboje widać w blasku słońca.

Dziewczyna ze zdumieniem stwierdziła, że słyszy płacz dziecka. Szermierze niańczący dzieci?

Nnanji zatrzymał się na końcu molo i zaczął rozmawiać z czekającymi na łodzi. Pewnie meldował, że nie ma niebezpieczeństwa. Bezpośredniego niebezpieczeństwa. Quili nie skłamała. Nie zdążyła wcześniej pomyśleć, jak jej pani zareaguje na przybyszów. Teraz doszła do niepokojącego wniosku, że lady Thondi mogła już posłać do Ov wiadomość o szermierzach. Ile czasu zajmie podróż konno do Ov? Ile czasu potrzeba czarnoksiężnikom na dotarcie do posiadłości? Być może szermierze nie zinterpretują określenia “bezpośrednie” tak samo jak ona.

Nagle w ramionach Nnanjiego, nie wiadomo skąd, znalazło się dziecko. Czwarty przytulił je do siebie i płacz ucichł.

Gdy Quili podeszła, szermierz odwrócił się do niej z szerokim uśmiechem na

twarzy.

–To mój przyjaciel Vixini.

Chłopczyk miał około roku i najwyraźniej ząbkował. Był synem niewolnicy. Quili poczuła się, jakby dostała obuchem w głowę.

Tymczasem Nnanji wyciągnął do kogoś dłoń. Na molo wskoczył mężczyzna.

–Panie, mogę mieć zaszczyt przedstawić ci uczennicę Quili? – rzucił niedbale Czwarty i zaczął łaskotać nagie dziecko, wyraźnie nieświadom wrażenia, które przed chwilą zrobił.

Gigant! Mężczyzna był jeszcze wyższy od Nnanjiego, dużo potężniejszy i bardziej umięśniony. Włosy miał czarne. Czarne oczy zmierzyły Quili przenikliwym spojrzeniem, od którego ugięły się pod nią kolana. Gwałt, śmierć, rzeź...

Nnanji wydawał się za młody na Czwartego, a groźny olbrzym, choć kilka lat od niego starszy, dużo za młody na Siódmego. Jednak na jego czole widniało siedem mieczy, a kilt, teraz brudny, wymięty i poplamiony krwią, bez wątplenia kiedyś był niebieski. Ramiona i tors barbarzyńcy znaczyły plamy zaschniętej krwi.

Przez chwilę Quili miała ochotę wziąć nogi za pas, ale opanowała się i wymamrotała pozdrowienia. Przypomniało jej się, co Nnanji powiedział o Shonsu i kobietach. Ona nie miała szklanego wzroku, ale drżała jak osika. Przy wykonywaniu rytualnych gestów trzęsły się jej ręce. Kandoru mówił, że w ciągu swojej długiej kariery zawodowej nigdy nie spotkał szermierza o randze wyższej niż szósta. Ona sama nigdy nie rozmawiała z Siódmym jakiegokolwiek rzemiosła, nie licząc swojej pani, ale wszyscy wiedzieli, że rangę kupił jej przed laty mąż. Siedmiu mieczy nie można było kupić.

Kapłanka złożyła ostatni ukłon i spojrzała na Shonsu. Gigant sięgnął po miecz, nie spuszczając groźnego wzroku z jej twarzy. Bóg Słońca zabłysnął na rękoności.

–Jestem Shonsu, szermierz siódmej rangi. Czuję się zaszczycony, mogąc przyjąć twoją szlachetną służbę.

Jego głos zdawał się dochodzić z niewyobrażalnych głębin. Mięśnie ramienia napięły się, gdy mężczyzna chował miecz.

Kiedy formalnościom stało się zadość, lord Shonsu położył ręce na biodrach i rzucił dziewczynie przyjazny, niemal chłopięcy uśmiech. Przed Quili stał zupełnie inny człowiek. Dokonała się w nim zdumiewająca przemiana, z groźnego barbarzyńcy w męskiego młodego lorda. Kapłanka jeszcze nigdy nie spotkała tak przystojnego mężczyzny.

–Przepraszam, uczennico! W obecnym stanie nie powinniśmy składać niezapowiedzianych wizyt, zwłaszcza o takiej porze.

Głos Shonsu, najgłębszy, jaki Quili kiedykolwiek słyszała, budził zaufanie, dodawał otuchy, zdradzał poczucie humoru. I ten uśmiech! Teraz rzeczywiście miała szkliste oczy, bardzo szkliste.

–Jesteście mile widziani, panie.

Ciepły uśmiech szermierza kojarzył się ze wschodzącym słońcem.

–Przychodząc tu, wykazałaś się wielką gościnnością... i niemałą odwagą. – Mrugnął do niej. – Mam nadzieję, że mój pokrwawiony towarzysz nie przeraził cię

zbytnio?

Quili tylko potrząsnęła głową.

–W okolicy nie ma żadnego szermierza? A co z kapłanami? Masz mentora?

–Mieszka w Poi, panie.

–Więc ty jesteś naszą gospodynią, przynajmniej póki nie zjawi się czcigodny Garathondi.

–On przez większość czasu mieszka w Ov, panie. We dworze rezyduje jego matka, lady Thondi...

–Ty nam wystarczysz – powiedział gigant z rozbijającym uśmiechem. – Nnanji mówi, że w okolicy nie ma żadnego zadania dla naszych mieczy.

–Eee... żadnego, panie.

Lord Shonsu skinął głową z zadowoleniem.

–Cieszę się, że to słyszę. Wczoraj mieliśmy rzeź, jak sama widzisz. Może Najwyższa przysłała nas tu na odpoczynek?

Wybuchnął grzmiącym śmiechem i odwrócił się do łodzi.

Quili wątpiła, czy adept Nnanji ma dość rozlewu krwi. Widziała, że obserwuje ją z cichym rozbawieniem i jednocześnie z żalem. Poczwała, że się czerwieni. Spuściła wzrok.

Po chwili jej wzrok samowolnie pomknął ku szerokim plecóm lorda Shonsu i kapłanka zauważyła miecz. Srebrna rękojeść lśniła w promieniach Boga Słońca. Wielki niebieski kamień, osadzony na czubku, trzymała w pazurach misternie wyrzeźbiona bestia, Quili wiedziała, że gryf to królewski symbol. Na zapince do włosów iskrzył się drugi szafir.

Ale...

Ci mężczyźni podawali się za wolnych szermierzy. Kandoru tłumaczył jej, że wolni szermierze są biedni, bo służą tylko Bogini. Wędrują po Świecie, tępią niesprawiedliwość, zaprowadzają porządek, kontrolują uczciwość szermierzy, chronią bezbronych. Nie mają nad sobą żadnych panów i nie przyjmują innego wynagrodzenia oprócz wiktów. Prawdziwy wolny szermierz szczyli się swoim ubóstwem.

Królewski miecz? Sam klejnot był wart fortunę, nie mówiąc o mistrzowskiej robocie. W jaki sposób uczciwy szermierz mógł zdobyć taki skarb? Zdezorientowana spojrzwała na broń Nnanjiego. Chłopak wciąż trzymał na rękach gaworzące dziecko, ale zerkał na nią.

–Należał do Bogini – wyjaśnił nie pytany.

–Co?

–Jest bardzo stary i słynny, to najlepszy miecz, jaki kiedykolwiek wykuto. Człowiek, który go wykonał, nazywał się Chioxin, był płatnerzem wszech czasów. To ostatnie i największe z jego siedmiu arcydzieł. Podarował go Bogini.

Quili odwróciła się, żeby szermierz nie wyczytał z jej twarzy straszliwego podejrzenia, które się w niej zrodziło. Ci ludzie przybywali z Hann, z matki wszystkich świątyni. Stoczyli bitwę. Ktoś próbował im przeszkodzić w wyjeździe. Gwardia świątynna, do której należał Nnanji? Czy powodem był miecz? Shonsu ukradł

królewski miecz ze świątynnego skarbcza?

Dlaczego w takim razie Bogini pozwoliła łodzi opuścić port? Dlaczego sprowadziła w okolice, którymi władali czarnoksiężnicy? Szermierze siódmej rangi byli bardzo groźni. Nnanji powiedział, że Shonsu zabił sześciu ludzi w jednej walce. Może Bogini miała za mało szermierzy zdolnych do wymierzenia kolosowi sprawiedliwości? Lecz czarnoksiężnicy z pewnością sobie z nim poradzą.

Czyżby na przybyszów czekała tutaj śmierć?

Quili zrobiło się słabo. Pomóc tym ludziom czy nie? Zapobiec rozlewowi krwi? Czyjej krwi? Zwykła uczennica nie powinna stawać przed takimi wyborami.

–Uczennico Quili, oto Jja, moja ukochana.

Kobieta uśmiechnęła się nieśmiało, a Quili przeżyła kolejny wstrząs. Przez twarz Jji, od linii włosów do górnej wargi, biegła pojedyncza kreska. Poza tym kobieta miała na sobie czarny strój. Ukochana Siódmego? Choć szpeciło ją niewolnicze piętno i krótko ostrzyżone włosy, była piękna. Wysoka, o figurze idealnie proporcjonalnej do wzrostu, poruszała się ze zmysłowym wdziękiem oraz sprawiała wrażenie silnej i radosnej. Zakrawało jednak na ironię, że mężczyzna o takiej władzy pokochał zwykłą niewolnicę. Nawet jako Siódmy nie mógł zmienić jej statusu. Przedstawił ją jak równą sobie i obserwował reakcję kapłanki. Dziewczyna uśmiechnęła się ostrożnie i powiedziała:

–Witaj, Jjo.

Niewolnica opuściła ciemne oczy. Na wysokich kościach policzkowych pojawił się lekki rumieniec.

–Dziękuję, uczennico.

Miły głos, stwierdziła Quili. Jja wyciągnęła ręce po dziecko siedzące na karku Nnanjiego. Mały Vixini opierał się, wrzeszczał ze złością i ścisnął rączką kucyk szermierza.

W tym momencie lord Shonsu pomógł wyjść na molo drugiej kobiecie.

–To jest Krówka.

W jego tonie brzmiała nuta rozbawienia.

Krówka też była niewolnicą, ale innego rodzaju niż Jja, stanowiła ideał partnerki seksualnej. Quili jeszcze nigdy nie widziała tak pięknej twarzy i równie posągowych kształtów. Pod przezroczystym strojem wyraźnie rysowały się piersi, zgrabne ramiona i nogi. Na dźwięk imienia zmysłowe usta rozchyliły się w automatycznym uśmiechu, a puste oczy spoglądały bezmyślnie ku brzegowi.

Quili przypomniała sobie własne wątpliwości co do przyciasnej sukni i doszła do wniosku, że w tym towarzystwie nikt nie zwróci uwagi na niestosowność.

Nnanji wspomniał po drodze, że kupił niewolnicę. Kapłanka spojrzała teraz na niego, ale młodzieniec odwrócił wzrok.

Z łodzi wysiadła kolejna osoba, podtrzymywana przez lorda Shonsu. Był nią drobny staruszek, zupełnie łysy i pomarszczony. Miał na sobie za dużą szatę, a w dodatku kobiecą. Czoło zakrywała mu czarna przepaska. Quili zamrugnęła ze zdziwieniem. Dzieci, niewolnice i żebracy? Jakże jeszcze niespodzianki chowa w zanadrzu lord Shonsu?

–To jest Honakura, który woli ukryć swoją rangę i profesję. Nie wiem, dlaczego mu ustępujemy.

Staruszek pogroził artretycznym palcem szermierzowi, który wyglądał przy nim jak góra.

–Nie wolno ci wymieniać nawet mojego imienia! Bezimienny nie ma zawodu, rangi i imienia! Zwracaj się do mnie “starcze”, jeśli musisz.

Lord Shonsu spojrział na niego z lekkim rozbawieniem.

–Jak sobie życzysz... starcze. Uczennico, poznaj starca. Honakura skierował wzrok na Quili i uśmiechnął się do niej bezzębnymi ustami.

–Ja też Jej służę.

–Witaj... starcze.

Lord Shonsu ryknął śmiechem.

–A teraz...

Olbrzym przykląkł na jedno kolano i sięgnął do łodzi. Gdy się wyprostował, trzymał za ramiona młodego chłopaka w brudnym białym kilcie. Pierwszy rzucił Quili swobodny uśmiech, jakby zachowanie Siódmego wcale go nie zaskoczyło ani nie speszyło.

–Nasza maskotka. Uczennico Quili, mam wielki zaszczyt przedstawić ci strasznego nowicjusza, Katanjiego, szermierza pierwszej rangi – zagrzmiał Shonsu i puścił chłopaka.

Nowicjusz Katanji wylądował na deskach, potknął się, odzyskał równowagę i wyszczerzył się od ucha do ucha. Niezdarnie chwycił za rękojeść przekrzywionego miecza.

–Zostaw to! – powiedział Shonsu szybko. – Jeszcze obetniesz komuś głowę, najpewniej sobie.

Katanji wzruszył ramionami i nie przestając się uśmiechać, po cywilnemu zasalutował starszej rangą nieznaną. Osłupiała kapłanka odwzajemniła pozdrowienie. Rzadko oficjalnie przedstawiano Pierwszych. Niewolników i żebraków zawsze ignorowano. Lord Shonsu nie tylko miał osobliwe poczucie humoru, ale najwyraźniej nie przepadał za etykietą i rytuałami.

Na czole ciemnookiego urwisa widniał świeży, zaogniony znak. Kręcone czarne włosy, ścięte krótko jak u dziecka, Katanji spiął zapinką, ale udało mu się zrobić z nich kucyka. Brudny, choć nie tak bardzo jak Nnanji, nie miał jednak na sobie plam krwi. Quili domyśliła się, że nowicjusz zaledwie poprzedniego dnia złożył szermierczą przysięgę. Jego mentorem musiał być Nnanji, bo Siódmy nie wzięłby Pierwszego na protegowanego. Z drugiej strony, nieprzewidywalny lord Shonsu był zdolny do wszystkiego.

–Ty też witaj, nowicjuszu – powiedziała dziewczyna.

Wielkie oczy spojrzały na nią z powagą.

–Widać, że twoja gościnność jest niezrównana, uczennico.

Przeniósł wzrok na jej opończę.

Quili zerknęła w dół i zobaczyła, że wyblakły żółty materiał jest poznaczony smugami błota i chyba nawet krwi w miejscach, gdzie Nnanji przytulał ją do siebie.

Podniosła wzrok, speszona i zła, a nowicjusz Katanji odwrócił twarz, na której malował się uśmiech zadowolenia. Bezczelny smarkacz!

–To już wszystkie przybłądy, żeglarzu? – zwrócił się lord Shonsu do dwóch mężczyzn, którzy jeszcze pozostali na łodzi. – Może wyjdziecie na brzeg, żeby coś zjeść i odpocząć przed dalszą drogą?

–O nie, panie.

Kapitan, tłusty i służalczy człowiek, zapewne chętnie pozbywał się dziwnych pasażerów. Jonasze podobno przynosili szczęście statkowi, któremu zwykle Bogini wkrótce pozwalała wrócić do portu, ale osoba lorda Shonsu musiała budzić w załodze mieszane uczucia.

–Nie możemy pozwolić, żeby Bogini czekała, panie – wyjaśnił żeglarz.

–Niech więc was prowadzi.

Shonsu sięgnął do sakiewki przy pasie i wyjął z niej kilka monet. Pieniądze zabłyśły w słońcu. Wolni szermierze płacący złotem zwykłym przewoźnikom?

–Oto jesteśmy, uczennico. Siedmioro zgłodniałych podróżnych.

Lord Shonsu, nie tracący dobrego humoru, patrzył na Quili z rozbawieniem. Jej zdumienie musiało rzucać się w oczy. Dwaj szermierze, dwie niewolnice, chłopiec, dziecko i żebrak? Cóż to za wojsko?

W tym momencie Siódmy spojrzał na drogę niknącą w wylocie wąwozu, a potem na Czwartego. Na jego czole pojawił się mars.

–Transport?

–Zapomniałem, panie – odparł Nnanji z przerażeniem w oczach.

–Zapomniałeś? Ty?

Szermierz głośno przełknął ślinę.

–Tak, panie.

Shonsu spojrzał na Quili.

–Kiedyś zawsze musi być pierwszy raz – stwierdził ponuro. – Uczennico, mamy kłopot. Szlak zapewne prowadzi na szczyt tego wzniesienia?

–Obawiam się, że tak, panie.

–Zaczekajcie! – krzyknął Siódmy do żeglarzy stawiających żagle. – Rzućcie nam kilka sienników i płachtę. Dziękuję. Dobrej podróży!

Odcumował linę. Nnanji zrobił to samo z drugą, naśladując ruchy mentora.

Niezwykły lord Shonsu wziął sienniki i brezent pod pachę i ruszył na brzeg. Zdumiona Quili musiała truchtać, żeby dotrzymać mu kroku. Kandoru nigdy nie bawił się w majtka ani tragarza.

–Uczennico, możesz nam znaleźć jakiś pojazd? Starzec chyba dałby radę, ale Krówka... – Uśmiechnął się, wymawiając to imię. – Droga Krówka straciła jeden sandał. Nie chciałbym, żeby pokaleczyła sobie piękną stopkę.

–Na pewno znajdę wóz, panie.

Furmanka dla siódmej rangi? Czy w osadzie został choć jeden mężczyzna, żeby zaprząć konia? Wiele razy widziała, jak to się robi...

–Świetnie – powiedział Shonsu wesole.

Dotarłszy do końca molo, szermierz rozpostarł brezent na deskach, a następnie

zeskoczył i pod nimi, na suchym piasku, ułożył sienniki. Gdy zjawili się towarzysze, pomógł im zejść z pomostu.

–Tutaj będzie nam wygodnie do twojego powrotu.

–Wrócę najszybciej, jak się da, panie.

–Nie ma pośpiechu. Muszę porozmawiać z Nnanjim na osobności, więc akurat będę miał dobrą okazję.

Posłał jej rozbrajający uśmiech.

Quili wymamrotała coś zmieszana i ruszyła w stronę wąwozu. Tymczasem chmury przesłoniły słońce, Świat zrobił się ponury i brzydki. Kapłanka powtarzała sobie, że musi zapobiec rozlewowi krwi. Nie skłamała, ale nie uprzedziła szermierzy o niebezpieczeństwie. Litościwa Bogini! Kogo chronić? Wieśniaków, czarnoksiężników czy szermierzy?

Wallie szedł wolno pomostem, zbierając myśli. Buty stukały głucho o zniszczone deski. Idący obok niego Nnanji niecierpliwie czekał, jakimi rewelacjami podzieli się z nim lord Shonsu.

Na molo leżały zwierzęce odchody. Prawdopodobnie wysyłano tędy bydło do najbliższego miasta, Ov. Rzeka była tutaj bardzo szeroka. Drugi brzeg stanowił ledwo widoczną kreskę. Bezmiaru szarych wód nie ożywiał ani jeden żagiel. W Hann miała taką samą szerokość, ale Hann leżało ćwierć Świata dalej. Honakura mówił, że Rzeka jest wszędzie, lecz w ciągu całego życia spędzonego na rozmowach z pielgrzymami nigdy nie słyszał o jej źródłach czy ujściu. Najwyraźniej nie miała końca i była taka sama w każdym miejscu. Rzeka to Bogini.

Ani śladu żagli.

–Prom zniknął!

–Tak, panie – potwierdził Nnanji bez zdziwienia w głosie.

Wallie zadrżał wobec tak namacalnej boskiej interwencji, ale po chwili wrócił myślami do sprawy, z którą musiał teraz się uporać. Dwa razy opowiadał swoją historię, lecz tym razem miało być gorzej. Honakura potraktował ją kiedyś jako doświadczenie z dziedziny teologii. Wierząc w wiele światów i reinkarnację, zdziwił się tylko, że Wallie Smith wrócił do życia jako dorosły Shonsu, a nie jako niemowlę. To był cud, a kapłani wierzyli w cuda. Poza tym Honakura chciał dowiedzieć się czegoś o Ziemi i poprzednim życiu Walliego, co raczej nie będzie interesowało Nnanjiego.

Jji nie obchodziły powody ani szczegóły. Wystarczała jej świadomość, że w ciele szermierza krył się mężczyzna, którego pokochała, człowiek bez rangi i zawodu, wyobcowany ze Świata tak jak ona. Tylko w ten sposób niewolnica mogła ośmielić się kochać Siódmego. Z Nnanjim miało być inaczej.

Dwaj mężczyźni dotarli do końca molo i zatrzymali się.

–Nnanji, muszę coś wyznać. Nigdy cię nie okłamałem, ale też nie powiedziałem całej prawdy.

Czwarty zamrugał.

–A po co? To ciebie Bogini wybrała na orędownika. Jestem zaszczycony, że mogę ci pomóc. Nie musisz nic więcej mówić, lordzie Shonsu.

Wallie westchnął.

–W takim razie cię okłamałem. Powiedziałem, że mam na imię Shonsu, a to nieprawda.

Nnanji wybałuszył oczy. Stanowiły teraz dwie jasne plamy w brudnej twarzy. Rude włosy ufarbowano mu na czarno mieszaniną sadzy i tłuszczu. Rozsmarowana po całym ciele maź, na którą złożyły się ponadto łajno, pajęczyny, kurz i krew, nadała Czwartemu komiczny wygląd. Lecz pozory myliły. Nnanji stał się ostatnio bardzo niebezpiecznym wojownikiem, za młodym na świeżo nabyte umiejętności szermiercze i władzę, którą dawała mu nowa ranga. Przez kilka lat należało go pilnować, póki dojrzałość nie dorówna szermierzemu kunsztowi. Może dlatego bogowie kazali związać go nieodwołalną przysięgą, do której miała doprowadzić ta rozmowa.

–Spotkałem się z bogiem i oto, co mi powiedział: “Bogini potrzebowała szermierza. Wybrała najlepszego na Świecie: Shonsu Siódmego”. Właściwie stwierdził, że nie znaleźli lepszego, a to nie całkiem to samo. W każdym razie szermierz zawiódł “katastrofalnie”.

–Co to znaczy, panie?

–Bóg nie powiedział. Shonsu zjawił się w świątyni, przygnany przez demona. Egzorcyzmy nie poskutkowały. Bogini zabrała jego duszę, a... zostawiła demona. Przynajmniej Shonsu myślał, że to demon. To byłem ja, Wallie Smith. Tyle że nie jestem demonem.

Nie opowiadał najlepiej, ale bawiła go mina i skwapliwe potakiwania chłopaka. Inni słuchacze wykpiłoby tak absurdalną historię, natomiast Nnanji bardzo chciał w nią uwierzyć.

Młody szermierz ciężko zachorował na kult bohatera. Poprzedniego dnia wyleczył się z niego gwałtownie, ale Bogini zesłała cud, pomagając Swojemu orędownikowi i jednocześnie na nowo rozbudzając uwielbienie Nnanjiego, silniejsze niż do tej pory. Wallie mógł tylko mieć nadzieję, że chłopak z tego wyrośnie, a otrzeźwienie nie będzie zbyt bolesne ani odległe w czasie. Żaden człowiek nie potrafiłby sprostać wymaganiom Czwartego, jeśli chodzi o heroiczne czyny.

Mężczyźni zawrócili w stronę lądu.

–Można na to wszystko spojrzeć inaczej, tak jak kapłani. Według nich dusza to nic, a koraliki to poszczególne wcielenia. Tym razem Bogini złamała zasady. Rozwiązała sznur i przesunęła jeden koralik.

–Ale...

–Nie potrafię tego lepiej wyjaśnić. Motywy bogów są nieznanne. W każdym razie nie jestem Shonsu. Nic nie pamiętam z jego życia do chwili, kiedy obudziłem się w chacie pielgrzyma, gdzie zajmowała się mną Jja, a Honakura mamrotał, że muszę kogoś zabić. Przedtem byłem Walliem Smithem.

Nie dodał, że myśli po angielsku, a mówi w języku Ludzi. Nnanjiemu nie mieściło się w głowie, że może istnieć więcej niż jeden język. Wallie sam nie wiedział, jak odbywa się tłumaczenie.

–W tym drugim świecie nie byłeś szermierzem, panie?

Co miał odpowiedzieć dyrektor zakładu petrochemicznego wojownikowi epoki żelaza na Świecie, gdzie nie znano pisma? Wallie westchnął.

–Nie. Mieliśmy inne rangi. Powiedzmy, że byłem aptekarzem piątej rangi.

Nnanji drgnął i przygryzł wargę.

Detektyw inspektor Smith osłupiałby, gdyby dowiedział się, że jego syn morduje, oddaje cześć bożkom i ma niewolnicę.

–Mój ojciec był szermierzem.

Nnanji odetchnął z ulgą. Stwierdził, że Bogini nie jest tak płocha, jak się obawiał.

–I byłeś człowiekiem honoru, panie?

Tak. Wallie Smith był uczciwym facetem, porządnym, sumiennym i przestrzegającym prawa.

–Sądzę, że tak. W każdym razie starałem się, choć nasze zwyczaje różniły się od

waszych. Obiecałem bogu, że tutaj również dam z siebie wszystko.

Nnanji zdobył się na słaby uśmiech.

–Kiedy dowódca gwardii stwierdził, że jestem oszustem, miał rację. Nie znałem salutów ani odpowiedzi. Nie odróżniałem jednego końca miecza od drugiego.

–Przecież znasz rytuały, panie! – zaprotestował Czwarty. – Jesteś doskonałym szermierzem!

–To przyszło później.

Wallie opowiedział, jak trzy razy spotkał półboga, jak udało mu się uwierzyć w bogów, jak otrzymał wiedzę i sztukę szermierczą Shonsu, jak dostał legendarny miecz i jak powierzono mu tajemniczą misję.

–Bóg dał mi umiejętność władania mieczem i znajomość sutr, ale żadnych osobistych wspomnień Shonsu. Nie wiem, kim byli jego rodzice, skąd pochodził, kto go uczył. Pod tym względem jestem nadal Walliem Smithem.

–I nie masz znaków rodzicielskich!

–Jeden już mam. – Pokazał Nnanjiemu znak miecza, który pojawił się w nocy na jego prawej powiece. – Jeszcze wczoraj rano go nie było. Myślę, że to żart małego boga albo pochwała za wczorajsze dokonania.

Nnanji stwierdził, że woli drugie wytłumaczenie. Nie podobała mu się wizja bogów robiących kawały.

Dotarli do końca molo i zawrócili. Opowiedziana przed chwilą historia brzmiałaby na Ziemi jeszcze dziwniej niż na Świecie. Wallie bez pośpiechu próbował wyjaśnić, jak się czuje w cudzej skórze, jak bardzo różni się jego obecne życie od poprzedniego.

–Chyba rozumiem, panie – powiedział w końcu Nnanji, patrząc na mokre deski molo. – Bardzo mnie zaintrygowałaś, bo nie postępowałaś jak inni szermierze wyższych rang. Mówiłaś do mnie jak przyjaciel, choć byłem tylko Drugim. Nie zabiłaś Meliu i Briu, mimo że mogłaś. Większość Siódmych chętnie skorzystałaby z okazji, żeby zrobić więcej nacięć na pasie. Traktujesz Jję jak damę. Nawet Dziką Ani potraktowałaś przyjaźnie. Czy tak zachowuje się honorowy człowiek w twoim świecie?

–Tak. Trudniej zdobyć przyjaciół niż napytać sobie wrogów, ale są bardziej użyteczni.

Nnanji rozpromienił się.

–Czy to sutra?

Wallie parsknął śmiechem.

–Nie, moja własna myśl, ale oparta na niektórych naszych sutrach. W każdym razie jest prawdziwa. Przypomnij sobie, jak nam pomogła Dzika Ani!

Nnanji zgodził się z ociąganiem. Szermierze nie powinni szukać pomocy u niewolników.

–Złożę ci drugą przysięgę, panie, jeśli weźmiesz mnie na protegowanego. Nadal chcę uczyć się od ciebie rzemiosła szermierczego i kodeksu. – Po chwili dodał: – I twoich zasad honoru.

Walliemu ulżyło. Trochę się obawiał, że młody przyjaciel ucieknie przed nim jak przed szaleńcem.

–Z dumą zostaną ponownie twoim mentorem, Nnanji, bo jesteś świetnym uczniem i pewnego dnia będziesz wielkim szermierzem.

Czwarty przystanął, wyciągnął miecz i padł na kolana. Wallie chciał mu powiedzieć jeszcze parę rzeczy, ale Nnanji nigdy nie był skłonny do wahań i głębszych refleksji.

–Ja, Nnanji, szermierz czwartej rangi, biorę sobie ciebie, Shonsu, szermierza siódmej rangi, na mistrza i mentora. Przysięgam być wiernym, posłusznym i kornym, wykonywać twoje rozkazy, uczyć się na twoim przykładzie, dbać o twój honor, w imię Bogini.

Wallie odpowiedział rytualną formułką. Rudzielec wstał i schował miecz. Na jego twarzy malowało się zadowolenie.

–Wspomniałeś o jeszcze jednej przysiędze, mentorze? Półbóg ostrzegwał, że szermierze są uzależnieni od przysięg. Nnanji nie był wyjątkiem.

–Tak, ale najpierw muszę powiedzieć ci o swojej misji. Kiedy zapytałem, czego żąda ode mnie Bogini, usłyszałem zagadkę.

–Bóg powierzył ci zadanie i nie wyjaśnił, na czym ono polega? Dlaczego?

–Też chciałbym wiedzieć! Powiedział mi, że mam wolną wolę i muszę zrobić to, co uznaję za słuszne. Gdybym jedynie wypełniał rozkazy, nie byłbym sługą, tylko narzędziem.

Możliwe też, że półbóg mu nie ufał albo nie wierzył w jego odwagę czy uczciwość. Przykra myśl.

–Posłuchaj:

Najpierw w łańcuchy musisz zakuć brata,

A od drugiego wziąć mądrość.

Gdy potężny zostanie upokorzony,

Armia zebrana, koło zatoczone,

Lekcja przyswojona,

Wtedy zwrócisz miecz,

Tam gdzie jego przeznaczenie.

Nnanji przez chwilę poruszał ustami, jakby przeżuwał słowa.

–Nie jestem dobry w zagadkach – mruknął w końcu, wzruszając ramionami.

–Ja też nie byłem... póki po wczorajszej bitwie Imperkanni nie powiedział pewnej rzeczy.

Ach! Nnanji tylko na to czekał.

–Tysiąc sto czterdzieści cztery? Ostatnia sutra?

Wallie skinął głową.

–Dotyczy ona czwartej przysięgi. Braterskiej. Od przysięgi krwi różni się tym, że wiąże równych sobie ludzi, a nie wasala i pana. W rzeczywistości jest jeszcze bardziej bezwzględna, bo najważniejsza, absolutna i nieodwołalna.

–Nie sądziłem, że Bogini pozwala na nieodwołalne przysięgi.

–Najwyraźniej dla tej robi wyjątek. Myślę, że dlatego w zagadce jest mowa o łańcuchu. Jeśli złożymy tę przysięgę, obaj będziemy nią związani na zawsze, Nnanji!

Chłopak pokiwał głową, oszołomiony. Obaj ruszyli pomostem. Wallie dał młodemu szermierzowi trochę czasu do namysłu.

–Ale ty nie znasz... historii Shonsu, mentorze. Może masz... on ma gdzieś prawdziwego brata?

–Z początku też tak myślałem. Sądziłem, że muszę odszukać brata. Lecz bóg usunął znaki rodzicielskie Shonsu, być może celowo. Przysięga braterska dotyczy tylko szermierzy, którzy nawzajem ocalili sobie życie, i to nie w pojedynku, tylko w prawdziwej bitwie. Chyba dlatego skierowano nas wczoraj prosto w pułapkę. Uratowałem cię przed Tarru, a ty mnie przed Ghanirim, więc mamy prawo złożyć sobie przysięgę.

Niewiele brakowało, a Czwarty usiadłby ze skrzyżowanymi nogami na mokrym pomoście, żeby wysłuchać sutry, więc Wallie szybko ją wyrecytował. Sutra była krótka i dużo mniej zawiła czy niejasna niż pozostałe. Nie musiał jej powtarzać. Nnanji nigdy niczego nie zapominał.

Szli dalej w milczeniu. Młodzieniec nie odrywał wzroku od zmurszałych desek i poruszał ustami. Najwyraźniej miał kłopoty z podjęciem decyzji. Wallie poczuł niepokój. Był pewien, że prawidłowo rozszyfrował pierwszy wers zagadki. Co teraz zrobi, jeśli Nnanji odmówi? I dlaczego chłopak nie pali się do złożenia czwartej przysięgi? Powinien być wniebowzięty, że ma okazję zostać bratem największego szermierza na Świecie.

–To nie w porządku, mentorze – oświadczył wreszcie adept. – Jestem tylko Czwartym. Przysięga, o której mówisz, powinna zostać złożona przez równych sobie.

–O tym nie ma w niej mowy. Rudzielec szarpnął za kucyk.

–Potrzebuję twojej pomocy, Nnanji.

–Pomocy, mentorze? – Chłopak się zaśmiał. – Mojej?

–Tak! Jestem wielkim szermierzem, ale o Świecie wiem mniej niż Vixini. Nie mam pojęcia o tylu rzeczach. Na przykład, dlaczego na łodzi przez całą noc nie zdejmowałeś miecza z pleców? Musiał ci trochę przeszkadzać, gdy zajmowałeś się Krówką, co?

Nnanji uśmiechnął się głupawo.

–Niespecjalnie. – Rzucił lordowi Shonsu zdziwione spojrzenie. – To zwyczaj wolnych szermierzy, mentorze.

–W sutrach nie ma nic na jego temat.

–Więc jest to tylko tradycja. Wolny szermierz nigdy nie zdejmuje miecza, chyba że musi go wyczyścić albo użyć.

Zmarszczył czoło, zaniepokojony, że mentor nie zna tak elementarnej rzeczy.

Wallie miał dziurawą pamięć. Nie zachowała się w niej żadna informacja, która świadczyłaby, że Shonsu był wolnym szermierzem. Nie odkładać miecza? Nawet w łóżku? Może i uświęcony przez tradycję, ale uciążliwy zwyczaj.

–Oto dowód mojej ignorancji. Jako mój protegowany nie odważysz się mnie krytykować ani udzielać rad, jeśli popełnię błąd. Takie rzeczy może robić tylko brat.

–Jeśli pozwolisz mi złożyć na nowo przysięgę krwi, mentorze, będziesz mógł wydać rozkaz, żebym ci doradzał – powiedział Nnanji z nadzieją w głosie.

–Albo każę ci się zamknąć! Jako mój wasal nie różnisz się od niewolnika, Nnanji. Od nikogo nie przyjmę trzeciej przysięgi, a zwłaszcza od ciebie.

Szermierz nachmurzył się.

–Ale jak miałbym się do ciebie zwracać? Czwartym nie może nazywać Siódmego “bratem”!

Kwestia nie była błaha. Sposób tytułowania się nawzajem świadczył o stosunkach między szermierzami i mógł ostrzec wyzywającego, że grozi mu zemsta. Od razu po złożeniu drugiej przysięgi Nnanji zaczął nazywać lorda Shonsu “mentorem” zamiast “panem”.

–“Brat” brzmi dobrze. Zresztą nazywaj mnie, jak chcesz. Pewnie przez większość czasu będzie cisnęło ci się na język: “głupcze”.

Nnanji uśmiechnął się uprzejmie.

–Twoja propozycja to dla mnie wielki zaszczyt, mentorze... Jesteś pewien?

Wallie stłumił westchnienie ulgi.

–Jestem pewien. I nie tylko ty jesteś zaszczycony, adepcie Nnanji.

Chłopak poczerwieniał pod warstwą brudu.

–Jak wygląda rytuał?

–Chyba nie ma żadnego. Może po prostu wypowiemy formułkę i uściśniemy sobie dłonie?

Shonsu i Nnanji złożyli sobie braterską przysięgę, a wody Rzeki pluskały w cichym aplauzie o molo. Wallie czuł, że nareszcie czegoś dokonał. Wypełnił pierwsze polecenie z boskiej zagadki, ale co dalej?

Na twarzy Nnanjiego pojawił się nieśmiały uśmiech.

–Teraz mam Shonsu jako mentora i Walliego Smitha jako brata?

Wallie uroczyście skinął głową.

–Wszystko co najlepsze z obu światów.

Letni kapuśniaczek siąpił bez chwili przerwy z niskich szarych chmur. Szara była również Rzeka, szare urwiska, które zasłaniały widok na krainę leżącą w głębi lądu. Ta dżdżysta, wyludniona okolica powinna być przygnębiająca, zwłaszcza przed śniadaniem i po wyjątkowo krótkiej nocy, ale Wallie pozostawał w euforycznym nastroju. Uciekł z niebezpiecznej pułapki w świątyni, w której przebywał przez cały niedługi pobyt na Świecie. Udowodnił, że potrafi zadowolić Boginię w roli szermierza, choć odgrywał ją inaczej niż miejscowi wojownicy epoki żelaza. Miał szansę poznać zupełnie nową planetę i jej prymitywną, ale starożytną i ciekawą kulturę. Czuł się jak na długo wyczekiwanych wakacjach.

Kapłanka powiedziała, że w okolicy nie ma szermierzy, więc na razie nie groziło mu niebezpieczeństwo. Tylko oni mieli monopol na przemoc. Bogini z pewnością wyznaczyła im jakieś zadanie, co oznaczało, że misja Walliego jeszcze nie zaczęła się na dobre. Może czekają go kolejne próby albo lekcje? Powtórzył sobie w myśli instrukcje półboga: “Idź i bądź szermierzem, Shonsu! Uczciwym i walecznym. I baw się, bo Świat należy do ciebie!”. Przed oczami pojawił mu się na chwilę obraz elfiej kapłanki, za co Wallie zganił się pospiesznie. Miał Jję. Mężczyzna nie mógł pragnąć więcej.

–Co teraz, panie bracie? – zapytał Nnanji niecierpliwie.

Dotarli do brezentowej płachty, pod którą schroniła się reszta członków wyprawy.

–Zobaczmy!

Wallie zeskoczył na piasek i zajął pod pomost.

Nowicjusz Katanji szybko odsunął się od Krówki. Przytulanie się było dobrym sposobem na zachowanie ciepła, ale brat by go nie pochwalił. Sekundę później Nnanji stanął obok mentora.

Bogini dobrała orędownikowi dziwną kompanię. Siedem było uświęconą liczbą, więc drużyna Walliego liczyła tyle właśnie osób. Przydatność Nnanjiego wydawała się oczywista, podobnie jak Honakury, nieocenionego źródła informacji, choć czasami kapryśnego i bardzo tajemniczego. Lecz dwie niewolnice, wyrostek i dziecko...I po co mu siódmy miecz Chioxina, najcenniejsza rzecz na Świecie i pokusa dla złodziei. W rękach niepokonanego Shonsu zwykła broń wystarczyłaby w zupełności. Dlaczego więc powierzono mu skarb i nie zapewniono odpowiedniej ochrony?

Wallie potrzebował pół tuzina silnych szermierzy, a nie chłopców i kobiet. Nie udało mu się zwerbować żadnego ze świątynnych gwardzistów. Gdy później napomknął Imperkanniemu, że potrzebuje kilku ludzi, omal nie został wyzwany na pojedynek. Teraz trafił w okolice, gdzie nie było żadnych szermierzy. Dziwne!

Wallie spojrzał uważnie na kruchego Honakurę. Stary kapłan przywykł do luksusu, a nie do przygód, spania pod gołym niebem i przemoczonych ubrań, lecz najwyraźniej nie tracił humoru. Vixini wiercił się, a jego matka raczej blado uśmiechnęła się do swojego właściciela.

Nnanji zmierzył brata ostrym wzrokiem, jakby podejrzewał, co się działo podczas jego nieobecności.

–Lord Shonsu i ja właśnie złożyliśmy sobie przysięgę braterstwa! – oznajmił. Katanji udał, że jest pod wrażeniem.

–Co czyni go również twoim mentorem! – Pierwszy wyraźnie się przestraszył.

–Doprawdy? – spytał Wallie. – “Twoje przysięgi są moimi przysięgami?”. Chyba rzeczywiście. I jest także moim bratem? Cóż, musimy zadbać, żeby nam obu przyniósł chlubę, nieprawdaż?

Usiadł na sienniku obok Jji. Musiał w tym celu przekrzywić miecz na plecach i podwinąć jedną nogę. Jeśli wolni szermierze przez cały czas musieli tak się gimnastykować... Nnanji wszedł pod brezent i kucnął na piętach.

–Więc rozwiązałeś pierwszą część zagadki – stwierdził Honakura i uśmiechnął się kpiąco. – Co teraz?

–Czy twoja misja już się zaczęła, panie? – spytał Katanji.

Nnanji zrobił groźną minę. Zwykłemu Pierwszemu nie wolno było zwracać się do Siódmego bez pozwolenia, ale Katanji już zdążył ocenić lorda Shonsu i wiedział, że nie grozi mu niebezpieczeństwo.

–Nie wiem, nowicjuszu. Nie wyjaśniono mi dokładnie, na czym polega misja. Może już się zaczęła, ale...

–Panie bracie! On jest tylko żółtodziobem. Nie zna jeszcze siedemdziesiątej piątej!

–Nnanji nauczył cię sutry “O tajemnicy” – powiedział Wallie. – Tymczasem zapamiętaj, że masz trzymać język za zębami, dobrze? Chłopiec pokiwał głową. Oczywiście się jarzyły. W ciągu jednego dnia przeżył więcej niż inni Ludzie przez lata.

Poprzedniego wieczoru uratował życie Shonsu i prawdopodobnie również bratu. Najwyraźniej miał swoją rolę do odegrania, ale z pewnością nie wymagała ona umiejętności władania mieczem. Nnanji, podekscytowany promocją na Czwartego, kupił niewolnicę i zaprzysiął młodszego brata jako protegowanego. Krówka może uszczęśliwiłaby jakiegoś bogatego starca, ale nie nadawała się na kobietę wojownika. Katanji, pozbawiony wrodzonego talentu i sprawności fizycznej brata, również nie był materiałem na szermierza, o czym Wallie przekonał się na promie. Chłopak omal nie wypadł za burtę, choć musiał zeskoczyć z wysokości zaledwie metra. Nnanji wylądowałby na deskach jak kot.

Nnanji przybrał marsową minę, jaką widział u gwardzistów średniej rangi w koszarach.

–Twierdzisz, że nie jesteś dobry w zagadkach. A on? – zapytał Wallie.

–Nieży – przyznał niechętnie Czwarty.

–Więc go sprawdźmy.

Usłyszawszy boską zagadkę, Katanji zmarszczył brwi. Honakura już ją wcześniej słyszał. Jja była całkowicie godna zaufania. Krówka rozumiała niewiele więcej od Vixiniego... ale spełniła nieświadomie zadanie wyznaczone jej przez bogów, co stanowiło dla obecnych napomnienie, że śmiertelnicy nie powinni pochopnie wyciągać wniosków.

–Pytanie brzmi: Co teraz? Mam pewne wskazówki. Mój... poprzednik wyznał przed śmiercią, że przebył bardzo daleką drogę. My też przebyliśmy w nocy bardzo długą drogę. Po drugie, wspomniał o czarnoksiężnikach.

–Bzdury! – wybuchnął Honakura. – Nigdy nie uwierzę w czarnoksiężników. To tylko legendy!

Wallie wiele przeszedł, nim w końcu uwierzył w bogów i cuda, więc nie zamierzał z uporem przeczyć istnieniu magów.

–Oni nie walczą uczciwie – stwierdził Nnanji ponuro. To samo odpowiedział kiedyś na pytanie Walliego. – Zresztą tutaj ich nie ma! Pytałem uczennicę Quili! Żadnych czarnoksiężników ani smoków.

–Smoków? Naprawdę na Świecie są smoki?

–Ależ skąd! – prychnął Nnanji. – Jaka jest trzecia wskazówka, panie bracie?

–Ty.

–Ja?

Wallie roześmiał się.

–Chciałem zwerbować paru dobrych żołnierzy, żeby strzegli moich pleców i miecza, ale bez powodzenia. Znalazłem tylko jednego. Oczywiście, wyjątkowego. Nnanji się napuszył.

–Lecz jeden nie wystarczy! Jestem tego pewien. Tymczasem tu, gdzie nas sprowadzono, nie ma żadnych szermierzy. Chyba niewiele jest na Świecie takich miejsc, prawda?

–Istotnie.

–Myślę więc, że misja jeszcze się nie zaczęła. Czeka nas zapewne jeszcze kilka prób albo lekcji.

–Niebezpiecznych?

–Prawdopodobnie.

Nnanji uśmiechnął się z zadowoleniem.

–To miejsce wydaje się bardzo bezpieczne. Może więc skierowano nas tutaj, żebyśmy odpoczęli kilka dni?

–Albo kogoś spotkali? Jak w Ko?

–Ko?

–Nigdy nie słyszałeś... To wielki poemat!

Czwarty wziął głęboki oddech, szykując się do recytacji. Nawet jeśli poemat był długi, Nnanji słyszał go tylko raz albo przed wielu laty, umiałby go powtórzyć bez zająknięcia.

–Tylko sedno! – powiedział szybko Wallie.

–Aha! – Nnanji wypuścił powietrze i zastanawiał się przez chwilę. – Bogini wysłała lorda Aggaraniego i jego drużynę do Ko, ale wieśniacy nie mieli zajęcia dla ich mieczy, więc następnej nocy zostali sprowadzeni Inghollo Szósty i jego ludzie, a w ciągu dwóch kolejnych zjawili się inni... Bogini zebrała w Ko armię i zwabiła w zasadzkę dużą bandę rozbójników. Szermierze rozbili zbójców w puch.

–Możliwe, że mamy tutaj kogoś spotkać, w bezpiecznym miejscu – stwierdził Wallie. W tym momencie usłyszał pobrzękiwanie i skrzypienie dobiegające z oddali. – Teraz już wiesz, nowicjuszu, dlaczego ci to wszystko powiedziałem?

Oczy Katanjiego błyszczały w półmroku namiotu.

–Bo “drugi” może oznaczać “drugiego brata”, panie?

–Właśnie!

–Co?! – krzyknął Nnanji. – Sądzisz, że od niego weźmiesz mądrość?

–Przecież tak się stało, nieprawdaż? I Nnanji uśmiechnął się z zakłopotaniem, a następnie rzucił bratu złowrogie spojrzenie.

–Nie pochwalam samodzielnego myślenia u Pierwszych – oznajmił groźnym tonem.

Do wozu był zaprzężony dziwny miejscowy koń o wielbłądzim pysku, a powoziła sama uczennica Quili. Z pewnymi kłopotami udało się jej zawrócić starą furmankę. Potem zeskoczyła na ziemię i ukloniła się Walliemu.

–Lady Thondi przysyła wyrazy uszanowania, panie. Będzie zaszczycona, mogąc cię gościć we dworze.

–W tej chwili nie czuję się godny składania wizyt damom. Quili uśmiechnęła się prawie z ulgą.

–Jesteście mile widziani u dzierżawców, panie. Kobiety przygotowały posiłek. Skromny, w porównaniu z tym, czym poczęstowałyby jaśnie pani, ale wieśniaczki będą wręcz zachwycone, jeśli raczycie przyjąć zaproszenie.

–Więc ruszajmy.

Wallie pomógł towarzyszom załadować się na wóz. Siedzieli na słomie, a okryli się zniszczonymi płaszczami i kocami.

Podobała mu się mała kapłanka. Jej długie włosy były splątane i zmatowiały od deszczu, a żółta opończa licha i znoszona, lecz dziewczynę cechowała bystrość,

poczucie humoru i inteligencja. Zrozumiała nerwowość tylko podkreślała młodzieńczy urok Quili. Lepiej uczesana i ubrana, na pewno okazałaby się co najmniej ładna i chyba zmysłowa. Zaslugiwała na lepsze życie niż to, które obecnie prowadziła, jeśli Wallie wyciągnął prawidłowe wnioski, patrząc na jej spracowane dłonie. Druga miała niewielkie szansę na promocję, zważywszy że jej mentor mieszkał o pół dnia drogi stąd.

Na Nnanjim najwyraźniej zrobiła duże wrażenie. Zerknęła na niego speszona, a on pożerał ją wzrokiem. Gdy wsiadła na kozioł, płacząc się w długiej sukni i opończy, zrobił ruch, jakby chciał zająć miejsce obok niej. Wallie chrząknęła znacząco i wbił mu kciuk w plecy, a następnie sam usiadł obok Quili.

Dziewczyna chwyciła wodze i cmoknęła. Po chwili namysłu koń doszedł do wniosku, że miejsce nie jest najciekawsze na kontemplację. Wóz potoczył się ze skrzypieniem.

Droga wiła się między drzewami i zboczami doliny. W kilku miejscach przecinało ją łożysko potoku. Była to raczej wykarczowana ścieżka, pełna kolein, wybojów i sterzących korzeni. Kilka godzin pracy spychacza i parę przyczep żwiru zdziałałoby cuda, stwierdził Wallie. Dwa razy koń sprawił Quili kłopoty, zatrzymując się u przeprawy przez wezbrany strumień, który powoli występował z brzegów.

–Taki deszcz to coś niezwykłego, uczennico? Kapłanka była zajęta powożeniem, ale na chwilę przestała przygryzać język.

–O tej porze roku bardzo, panie. Pierwszy prawdziwy deszcz od zimy.

Wallie przez jakiś czas zastanawiał się, czy istnieje związek między deszczem a jego przybyciem. W końcu doszedł do wniosku, że to absurdalne przypuszczenie. Upodabniał się do Honakury. Zaczynał wierzyć w przesady. Tak czy inaczej, jeszcze trochę opadów, a szlak prowadzący do przystani stanie się nieprzejezdny.

Wallie stwierdził, że drzewa są tu mniej dorodne niż w tropikach. Nie mógł rozpoznać żadnego z nich. Najwyraźniej Shonsu też niezbyt interesował się przyrodą, bo jego słownik nie zawierał żadnych nazw botanicznych. Może niektóre rośliny miały ziemskie odpowiedniki, podobnie jak miejscowe dziwaczne konie. Albo jak Ludzie o oliwkowej skórze, urodziwi, weseli, lubiący zabawę i pełni wigoru, bez wątplenia należący do ludzkiej rasy, ale niezupełnie tacy sami jak Ziemianie.

Wallie przesunął miecz, żeby usiąść wygodniej, i położył ramię na oparciu. Quili drgnęła i okryła się rumieńcem.

A niech to! Zapomniał, że już nie jest na Ziemi. Kobiety patrzyły na Shonsu w taki sposób, w jaki nigdy nie patrzyły na niepozornego Walliego Smitha. Gdyby pan Smith paradował z nagim torsem, w kilcie i skórzanej uprzęży, może ściągnąłby na siebie parę spojrzeń, ale na pewno nie tego rodzaju.

Ten obraz skierował jego myśli ku Nannjiemu i jego zainteresowaniu młodą kapłanką. Chłopak nigdy nie robił sekretu ze swojej ambicji zostania wolnym szermierzem. To była pierwsza rzecz, którą wyjawiał lordowi Shonsu, kiedy poczuł się w jego towarzystwie na tyle swobodnie, żeby rozmawiać. Wallie zbywał nieśmiało pytania protegowanego na temat wspólnej przyszłości, póki nie dowiedział się od Honakury, kim są wolni szermierze. Był oburzony, gdy dowiedział się, jakiej

gościnności oczekują wędrowni wojownicy. Tej kwestii nie regulowała żadna sutra, ale powszechny zwyczaj równał się prawu. Wolni szermierze mogli dostać wszystko, czego zapragnęli, łącznie ze wstępem do łóżek gospodyń.

Ta perspektywa była dla Nnanjiego co najmniej równie atrakcyjna jak okazja do walki. Od początku okresu dojrzewania chłopak żył w zamkniętym świecie koszar, naiwnie chłonąc męskie przechwałki, wierząc we wszystkie opowieści o chętnych pannach i mężatkach. Dostrzegł swoją szansę. Nie chciał być zwykłym policjantem w jakimś spokojnym miasteczku czy wsi. Marzył o szlaku, a ściślej mówiąc o Rzece, lecz najbardziej przemawiało do jego wyobraźni obskakiwanie pięknych dam. Teraz nareszcie został wolnym szermierzem, a ładna kapłanka miała pecha być pierwszą kobietą, którą spotkał.

Wallie przyznawał, że jest w żołnierskim zwyczaju pewna barbarzyńska logika. Różnica między złymi rozbójnikami a dobrymi szermierzami czasami się zacierała, więc nieograniczona gościnność mogła zapobiec grabieży, a z pewnością wydawała się jedynym pewnym sposobem na zapobieżenie gwałtom. Inną korzyścią mogło być zwiększenie różnorodności genetycznej wśród zasiedziałych Ludzi, którzy rzadko opuszczali miejsca swojego urodzenia.

Tak wyglądała ogólna sytuacja, natomiast w tym szczególnym wypadku młoda kapłanka była molestowana. Wallie nie mógł zmienić praw Świata, ale z pewnością mógł pokrzyżować Nnanjiemu plany. Obejrzawszy się, dostrzegł ponure spojrzenie nowego brata. Zadowolony, że skrzypiące osie i szum potoku zagłuszą jego słowa, powiedział do Quili:

–Bardzo się podobasz adeptowi Nnanjiemu, uczennico. Dziewczyna zrobiła się czerwona jak burak.

–Jestem wielce zaszczycona, panie.

–Na pewno?

Kapłanka głośno wciągnęła powietrze i nie wiadomo jakim cudem jeszcze bardziej się zapłonila.

–Nie, nie to miałem na myśli! – plątał się Wallie. – Jestem bardzo zakochany, Quili. Szaleję na punkcie Jji jak młody chłopak! Nie szukam innych kobiet.

Kapłanka oczywiście nie zareagowała na jego bełkot. Skupiła się na powożeniu, choć koń sam doskonale sobie radził.

–Miałem na myśli... to znaczy, jeśli... Do diabła! Jeśli Nnanji pomyśli, że mam na ciebie ochotę, zostawi cię w spokoju. Czy wyrażam się jasno?

–Tak, panie.

–Więc będę udawał. Ale tylko udawał!

–Tak, panie.

Mężczyzna przysunął się bliżej i otoczył ją ramieniem. Nnanji z pewnością zauważył ten gest. Przemoczona dziewczyna wyglądała na bardzo kruchą, ale w rzeczywistości była zadziwiająco silną młodą kobietą. Wallie poczuł, że gruczoły Shonsu zaczynają pracować. Z trudem się opanował, myśląc o Jji.

–Przysięgam, że to tylko gra, Quili.

–Tak, panie.

–Nie ma więc powodu, żebyś tak drżała.

Z początku śniadanie przebiegało w miłej atmosferze. Goście zasiedli w jednym z domków przy kilku zsuniętych stołach, a koło nich krzątało się sześć czy siedem wieśniaczek, przeciskając się między krzesłami a ścianami. W małej izbie wkrótce zrobiło się tłoczno i duszno, zwłaszcza gdy wśliznął się do niej z tuzin dzieci. Tak, jak uprzedziła Quili, jedzenie było proste, ale świeży chleb i chuda szynka okazały się smakowite. Podano do nich wiejskie masło, warzywa, ciepłe piwo w glinianych kufkach i tajemniczy gulasz, więc nikt się nie skarżył.

Nikt również nie mógł narzekać na obsługę. Wszystkie kobiety były farmerkami trzeciej rangi, poczynając od dwóch siwowłosych matron w brązowych sukniach z długimi rękawami, po najmłodszą Nię, która miała na sobie tylko skąpy pas materiału. Prezentowała się w nim bardzo ponętnie. Strój jej rówieśniczki o imieniu Nona wyglądał tak prowokująco i niepraktycznie, że z pewnością został skrócony specjalnie na tę okazję.

Początkowo gospodynie zachowywały rezerwę wobec szermierzy, ale wkrótce Nona wyraźnie się ośmieliła i nawet pochłonięty jedzeniem Nnanji zauważył, że kobieta tylko czeka na skinienie. Oboje zaczęli uśmiechać się do siebie głupio, przerzucać śmiałymi żartami, niemal krzesać iskry. Wallie stwierdził z ulgą, że Quili już nie grozi niebezpieczeństwo. Spostrzegł, że Nia trzepocze do niego rękami, ale zniechęcił ją, udając zainteresowanie kapłanką. Tylko jeden znak szermierczy miał być plonem tej wizyty.

Zastanawiał się, czy zwrócić uwagę nowicjuszowi Katanjiemu, który robił szybkie postępy z kilkoma podlotkami, nagimi, o płaskich piersiach i zdecydowanie za młodymi nawet dla Pierwszego. Brakowało tu dziewcząt w jego wieku, więc może chłopak po prostu nawiązywał przyjaźnie... a może nie. W pewnym momencie Katanji zaczął uważnie się rozglądać, a potem spojrzął na Walliego, który dokonał tego samego odkrycia. Coś było nie w porządku. W izbie panowało wyraźne napięcie.

Do tego momentu Wallie był całkiem zadowolony. On i jego towarzysze nareszcie doprowadzili się do porządku. Gospodynie wyprały im ubrania, a w zamian przyniosły inne. Z początku Wallie czuł się nieswojo w kusej brązowej przepasce biodrowej, ale zapomniał o tym, kiedy siadł za stołem i z prawdziwym apetytem wziął się do ucztowania.

W pewnym momencie poczuł się dziwnie senny. Honakura zaczął ziewać. Wkrótce znużenie udzieliło się Jji oraz Nnanjiemu i to w trakcie ożywionego flirtu. Czwarty potarł oczy, zdumiony, i kontynuował zaloty. Wallie stłumił ziewnięcie. Ostatnia noc była krótka, ale... Zakłócenie rytmu biologicznego! Dzięki Bogini przemierzili drogę odpowiadającą kilku strefom czasowym. Walliemu zachciało się śmiać na myśl o próbie wyjaśnienia komukolwiek tego zjawiska. Rzecz była jednak warta zapamiętania, bo psychiczne rozbicie przez dwa albo trzy dni mogło mieć poważne konsekwencje.

Drugi problem wiązał się z Jją.

Osada była skupiskiem małych i w większości nędznych chat, poprzedzielanych stodołami, szopami i grządkami warzywnymi. Pod nogami pałętały się kury i świnie, z

oddali dobiegało szczekanie psów i ryk co najmniej jednego osła. Wioska leżała nad stawem, który służył do mycia, nawadniania i pojenia bydła, a ze wszystkich stron otaczały ją niewysokie nagie wzgórza i rzadkie zagajniki.

Mieszkańcy tej biednej osady byli skromni, ale stali wyżej w hierarchii społecznej od niewolników właściciela majątku, więc czuli się niewyraźnie, podejmując Jję, Krówkę i Vixiniego. Krówka zupełnie nie zdawała sobie sprawy z napiętej atmosfery. Wyglądała na zadowoloną od pierwszej chwili, kiedy Wallie ją zobaczył. Opychała się jedzeniem, najwyraźniej nie odczuwając skutków długiej podróży i zmiany czasu. Jja zachowywała się bardzo cicho. Siedziała przy lordzie Shonsu i pilnowała synka. Odzywała się tylko wtedy, gdy zadano jej pytanie. Wallie złościł się w duchu, ale nic nie mógł zrobić. Gospodynie starały się, jak mogły. Bez wątpienia Quili je uprzedziła, więc tłumili wrogość, ale mimo wszystko można ją było wyczuć. W świątyni Wallie nie spotkał się z tego rodzaju uprzedzeniami. Nnanji tak samo traktował kobiety wolne i niewolnice. Lecz ci ludzie mieli inną mentalność. Nie potrafili ukryć pogardy wobec niewolników, choć nie istniały między nimi różnice rasowe, tylko wynikające z urodzenia. Świat Bogini nie był idealny.

Wallie starał się dodać Jji otuchy, nie obrażając goszczących ich kobiet. Jednocześnie rozmawiał z Quili siedzącą po jego prawej stronie. Dziewczyna miała na sobie żółtą spraną suknię, która podkreślała rozkoszne krągłości. Udawanie zainteresowania nie wymagało od mężczyzny wysiłku.

Wallie ustalił, że dwór stoi na zboczu wzgórza, ukryty za drzewami. Obok niego znajdowały się zagrody dla bydła, szopy niewolników i chaty parobków. Mieszkańcy osady nie byli farmerami ani najemnymi robotnikami rolnymi, tylko dzierżawcami. Spłacali czynsz dzierżawny, pracując dla właściciela ziemi, ale sami hodowali warzywa na sprzedaż. Potwierdziło się przypuszczenie Walliego, że towary sprowadzane, takie jak gwoździe i sznurki, albo miejscowe produkty, takie jak drewno, wieśniacy musieli kupować od zarządcy czcigodnego Garathondiego, adepta Motipodi. Pieniądze w końcu i tak wracały do wielmożnego pana.

Szynka. zniknęła ze stołów. Pojawiły się świeże truskawki ze śmietaną gęstą jak masło. Nie po raz pierwszy Wallie żałował, że na Świecie nie ma kawy.

Honakura z entuzjazmem zaatakował deser, jednocześnie próbując dowiedzieć się jak najwięcej o właścicielu ziemi i jego matce, lady Thondi. Katanji czarował wszystkich, nie tylko młode panienki. Jja nadal odpowiadała monosylabami. Krówka nie komunikowała się z nikim. Nnanji demonstrował, jak najlepiej jest przebić człowieka mieczem, i opowiadał, co się wtedy czuje, a Nona podziwiała jego odwagę i szlachetność.

Wallie zauważył, podobnie jak Katanji, że Quili i pozostałe kobiety są wyraźnie zdenerwowane. Może chodziło o makabryczne uwagi Nnanjiego albo któryś z gości powiedział coś niestosownego. Już wcześniej awanse Czwartego wprawiały w zakłopotanie kapłankę. Starsze kobiety, które z szacunkiem odnosiły się do uczennicy mimo jej młodego wieku, też wierciły się niespokojnie, Oczywiście miały prawo czuć się niepewnie. Były zwykłymi chłopkami, które raptem musiały zabawiać Siódmego i jego świtę, Nie mogły liczyć na pomoc mężczyzn, bo adept Matipodi

weszał ich do wyrębu lasu, a przynajmniej tak poinformowano Walliego. I choć goście nie zgwałcili ani nie zamordowali nikogo, chwalili jedzenie i gościnność, napięcie nie malało. Wręcz przeciwnie.

Wallie próbował tym czasem rozeznaczyć się w miejscowej geografii. Na wschodzie leżała Rzeka. Na jej przeciwległym brzegu nie było widać żadnych zabudowań. Po zachodniej stronie osady zwykle majaczyły góry RegiVul, ale dzisiaj zakryły je deszczowe chmury. Na północy leżała wioska Poi, a dalej miasto Ov. Waliemu przyszło do głowy, że może powinni wyruszyć do Ov, ale postanowił odłożyć wszelkie decyzje do czasu spotkania z lady Thondi.

Na południu nie było nic. Czarna Kraina, powiedziała Quili tajemniczo. Bezludna. Starsze kobiety wyjaśniły, że teren jest niedostępny z powodu urwisk. Czyżby znaleźli się w zakątku odciętym od świata? Wallie nie potrzebował sutr, by wiedzieć, że odludne miejsca mogą być pułapką. Zwykła przezorność nakazywała jechać do Ov, ale oprócz Nnanjiego nie miał nikogo, kto by strzegł chioxina przed złodziejami. Trudna sytuacja!

–Nie macie tutaj łodzi, uczennico?

–W tej chwili nie, panie. Jego lordowska mość ma oczywiście jedną, ale teraz jest w Ov.

Kapłanka wspomniała jeszcze o paru kutrach rybackich, statku do przewożenia bydła i dwóch innych łodziach, ale z takiego czy innego powodu...

Walliego przebiegł dreszcz. Za dużo zbiegów okoliczności. Zanosilo się na kolejną próbę. Bogini zapędziła Shonsu w matnię. Widocznie miała swój powód.

Wtedy przypomniał sobie o deszczu i domyślił się wszystkiego. Zerknął na towarzyszy. Honakura wyczuł napięcie, ale był bardziej zaintrygowany niż zaniepokojony. Nie wiedział nic o tutejszym klimacie. Nie słyszał komentarzy Quili. Bardziej znał się na Ludziach, więc w przeciwieństwie do Walliego nie zwrócił uwagi na półpustynny krajobraz ani na systemy nawadniające, które oznaczały niedostatek opadów.

Katanji był podejrzliwy, ale jako chłopakowi z miasta brakowało mu wiedzy przyrodniczej, nie wspominając o znajomości sutr. Stary kapłan też nie znał dokładnie słów akurat tej sutry, ale wystarczała mu przenikliwość. Quili najwyraźniej celowo wprowadziła ich w błąd.

Czwarty oczywiście niczego nie podejrzewał, i dobrze... W tym momencie Wallie pomyślał o przysiędze, którą niedawno złożył. "Moje sekrety są twoimi sekretami". Nie mógł teraz niczego ukrywać przed Nnanjim.

Bogowie znowu splełali mu figla.

Nie! Nie zamierzał dokonać kolejnej masakry. Poprzedniego dnia zabił sześciu... nie, siedmiu ludzi. Udowodnił, że potrafi być krwiożerczy, jeśli musi. Ilu jeszcze mordów oczekuje Bogini od Swojego orędownika?

Nie miał zamiaru pozbawiać życia niewinnych ludzi.

Do licha z Boginią!

Dopiero teraz zorientował się, że w izbie zapadła grobowa cisza. Spiorunował wzrokiem Nnanjiego. Chłopak aż się skulił ze zdenerwowania. '

–Nie chcesz, żebym opowiedział o bitwie, panie bracie? – zapytał niepewnym głosem.

Obejmował ramieniem Nonę stojącą obok jego krzesła.

Wallie nie usłyszał ani słowa z niedawnej rozmowy toczącej się przy stole.

Pozbierał myśli.

–Nie mam nic przeciwko temu, choć wątpię, czy miłe panie będą zainteresowane taką opowieścią. Po prostu przypomniała mi się inna bitwa.

Wszyscy odetchnęli, łącznie z Nnanjim. Czwarty łypnął pożądliwie na Nonę.

–Więc na razie nie będziesz mnie potrzebował, panie bracie? Farmerka Nona zaproponowała, że pokaże mi swój dom.

Nagle zainteresowanie wiejską architekturą było jak na niego zaskakująco taktownym pretekstem.

–Owszem, potrzebuję. Przekazuję ci dowództwo... na jakiś czas. Chcę obejrzeć dom uczennicy Quili.

Kapłanka zbladła, ale próbowała się uśmiechnąć.

–Będę wielce zaszczycona, panie – wyszeptała.

–Więc chodźmy od razu. Dziękuję za wspaniałą ucztę.

Obecni zrobili przejście Siódmemu i dziewczynie, zmierzającym ku drzwiom. Na ich twarzach malowało się zdziwienie lub rozbawienie, aprobata i dezaprobata. Po zaduchu izby powietrze na zewnątrz okazało się rześkie. Wiatr podwijał przepaskę biodrową Walliego, jakby drwił sobie z niemęskiego stroju. Deszcz padał mocniej.

Kapłanka otuliła się płaszczem i wskazała na drugą stronę stawu.

–To tamten, panie. Lepiej biegnijmy!

Quili mieszkała w najmniejszym domku, który aż się prosił o nowy dach. Długa suknia krępowała kapłance ruchy, więc Wallie oznajmił, że ją poniesie. Wziął dziewczynę na ręce i pobiegł, rozbryzgując błoto. Druga ważyła niewiele mniej niż Katanji.

Drzwi nie zamknięto na klucz. Quili uniosła zasuwę, a szermierz przeniósł ją przez próg, zastanawiając się, czy ta czynność znaczy to samo na Świecie co na Ziemi. Postawił kapłankę i rozejrzał się po małej i bardzo starej chacie.

Jedna ze ścian wybrzuszyła się do środka, podłoga z kamiennych płyt była nierówna. Dach też kiedyś zapewne wyglądał całkiem inaczej. Na umeblowanie składały się dwa taborety, krzesło, stół i toporny kredens. W kominek wbudowano piec, na którym się gotowało. Słaby zapach dymu nadawał wnętrzu domową atmosferę. W kącie stało wiadro i dwa duże kosze, na kołkach wisiało kilka ubrań, przed małym posążkiem Bogini ustawionym na półce leżały kwiaty. Pokój pozbawiony wszelkich luksusów był czysty i przytulny.

Wallie obejrzał się i stwierdził, że Quili zniknęła; po chwili usłyszał skrzypnięcie. Siódmy zajrzał do drugiej izby i zobaczył, że dziewczyna położyła się na łóżku.

–Bardzo tu ładnie – powiedział ochryplym głosem, doświadczając gwałtownej fizycznej reakcji.

Ciało dziewczyny było tak doskonałe, jak obiecywała przyciasna suknia. Quili uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego ramiona, a te^aYńe dostrzegł, że ręce jej drżą.

–Jesteś bardzo ładna, uczennico, ale igrasz z ogniem. Włóż suknię i chodź. Chcę z tobą porozmawiać.

Szermierz usiadł na solidniejszym z dwóch stołków. Po chwili Quili przyszła do niego, ubrana w znoszoną żółtą szatę, ale bosą. Przycupnęła na brzegu krzesła, splotła dłonie i wlepiła wzrok w podłogę. Długie włosy zakryły jej twarz.

Wallie zmusił się do myślenia o bieżących sprawach.

–Opowiedz mi o zamordowanych szermierzach. Z policzków dziewczyny zniknął rumieniec.

–Nie przystępuje się do karczunku na polach w najbardziej deszczowy dzień, Quili. Kapłanka opadła na kolana.

–Panie, to nie ich wina! To dobrzy ludzie!

–Ja to osądzę.

Quili skuliła się i zaczęła szlochać, chowając twarz w dłoniach. Zapewne próbowała ostatniego sposobu, który mógł się okazać bardzo skuteczny. Wallie nie miał wprawy w zastraszaniu małych dziewczynek. Przez chwilę pozwolił jej płakać, aż w końcu nie wytrzymał.

–Wystarczy! Quili, nie widzisz, że próbuję pomóc? Chcę poznać całą historię, zanim usłyszy ją adept Nnanji. Powiedz mi prawdę, i to szybko!

Nnanji przysięgał, że będzie wierny sutrom. Jego reakcja na wiadomość o zabójstwie byłaby automatyczna jak mrugnięcie okiem. Nieobecność mężczyzny budziła podejrzenia, a ukrywanie prawdy tylko pogarszało sytuację. Czwartego nie zwlekałby z oskarżeniem. Był zbyt impulsywny i idealistyczny, żeby najpierw szukać okoliczności łagodzących. Prawdę mówiąc, w oczach szermierza nic nie usprawiedliwiałoby zabójstwa. Nnanji zostałby oskarżycielem, a Shonsu sędzią i katem. On również zobowiązał się przestrzegać kodeksu szermierzy, więc gdyby stwierdził, że oskarżenie jest bezpodstawne, adept musiałby ponieść karę. W takim wypadku byłaby nią śmierć.

Kiedyś Wallie próbował uniknąć surowych powinności człowieka honoru, ale doprowadził do jeszcze większego rozlewu krwi. Teraz czekała go kolejna próba. Mógł jedynie żywić nadzieję, że tym razem postępuje właściwie.

–Ilu szermierzy, Quili?

–Jeden, panie.

–Kto?

–Kandoru Trzeci.

–Uczciwy czy nie?

Cisza.

–Mów!

–Był człowiekiem honoru.

–Tutejszym rezydentem, jak przypuszczam?

–Tak. Strażnikiem majątku, panie. Zupełnie jakby wyrywał ząb palcami.

–Młody? Stary?

–Mówił, że ma około pięćdziesiątki, panie. Myślę jednak, że był starszy. Cierpiał na reumatyzm. – Dziewczyna umilkła i spuściła wzrok. – Bardzo lubił zwierzęta. Adept

Motipodi nazywa go najlepszym uzdrowicielem koni...

–Quili, usiłuję pomóc! Nie chcę nikogo zabijać, ale muszę znać fakty.

Kapłanka wyprostowała się powoli i spojrzała na niego zaczerwienionymi oczami.

–Był moim mężem.

–Nie!

Nigdy by się nie domyślił, że Quili miała kiedyś męża. Wydawała się taka młoda. Ale dlaczego chroniła zabójcę męża? Chciała oszczędzić kochanka? W takim razie, dlaczego inne kobiety jej pomagały? Dlaczego mężczyźni nie zameldowali o zabójstwie pierwszemu lepszemu szermierzowi?

–Kiedy?

–Niewiele ponad rok temu, panie.

Wallie jęknął z przerażenia.

–Wiesz, co to oznacza? Jeden za każdy tydzień, Quili!

Było to skrajnie barbarzyńska represja, ale domagały się jej sutry. Oczywiście rzadko zdarzała się podobna sytuacja. Po zabójstwie szermierza każdy świadek natychmiast pobiegłby o nim donieść. Drakońska kara miała zapobiec ukrywaniu przestępstwa. Ale żeby groźba była skuteczna, od czasu do czasu należało wprowadzić ją w czyn.

Czyżby Wallie Smith, który wbrew woli został szermierzem Bogini, musiał znowu udowodnić swoją krwiożerczość? Tym razem na masową skalę?

Zabijać bezbronnych ludzi? Nigdy! Nie był do tego zdolny.

–Kto to zrobił? Ktoś z posiadłości?

–Nie, panie. Oni przybyli z Ov.

Co za ulga... i niespodzianka.

–Więc dlaczego... Na litość boską, uczennico, powiedz mi!

Dziewczyna znowu się rozplakała. Nie była w stanie zdradzić pięćdziesięciu osób. Wallie wstał, uniósł ją za ramiona i szorstko posadził na krześle. Sam zaczął chodzić po izbie. Głową niemal dotykał krokwi.

–Zacznij wreszcie mówić! Jak go poznałaś?

Opowiadanie o sobie przyszło Quili łatwiej. Była sierotą. Wychowała się w świątyni w Ov. Gdy podrosła, została nowicjuską u kapłanek. To one miały podjąć decyzję w sprawie jej dalszego losu. Czy jako Trzecia będzie kontynuować nauki w świątyni, czy dostanie pracę w jakiejś wiosce potrzebującej duszpasterza.

Po uzyskaniu drugiej rangi Quili wstąpiła do świątynnego chóru. Pewnego dnia po mszy mentorka zaprowadziła ją na spotkanie ze świątynnymi duchownymi wysokiej rangi. Udział w nim brali także szermierz Kandoru i lady Thondi.

“Tak, ta”.

To były jedyne słowa, jakie wypowiedział Kandoru.

Thondi i jej syn wynajęli niedawno wolnego szermierza do pilnowania majątku. Dali mu domek, a teraz znaleźli żonę. Właściciele ziemscy potrzebowali szermierza, natomiast parobkowie i niewolnicy woleliby mieć pod ręką kapłana. Przydzielenie jednej chaty kosztowało mniej niż wyposażenie dwóch. Rozwiązanie było korzystne dla wszystkich... z wyjątkiem uczennicy Quili. Jeszcze tego samego dnia wieczorem

złożyła przysięgę mentorowi z Poi i zgodnie z prawem trafiła do łoża obcego mężczyzny.

Wallie zastanawiał się, co pomyślałby Honakura o historii, z której wyłaniał się bardzo niepochlebny obraz duchowieństwa. Kapłani okazali się przekupni jak szermierze, a może świątynia też skorzystała z hojności lady Thondi. Przyszło mu do głowy, że jego misją jest zrobienie porządku wśród miejscowego kleru, ale zadanie wydawało się zbyt trywialne, żeby usprawiedliwić tyle cudów. Bogini pilnowała chioxina przez siedemset lat. Z pewnością nie dałaby go śmiertelnikowi dla tak błahej sprawy.

–Co na to wszystko twoja mentorka? – zapytał. Quili pociągnęła nosem.

–Myślę, że nie pochwałała tego, co mi zrobiono, ale się nie odezwała.

–A twój obecny mentor?

–Stary pijak! Powinno się go zastąpić – dziewczyna po raz pierwszy wybuchnęła.

–Dlaczego nie wytatuowali ci niewolniczego paska?

–Panie!

–Kupili cię i sprzedali, Quili.

Kapłanka milczała przez chwilę.

–Tak, panie.

Przynajmniej zaczęła mówić.

–W porządku. Teraz powiedz mi, kto zabił Kandoru?

Wallie wrócił do domu, w którym ich podejmowano, i otarł twarz z deszczu. Nnanji czekał na niego czerwony z wściekłości. Całkiem zapomniał o Nonie. W izbie zostały tylko dwie najstarsze gospodynie, obie równie przerażone. Krówka drzemała w kącie, Jja i Katanji siedzieli przy stole zaleknieni i milczący. Pokój wydawał się teraz większy i jaśniejszy.

Na widok mentora Czwarty wybuchnął:

–Lordzie Shonsu, ja, Nnanji...

–Zamknij się!

–Doszło tutaj do zabójstwa. Zbrodnię ukryto!

–Wiem, ale nie możesz złożyć mi doniesienia, Nnanji. Jako twój zaprzysiężony brat nie jestem bezstronny. Nie mógłbym występować przeciwko tobie.

Nnanji stłumił gniewne burknięcie. Przez chwilę poruszał wargami, ale nic nie powiedział. Lecz sędzią mógł być również kapłan. Wallie spojrzał na Honakurę i zobaczył bezzębny uśmiech. Nie było tu żadnego kapłana, tylko bezimienny. Czyżby starzec przewidział taką sytuację? Czy dlatego podróżował incognito? Nie, to śmieszne... Trzeba jednak przyznać, że dobrze się złożyło.

–Jak się dowiedziałeś? – zapytał Wallie.

Odpowiedział mu Honakura.

–Spostrzegłem, że coś jest nie w porządku, panie. Poprosiłem adepta Nnanjiego, żeby słowo w słowo powtórzył mi swoją pierwszą rozmowę z uczennicą Quili.

Młodemu szermierzowi nie sprawiło to żadnej trudności. Kapłanka też pewnie wszystko dokładnie pamiętała.

–On żartował, a dziewczyna nie kłamała, tylko nie powiedziała całej prawdy –

warknął Siódmy.

Nnanji haniebnie zawiódł, wykonując swoje pierwsze zadanie po promocji na Czwartego. Gdyby właściwie wypytał Quili, łódź nadal byłaby przycumowana do molo. Chłopak zdawał sobie z tego sprawę. Stał na baczność.

–Panie bracie...

–Mniejsza o to! Następnym razem bardziej się postaraj! Tymczasem mamy drobny kłopot. Lady Thondi bez wątpienia była współniczką morderstwa. Jest w porozumieniu z czarnoksiężnikami. Miała dużo czasu, żeby posłać wiadomość do Ov.

Była to następna próba albo początek misji. Tak czy inaczej groziło im wielkie niebezpieczeństwo.

–Zwabiono nas w pułapkę?

–Najwyraźniej.

Wallie spojrzął po towarzyszach wyprawy: dwaj szermierze, dwie niewolnice, chłopiec, dziecko i żebrak. Przeciwko sobie mieli armię zabójców.

–Przynieś nasze ubrania, proszę – zwrócił się lord Shonsu do Myi.

–Już po nie posłałem – wtrącił Nnanji. – Te dwie wieśniaczki były świadkami zabójstwa.

–We dworze? – zapytał Wallie. Kobiety skinęły głowami.

–Kto zabił szermierza Kandoru?

–Czarnoksiężnik, panie.

–Jak?

–Muzyką, panie. Trzema nutami zagranymi na srebrnej fujarce. To samo twierdziła Quili.

–Cóż, starcze, zdaje się, że musimy zacząć wierzyć w czarnoksiężników – powiedział Wallie do szczerzącego się Honakury.

Honakura przycupnął obok Quili na ławce woźnicy. Otulony w koc wyglądał jak szmaciana lalka. Wallie posadził go tam i zabronił głupich gier mających na celu skaptowanie uczennicy do drużyny. Kapłan siódmej rangi z Hann był odpowiednikiem ziemskiego kardynała. Gdyby ujawnił swoją tożsamość, przekonałby ją do wszystkiego.

Pozostali członkowie wyprawy siedzieli z tyłu furmanki na mokrej słomie, przykryci kocami i płaszczami. Deszcz lał jak z cebra. Drogą płynęły strumienie mlecznego błota. Na polach stała woda, drzewa nabrały bladoszarej barwy. Niestety droga do Ov była jeszcze przejezdna. Tak przynajmniej twierdziła Quili.

Wóz przechylał się na boki, trzął i skrzypiał. Wallie i Nnanji szybciej dotarliby do dworu na piechotę, ale musieliby wtedy zostawić towarzyszy w osadzie, u potencjalnych wrogów. Wkrótce mogła na nich napaść brygada czarnoksiężników, ale szermierze musieli najpierw spełnić swój obowiązek. Nie tylko Nnanji pragnął sprawiedliwości. Wallie był przeświadczony, że lady Thondi jest winna morderstwa Kandoru. Poza tym korciło go, żeby sprawdzić, czy potrafiłby ściąć głowę starej bezbronnej kobiecie. Wkrótce miał się przekonać.

Nie mógł dobrze przyjrzeć się okolicy. Na sporych odcinkach droga od długiego używania zmieniła się niemal w rów. Z obu stron porastały ją żywopłoty, tak że miejscami dostrzegał pola – małe, nieregularne, wydarte lasowi. Teren zaczął się wznosić, co oznaczało, że rezydencja jest już niedaleko.

–Na tym właśnie musi polegać twoja misja, panie bracie.

Nnanji był na siebie wściekły, że pokpił sprawę. Otulił się kocem, zostawiając głowę odkrytą. Rękojeść miecza wyglądała jak garb. Mokry kucyk znowu był rudy.

–Może. – Wallie siedział pod kocem jak pod namiotem i łypał spod niego. – Lecz w Ov zabito tylko około czterdziestu szermierzy...

–Tylko?

–Niewiele gorzej niż w bitwie pod Ko, o której wciąż mówisz.

Cuda i miecz Chioxina wskazywały na poważniejsze zadanie. Nawet jeśli Shonsu odpowiadał za utratę Ov, z punktu widzenia bogów istniały większe klęski. Zresztą dowódcą gwardii był wtedy Zandorphino Szósty.

–Pojawiły się następne tropy. Przebyliśmy długą drogę i jesteśmy w krainie czarnoksiężników.

–O to właśnie chodzi – powiedział Nnanji. – Czarnoksiężnicy w pobliżu Rzeki!

Wallie wytrzeszczył oczy.

–Co masz na myśli?

–Zeszli ze wzgórz.

–Co wiesz o czarnoksiężnikach, bracie adeptcie?

–Ogólnie znane rzeczy.

Nnanji poklepał Krówkę po udzie.

–Ale Honakura nigdy nie słyszał o czarnoksiężnikach!

–Nie mógł. Oni czczą Boga Ognia, więc nikt, kto ma do czynienia z czarnoksiężnikiem, nie może o tym powiedzieć kapłanowi. Co innego szermierzowi!

Dla Walliego słowa Czwartego były objawieniem. Z trudem pohamował wybuch gniewu. Dlaczego Nnanji nie powiedział mu tego wcześniej?

Młodzieniec zrobił zdumioną minę.

–Myślałem, że wiesz, panie bracie! Nie ma czarnoksiężników w twoim...

–Pytam cię teraz.

Nnanji wytarł mokre powieki.

–Jedynym człowiekiem w koszarach, który spotkał czarnoksiężnika, był czcigodny Tarru. Nigdy nie słyszałem, żeby o tym opowiadał, ale Briu podobno tak.

Tarru? Ironia losu. Wallie prawie się ucieszył, że zabił Szóstego.

–Tylko bez szczegółów, Nnanji.

–Cóż. To wydarzyło się, kiedy był Drugim. Dawno temu. Gwardziści zauważyli czarnoksiężnika na osle i ścigali go aż do wioski. Otoczyli ją i przeszukali, ale znaleźli tylko osła i szatę z kapturem. Oni potrafią stawać się niewidzialni.

Niewidzialni zabójcy?

–Mówisz poważnie? Chłopak ponuro skinął głową.

–Na to wygląda. Są jeszcze inne historie. W Dzień Rymarzy w zeszłym roku dwaj wolni szermierze przyszli z pielgrzymką do świątyni i jeden z nich opowiedział...

Nnanji bez wysiłku powtórzył z tuzin opowieści zasłyszanych od gwardzistów, którzy w młodości byli wolnymi szermierzami, albo od pielgrzymujących żołnierzy, którzy zatrzymali się w koszarach. Inne od lat krążyły wśród Ludzi. Wszystkie miały podobny schemat. Widok czarnoksiężnika niezmiennie wywoływał tę samą reakcję szermierza: natychmiastowy atak. Pies rzucający się na kota. Jeśli istniały spotkania, podczas których następowała zamiana ról, najwyraźniej kończyły się źle dla szermierzy, bo żaden nie wrócił do koszar, by opowiedzieć swoją wersję.

Czarnoksiężnicy nosili szaty z kapturami. Ich znakami były ptasie pióra. Nie, nikt nie wiedział dlaczego. A dlaczego znakami farmerów są trójkąty? Magów nigdy nie widywano w pobliżu Rzeki, tylko na wyżynach albo w górach. Legendy mówiły o miastach czarnoksiężników – Kra, Pfath, Vul i innych – i kilku odosobnionych wieżach. Szermierze trzymali się od nich z daleka... albo nie mogli podzielić się przeżyciami, bo nie wracali.

–Na południe od Plo, w górach, znajduje się miasto zwane Kra, panie – wtrąciła Jja. – Nie pamiętam jednak, żeby ktokolwiek wspominał o czarnoksiężnikach.

Tymczasem Nnanji przeszedł do ballad śpiewanych przez minstrelów. Magowie byli w nich zawsze źli – zabijali, rzucali czary i klątwy – ale należało wziąć poprawkę na to, że pieśniarze starali się dostosować repertuar do audytorium złożonego z szermierzy. Lecz jeśli czarnoksiężnicy mieli choć ułamek przypisywanych im mocy, Wallie znalazł się w trudnej sytuacji. Powinien zdać się na instynkt wojownika i zaatakować pierwszy, nim wróg się zorientuje. Nie mógł jednak liczyć na zaskoczenie, bo lady Thondi niewątpliwie już powiadomiła o jego przybyciu.

Mimo sceptycyzmu Honakury na Świecie naprawdę żyli czarnoksiężnicy, tylko że nie w pobliżu Hann.

–Vul? To jedno z ich miast? – zapytał Wallie. – Tutejsze góry nazywają się RegiVul. Może w nich leży Vul? – Zastanawiał się przez chwilę. – Więc

czarnoksiężnicy wkroczyli do Ov i wybili szermierzy, ale dlaczego? To znaczy, dlaczego akurat teraz? Jeśli są choć w połowie tak groźni, jak mówią ludzie, mogli to zrobić wieki temu.

Świat był dziwny ponad wszelkie wyobrażenie.

Nnanji wzruszył ramionami.

–Bogini nie dopuszcza ich w pobliże Rzeki.

Wysłała zatem Swojego orędownika, żeby przepędził ich z powrotem w góry? Nnanji doszedł do słusznego wniosku, że na tym musi polegać ich misja. Lecz orędownik Najwyższej nie miał pojęcia, jak walczyć z niewidzialnymi zabójcami posługującymi się magią. Prawdę mówiąc, Bogini nie mogła chyba wybrać gorszego wojownika. Na myśl o czarach Walliemu buntował się umysł. Robiło mu się słabo ze strachu. Lecz dwa tygodnie temu nie wierzył również w cuda.

Wtem ujrzał przed sobą rezydencję, a za nią kwatery niewolników i budynki gospodarcze. Dom był bez wątpienia ogromny jak na miejscowe zwyczaje, ale wyjątkowo brzydki, o niewłaściwych proporcjach i kolorach. Liczne szare albo czarne kolumny, balkony i przypory szpeciły kamienną fasadę w czerwono-białą szachownicę. Dach wyłożony dachówkami w różnych kolorach i lśniący od wilgoci ozdabiały bez ładu i składu okna mansardowe i zaśniedziałe miedziane kopułki. Wielkie frontowe okna wychodziły na ogrody i wyboistą drogę, która nagle przechodziła w żwirowy podjazd kończący się u stóp niskich, ale imponujących schodów.

Wallie wstał, zrzucając z siebie koc.

–Nnanji, pomóż reszcie wysiąść. Katanji, chodź ze mną.

Zeskoczył z wozu. Chłopak pośliznął się na grząskim błocie, ale lord Shonsu uratował go przed upadkiem. Obaj ruszyli biegiem w stronę domu.

U stóp schodów Wallie się zatrzymał.

–Zostań tutaj i uważaj.

–Na co, panie? – Pierwszy był wystraszony. Miał powody.

–Na łuczników. Krzyknij, jeśli zobaczysz coś podejrzanego.

Siódmy wbiegł po schodach, rozchlapując kałuże. W solidnych dwuskrzydłowych podwojach zmieściłby się wóz konny. Znajdujące się po obu stronach okna dzielone kamiennymi słupkami sięgały ziemi.

Wallie trzy razy zabębnił w drzwi podeszwą buta. Potem zajrzał w jedno z okien, ale przez małe ołowiane szybki nic nie zobaczył. Tymczasem wóz z pozostałymi gośćmi dojechał do Katanjiego, który obracał się jak reflektor latarni morskiej.

Czerwone granitowe balustrady były ozdobione przysadzistymi statuetkami tańczących nimf. Wallie wypatrzył jedną z mniejszych figurek i sprawdził, czy dałby radę ją ruszyć. Wyobraził sobie miły dźwięk kruszącego się szkła.

W tym momencie ujrzał przed sobą odzianą na czarno kobietę o siwych włosach i wyglądzie matrony. Od kiedy to wysła się niewolnice na powitanie Siódmego? Niewolnikom zazwyczaj nie groziła przemoc, ale ten intruz najwyraźniej nie szanował cudzej własności.

–Poinformuj lady Thondi, że natychmiast chcę się z nią zobaczyć w wielkiej sali.

Kobieta złożyła mu ukłon.

–Jaśnie pani przyśle...

–Natychmiast! Albo zacznę rozbijać posążki!

Niewolnica podreptała przez marmurową posadzkę ku szerokim schodom. W zamierzeniu gospodarzy hol wejściowy miał robić wrażenie na gościach. Na wysokich czarnych postumentach stały rzeźby, przeważnie brzydkie i tłuste naguski. Ściany obwieszono bogatymi gobelinami. Wallie widział prawdziwy luksus w świątyni w Hann, tutaj pozostała czysta ostentacja. Zirytowany, porównał ten pałac z wilgotną norą Quili. Między jej skromnym domkiem a kwaterami niewolników była zapewne jeszcze większa różnica. Obiecał nie mówić Bogini, jak ma rządzić Światem, a ponadto wiedział, że na Ziemi istnieją podobne kontrasty, ale ta demonstracja bogactwa wzbudziła w nim gniew.

Quili pomagała Honakurze wchodzić po schodach. Reszta podążała za nimi. Katanji szedł na końcu, tyłem. O dziwo, nie potknął się.

Nim Wallie zdążył ją powstrzymać, dziewczyna padła przed nim na kolana.

–Panie...

–Nie musisz przeproszać, uczennico. – Wziął ją za łokieć i podniósł. – Nie mogłaś wiedzieć. To nie twoja wina. Zaprowadź mnie teraz do wielkiej sali.

Salon, wielki jak sala tronowa pałacu, przyćmiewał hol wulgarnym przepychem. Na akraach parkietu leżały grube dywany, w kominku zmieściłby się garaż, jedna ze ścian składała się z wysokich okien ozdobionych jaskrawymi witrażami. W pogodniejszy dzień roztaczał się z nich piękny widok na Rzekę. Z sufitu zwisały ogromne kandelabry, a nad wielkopańskim stołem jadalnym znajdowała się galeria dla minstreli. Mimo drogich mebli narzucało się wrażenie pustki, nie wykorzystanej przestrzeni, zamieszkaney tylko przez posągi. Albo ktoś w rodzinie był kolekcjonerem, albo rzeźby uważano w okolicach Ov za symbol bogactwa.

Goście zatrzymali się w drzwiach, porażeni wystawnością wnętrza, idealną scenerią dla zdrady i zabójstwa.

–Chcę zobaczyć, jak popełniono zbrodnię, Quili – powiedział Wallie. – Obie części drzwi były otwarte jak teraz?

–Nie, panie. Prawe były zamknięte. Wallie zamknął prawe skrzydło.

–Czy tak jest zawsze?

–Nie! Nigdy wcześniej nie widziałam ich zamkniętych, panie. Nie bywałam tu często, ale zwykle obie części drzwi były otwarte. Mężczyzna pokiwał głową.

–Zaprowadź Jję tam, gdzie stała lady Thondi, a Krówka niech odegra czarnoksiężników.

Zaintrygowana dziwną prośbą, Quili ustawiła kobiety obok kominka, w którym wesoło trzaskał ogień.

–Kto tu jeszcze był?

Kapłanka zmarszczyła brwi, sięgając do wspomnień. Po chwili pokazała, gdzie znajdowali się goście z Ov oraz starsi dzierżawcy, w tym wieśniaczki, które opowiedziały Nnanjiemu o zbrodni. Adept Motipodi stał tam, kilku farmerów tu... Kadoru został zamordowany przy licznych świadkach.

Wallie zaprowadził Quili z powrotem do drzwi. Nnanji się niecierpliwił, Katanji przestępował z nogi na nogę.

–Gdzie był drugi czarnoksiężnik?

Siódmy polecił Katanjiemu stanąć w miejscu wskazanym przez kapłankę, obok zamkniętego skrzydła drzwi. W tym momencie Nnanji zrozumiał. Twarz mu pociemniała z gniewu.

Wallie rozejrzał się po wielkiej sali, usiłując wyobrazić sobie tamtą scenę.

–Powiedz mi jeszcze raz, Quili, dlaczego nie zaproszono strażnika majątku?

Dziewczyna posłała lordowi Shonsu niespokojne spojrzenie. Już dwa razy odpowiadała na to pytanie.

–Adept Motipodi przysłał wieść, że jaśnie pan nadjeżdża z gośćmi. Wśród nich mogli być czarnoksiężnicy. Kandoru miał czekać w domu.

–A ty?

–Kazano mi zostać z mężem. Próbowałam go nakłonić, żeby wyjechał, panie.

–A potem?

–Przyszła następna wiadomość. Kandoru miał jednak stawić się we dworze i spotkać z gośćmi.

–Polecono mu zabrać miecz?

–Dlaczego... Nie nosił go, kiedy kopał w ogródku lub gracował, ale...

–W porządku. Oczywiście, wziął miecz. Wiedział zatem, że grozi mu niebezpieczeństwo.

–Niebezpieczeństwo? – krzyknął Nnanji. – Ze strony gości?

Mentor tylko pokiwał głową. Gościnność chroniła obie strony, ale Kandoru pamiętał o niedawnej masakrze w Ov. Zdawał sobie sprawę z zagrożenia, ale uczciwego szermierza nic nie może powstrzymać przed wypełnianiem obowiązków.

Wallie sześć razy polecił odegrać scenę morderstwa, aż Quili była pewna swojej wersji, a Nnanji dobrze znał swoją rolę. Na koniec Siódmy kazał powtórzyć wszystko bez słów, i obaj, z równie zaabsorbowanym Honakurą, w milczeniu obserwowali aktorów.

Nnanji-Kandoru wszedł do sali. Żona podążała tuż za nim. Jedna część drzwi była zamknięta, więc szermierz miał do wyboru tylko jedną drogę. Na widok obecnych zatrzymał się po kilku krokach. Quili omal nie wpadła na niego.

Szermierz sięgnął po miecz. Gdy odwrócił się ku Katanjiemu, nowicjusz zagwizdał, naśladując dźwięki czarnoksiężskiej fujarki. Nnanji zamarł z uniesionym ramieniem i bardzo realistycznie padł w drgawkach na podłogę. Quili uklękła przy nim. Kandoru próbował coś powiedzieć, ale tylko przewrócił oczami i...

–Wystarczy – powiedział Wallie. Nnanji wstał.

–Wyciągnij miecz, nowicjuszu. Katanji wypełnił polecenie Siódmego.

–Wbij czubek w podłogę... mniejsza o parkiet. Obie ręce trzymaj na rękojeści. Dobrze! Zostań tam. Głowa do góry! Jesteś wartownikiem. Wpuszczaj ludzi, ale jeśli ktoś spróbuje wyjść bez mojego pozwolenia, dziel go mieczem najmocniej, jak potrafisz.

Pierwszy zbladł.

–Użyj ostrego końca.

Lord Shonsu. ruszył w stronę kominka., rozwścieczony nie na żarty. Inni poszli za nim.

–Po co był ten teatr, panie bracie?

Wallie zerknął na Honakurę.

–I co, starcze? Czegoś się dowiedzieliśmy?

–Chyba tak, panie – odparł bezimienny, szeroko się uśmiechając.

Szermierze postępujący niekonwencjonalnie stanowili dla sędziego kapłana źródło doskonałej zabawy. Przed chwilą obejrzał pierwszą w historii Świata inscenizację zbrodni.

–Skąd wiedziałeś, że on tu jest, Nnanji?

–Kto?

–Katanji... czarnoksiężnik. Sięgnąłeś po miecz i odwróciłeś się, zanim rozbrzmiała muzyka. Zgadza się, uczennico Quili? Dziewczyna przygryzła wargi.

–Chyba tak, panie.

Świadkowie są wiarygodni tylko w powieściach detektywistycznych albo prawniczych. Może uczennicę zawodziła pamięć. Wszystko odbyło się pewnie w ciągu paru sekund. Nie zgadzała się jednak kolejność zdarzeń. Istotne też było położenie ciała.

Wallie sądził, że jego misja będzie polegała na odgrywaniu herosa z barbarzyńskiego eposu, a nie detektywa z kryminału.

Jak można zabić człowieka muzyką, Holmesie?

Elegancko, drogi Watsonie.

Elegancko czy nie, lady Thondi zwabiła Kandoru w pułapkę.

Wszyscy oprócz skamieniałego Katanjiego zebrali się przy płonącym kominku. Mokre ubrania parowały. Gospodyni jeszcze nie raczyła się zjawić.

–Bracie Nnanji? Może by wyrzucić krzesło przez okno? Nnanji zamrugał i odpowiedział, że może spróbować.

–Więc bądź tak dobry i zrób mi tę przyjemność.

Trzask! Vixini obudził się z krzykiem.

Wallie oparł się o marmurowy, naturalnej wielkości posąg tancerki i pchnął go na misternie inkrustowany stolik; heban, kość słoniowa i macica perłowa.

Trzask!

–Twoja kolej, bracie. Wybierz następne okno. Albo poćwicz fechtunek na sznurach podtrzymujących kandelabry... Nie! Zaczekaj. Mamy towarzystwo.

Kiedyś musiała być pięknością. Teraz utyla, zgarbiła się, wspierała na lasce. Wolno, ale godnie kroczyła przez wielką salę, wystrojona w suknię z marszczonego kobaltowego jedwabiu, oblamowaną na srebrną koronką. Nadgarstki i szyję zdobiły sznury pereł. Na wysoko upiętych siwych włosach również połyskiwała fortuna. Tak samo na palcach, uszach i dekolcie. Za panią podążały dwie skromne towarzyszki: Czwarta w średnim wieku i atrakcyjna młoda Druga, ale nikt na nią nie zwrócił uwagi, nawet Nnanji.

Lady Thondi od urodzenia miała białe włosy. Była albinoską. Gdy zbliżyła się do

Siódmego i uniosła ku niemu pergaminową twarz z bruzdami głęboko wyżłobionymi przez wściekłość, Wallie stwierdził, że już zdążył przyzwyczać się do gładkich brązowych twarzy Ludzi. Niezwykła bladość tej kobiety stanowiła dla niego wstrząs. Podobnie jak dla jego towarzyszy.

–Wandal!

–Morderczyni?

Nie miało znaczenia, że jest młodszy i przybywa z wizytą. Był mężczyzną i szermierzem. Nie odwracając się, lady Thondi podała laskę Czwartej i wyrecytowała słowa pozdrowienia:

–Jestem Thondi, tancerka siódmej rangi. Dziękuję Najwyższej...

Wallie wyjął miecz i odpowiedział zgodnie z rytuałem. Potem zaprezentował adepta Nnanjiego, zaprzysiężonego brata i protegowanego, oraz uczennicę Quili. Thondi powitała ich oschle. Sama nie przedstawiła swoich towarzyszek ani nie raczyła dostrzec reszty gości.

Oczy miała różowawe i wyblakłe, trupa twarz pozbawioną kolorów, usta o tym samym żółtawym odcieniu kości słoniowej co policzki.

–Czy adept Motipodi kontaktował się z tobą, dziecko? – zwróciła się do Quili.

–Nie, pani.

–Nie? Cóż, był zajęty. Mój syn zmienił zdanie. Przyjął twoją propozycję dotyczącą nowych kwater dla niewolników. Pomożesz Motipodiemu przy ich planowaniu, szczególnie uwzględniając wymagania higieny.

Wallie z zaciekawieniem obserwował reakcję Quili. Czy lady Thondi po raz drugi uda się ją kupić?

–To dobra nowina, pani – powiedziała kapłanka.

Thondi, nie oglądając się, wyciągnęła rękę. Towarzyszka podała jej laskę. Dziedziczka ruszyła w stronę krzesła.

–Kiedy zacznie się budowa, pani? – zapytała Quili. – Gdy tylko skończą się prace w Ov?

Nie doczekała się odpowiedzi.

–O jakie prace chodzi? – zainteresował się Wallie.

–Przy czarnoksiężskiej wieży, panie.

Garathondi był budowniczym szóstej rangi. Oto motyw! Bystra Quili!

Lady Thondi usiadła ostrożnie i złożyła dłonie na lasce. Niesamowite oczy utkwiała w Siódmym. Dwie kobiety przycupnęły za nią na krzesłach, jakby szukały ochrony przed szermierzem.

–Masz dziwny sposób szukania gościny, lordzie Shonsu.

–Szukam jedynie sprawiedliwości.

To było niezwykle zuchwalstwo. W oczach kobiety na moment zabłysła pogarda.

–Zostanę oskarżona? Gdy kobieta ma być oddana pod sąd, zwyczaj nakazuje, żeby towarzyszył jej najbliższy męski krewny. Mój syn jest teraz w Ov. Lecz mimo wszystko wysłuchajmy zarzutów.

Dwaj uzbrojeni szermierze nie powinni mieć trudności z zastraszeniem słabej kobiety, szczególnie pod nieobecność męskich członków rodziny, ale stara wiedźma

wcale nie wyglądała na przerażoną. Nie bała się również demonstrować przed intruzami swojego bogactwa. Walliemu ciarki przeszły po plecach na wspomnienie bająn Nnanjiego o niewidzialności. A jeśli czarnoksiężnicy już przybyli? Może klejnoty są fałszywe?

–Z powodów formalnych mój zaprzysiężony brat i ja nie możemy wystąpić z oskarżeniem.

–Więc mnie od razu zabijecie? Mam uklęknąć?

–Wezwiałaś szermierza Kandoru na pewną śmierć, pani.

–Bzdury.

Czas uciekał. Wallie nie powinien wdawać się w dyskusje, ale fascynował go spokój tej kobiety.

–Może w takim razie przedstawiś nam swoją wersję wydarzeń, pani?

Różowym językiem przesunęła po suchych wargach.

–Fakty są niezaprzeczalne. Ratharozo Szósty zjawił się z...

–Czarnoksiężnik?

–Tak. To człowiek kulturalny, protektor sztuki. – Obrzuciła wzrokiem zniszczenia dokonane przez Shonsu.

–Kazał zabić twojego strażnika.

Lady Thondi z niesmakiem zmarszczyła nos.

–Zażądał gwarancji, że żaden buntownik ani zbiegły szermierz nie znajdzie schronienia na naszych ziemiach. Oczywiście, mój syn i ja zgodziliśmy się. Nasz rezydent mógł nadal pełnić obowiązki strażnika, pod warunkiem, że nie będzie nosił miecza poza granicami majątku. Posłaliśmy po niego. Gdy tylko przekroczył ten próg, wyjął broń i rzucił się na jednego z naszych gości. Ten oczywiście musiał się bronić. To było bardzo niefortunne wydarzenie. Bardzo przykre.

–To było morderstwo. Szermierz nie zdążył wyciągnąć miecza z pochwy.

–Kandoru był zreumatyzowanym wrakiem.

–Uczennico, reumatyzm zaatakował ręce czy nogi?

–Biodra, panie.

Quili buntowniczo uniosła głowę.

–Wcale nie ruszył do ataku – stwierdził Wallie. – Kiepski to szermierz, który nie potrafi błyskawicznie dobyć broni, zwłaszcza jeśli ma chore biodro i nie może szybko się odwrócić. Zaatakowano go od tyłu. Za drzwiami stał ukryty czarnoksiężnik.

–Tam gdzie teraz stoi chłopak.

Właśnie! Lady Thondi była groźną przeciwniczką. Wallie już nie czuł się winny, że terroryzuje staruszkę.

–A ty, pani, na wszelki wypadek posłałaś swoich dzierżawców do karczunku? W taką ulewę? Czy tak postępuje niewinna osoba?

–Jesteś lepszym rzeźnikiem niż farmerem, lordzie Shonsu. Spróbuj kiedyś w czasie suszy karczować krzewy janowca.

Wallie doceniłby ten wykręt, gdyby nie groziło mu niebezpieczeństwo.

–Nie wierzę ci, pani. Myślę, że grasz na zwłokę, czekając na swojego przyjaciela, czarnoksiężnika.

–Nie muszę grać na zwłokę, lordzie Shonsu. Jeśli chcesz mnie zabić, zrób to od razu.

–Nie skalam własnego miecza – oświadczył szermierz.

Nnanji warknął gniewnie za jego plecami. W tym momencie Wallie doznał olśnienia. Uśmiechnął się przez ramię do rozwścieczonego brata.

–Trzeci trop!

–Co? – bąknął Nnanji.

Lecz Shonsu odwrócił się do lady Thondi. Teraz już wiedział, czego potrzebuje od tej złośliwej jędzy. Tylko jak zmusić ją do współpracy?

–Nie mogę przeprowadzić rozprawy, więc oddam ciebie, pani, i twojego syna pod boski sąd. W tym domu zabito szermierza, Zamierzam spalić go doszczętnie.

Groźba zabrzmiała wiarygodnie.

I poskutkowała.

Kobieta obnażyła żółte zęby w grymasie wściekłości. Klejnoty zaiskrzyły, gdy mocniej zacisnęła dłonie na lasce. Więć jednak miała słaby punkt, W powietrzu nie krążyły niewidzialne demony,

–Dym ściągnie twoich robotników. Zrobię z nich oddział policyjny...

–Zasadzka! – krzyknął Nnanji podekscytowany.

Cech szermierzy był zamknięty, ale sutry pozwalały zbroić cywili w razie nagłej potrzeby. W osadzie leżącej na odludziu z pewnością znajdowały się jakieś miecze. W praktyce jednak plan mógł wziąć w łeb. Thondi natychmiast dostrzegła tę możliwość.

–Moi ludzie raczej nie będą entuzjastyczni.

Osoby przy zdrowych zmysłach wolą stać po zwycięskiej stronie. Najwyraźniej czarnoksiężnicy zabijali szermierzy równie łatwo jak muchy.

–Ty, pani, będziesz zakładniczką, która skłoni ich do współpracy. – Wallie wskazał na Katanjiego. – Tamten chłopak będzie trzymał miecz przy twojej szyi.

–Szaleństwo!

Siódmy wzruszył ramionami i podszedł do kominka. Jja usunęła się z drogi, zdumiona jego postępowaniem. Mężczyzna ujął szczypcami płonące polano i ruszył ku zasłonom.

–Gdy rozsądek zawodzi, do głosu dochodzi szaleństwo. To moja jedyna nadzieja... Nie ma stąd innej drogi, prawda? – Zerknął na starą kobietę. – Ujrzał drgnienie powieki i usłyszał nie znany mu głos:

–Jest. Lepiej się zbierajmy. Czarnoksiężnicy wkrótce przybędą.

Wallie wrzucił polano do kominka i odwrócił się do młodzieńca, który dużymi krokami szedł przez salę, wycierając ręcznikiem włosy. Nogi miał ubłocone poniżej krótkich skórzanych bryczesów, a stopy bose i suche, co oznaczało, że zdjął buty przed wejściem. Na twarzy, piersi i ramionach widniały kropki zaschniętego błota.

Lady Thondi zeszytniała, a na jej policzkach wykwitły różowe plamy.

Nowo przybyły rzucił ręcznik na podłogę, stanął przed Siódmym i czekał. Na próżno.

–Przedstaw mnie, babko!

–Nie jestem twoją właścicielką, idioto!

Chłopak rzucił jej zagniewane spojrzenie. Niski i chudy, o kręconych włosach i pociągłej twarzy, był mniej więcej w wieku Nnanjiego, czyli niezwykle młody jak na swoją rangę. Na czole miał wytatuowane trzy łuki, choć przedstawiciele innych zawodów dostawali promocje dużo później niż szermierze.

–Jestem Garadoo, budowniczy trzeciej rangi...

–Jestem Shonsu...

Podejrzliwy umysł Walliego zaczął badać różne możliwości. Czarnoksiężnik zmaterializował się w samą porę, żeby uchronić rezydencję przed pożarem? Chytry podstęp? Przybycie młodzieńca zakrawało na cud, a Walliego uprzedzono, żeby nie spodziewał się boskich interwencji. Wcześniej dostrzegł błysk w oczach Thondi. Droga ucieczki jednak istniała, i kobieta zapewne pokazałaby mu ją, gdyby zgodził się oszczędzić dom. Schował miecz.

–Oto twój zakładnik, Shonsu! – warknęła dziedziczka.

–Ilu wnuków ma lady Thondi, budowniczy?

–Tylko mnie, panie. Być może tylko do jutra. Ojciec wydziedziczy mnie albo pogrzebie gdzieś w fundamentach.

Uśmiechnął się dość smętnie, ale jednocześnie z dumą.

–Muszę więc zapytać cię o motyw. Przez twarz Garadooiego przemknął cień.

–Miałem przyjaciela imieniem Farafini, panie. Najlepszego przyjaciela...

–I?

–Był szermierzem. Demony rozszarpały go na kawałki. – Spojrzał na babkę z nie ukrywaną pogardą. – Poza tym wstydzę się tego, co zrobiono w tym domu z Kandoru Trzecim. Nie było mnie tutaj, ale słyszałem. Wszystko naprawię, jeśli Bogini mi pozwoli. Jesteście Jej sługami.

–Młody idiota! – Thondi stuknęła laską o podłogę. – Mieszasz się w sprawy, które ciebie nie dotyczą. Milcz!

–Co proponujesz, budowniczy? – zapytał Wallie.

–Czarnoksiężnicy wkrótce tu będą. Ona... – Wskazał na babkę. – Zawiadomiła wieżę o waszym przybyciu. Niebawem w domu zjawił się posłaniec. Od razu pobiegłem do stajni, ale czarnoksiężnicy już wyruszyli w drogę. Jest ich dwunastu.

Wallie zachował kamienną twarz, choć nie, spodobało mu się to, co usłyszał. Z drugiej strony, dlaczego aż tylu, skoro byli tak potężni? Czyżby brakowało im pewności siebie? Wtem uświadomił sobie, że pierwszy meldunek o szermierzach nie

zawierał raczej informacji o ich liczbie. Fakt, że czarnoksiężnicy wysłali dwunastu swoich przeciwko armii o niewiadomej sile, właśnie świadczył o pewności siebie. Do tej pory zapewne dotarła do nich wiadomość, że będą mieli do czynienia tylko z dwoma szermierzami. Może kilku magów zawróciło do Ov?

–Jak ich wyprzedziłeś?

–Promem, panie.

–Na Rzece jest zakręt – wtrąciła Quili. – Skrót.

Jej słowa potwierdziły, że budowniczy mówi prawdę.

–Na łodzi nie zmieści się tuzin jeźdźców i trzy juczne konie -wyjaśnił Garadoo. –

Są jednak nie dalej jak godzinę drogi za mną, panie, choć zajeździłem dobrego konia.

Był dostatecznie młody na przechwałki.

–Nie płynęli z tobą jeźdźcy? – spytał Wallie. Może wysłali zwiadowcę?

Chłopak potrząsnął głową i schylił się po ręcznik.

–Prom przycumował już po tym, jak wyruszyli. Bardzo szczęśliwie się złożyło!

Zapłaciłem złotem, żebyśmy natychmiast odbili.

Znowu rzucił babce wyzywające spojrzenie.

–A ten drugi szlak?

Spojrzenie Garadooiego powędrowało ku oknom zalewanym przez strugi deszczu.

–Mam nadzieję, że bogowie jeszcze go nie zamknęli, panie. Droga prowadzi przez góry. Dwa dni jazdy do Aus.

–Aus?

–Mniejsze niż Ov. Nigdy tam nie byłem. Znam tylko tę część szlaku. Korzystają z niego handlarze.

Na Świecie rzadko podróżowano lądem. Przejezdna droga wyglądała na kolejny cud, a tych nie powinien oczekiwać. Bogowie woleli, by śmiertelnicy samodzielnie dokonywali wielkich czynów. Podejrzana sprawa. Goniwę myśli przerwał Walliemu grzmiący okrzyk. Wydał go rudowłosy chudzielec.

–Ucieczka?!

–Oczywiście.

–Panie bracie! – Honor nie pozwalał na ucieczkę. Wstrząśnięty Nnanji był gotów przeciwstawić się swojemu bohaterowi, mentorowi i zaprzysiężonemu bratu. – Nie dalej jak dziś rano prosiłeś mnie, żebym ci zwrócił uwagę, kiedy, moim zdaniem, popełniasz błąd...

–Trzecia wskazówka, Nnanji. Nie zdążyłem ci wyjaśnić, co miałem na myśli, ale unikanie bitwy nie jest hańbą w takim wypadku jak ten. Zaufaj mi!

Czwarty zamilkł, bledszy niż kiedykolwiek i pełen wątpliwości. Chyba nadal uważał, że plan z oddziałem wieśniaków jest dobry. Lecz nie przejąłby się nawet w razie niepowodzenia. Śmierć była lepsza niż hańba. Nnanji nie miał zdolności aktorskich, więc jego mentor zaczął podejrzewać, że chłopak w ogóle nie odczuwa strachu. Prawdziwa odwaga to pokonywanie lęku, a nie jego brak. Wallie uważnie przyjrzał się Garadooiemu. W końcu budowniczy odwrócił wzrok.

–Zdajesz sobie sprawę, że cię zabiję, jeśli mnie wydasz czarnoksiężnikom?

–Nie wydam, panie. Czas nagli. Musimy ruszać!

Może tylko próbował odwieść lorda Shonsu od spalenia jego rodzinnego domu. Thondi była zdolna do każdego oszustwa, ale Wallie nie mógł uwierzyć, żeby chłopak wdał się w babkę.

–Jesteś bardzo młody jak na Trzeciego, budowniczy.

Garadooi zaczerwienił się pod smugami błota.

–Pieniądze, panie! Jestem pacholkiem ojca.

Lady Thondi zastukała laską w podłogę.

–Przestaniesz nim być, jeśli dowie się o tym szaleństwie.

–Nic mnie to nie obchodzi! – krzyknął wnuk. – Wiesz, że nigdy nie chciałem być budowniczym!

–A kim? – zapytał Wallie.

Garadooi oblał się rumieńcem.

–Kapłanem. Teraz mam okazję służyć Bogini w inny sposób. Pomagając Jej szermierzom. Nie dbam o to, czy ojciec mnie wydziedziczy!

Biedny bogaty chłopiec, buntujący się przeciwko własnej rodzinie. Jeśli to była gra, zasługiwała na nagrodę.

–Nie mamy czasu na dyskusje, ale wypowiedzcie się przynajmniej, czy mogę mu ufać. Starcze?

Honakura rozsiadł się na wielkim wyściełanym krześle. Nie mai cały w nim zginął.

–Na szlaku są jakieś płycizny, budowniczy? Albo mosty? Garadooi ze zdumieniem spojrzął na bezimiennego. Może nie zauważył go wcześniej.

–Jedno i drugie.

–Więc musimy mu zaufać – stwierdził Honakura. – Deszcz nie pada mocniej, prawda?

Przesady!

–Nnanji?

–Nie. My...

–Ouili?

Kapłanka przez chwilę przyglądała się Garadooiemu, a potem spuściła wzrok.

–Myślę, że tak, panie.

–Ale nigdy nie słyszałaś o tym szlaku?

–Nie, panie.

–O starej kopalnianej drodze? – wtrącił Trzeci.

–Słyszałam, panie. Nie wiedziałam tylko, że ona dokądś prowadzi. Sądziłam, że tylko w góry.

–Do krainy czarnoksiężników? – ożywił się Nnanji.

–Jja?

Niewolnica była przerażona, że ma wyrazić swoje zdanie. Zauważyła, że jej pan naprawdę czeka na odpowiedź. Po chwili namysłu skinęła głową, ale patrzyła nie na Garadooiego, tylko na Quili. Wallie był ciekaw dlaczego...

–Dobrze, budowniczy. Zaufamy ci. Lecz pamiętaj o mojej groźbie.

–Dziękuję, panie. Ile koni?

–Sześć i wóz.

–Wóz?

–Osiem – rzucił Honakura.

–Ty nie jedziesz, starcze – oznajmił Wallie. – Musi nas być siedmioro, pamiętasz?

–Nie gadaj bzdur! – Kapłan zaczął gramolić się z krzesła. – Biorę udział w misji.

Przewodnicy się nie liczą. Możemy też wykluczyć dzieci i bezimiennych. Jadę!
Uczennica Quili również.

–Lordzie Shonsu, nie śmiem sprzeczać się z tobą, ale konno będzie szybciej niż wozem – powiedział chłopak. – Szlak może okazać się nieprzejezdny.

–Skoro z tej drogi korzystają handlarze, musi być dostępna dla pojazdów. Weźmiemy zapas jedzenia, siekiery, liny, łańcuchy. Ładowanie wozu trwa krócej niż objuczanie koni. Zresztą nie będzie pościgu. Lady Thondi powie czarnoksiężnikom, że wyruszyliśmy łodzią. Prawda, pani?

Kobieta obnażyła żółte zęby.

–Ciekawe, dlaczego miałabym ratować takiego głupca. Ojciec z pewnością go wydziedziczy.

–Ale ty zatrzymasz czarnoksiężników na wypadek, gdyby tego nie zrobił.

Thondi skłoniła głowę i szepnęła:

–Jeśli oszczędzisz mój dom.

Prośba wzruszyłaby kamień. Thondi musiała być bardzo ekspresyjną artystką, nawet jeżeli rangę zdobyła dzięki łapówce, podobnie jak wnuk.

–Ja również, będę ci towarzyszyć, panie – oświadczyła Quili zdecydowanym tonem.

–Nie ma potrzeby. Już i tak bardzo nam pomogłaś.

Dziewczyna z uporem pokręciła głową.

–Nie powinnam tu zostawać.

Czarnoksiężnicy na pewno by ją przesłuchali. Gdyby nie chciała odpowiadać na pytania, zorientowaliby się, że ich oszukano. Honakura przewidział taką sytuację. Poza tym, jeśli droga okaże się nieprzejezdna dla wozu, kapłanka będzie mogła wrócić z Krówką i starcem, a pozostali pojedą dalej konno.

–Dobrze. Spróbujemy w ósemkę. Znajdzie się tyle koni?

–Tak, panie. I

–W takim razie musimy już ruszać. – Wallie spojrzał na pokonaną lady Thondi. – Pani, wyślesz posłańca na spotkanie czarnoksiężnikom. Niech powie, że wyjechaliśmy. Odwiedzisz ich od pościgu, bo inaczej zabiję twojego wnuka, przysięgam.

Wallie nigdy nie posunąłby się do zabicia zakładnika, ale nie popełnił krzywoprzysięstwa, bo nie wyjął miecza i nie wypowiedział rytualnej formułki.

Kobieta niechętnie skinęła głową.

–Zrobię co w mojej mocy.

Choć raz... Do diabła!

Popełnił błąd. Skupił się na lady Thondi, a zapomniał o jej dwóch milczących towarzyszkach, które nie miały takiej wprawy w udawaniu jak wielmożna pani. Na twarzy ładnej Drugiej dostrzegł ślad... Czego? Tajemniczy wyraz zniknął, a Wallie

pozostał z dręczącą pewnością, że coś przeoczył.

Stajnia była długim budynkiem o beczkowatym sklepieniu, mrocznym jak tunel, cuchnącym pleśnią i końmi. Po raz pierwszy I od zejścia z promu Wallie znalazł się w tłumie ludzi wśród czterdziestu lub pięćdziesięciu niewolników w różnym wieku. Gdziekolwiek schronili się dzierżawcy, z pewnością nie karczowali janowca, podczas gdy niewolnicy siedzieli beczynnie w ciepłej stajni, a teraz zgromadzili się wokół Quili i Garadooiego, ignorując szermierzy.

Ze względu na lekkość i zwrotność dwukołowy wózek Quili był lepszy niż ciężka fura. Pozostało tylko go załadować i osiodłać konie. Jeździeckie doświadczenie pana Smitha ograniczało się do kilku lekcji w dzieciństwie, a Shonsu chyba unikał koni. W każdym razie Wallie nie przejął po nim umiejętności hippicznych. Nigdy też nie organizował grupowej wyprawy, choć przyjaźń z pólsierotą na innej planecie dała mu sporą wiedzę z dziedziny obozowania.

Na szczęście młody Garadooi najwyraźniej znał się na rzeczy i aż się palił, żeby udowodnić swoje kompetencje. Zaczął wykrzykiwać rozkazy, gdy tylko wóz wytoczył się przez dużą bramę i zatrzymał na brukowanym podejździe. Wallie usunął się na bok i pozwolił budowniczemu przejąć dowodzenie. Dopilnował jedynie, żeby nie zapomniano o siekierach, łańcuchach i linach. Wiedział, o co chodziło Honakurze. Przesady starego kapłana coraz częściej pozwalały trafnie przewidywać działania bogów.

–Polowania, lordzie Shonsu – z dumą wyjaśnił Garadooi w chwili przerwy. – Tak odkryłem szlak. Jesienią mężczyźni zabierali mnie ze sobą na łowy.

Oczywiście, chodziło mu o wolnych ludzi, ale był zaprzyjaźniony również z niewolnikami. Młodszy mężczyźni pozdrawiali go jak dawno nie widzianego kolegę, a on traktował ich w ten sam sposób. Wypytywał o zdrowie, żartował na temat ich życia miłosnego, obiecywał zbadać skargi, W zamian oni, jeden przez drugiego, oferowali mu pomoc. Biegali po rzeczy, których potrzebował, pracowali szybko i sprawnie, czyli inaczej niż zwykle. Biedny bogaty chłopiec znacznie urósł w oczach Walliego.

Nnanjiego również ogarnęła gorączka przygotowań, choć nadal j nie był przekonany, czy ucieczka jest dozwolonym posunięciem.

–Wyjaśnij, co miałeś na myśli, wspominając o trzecim tropie, panie bracie.

–Jak wiesz, próbowałem zwerbować paru szermierzy. Siódmu zwykle mają co najmniej tylu, prawda?

–Dużo więcej!

–Wtedy byśmy zostali i walczyli. Niestety pokrzyżowano mi i plany. Nie mam armii, co oznacza, że bogowie nie przewidzieli dli mnie walki. Sprowadzono nas tutaj, żebyśmy się czegoś nauczyli.

–Ale... – Nnanji zmarszczył nos. – W takim razie kiedy będziemy walczyć?

–Gdy dotrzemy do Aus. Tam zbierzemy armię, a potem wrócimy!

Może.

–Aha!

–Jedziemy przez góry, więc może zobaczymy czarnoksiężników,! Jeszcze lepiej.

Uspokojony Nnanji uśmiechnął się szeroko i odruchowo sprawdził, czy miecz lekko wysuwa się z pochwy.

–Jak sobie radzisz na koniu?

Czwartemu zrzęda mina. Przyznał, że tylko dwa razy siedział w siodle. Jako Pierwszy odwiedził kiedyś posterunek przy promie. Gdy teraz przyprawiono wierzchowca i Nnanji jakoś na niego się wgramolił, brak doświadczenia wyszedł na jaw. Zwierzę aż położyło po sobie uszy z pogardy. Niewolnicy odwrócili głowy, skrywając uśmieški.

Katanji, jak zwykle lubiący zaskakiwać, dosiadł konia z dużą pewnością siebie i wprawą. Gdy ogier zaczął brykać, uspokoił go i z udawaną skromnością wyjaśnił lordowi Shonsu, że parę razy pomagał mulnikowi.

Futrzaste stworzenia o wielbłądzich pyskach miały długie tułowia, ale były niskie w kłębie. Siódmemu znaleziono największego wierzchowca, stare i potulne zwierzę pociągowe. Wallie zdawał sobie jednak sprawę, że wygląda na nim równie śmiesznie jak Nnanji. Siodło okazało się dla niego za małe, a na Świecie jeszcze nie wynaleziono strzemion, więc stopami niemal dotykał ziemi. W dodatku czuł się obolały po niedawnej podróży na mułach, a mokry kilt był kiepskim strojem do jazdy.

Gdy wyruszyli, deszcz zaczął mocniej padać. Quili kierowała wyładowanym wozem, do którego przywiązano zapasowe konie. Szermierze i Garadoo jechali z tyłu. Najpierw trakt prowadził przez pola i sady, wznosząc się stopniowo i kierując w głąb łądu. Szlak handlowy w pobliżu Poi łączył się z gościńcem do Ov, ale Garadoo znał skrót. Podkowy rozbryzgiwały błoto. Wystarczyło pięć minut, żeby wszyscy byli brudni. Każde zagłębienie zmieniło się w jeziorko. Wkrótce zaczął się stromy odcinek drogi. Wóz hamował tempo podróży.

Żywopłoty, liczne zagajniki i kurtyny deszczu zasłaniały ich przed potencjalnymi obserwatorami, ale jechali uczęszczanym szlakiem. Wallie mógł tylko mieć nadzieję, że pościg się opóźni. Nie ufał Thondi i nie łudził się, że wrogowie zrezygnują z poszukiwań. Barbarzyński obowiązek zemsty działał przeciwko niemu. Każdy wolny człowiek z majątku na pewno śmiertelnie bał się kary, było więc pewne, że czarnoksiężnicy znajdą sojuszników i wcześniej czy później ruszą za zbiegami.

Wallie znowu odczuwał skutki zmiany strefy czasowej. Nie wiedział, która jest godzina, a niebo zasnuwane chmurami nie dostarczało mu żadnej wskazówki. Tłumił ziewanie. Wiedział, że nieprędko odpocznie.

Minęło trochę czasu, nim zorientował się, że już podążają głównym szlakiem, który, prawie niewidoczny, biegł przez rozległe górskie pastwisko. W tej ulewie Walliemu trudno było uwierzyć, że podróżują przez suchą krainę. Cierniste drzewa rosły w dużych odstępach, a widoczne gdzieniegdzie zagrody z kamieni świadczyły, że dzikie wrzosowisko nadaje się tylko do hodowli owiec. W kotlinach przycupnęły samotne domki pasterzy. Wyglądały na opuszczone. W taką pogodę rozsądni ludzie szukali schronienia.

Oś skrzypiała, ziemia mlaskała pod kopytami, deszcz szumiał. Ślady ludzkiego życia trafiały się coraz rzadziej. Okolica była coraz bardziej górzysta, pochyłości coraz większe. Grzbiety wzgórz pokrywał czarny żużel, dolinami płynęły strumienie. Z

każdą miłą jechało się trudniej. W dodatku zerwał się chłodny porywisty wiatr.

Jeśli Honakura rzeczywiście przejrzał boski plan, za uciekinierami powinny zamknąć się drzwi. Przy trzecim brodzie Wallie zaczął się bać, że nie zdążą przezeń przejechać. Woda tworzyła wiry wokół końskich kolan. Garadooi musiał uspokajać przestraszone zwierzęta.

Nikt nie przejmował się piraniami. Honakura powiedział kiedyś, że krwiożercze ryby unikają wartkich wód. Poza tym nie spotykało się ich w dopływach, tylko w samej Rzece. Wallie o nic nie pytał.

Czwarta przeprawa okazała się jeszcze gorsza. Dno doliny było w tym miejscu zalesione, a szlak biegł między drzewami. Strumień wystąpił z brzegów, pieniał się i huczał.

Garadooi przyjrzał mu się z niepewną miną.

–Myślę, że konie dadzą sobie radę, ale wóz może nie przejechać, Jako najlepszy jeździec ruszył pierwszy, lecz nawet on miał kłopoty ze zmuszeniem wierzchowca, żeby wszedł do potoku, W końcu jakoś dotarł na drugą stronę, a następnie wrócił, wyraźnie zaniepokojony.

–A dalej? – spytał Wallie.

–Następne dwa powinny być łatwiejsze. Potem będzie most.

–O! Damy radę go zniszczyć?

Budowniczy wytrzeszczył oczy.

–Chyba tak.

–I w ten sposób uniemożliwimy przeprawę?

Garadooi uśmiechnął się.

–Prawdopodobnie.

–Musimy więc zaufać bogom!

Wallie żałował, że w rzeczywistości wcale nie jest tak pewny siebie.

Gdyby nie doświadczenie Trzeciego, nie udałoby się im pokonać czwartego brodu. Chłopak przeprowadził dwa wierzchowce, zostawił jednego i wrócił po wóz. Dwukółka chwiała się na boki, znoszona przez prąd, ale Garadooiemu udało się zapanować nad spłoszonym ogierem. Za drugim razem uformował szereg ze spokojniejszych zwierząt i kazał na nie wsiąść towarzyszom podróży. W ten sposób obrócił jeszcze kilka razy. W końcu uciekinierzy ruszyli dalej szlakiem biegnącym przecinką. Tempo mieli nienadzwyczajne. Istniało poważne niebezpieczeństwo, że czarnoksiężnicy szybko ich dogonią na wypoczętych koniach.

Jeszcze jedno pasmo nagich wzgórz, następna dolina, nieustający deszcz i kolejne przeprawy przez zimne strumienie. Na długich odcinkach Wallie szedł pieszo, prowadząc konia. Od czasu do czasu, kiedy ulewa przechodziła w mżawkę, w oddali widział Rzekę. Chmury wisiały teraz bardzo nisko.

Zbiegowie dotarli do mostu składającego się z trzech przęseł wspartych na palach. Wezbrany strumień zmienił się w rwącą górską rzekę, która wystąpiła z koryta i prawie sięgała drzew. Oba podjazdy były zalane, więc cała konstrukcja wyglądała jak zakotwiczona tratwa.

Przy brzegu woda płynęła spokojnie, więc raczej nie była głęboka, ale pośrodku,

wokół pali, kłębiła się i burzyła. Prąd i dryfujące pnie drzew mogły osłabić podpory, wbite zapewne dość płytko.

–Podejrzewam, że i tak długo nie wytrzyma – stwierdził Wallie. – Tego strumienia z pewnością nie da się przejść w bród.

Garadooi miał dziwną minę.

–O co chodzi?

–To nie jest most, który pamiętam, panie. Nie byłem tu od dwóch albo trzech lat. Zauważyłeś miejsce, od którego szlak się poszerzył?

Wallie przeoczył ten szczegół.

–Co masz na myśli?

–Ktoś poprawił drogę. Most jest całkiem nowy. Sądzisz, panie...

–Korzystają z niej czarnoksiężnicy?

Chłopak pokiwał głową.

–Dokąd ona może prowadzić, jeśli nie do Aus?

–Gdzieś w tej okolicy znajduje się stara kopalnia, ale sądziłem, że jest opuszczona.

–Co w niej wydobywano?

Garadooi nie wiedział. Zresztą musieli teraz zająć się ważniejszymi rzeczami. Na łagodnym podjeździe woda sięgnęła po osie wozu. Most kołysał się i drżał, ale uciekinierzy bezpiecznie dotarli na drugi brzeg.

Dolina zwężała się z obu stron. Na jej końcach rzeka mogła płynąć szybciej.

–Myślę, że w tym miejscu powinniśmy odciąć czarnoksiężnikom drogę – stwierdził Wallie. – Tak czy inaczej wkrótce musimy zrobić postój.

Honakura miał usta sine z zimna. Jja i Krówka też sprawiały wrażenie, że są u kresu sił. W nie lepszym stanie byli Nnanji i jego brat. Poza tym się ściemniało.

–Pół mili stąd jest jaskinia, panie.

–Dobrze! Nnanji i ja zajmiemy się mostem. Wy jedźcie rozpalić ogień. Zostawcie nam siekiery i łomy.

–Łańcuchy też? – zapytał Garadooi, szcękając zębami.

–Nie trzeba. Jestem pewien, że poradzimy sobie gołymi rękami.

–Na pewno!

Wallie roześmiał się i klepnął Trzeciego po ramieniu.

–Dzielnie dzisiaj służyłeś Bogini, budowniczy. Nie martw się, że długo nie wracamy. Będziemy tutaj trzymać wartę do zmierzchu. Jedźcie już!

Gdy wóz zniknął za drzewami, Wallie uważnie przyjrzał się konstrukcji mostu. Przy suchej pogodzie ściałby pale, ale teraz nie dostałby się do nich w żaden sposób. Uznał, że we dwóch łatwo dadzą sobie radę z pomostem z pni drzewnych, związanych nasmołowaną liną. Jednak śmiałek mógłby przejść po jednej z masywnych belek łączących pale, więc je również musieli zniszczyć.

–Chodźmy!

–Panie bracie, czy to nie byłoby dobre miejsce na zasadzkę? – W głosie Nnanjiego brzmiała nadzieja.

Błotnista droga, niewiele szersza od ścieżki, biegła przez gęsty sosnowy las.

Nawet w biały dzień panował tu mrok, a teraz zbliżała się noc. Lina rozciągnięta na wysokości kolan podciąłaby pierwszego konia i może kilka następnych.

–Na litość boską! Oczywiście! Ale po co zasadzka, skoro można ich zatrzymać w pewniejszy sposób. To byłoby głupie!

–Dlaczego?

–Bo, jak sam powiedziałeś, walka z czarnoksiężnikami nie przynosi chluby. Co innego rozbójnicy, skrytobójcy! Nie uciekłbym przed wyzwaniem...

–Znam cię...

–Lecz nie zamierzam ryzykować, jeśli nie muszę! – Stanęli na brzegu. Wallie wszedł do wody, uważając na każdy krok. Przez skórę butów czuł zimno. – Jesteś Czwartym. Musisz umieć wydawać rozkazy Trzecim, więc rusz głową! Nie bądź bezmyślny.

Prawy but napękał się lodowatą wodą. Wallie syknął.

–Nauczysz mnie, mentorze?

–Przepraszam!

Był zmęczony i niespokojny, ale nie powinien odgrywać się na Nnanjim. Do lewego buta też wlała mu się woda.

–No dobrze. Jesteś Czwartym. Zapewne chciałbyś pokusić się o promocję na Piątego?

–Siódmego!

–Dlaczego nie? Zaczynaj więc myśleć o odpowiedzialności, ocenie sytuacji i planowaniu. Oczywiście, pomogą ci sutry. Doszedłeś do osiemset trzeciej. Zauważyłeś, że wcześniejsze zajmują się praktycznymi sprawami, na przykład dbaniem o miecz. Ostatnie, które poznałeś, uczą taktyki, zgadza się?

Woda zmoczyła kilt. Prąd zbijał z nóg. Wallie chwycił się ramienia Nnanjiego. Rzeka przybierała.

–Teraz zajmijmy się strategią. Zacytuję ci następną sutrę!

Nnanji uśmiechnął się szeroko, choć lodowata woda sięgała mu do połowy ud.

–Usiądziemy, panie bracie?

–Myślę, że sobie darujemy... Ooo! – Wallie odzyskał równowagę. – Na razie ograniczymy się do samego epigramatu: “Tylko koty walczą w ciemności”.

–Wyjaśnij, mentorze.

–Ty spróbuj.

Na most prowadziły łagodne podjazdy usypane w piasku. Były wzmocnione balami, ale porwał je prąd. Wallie znowu się potknął. Po omacku wgramolił się na resztki nasypu i podał rękę Nnanjiemu. Potem wylał wodę z butów, zastanawiając się, czy nie odmroził sobie palców. Ruszyli przez most do trzeciej podpory.

–Jaki tytuł nosi ta sutra?

–“O ocenie przeciwników”.

–O! – Nnanji milczał przez chwilę. – To znaczy: “Nie walcz, nie wiedząc, z kim masz do czynienia?”.

–Mniej więcej. Weź tę stronę, a ja tę.

Zaczęli rąbać wiązania spajające drewniany pomost. Wkrótce znaleźli najlepszą

metodę. Łomy okazały się niepotrzebne. Wallie ciął z jednej strony, Nnanji z drugiej. Na koniec Czwarty uderzył siekierą w środkową linę, a Wallie pchnął uwolnioną kłodę w wartki nurt.

–Musimy dowiedzieć się czegoś więcej o czarnoksiężnikach?

–Dużo więcej.

Wallie nareszcie zrozumiał, dlaczego bogowie wybrali go na następcę Shonsu. To prawda, że do tej pory żywił głęboko zakorzenioną niechęć do wiary w magię, ale teraz dopuścił do siebie możliwość, że na Świecie żyją czarnoksiężnicy. Przekonała go śmierć Kandoru i opowieści Garadooiego o demonach z Ov, Jednocześnie Wallie Smith miał ściśle wykształcenie. Potrafił analizować problemy w sposób, do którego nie byłby zdolny żaden szermierz.

Ze środkowego przęsła zostały tylko trzy długie belki. Koń cyrkowy może przeszedłby po nich, gdyby były suche, ale najodważniejszy jeździec nie zaryzykowałby takiego wyczynu w deszczu, nad rwącym strumieniem. Natomiast sprawny człowiek mógłby je pokonać na własnych nogach.

–Musimy się dowiedzieć, co potrafią? – zapytał Nnanji, łapiąc oddech.

–Tak, ale jeszcze bardziej, czego nie potrafią.

Rozległo się ostrzegawcze trzeszczenie. Wallie znieruchomiał, Nie miał zamiaru pójść na dno ze statkiem, a poza tym przyszło mu do głowy, że może bogowie raczą dokończyć za niego pracę. Połączone wysiłki szermierzy i wody odniosły skutek. Konstrukcja zaczęła się przechylać i rozpadać.

–Chodźmy!

Ledwo dobiegli do nasypu, gdy donośny huk obwieścił upadek mostu. Runęło osłabione środkowe przęsło. Spieniony nurt uniósł zerwane liny i roztrzaskane bale.

–To powinno ich zatrzymać – powiedział Wallie z satysfakcją.

Istniało duże prawdopodobieństwo, że reszta mostu sama się zawali. Bogowie są znani z tego, że pomagają tym, którzy sami sobie pomagają.

Powrót na brzeg okazał się trudniejszy niż cała dotychczasowa podróż. Nnanji pośliznął się dwa razy i tylko refleks mentora uratował go przed podryfowaniem w nieznaną. Raz Wallie trafił na dziurę i całkowicie zanurzył się pod wodą. W końcu wydostali się z rzeki, drżąc z zimna i kaszląc.

Wylali wodę z butów, a potem zaczęli skakać i wymachiwać ramionami, żeby się rozgrzać. Musieli jeszcze przed nocą znaleźć jaskinię, ale przecucie podpowiedziało Walliemu, żeby trochę zaczekać.

–Co miałeś na myśli, mówiąc, że powinniśmy się dowiedzieć, czego nie potrafią?
– wysapał Nnanji, nie przerywając podskoków. Znany był z nieustępliwości.

–W jednej z waszych ballad czarnoksiężnik zamienia się w orła, prawda?

–Tak, panie bracie.

–Ci z Ov przyjechali konno. Dlatego tu czekam. Chcę zobaczyć, czy potrafią przefrunąć rzekę.

–O!

–Musi być jakiś sposób, żeby ich pokonać. Bogini nie dałaby mi niewykonalnego zadania, prawda?

–Tak.

–Więc na pewno mają jakiś słaby punkt i ja muszę go znaleźć. W Ov zginęło czterdziestu ludzi.

Garadoo opowiedział im, że zbudził go hałas, tak jak połowę miasta. Przed świtem na głównym placu miasta zjawili się czarnoksiężnicy i rzucili wyzwanie dowódcy. Czcigodny Zandorphino wyszedł do nich ze swoim oddziałem. Magowie odśpiewali zaklęcie i wtedy pojawiły się ogniste demony. Wybiły szermierzy do ostatniego. Nikt nie przeżył. Zniszczeniu uległy nawet drzewa i posągi. Mury się zawaliły, krew zbryzgała okna na piętrach. W ciągu paru minut zginął cały garnizon. Garadoo znalazł ciało swojego przyjaciela Farafiniego – rozszarpane, zwęglone, z urwaną nogą. Miecz był złamany.

Musiał jednak istnieć jakiś sposób na czarnoksiężników.

–Spójrz!

Walliego nie myliło przeczucie. Na tle ciemnego nieba i jeszcze ciemniejszej linii horyzontu ukazało się kilka postaci. Jeźdźcy pokonali górski grzbiet i zniknęli w mroku. Kierowali się w ich stronę.

–Nadjeżdżają! – wykrzyknął Nnanji.

–Tak! Zabierzmy stąd konie. Szybko!

Pobiegli do wierzchowców.

–Dlaczego? – zapytał Czwarty.

–Bo będą rzeć!

Szermierze wsiedli na przemoczone zwierzęta i oddalili się od rzeki. Spętali je w bezpiecznej odległości i wrócili pospiesznie drogą, która zmieniała się w potok.

Wallie zdjął miecz z pleców i położył go przy nogach. Nnanjiemu kazał zrobić to samo, żeby nie zdradziły ich refleksy świetlne. Stali w ciemności, trzęsąc się z zimna, i czekali w napięciu, czy czarnoksiężnicy przeleczą nad rzeką. A może wyczują szermierzy i naślą na nich demony?

Tymczasem odplynęło drugie przęsło mostu, a trzecie zalała woda. Las porastający drugi brzeg wyglądał jak czarna ściana, a ryk rzeki zagłuszał wszystko oprócz łomotania serca Walliego i cichego szczykania zębów Nnanjiego.

–Panie bracie?

–Tak?

–Chyba nie miałbym teraz nic przeciwko małemu ognistemu demonowi.

Mentor zaśmiał się cicho.

–Ja też.

Wtem po drugiej stronie rzeki, między drzewami, zabłysło światelko. Nnanji syknął.

Magia!

W świetle hubki i krzesiwa nie można było inaczej skrzesać ognia. Walliemu przez moment wydawało się, że dostrzega postacie w kapturach. Raptem znowu zrobiło się ciemno.

–Demon?

–Nie sądzę. Domyślam się, że sprawdzają nasze ślady. Widzieli most. Już wiedzą,

że nas zgubili. Chyba że potrafią latać.

Ogień umieli wyczarowywać. Tylko, dlaczego na krótko? W mrocznym lesie światło bardzo by się przydało. Dlaczego tak szybko zgasło? Czyżby ich prześladowcy mieli ograniczoną moc?

Płomyk więcej się nie pojawił. Nikt nie wyjechał spomiędzy drzew. Czas włókł się niemiłosiernie. Wallie, przemarznięty do szpiku kości, już miał zrezygnować z czekania, gdy nagle Nnanji wyciągnął rękę i coś szepnął. Na tle horyzontu widać było cztery niewyraźne sylwetki. Czarnoksiężnicy zawrócili, rezygnując z pościgu. Dwaj zmęczeni szermierze mogli nareszcie poszukać

–Ruszajmy – powiedział Wallie. – To był pouczający dzień, ale zapamiętaj ostatnią lekcję, młody przyjacielu!

–Jaką, panie bracie?

Mentor się roześmiał.

–Nigdy nie ufaj tancerkom.

Księga druga: Jak szermierz popełnił błąd

1

–Więc tak wygląda góra! – powiedział Nnanji.

Ranek wstał pogodny i świeży, bez jednej chmurki. Daleko na wschodzie lśniła wstęga Rzeki. Od północy widok zasłaniała majestatyczna góra pokryta śniegiem. Reszta długiego wulkanicznego pasma ciągnęła się na południe poza granice wzroku. Na zachodzie uciekinierzy wypatrzyli siodło. Tam musiała znajdować się przełęcz.

Istnienia wulkanów Wallie domyślił się już poprzedniego dnia, gdy ujrzał czarne skały. Kryjówka Garadooiego okazała się tunelem z lawy. Część sklepienia zapadła się, tworząc kamieniste podejście. Z jaskini najwyraźniej korzystały pokolenia myśliwych, bo w skałach wykuto ścieżkę, dostatecznie gładką, by przeprowadzić konie. Wnętrze urządzono tak, że po jednej stronie znajdowało się coś w rodzaju stajni, a po drugiej kwatery dla ludzi. Kiedy dwaj szermierze zjawili się w nocy – Katanji omal nie zamarzł na szlaku, czekając na nich – w środku płonął ogień, jedzenie było gorące, legowiska z gałęzi przygotowane.

–Tak, to jest góra – zgodził się Wallie. – Całkiem spora! Bogini z tobą, budowniczy!

–Jestem Garadoo, budowniczy trzeciej rangi... Chłopak pozdrowił Siódmego jak należy. Potem rozejrzał się, przeczesując palcami zmierzwiene loki.

–Poprosisz uczennicę Quili, żeby odmówiła modlitwę, panie?

Wieczorem Garadoo również domagał się modłów. Choć Wallie uwierzył w bogów, nie był zbyt religijnym człowiekiem. Po raz pierwszy spotkał na Świecie bigota. Honakura, Jja i Nnanji służyli Bogini, ale nie afiszowali się ze swoją wiarą tak jak młody budowniczy. Odkąd Trzeci usłyszał o misji lorda Shonsu, modlił się gorliwie i publicznie.

Mimo wszystko Wallie doceniał jego pomoc.

–Nie mam nic przeciwko modlitwom, pod warunkiem, że są krótkie. Musimy się spieszyć. Ile czasu upłynie, nim woda opadnie?

–Przypuszczam, że około jednego dnia.

Może nawet mniej. Porowate wulkaniczne skały szybko wchłaniały wodę. Wallie przyjrzał się ledwo widocznemu szlakowi, który wiódł do przełęczy. Czekająca ich długa droga pod górę, bez żadnej osłony. Z łatwością wypatrzy ich każdy obserwator mający dobry wzrok, nie uciekając się do magii.

–Zachodnia strona jest porośnięta lasem, panie – pocieszył go Garadoo, najwyraźniej myśląc o tym samym.

–Będę szczęśliwy, gdy tam dotrzemy.

Na przełęcz dotarli koło południa, spoceni i zmęczeni wspinaczką. Słońce prażyło jałowe zbocze, na którym było więcej skał i stożków popiołu niż trawy. Znajdujące się w dużych odstępach kopce usypane z kamieni wytyczały szlak. Wallie odwrócił się w siodle i rzucił ostatnie spojrzenie na daleką Rzekę. Potem czekał niecierpliwie, aż

ukazą się zachodnie stoki. Bolały go wszystkie kości. Na starych pęcherzach tworzyły się nowe.

Zabijając czas, wypytywał Garadooiego o czarnoksiężników. Chłopak niechętnie przyznał, że mieszkańcy Ov nie czują się uciskani i nie mają zamiaru podnosić buntu przeciwko nowej władzy. Na bezpośrednie pytanie odpowiedział z jeszcze większą niechęcią: że nieżyjący dowódca, Zandorphino, nie był lubiany. Nie potrafił utrzymać swoich ludzi w ryzach. Szermierze, o czym Wallie dobrze wiedział, potrafili być aroganckimi typami.

Starego króla Ov pozostawiono przy władzy. Jedyna zmiana polegała na tym, że teraz zamiast szermierzy czarnoksiężnicy utrzymywali porządek. Król nałożył nowy podatek, żeby sfinansować budowę wieży dla czarnoksiężników i wyburzył kilka budynków, żeby zrobić dla niej miejsce. Były to niepopularne posunięcia. Powszechnie uważano, że są wynikiem czaru rzuconego na starca przez głównego maga, Siódmego. Budowniczy Garathondi wzbogacił się na tym kontrakcie bardziej niż kiedykolwiek. Przy okazji lord Shonsu dowiedział się, co skłoniło Trzeciego do udzielenia pomocy zbiegom. Młodego Garadooiego dręczyło sumienie, że rodzinną fortunę zasilają pot i krew niewolników.

–Niewolnik też jest dzieckiem Najwyższej. Nie ma powodu, żeby traktować go jak zwierzę, prawda?

Wallie skwapliwie przyznał mu rację. Do tej pory nie zetknął się na Świecie z taką postawą.

Nnanji słuchał rozmowy z wyraźnym oburzeniem. Prawdopodobnie sam nigdy nie zastanawiał się nad kwestiami etycznymi ale jego bohater nie pochwałał niewolnictwa, więc Czwarty i się zrewidował poglądy. Wtrącił się teraz i opowiedział, jak lord Shonsu zdobył sobie przyjaźń koszarowych niewolników i jak dzięki niej uzyskał pomoc w ucieczce. Wallie wolałby, żeby nie wspomniano o jego niedawnych przygodach, ale Garadooi ok. duże zainteresowanie.

Później budowniczy powiedział coś, co uspokoiło Walliego, a rozwścieczyło Nnanjiego. Wkrótce po masakrze Garadooim wymknął się statkiem do Gi, następnego miasta w dole Rzeki. Osobiście poinformował dowódcę o śmierci szermierzy z Ov. Nie on pierwszy przyniósł straszną wieść, lecz nie doszło do żadnej akcji odwetowej, bo nieliczny tamtejszy garnizon nie mógł albo nie chciał zaatakować czarnoksiężników. Wallie poczuł ulgę, dowiedziawszy się, że wieśniacy z majątku Garathondi są niewinni. Gdyby kiedyś tam wrócił, nie musiałby ich sądzić za ukrywanie prawdy. Czwarty natomiast mruknął coś ze złością o tchórzostwie Gi.

Między Nnanjim i Garadooim, młodzieńcami skrajnie różnymi, powoli rodziła się niezwykła przyjaźń. Łączyła ich skłonność do obsesji, u jednego na punkcie honoru, u drugiego – religii. Wallie doszedł do wniosku, że on również jest członkiem klubu, tyle że bardziej cynicznym.

Podjechawszy do przodu, zaczął gawędzić z Jją i Honakurą. Teren opadał ku zachodowi. Na południu i północy pojawiło się więcej ośnieżonych szczytów, a prosto przed nimi, w oddali lśniła...

–Mówiłem wam, że Rzeka jest wszędzie! – powiedział Ha kura z zadowoleniem.

–W Ov płynie na północ, więc tutaj musi płynąć na południe – stwierdził Wallie.

Nie był to problem teologiczny, tylko geograficzny. Stary kapłan dumiał przez jakiś czas, aż wreszcie się zgodził, że chyba tak jest. Nie przyznał jednak, że tak koniecznie musi być. Bogini może zrobić wszystko, na co ma ochotę.

Kamienisty szlak wiodący w dół stromego zbocza porastały z obu stron gęste krzewy, które wkrótce ustąpiły miejsca nagrzanemu lasowi. Ciężki stanowił miłą odmianę po rozprażonym nagim stoku, ale dokuczały owady. Pod drzewami, bardzo podobnymi do ziemskich dębów, kasztanów i jesionów, rosły jeżyny, pokrzywy i derenie. Droga wiała się, opadała i wznosiła, biegnąc łożą skąpi potoków, osypiskami, brzdami wyżłobionymi kiedyś przez lawę, czyli wszędzie tam, gdzie roślinność była rzadsza. Niżej, w zagłębieniach terenu, pojawiły się małe strumyki.

Lord Shonsu ustawił drużynę w bardziej militarnym szyku, z Katanjim i Garadooim na przedzie. Pierwszy zwiadowca wybierał punkt, z którego roztaczał się najlepszy widok, i ruszał dalej, gdy drugi z nim się zrównał. Ten z kolei czekał na wóz, a następnie podążał za towarzyszem. Tyłów nikt nie osłaniał. Jadący za dwukółką Wallie uważał, że nie grozi im pościg, przynajmniej do końca dnia. Katanji był podniecony swoją rolą i najwyraźniej dobrze się bawił. Rzucił bratu dumne spojrzenia. Nnanji udawał, że ich nie widzi, ale po prawdzie sam nie umiałby na tyle zapanować nad koniem, żeby wykonać podobne zadanie.

W miarę, jak mijało popołudnie, Wallie dostrzegał coraz więcej oznak, że niedawno ulepszono szlak. Zauważył również całkiem świeże ślady kopyt i kół.

–Droga do kopalni, panie – powiedział Garadooi, który tym razem wysłał Katanjiego przodem.

W las biegnęły dwa identyczne trakty.

–Dobrze, że jesteś naszym przewodnikiem, budowniczy. Są bardzo do siebie podobne – stwierdził Wallie.

–I oba używane, panie.

Nie trzeba było Mohikanina, żeby wypatrzeć końskie łajno na ta duktach. Zatem otwarto kopalnię. Zbieg okoliczności? Nowy pomysł czarnoksiężników?

–Bardzo chciałbym wiedzieć, co się tutaj dzieje. Czy to dzieło zakapturzonych? Jeśli tak, co wydobywają? Co transportują tą drogą i czy garnizon w Aus o tym wie? Zastanawiał się przez chwilę.

–Jak daleko jest do kopalni? Młodzieniec wrzucił ramionami.

–Myślę, że daleko, panie. Nie wiem dokładnie. Wallie się wahał, ale postanowił zaryzykować.

–Przejmij dowodzenie, adeptcie. Jedźcie bez pośpiechu. Ja zbadam drogę.

Odpowiedzialność! Nnanji zasalutował rozpromieniony, uderzając pięścią w pierś. Wallie ruszył traktem, ale na pierwszym zakręcie spotkał się z buntem wierzchowca. W końcu przekonał bydlę, że szermierz siódmej rangi stoi wyżej od zwykłego konia, choćby nie wiadomo jak upartego. Udało mu się zmusić go do wymęczonego truchtu. Droga była równie wąska i kręta jak szlak, którym wcześniej jechali, a muchy równie dokuczliwe.

Powierzenie Nnanjiemu dowództwa było rzeczą ryzykowną! Gdyby zbiegowie

trafili na karawanę czarnoksiężników, mógłby! zareagować w sposób irracjonalny. Co więcej, było mało prawd podobne, żeby zwiad przyniósł jakieś użyteczne informacje. W najlepszym razie Wallie mógł liczyć na wiadomość, że coś spadło z przeładowanej fury. Lecz samotność i zmiana tempa marszu stanowiły miłą odmianę. Zdecydował, że da sobie piętnaście minut, a potem zawróci.

Znalazł dużo więcej, niż się spodziewał. Najpierw zobaczyli więcej drzew. Droga skręcała w prawo, a potem w lewo, biegła wzgórze, a potem w dół zbocza. Krzaki, skały i koleiny. Akurat,; kiedy Wallie pomyślał, że czas się kończy, dotarł do skraju lasu. Przed nim odsłonił się raptem widok na skaliste dno doliny, którą kiedyś musiała płynąć lawa. Wzgórze po drugiej stronie również było nagie, zapewne spalone przez ostatni wybuch wulkanu, a prowadząca na nie droga wyraźnie widoczna... i używana.

Wallie pospiesznie włączył hamulce, a potem bieg wsteczny i schował się między drzewami. Naliczył trzy wozy. Oceniał, że grupa maszerujących za nimi robotników składa się z około trzydziestu osób, oczywiście niewolników, a jeźdźców jadących na przedzie jest dwunastu. Z tej odległości nie mógł dojrzeć, czy mają kaptury, ale z pewnością byli odziani w długie szaty, więc w grę wchodziło tylko kapłani, starcy... albo czarnoksiężnicy. Sami brązowi i tylko jeden pomarańczowy, albo czerwony, otwierający kolumnę.

Wallie zawrócił konia i ścisnął mu boki piętami, zmuszając do galopu. Gdyby jechał tędy pół godziny później, wpadłby prosto na karawanę. Wyzwał się od lekkomyślnych idiotów.

Nie to jednak było najgorsze. Dwa wozy wiozły drewno, okorowane pnie drzew. Czarnoksiężnicy kierowali się w stronę rzeki.

Skąd wiedzieli, że most jest zerwany?

Towarzysze spojrzeli na niego przerażeni, kiedy nadjechał galopem na spienionym koniu. Zatrzymali się pośrodku szerokiego, niemal suchego koryta rzeki, żeby napić zwierzęta. Miejsce znajdowało się na widoku, ale przynajmniej nie zostawiali śladów na ziemi. Garadooi postąpił jak wytrawny tropiciel albo był to zwykły przypadek. Wallie nie dociekał prawdy, bo zdawał sobie sprawę, że czarnoksiężnicy bez trudu podążą ich tropem, nie posługując się magią. Skoro wiedzieli o moście, musieli również wiedzieć, gdzie są zbiegowie. Rozsiodłał konia i wyjaśnił drużynie, jak się przedstawia sytuacja.

–Dwunastu? – powtórzył Nnanji z namysłem. – Sześciu na jedną drogę?

–Może. Lecz jeśli zobaczą na rozwidleniu, że pojechaliśmy szlakiem, ruszy za nami dziesięciu.

I to za niecałe pół godziny.

–Myślisz, że potrafią tak szybko przesyłać wiadomości? – wtrącił Honakura, uśmiechając się kpiąco. – A może widzą na odległość?

Bawił go widok Walliego, który nie mógł pogodzić się z myślą o istnieniu czarów.

–Mam nadzieję, że to pierwsze. – Dlaczego jednak czarnoksiężnicy od razu nie wysłali ludzi za uciekinierami, zamiast spokojnie ładować kłody na nowy most. Albo dokładnie wiedzieli, gdzie są szermierze i co robią, albo spodziewali się, że bez trudu

dogonią ich na szlaku. A może kopalnianą drogą jechał inny oddział?

–Orły?

Nnanji spojrział w błękitne niebo. Szybowały na nim małe punkciki. Latawce, sępy... lub czarnoksiężnicy?

–Nie biorę pod uwagę tej możliwości – oświadczył Wallie twardo. – Skoro są tak potężni, nic nie możemy zrobić. W każdym razie musimy zjechać z tej drogi.

–Konie potrzebują odpoczynku, panie! – Quili buntowniczo uniosła podbródek. – Za bardzo je forsujemy.

–Jeśli opuścimy trakt, zostawimy ślad wyraźny jak tamta góra – stwierdził Garadooi.

Wallie podążył spojrzeniem wzdłuż rzecznej doliny. "Tamta góra" była teraz wyższa, ale bledsza i zaniebieszczona z powodu odległości. Skierował wzrok w drugą stronę. Rzeka była typowo górską: więcej piasku niż wody, szerokie kamieniste koryta z licznymi małymi strumykami i sadzawkami, parę wysepek porośniętych chaszczami albo trawą. Tędy łatwiej by się jechało niż głównym szlakiem.

–Do Rzeki nie może być daleko! Pojedziemy korytem – zdecydował Siódmy.

–Woda jest bezpieczna. – Quili wskazała na konie. Czyżby zwierzęta umiały wyczuć piranie? Wallie nie spytał, nie chcąc zdradzić się z ignorancją.

–Ruszajmy!

–Jej moc jest największa w pobliżu Rzeki – powiedział Honakura tonem mędrca.

–Istotnie. W opresji powinniśmy szukać Jej pomocy – zgodził się Garadooi.

–A Katanji? – zatroszczył się Czwarty.

W tym samym momencie rozległ się tętent kopyt. Zwiadowca wracał, żeby sprawdzić, co spowodowało opóźnienie. Coraz lepiej!

Ruszyli łożyskiem rzeki. Gdy zakola i kępiaste wysepki zasłoniły ich od strony traktu, wyszli z wody i dalej pojechali kamienistym brzegiem. Dobry tropiciel odnalazłby ich bez trudu, i Wallie liczył na to, że czarnoksiężnicy pojedą dalej w stronę Aus, nim się zorientują, że zgubili uciekinierów.

–Jaka jest szansa, że nad Rzeką trafimy na wioskę albo osadę? – spytał, zrównawszy się z Garadooim.

Chłopak potrząsnął głową. Minę miał niepewną.

–Możemy jedynie zaufać Najwyższej, panie. Jeśli jest wioska, oczywiście będą w niej łodzie.

Właśnie o tym Wallie myślał, o bezpieczniejszym transporcie Rzeką.

Minęła godzina i nadal nie było śladu pościgu. Dolina wiała się bez końca między gęsto zalesionymi zboczami. Popołudniowe słońce prażyło bezlitośnie, odbijając się od czarnych skał. Obolałych jeźdźców oraz zmęczonych i wytrzęsionych pasażerów wozu nie chłodził najmniejszy powiew wiatru. Konie wyraźnie słabły i zaczęły kuleć. Tempo podróży wyraźnie spadło. Wszystkim dokuczały komary.

Wallie nie znajdował odpowiedzi na żadne z dręczących go pytań. Najbardziej podobał mu się pomysł z łodziami, ale nie wiedział, jak daleko jest do Rzeki. Zdrowy rozsądek nakazywał znaleźć miejsce na obozowisko i zostawić w nim cywili. Tylko szermierzom groziło niebezpieczeństwo, więc mogli cofnąć się po śladach i

spróbować dotrzeć do Aus, podróżując nocą. Wróciliby po towarzyszy z posiłkami. Lecz to rozwiązanie nie przypadło mu do gustu. Nie chciał zostawiać Jji bez opieki.

Wtem rzeka zmieniła się w małe jezioro, niemal wypełniające dolinę. Koryto przegradzała skalna tama utworzona z lawy. Dalej widać było bezkresne niebo, a na horyzoncie niebieską wodę. Zerwały się okrzyki radości.

–Panie! Spójrz! Dym! – zawołała Jja.

Wiwaty stały się głośniejsze. Pozostali zbiegowie również dostrzegli nikłą białą smużkę unoszącą się w powietrze. Dym oznaczał ludzi.

Na szczęście ulewa nie nawiedziła tej strony gór. Rozlewisko płytkie, tak że wóz ominął je kamienistą plażą, tylko kilka razy zahaczając kołami o wodę. Cichy grzmot stanowił zapowiedź wodospadu. Nawet konie wyczuły podniecenie ludzi. Ekspedycja dotarła do drugiego brzegu jeziora i zaczęła wspinać się a czarny stok. Rzeka pieniała się w wąskim korycie, a dalej raptem zniknęła w chmurze pyłu wodnego.

Katanji pojechał przodem i teraz jego sylwetka rysowała się na tle nieba. Chłopak coś krzyknął, ale jego głos zginął w huku kaskady.

Wallie zsiadł z konia i ruszył pod górę na zeszywniałych nogach. Gdy dotarł do brzegu urwiska, jego oczom ukazał się wąski; kanion porośnięty trawą i zaroślami. Woda spadała po gigantycznych stopniach do basenu, z którego wypływał strumień i między drzewami toczył się do Rzeki. Do prymitywnego molo z czarnego kamienia nie stały przycumowane żadne łodzie. Przystań wyglądała na opuszczoną. Od strony lądu strzegło jej kilka chat bez dachów, bardzo starych i omszałych.

Jja podeszła i stanęła obok swojego pana. Wallie przysunął usta do jej ucha i krzyknął:

–Spóźniliśmy się o jakiś wiek!

–Ale dym...

–Para!

Zapomniał, że w wulkanicznej okolicy mogą występować gorące źródła. Jedna ściana kanionu była zalesiona, natomiast drugą tworzyły nagie skały magmowe, które lśniły i parowały w słońcu

Pozostali zbiegowie również weszli na urwisko, ale niedługo podziwiali widok. Uciekli przed łoskotem wodospadu.

–To kamieniołom – stwierdził Wallie. – A przynajmniej kiedyś nim był. Ten... brązowawy marmur powstaje z gorących i źródłanych.

Najwyraźniej Shonsu nigdy nie słyszał o gejzerycie, bo Wallie nie znalazł w jego pamięci właściwej nazwy.

–Wygląda, jakby tutaj od dawna nikogo nie było. Cóż, miejsce jest ustronne, więc możemy wziąć gorącą kąpiel.

–Tam są łodzie, panie – powiedział Katanji, mrużąc przed zachodzącym słońcem.

Łodzie znajdowały się bardzo daleko od brzegu, ale dowódca musi podnosić na duchu swoich ludzi. Wallie spojrzał znacząco na rudy kucyk Nnanjiego.

–Weźmiemy twojego brata na przystań i pomachamy nim.

Trudno byłoby o lepsze miejsce na obozowisko niż stary kanion. U stóp urwiska rzeczywiście znajdowały się gorące źródła. Dostępu do zniszczonych chat broniły

pokrzywy, ale znalazł się kawałek trawy na dwa namioty i ognisko niewidoczne od strony łądu. Poza tym nie brakowało świeżej wody do picia i schronienia przed wiatrem.

Droga na dno wąwozu zajęła podróżnikom godzinę. Tymczasem słońce dotknęło horyzontu. Wóz ukryto na stoku, między drzewami, gdzie był mniej widoczny z góry.

Wallie jeszcze w żadnym z dwóch żywotów nie czuł się tak wyczerpany. Długi i ciężki dzień zmęczył również jego towarzyszy. Dowódca wysłał kobiety do gorących źródeł, a mężczyznom kazał rozbić obóz. Sam poszedł obejrzeć molo. Zbudowane z kamieni, wyglądało na bardzo stare, ale prawdopodobnie nadal z niego korzystano.

Później Wallie dołączył do mężczyzn zażywających kąpieli, która rozluźniała mięśnie i goiła pęcherze. Wszystkich ogarnęło senne znużenie. Gdy wrócili do obozu, czekało na nich jedzenie.

Słońce zaszło w złoto-karmazynowej oprawie. Ptactwo wodne pochowało się w gniazdach. Dolinę powoli zaległa ciemność. Przy ognisku niewiele rozmawiano. Krówka położyła się na ziemi, ale Nnanji kazał jej iść do namiotu. Zapadła cisza. Nawet gadatliwy Katanji stracił cały entuzjazm, a Honakura wyglądał na bardzo osłabionego. Poprzedniego dnia zbiegowie przybili do opuszczonego molo u wylotu płytkiego wąwozu. Teraz dotarli do podobnego miejsca nad tą samą Rzeką, tylko po drugiej stronie gór. Mogło się wydawać, że nie zawędrowali daleko.

–I co, nowicjuszu? Już trzy dni jesteś szermierzem. Jeszcze się nie znudziłeś? – spytał Wallie.

Katanji zmusił się do uśmiechu.

–Nie, panie.

Nnanji prychnął lekceważąco.

–Kiedy byłem żółtodziobem, pierwsze dni spędziłem na musztrze i fechtunku.

Myślałem, że ręka mi odpadnie.

–Mnie boli co innego, mentorze – powiedział Pierwszy.

–Cos o tym wiem. Dobrze się spisał, prawda, panie bracie?

–Bardzo dobrze. Jak zresztą wszyscy. Nnanji z dumą pokiwał głową.

–Co dalej?

–Propozycje są mile widziane.

–Powinniśmy się modlić – stwierdził Garadoo z powagą. – Zdać się na łaskę...

–Bzdury – mruknął Honakura, wykrzywiając usta.

–To bluźnierstwo, starcze!

–Bzdury, powiadam! Zapewniam cię, że Bogini dokładnie wie, co robi. Bywałeś na polowaniach, budowniczy? Czy kiedykolwiek znalazłeś miejsce na obozowisko z gorącą i zimną wodą, miękką trawą i takim widokiem? Bezpieczniejsze i lepiej osłonięte? Czy to nie dar od bogów?

–Ale...

–Lord Shonsu jest Jej orędownikiem, a my znajdujemy się pod dobrą opieką. Garadoo poczerwieniał.

–Jesteś kapłanem?

–Byłem. I twierdzą, że celowo nas tu sprowadzono, więc wszelkie modły i prośby

byłyby zwykłą arogancją. Jedyną mądrą osobą w tym towarzystwie jest Krówka.

Wstał sztywno i ruszył do namiotów. Najwyraźniej nie podobało mu się, że laik wygłasza kazania. Sam jednak zdecydował się na anonimowość i płacił za to cenę.

Iskry leciały w ciemność, migotliwy blask płomieni padał na krąg zmęczonych twarzy. Tenorowe trzaskanie ognia wybijało saj ponad barytonowy szum wodospadu. Katanji ziewnął przeciągle, ułożył się na ziemi i owinął kocem.

Garadoo i Quili zaczęli cichą rozmowę. Wallie otoczyli ramieniem Jję. Nnanji leniwie grzebał w ognisku długim, grubym patykiem.

Gdyby chodziło o inną rzekę, Wallie rozważyłby pomysł zbudowania tratwy, ale te wody były śmiertelnie niebezpieczne. Żagle widoczne w oddali należały zapewne do łodzi rybackich lub statków handlowych, ale nie wiedział, jak dać im sygnał, nie wchodził w grę, bo pióropusz pary musiał być w tych okolicach charakterystycznym znakiem orientacyjnym.

–Wystarczy nam jedzenia na kilka dni, jeśli ograniczymy racje – powiedział Siódmy. – Moglibyśmy we dwóch dotrzeć do Aus i sprowadzić stamtąd łódź, Nnanji.

Czwarty odmruknął twierdząco i ziewnął.

–Od dawna nie spaliśmy – stwierdził Wallie. – Porządny odpoczynek może trochę nam rozjaśni w głowach.

–Chcesz, żebym wziął pierwszą wartę, panie bracie?

–Po co? I tak nie ma dokąd uciec ani jak walczyć.

Nnanji zmarszczył brwi z powątpiewaniem. Na rozkaz Shonsu chętnie stałby na warcie, dopóki nie padłby ze zmęczenia.

–Wiem, co mówią sutry, ale uważam, że sytuacja jest wyjątkowa. Obaj potrzebujemy snu bardziej niż czegokolwiek.

Nnanji posłusznie skinął głową i życzył mu dobrej nocy. Zdjął buty i okręcił długie nogi kocem. Wkrótce leżał jak mumia, a dwie minuty później chrapał.

Jja przytuliła się do Walliego.

–Krówka dostała wolne, panie. Jak na nocną niewolnicę nie ma zbyt dużo pracy, prawda?

Wallie objął ją mocniej ramieniem.

–Istotnie. Dobrze chociaż, że Nnanji nie próbuje wyświadczyć przysługi żadnej kapłance.

Kobieta uśmiechnęła się.

–Myślę, że uczennica od kogo innego oczekuje zainteresowania.

Wallie spojrzał na drugą stronę ogniska. Quili i Garadoo siedzieli bardzo blisko siebie, rozmawiali... o nowych kwaterach dla niewolników?

–Hm! Nie zauważyłem.

–Pozwoliłam sobie wspomnieć o tym adeptowi Nnanjiemu. On też się nie zorientował.

–Wierzę.

–Na szczęście lubi budowniczego Garadooiego, który jest pod wielkim wrażeniem uczennicy Quili. Mówi, że do tej pory jej nie dostrzegał. Niewiele czasu spędzał w majątku, odkąd wstąpił do cechu.

Wallie pocałował ją w ucho.

–Wybaczam ci zuchwałość, niewolnico. Dobra robota!

Jja milczała przez chwilę.

–Lord Honakura dobrze się bawi, prawda?

–Staruszek... – Wallie już chciał powiedzieć: “ma wielki ubaw”, ale ugryzł się w język. – Tak. Jest bardzo zmęczony, ale szczęśliwy.

–Zauważyłeś coś jeszcze, panie? Zmieniłeś życie i Nnanjiego. Lord Honakura jest szczęśliwy. A Dzika Ani...

–Dałem jej złoto.

–Złoto ma niewielką wartość dla niewolnic, panie. Mogą kupić sobie za nie wino albo słodycze, i nic ponadto. Dzięki tobie Dzika Ani zagrała gwardzistom na nosie, a to właśnie podobało się jej najbardziej.

–Co sugerujesz, moja droga?

–Wszyscy, którzy pomogli w twojej misji, zostają nagrodzeni! Nowicjusz Katanji miał być uczniem swojego ojca, choć wcale tego nie chciał.

Rzeczywiście, Katanji nie byłby zachwycony, gdyby przez całe życie musiał tkać dywany. Wallie przypomniał sobie również Briu i jego rodzinę oraz Imperkanniego, który został dowódcą świątynnej gwardii. A Coningu na pewno spotkał się z dawno utraconym synem.

–Może masz rację. Chciałbym, żeby tak było. Mam nadzieję, że wyjdziemy żywi z tej przygody, by cieszyć się nagrodami.

Jja pocałowała go z uczuciem. Wkrótce leżeli obok siebie.

–O czymś myślisz, panie.

–Dzisiaj nie myślę o niczym. Nagrody muszą poczekać. Śpij.

Pamiętał, że w nocy drżał z zimna, ale Jja otuliła go kocem. Latem Bóg Słońca potrzebował dużo mniej odpoczynku niż Ludzie, zwłaszcza śmiertelnicy tak wyczerpani podróżą, że na twardej ziemi spali zdrowo jak w puchowej pościeli. O świcie ptaki wszczęły harmider, ale zostały zignorowane.

Minęła połowa ranka...

–Mentorze?

Nnanji? Nie. To był głos Katanjiego. Wojownik Shonsu potrafił w jednej sekundzie obudzić się z mocnego snu.

–Tak?

Wallie ujrzał psotny uśmiech Pierwszego.

–Czy mogę mieć zaszczyt przedstawić ci, panie, nowicjusza Matarro, szermierza pierwszej rangi?

–To ja będę zaszczycony, tylko pozwól, że najpierw odszukam zapinkę – powiedział Wallie.

Chłopiec stojący obok Katanjiego drgnął zaskoczony na widok rangi wielkiego szermierza. Choć był niewiele starszy od brata Nnanjiego, przewyższał go wzrostem i sprawiał wrażenie bardziej dojrzałego. Brązowy od słońca, zdrowy i dobrze odżywiony, nosił pasy i miecz, tatuaż na czole był od dawna wygojony, w przeciwieństwie do zaognionej rany Katanjiego.

Matarro nie wyglądał jednak na szermierza. Nie miał kucyka, kiltu ani długich butów. Jedyne strój stanowiła przepaska biodrowa – długi pas białego płótna, którego jeden koniec wisiał z tyłu jak ogon. Wallie spał włosy, wyplątał się z koca, sięgnął po pasy i miecz. Potem wstał, przywołując na twarz życzliwy uśmiech. Gość, wyraźnie uspokojony, wyjął broń i zasalutował.

–Jestem Matarro...

Pewnie trzymał miecz, ale dwa gesty wykonał w niewłaściwej kolejności, czego chyba nie zauważył.

–Jestem Shonsu...

Odpowiadając zgodnie z rytuałem, Wallie spojrział ponad głową chłopca na molo. Obóz rozbity na końcu doliny zasłaniały gęste krzaki. Gdy statek przybił do brzegu, załoga ujrzała tylko opuszczony kamieniołom i kilka pasących się koni. Nowicjusza Mataro wysłano na zwiad. Jeśli Katanji pierwszy zauważył statek, powinien był obudzić Shonsu albo Nnanjiego, który przez dłuższą chwilę siedział na ziemi zaspany i oszołomiony. Pierwszy oczywiście zaprosił Matarro, żeby poznał jego mentora. Teraz uśmiechał się od ucha do i na widok reakcji gościa.

Tymczasem Nnanji zerwał się na równe nogi.

–Pozwól, że przedstawię cię adeptowi, nowicjuszu – powiedział Wallie.

Mały statek o niebieskim kadłubie i aż trzech białych masztach był wyraźnie przechylony na prawą burtę. Żeglarze znosili drewno po dwóch trapach i składali je na brzegu. Wszelkie głosy zagłuszał ryk wodospadu.

–Co to za statek? – zapytał Wallie, kiedy formalnościom stało się zadość.

Matarro przebiegł wzrokiem po obozowisku.

–Nazywa się *Szafir!* – pospieszył z odpowiedzią Katanji, zadowolony z siebie.

Lord Shonsu przeszył go morderczymi spojrzeniem.

–*Szafir*, panie.

–Co was sprowadza w te odludne strony?

Chłopak zawahał się, niepewny, ile może ujawnić. Prawdopodobnie nigdy w życiu nie spotkał Siódmego, więc miał prawo być zdenerwowany. Wysoki rangą szermierz mógł wyzwać nawet nowicjusza, jeśli nie spodobał mu się jego wygląd albo sposób mówienia. Gdyby zabił biedaka albo okaleczył, jego czyn byłby niehonorowy, ale całkiem legalny. Nikt nie ośmieliłby się zarzucić mu morderstwa.

–Sprowadziła nas Ręka Bogini, panie. Ostatniej nocy zerwała nam się kotwica... Nigdy wcześniej coś takiego nam się nie przytrafiło.

–Ładunek się przesunął?

Matarro kiwnął głową, zaskoczony trafnym spostrzeżeniem szczura lądowego.

–Kto jest kapitanem?

–Tomiyano Trzeci, panie.

–Przełącz moje pozdrowienia żeglarzowi Tomiyano i poinformuj go, że za kilka minut złożę mu wizytę. Jesteśmy na służbie Najwyższej i potrzebujemy środka transportu.

Chłopak odwrócił się na pięcie, ale raptem przypomniał sobie o rytuale pożegnalnym. Tym razem pomylił się jeszcze bardziej niż przy salucie. Na szczęście wiedział, co robić z mieczem. Potem puścił się biegiem przez zarośla jak wystraszony zając.

Nnanji prychnął z bezgraniczną pogardą:

–Szczur wodny! *Szafir*, co? – dodał rozbawiony, zerkając na Walliego.

Następnie spojrzał na Katanjiego niczym demon zemsty. Wyraz jego twarzy mówił, że pora nauczyć żółtodziobów właściwych procedur. Wallie ruszył w stronę namiotów. Honakura powitał go bezzębnym uśmiechem.

–Bogini z tobą, starcze.

–I z tobą, panie.

–Znowu miałaś rację!

–Czyż nie mam jej zawsze?

–Do tej pory owszem – przyznał Wallie. – Powiedz mi w takim razie, co się stało z czarnoksiężnikami? Sądziłem, że nie powinniśmy liczyć na cuda.

Honakura wzruszył chudymi ramionami.

–Jeśli chodzi o czarnoksiężników, może ich przeceniałeś. Są tylko ludźmi i też popełniają błędy. Może coś ich zatrzymało? Nie nazwałbym tego cudem. To Ręka Bogini. Zresztą nigdy nie mówiłem, że nie będzie cudów, tylko że nie powinieneś ich oczekiwać. Bohaterowie też miewają szczęście. To duża różnica.

Uśmiechnął się z zadowoleniem. Stary kapłan potrafiłby zapędzić w kozi róg kolegium jezuitów.

Śmiejąc się pod nosem, Wallie ruszył do sadzawki pod wodospadem. Po drodze rozkoszował się piękną pogodą i nieoczekiwanym, za sprawą bogów, wybawieniem z tarapatów. Chwilę później dołączył do niego Nnanji, mamrocząc coś o nowicjuszach i ostentacyjnie zmywając z rąk krew Katanjiego. Nie przyjmował do wiadomości, że trzy dni to za mało, żeby zmienić chłopaka w prawdziwego szermierza. Poza tym nie rozumiał, że brat nigdy nie sprosta niedorzecznym wymaganiom mentora.

–Niech zgadnę. Poprosił cię, żebyś mu wyjaśnił procedurę, a wtedy ty musiałeś przyznać, że ją zlekceważyłem, nie wystawiając czujek.

Nnanji odburknął coś niewyraźnie. Zamiast skorzystać z władzy nad protegowanym, jak zwykle pozwolił mu mówić, choć w dyskusjach z młodszym bratem niezmiennie przegrywał. Wallie uśmiechnął się do siebie i zmienił temat.

–Chodźmy złożyć wizytę na *Szafirze*. Jakie zasady obowiązują przy wchodzeniu na statek, Nnanji? Trzeba pytać o pozwolenie?

–Pozwolenie? – Nnanji zastanawiał się przez chwilę. – Tak! Adept Hagarando kiedyś o tym wspominał. Wszyscy muszą salutować kapitanowi, niezależnie od rangi,

a na pokładzie nie wyjmują się mieczy.

Właśnie takich rzeczy Wallie nie wiedział o Świecie. Dlatego bogowie przydzielili mu do pomocy młodzieńca o niezawodnej pamięci. Największą jednak dumą Czwartego były czysto szermiercze umiejętności, nie mógł więc nabrać podejrzeń, że jest dla Siódmego podręcznym źródłem informacji. Byłby zdruzgotany. Wallie podziękował mu niedbale, jakby chodziło o błahostkę.

–Szczur wodny to szermierz, który mieszka na statku? Ile jest wszystkich typów szermierzy?

Nnanji zamrugnął ze zdziwieniem.

–Garnizonowi, wolni i szczury wodne.

–Żeglarze mają szermiercze znaki na czole, ale nie noszą kucyków ani kiltów, tak?

–Możliwe, panie bracie. Nigdy żadnego nie spotkałem. Wolni zawsze mówili o nich z pogardą. Myślę...

–Mniejsza o to – przerwał mu Wallie pospiesznie. – Sądząc po nazwie, statek z pewnością sprowadziła Bogini...

–Do diabła! – krzyknął Nnanji.

Szafir znajdował się sto metrów od brzegu. Pod pełnymi żaglami płynął w dół Rzeki, nabierając szybkości mimo przechyłu. Na molo został stos drewna.

Wallie popełnił błąd. Powinien był iść na statek razem z Matarro.

Kiedy zjawia się czarnoksiężnicy?

–Panie bracie! Co teraz zrobimy?

Mężczyzna w gniewnym milczeniu patrzył za oddalającym się statkiem. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że w ten piękny poranek znad Rzeki wieje lekki wietrzyk.

–Myślę, że zdamy się na mojego przyjaciela – powiedział w końcu.

–Jakiego przyjaciela?

–Nazywam go Małym.

Nnanji zmarszczył brwi.

–Mały?

–Nie poznałeś go. To bóg.

Bardzo zabawne, panie Smith! Uprzedzono go, żeby nie domagał się cudów, a także ostrzeżono, że może zawieść jak Shonsu i zginąć podczas misji. Teraz potkała go niespodzianka zakrawająca na cud, a on lekkomyślnie zaprzepaścił szansę ratunku.

Kiedy przybędą czarnoksiężnicy?

Jja i Quili przygotowały śniadanie. Wallie był tak wściekły na siebie, że stracił apetyt. Szorstko rozkazał Katanjiemu pójść na molo i obserwować *Szafir*. Zapewnił wszystkich, że statek niebawem wróci. Udawana pewność siebie nie zwiodła Honakury, który uśmiechał się złośliwie, ani wyraźnie zmartwionej Jji. Pozostali, szczególnie Garadoo, zdawali się wierzyć w jego prorocstwo.

Wallie nałożył placki i pieczone żeberka wieprzowe na kilka liści szczawiu i skinął na Nnanjiego. Gdy znaleźli się w bezpiecznej odległości od towarzyszy, usiedli na trawie. Po chwili przybiegł Katanji i zameldował, że statek zniknął. Shonsu kazał mu wrócić na posterunek.

–Jedź i mów – powiedział Wallie do Nnanjiego, choć Czwarty zwykle tak właśnie robił, i to bez rozkazu. – Chcę usłyszeć wszystkie opowieści o żeglarzach i wolnych szermierzach, jakie znasz. Tym razem co do słowa, jeśli potrafisz.

–Oczywiście!

Nnanji zdziwił się, że ktoś może wątpić w jego pamięć. Przez chwilę zastanawiał się, ogryzając kość.

–Dwa lata temu na obiedzie w Dniu Garnarczy...

Po anegdocie o Piątym, który twierdził, że w swojej karierze zabił czterech ludzi i ośmiu kapitanów statków, posypały się kolejne. Opowiadając, Nnanji nieświadomie naśladował głosy osób, od których je słyszał. Wolni szermierze służący Bogini oczekiwali darmowego transportu. Żeglarze, którzy odmawiali im przysługi albo zachowywali się wyzywająco, w najlepszym razie mogli stracić ucho. Czasami żołnierze musieli godzić się z impertynencją, póki statek nie dotarł do portu. Wtedy mogli ukarać zuchwałych. Dochodziło do aktów przemocy. Nic dziwnego, że krążyły plotki o tajemniczych zniknięciach szermierzy w czasie podróży.

Oczywiście, na każdą z historii wartych powtórzenia mogło przypadać sto nie zakłóconych żadnymi incydentami, a nawet przyjaznych spotkań. Lecz co do ogólnej tendencji nie było wątpliwości.

–Wystarczy! Dziękuję, Nnanji.

–Znam dużo więcej opowieści!

–Wystarczy. Nieprzyjemna banda, co? Nnanji odruchowo skinął głową, żując chrząstkę. Raptem przełknął ją, omal się nie dławiąc, i wytrzeszczył oczy.

–Masz na myśli żeglarzy, panie?

–Nie.

Wallie wstał i oddalił się, zostawiając protegowanego z ustami otwartymi ze zgrozy.

–Panie, już nas nie potrzebujesz. – Garadoo nie miał wątpliwości. – Uczennica Quili i ja wrócimy do domu, jeśli pozwolisz.

–A czarnoksiężnicy?

–Nie zrobią jej krzywdy, panie. Ani mnie, jak sędzę.

–Nie możesz tego wiedzieć.

Wallie spodziewał się zabrać tych dwoje ze sobą, kiedy statek wróci. Gdyby nie przy płynął, rzeczywiście byłiby bezpieczniejsi z dala od jego kompanii, ale młodemu budowniczemu nie o to chodziło.

–Mój ojciec jest jednym z ich głównych popleczników wśród mistrzów gildii – stwierdził niechętnie Trzeci, a potem się uśmiechnął. – Poza tym, nie zrobiłem nic złego. D majątku przybyli trzej zabłąkani szermierze. Najkrótszą drogą wyprowadziłem ich z terytorium czarnoksiężników.

–Jestem wdzięczny wam obojgu. Skoro chcecie, jedźcie z moim błogosławieństwem, ale zażądam od ciebie przysięgi, budowniczy.

–Nic im nie powiem, panie!

–Powiedz im wszystko! Odpowiesz na każde pytanie. Musisz mi to przyrzec, bo inaczej tu zostaniesz. Nie chcę, żeby cię torturowali.

Na chudej twarzy młodzieńca pojawił się znajomy fanatyczny wyraz.

–Pomagam sprawie Bogini. Ona mnie obroni!

Na wszelki wypadek Wallie odebrał od Garadooiego uroczystą i przysięgę. Nie znając pisma i innych form umów, Ludzie bardzo poważnie traktowali tego rodzaju zobowiązania.

–Zabierzecie wóz?

Budowniczy wyglądał na zaskoczonego.

–Dwa wystarczą? Resztę od ciebie kupię.

–Ale...

Siódmy położył palec na ustach. Twarz Garadooiego rozjaśniła się w uśmiechu.

–Nigdy nie było o tym mowy! Nie wezmę twojego złota, lordzie Shonsu.

“Moja rodzina może sobie pozwolić na oddanie kilku szkap. Zgubiłem je, babciu”.

Wallie tym razem ustąpił. Leżąca na uboczu przystań mogła posłużyć nie tylko jako droga ucieczki, ale również jako tylne wrota do kopalni czarnoksiężników i Ov. Była idealnym miejscem na przeszkolenie małej armii. Wydawało się prawdopodobne, że wierzchowce raczej nie uciekną z tego końskiego rajy i jeszcze kiedyś się przydadzą.

Garadoodi objuczył dwa konie zapasem jedzenia i namiotem. Wallie odprowadził budowniczego i Quili na szczyt urwiska i pomógł zaciągnąć wóz na płaski teren. W rzecznej dolinie ciągnącej się za jeziorkiem nie było śladu czarnoksiężników.

Drugiego konia Garadoodi przywiązał za wozem. Widać zamierzał jechać na koźle obok Quili. Wallie podziękował im jeszcze raz, przekrzykując ryk wodospadu. On również dostrzegł teraz zmianę w małej kapłance. W obojgu młodych, którzy stali blisko siebie i mieli miny, jakby pragnęli wreszcie zostać sami. Życzył im powodzenia i z rozpęduomal nie złożył gratulacji. Uznał jednak, że może byłyby przedwcześnie.

Wtem dostrzegł, że na molo podskakuje i wymachuje ramionami malutka postać.

–Muszę iść.

Jeszcze raz podziękował przyjaciółom, uścisnął Garadoodiemu rękę i pocałował Quili. Dla niej może był to zaszczyt, dla niego niewątpliwa przyjemność. Dziewczyna zapłonęła się, ale nie obraziła. Wallie ruszył w dół na przystań. Ekspedycja znowu liczyła siedem osób.

Zanim dotarł na molo, *Szafir* podpłynął na tyle blisko, żeby przez wodę niosły się na brzeg gniewne głosy. Wiatr zupełnie ustał, żagle zwiślały bezwładnie w południowym upale. Statek, już nie tak mocno przechylony, dryfował do portu.

Katanji miał przejętą minę, Nnanji triumfował.

–Tylko na chwilę odwróciłem wzrok, panie, a w następnej ich zobaczyłem!

–Tym razem zrobią to, czego Bogini od nich żąda, panie bracie!

Wallie nie był taki pewien. Teraz wiedział, jak szermierze traktują żeglarzy i dlatego wiadomość przyniesiona przez Matarro skłoniła ich do pospiesznego odpłynięcia. Bogini sprowadziła ich w to samo miejsce, ale na pokładzie wybuchła kłótnia. Wallie żałował, że nie może odróżnić słów. Najgłośniejszy spór toczył się na rufie. Z nadbudówki dziobowej wybiegli dwaj mężczyźni i po chwili ze zgrzytem opadła kotwica. Zatrzymała się tuż nad powierzchnią wody. Najwyraźniej zaklinował

się łańcuch. Do brzegu dobiegły przekleństwa i okrzyki wściekłości. Szafir płynął prosto na molo.

Wallie odwrócił się i zobaczył Honakurę nadchodzącego wolnym krokiem.

–Nnanji! Spójrz!

Na szczycie urwiska wymachiwał do nich ręką jakiś człowiek. Garadooi. Wallie mu pomachał. Gdy budowniczy upewnił się, że dostrzeżono jego znaki, wsiadł na konia i odjechał.

–Zbliżają się? – spytał Czwarty.

–Ta to wygląda.

Ile czasu zajmie jeźdźcom okrążenie jeziorka? A zejście po zboczach? Może zresztą wcale nie będą się fatygować na dół, tylko z góry rzucą czar, wzywając demony.

Wallie otarł pot z czoła. Słońce odbijało się od wody i ciemnych kamieni.

Powietrze było nieruchome i duszne. Szafir znajdował się już bardzo blisko miejsca, do którego niedawno cumował. Klótnie ustały, podobnie jak próby uwolnienia kotwicy. Dwaj mężczyźni wywieszali odbijacze, ale reszta załogi gdzieś zniknęła. Jja, Ybcini, Krówka i Honakura dotarli na pomost.

Statek łagodnie przybił do molo. Wallie już czekał przy pachołku, ale nikt nie rzucił mu liny. Nie wysunięto trapu.

Siódmy wskoczył na stos drewna.

–Zapomnieliście czegoś? – spytał uprzejmie.

Przez chwilę trwał pojedynek na spojrzenia. Wzdłuż burty, w pewnych odstępach od siebie, stało pięciu marynarzy gotowych do odparcia ataku. Ręce mieli opuszczone, tak że nie było widać, czy są uzbrojeni. Wallie widział tylko nagie brązowe torsy i gniewne twarze. Przyszło mu na myśl skojarzenie z drużyną zapaśników.

Mężczyzna stojący pośrodku wyglądał na kapitana. Trzy znaki na czole świadczyły o jego randze i zawodzie. Był młody, dobrze zbudowany, o rudawych włosach – nie tak czerwonych jak u Nnanjiego – i skórze spalonej na ciemny mahoń. Oczy miał zmrużone, duże białe zęby obnażył w grymasie wściekłości. Ledwo nad sobą panował. Sprawiał wrażenie człowieka przyzwyczajonego do stawiania na swoim i niebezpiecznego.

Wallie zasalutował.

–Czego chcesz, szermierzu? – warknął kapitan.

–Pozwolenia na zaokrętowanie się, żeglarzu.

–Po co?

–Szukam środka transportu dla siebie i swoich towarzyszy.

–To statek rodzinny. Nie mamy miejsca dla pasażerów.

–Chętnie zapłacę rozsądną cenę.

–Pieniądze nie powiększą statku.

–Więc wysadźcie Jonaszów na brzeg. Twarz mężczyzny pociemniała pod opalenizną, choć bycie Jonaszem nikomu nie przynosiło ujmy.

–Co, do diabła, masz na myśli, szermierzu?

Wallie milczał przez chwilę, żeby zapanować nad sobą; użycie nazwy rzemiosła

przy zwracaniu się do wyższego rangą było obraźliwe. Jednocześnie walczył z pokusą, żeby odwrócić się i spojrzeć na urwisko, czy nie nadjeżdżają czarnoksiężnicy. Popęłniłby błąd taktyczny w trudnych negocjacjach. Mógł tylko mieć nadzieję, że Nnanji czuwa i w razie potrzeby da mu znak.

–Jeśli nie macie Jonaszów na pokładzie, może sprowadzono was tutaj, żebyście paru zabrali?

Tomiyano – bo to zapewne był on – uderzył pięściami w reling i spojrzał ze złością na obwisłe żagle.

–To nie ma sensu. Pozwól mi wejść na pokład, żeglarzu. Oddam j ci salut i będziemy mogli porozmawiać w cywilizowany sposób.

Kapitan nie zareagował. Dwaj mężczyźni przez chwilę mierzyli się wzrokiem. W końcu żeglarz warknął:

–Jestem Tomiyano, żeglarz trzeciej rangi, kapitan Szafira...

Wyrzucił z siebie resztę pozdrowienia, niedbale wykonując rytualne gesty. Był to kulturalny odpowiednik splunięcia wrogowi pod nogi. Wallie zbył nieuprzejmość milczeniem i sięgnął po miecz.

–Jestem Shonsu, szermierz siódmej rangi, orędownik Bogini i...

–Kto?

–Orędownik. To Jej miecz, kapitanie. Dał mi go bóg. Widzisz szafir? Na mojej zapince jest drugi, również od boga. Wykonuję misję dla Najwyższej. Potrzebuję środka transportu, a twój statek sprowadziła tutaj Ręka Bogini.

–Pierwsi za dużo gadają – wybuchnął Tomiyano.

–Chłopak kłamał?

–Nie.

Katanji zakaszłał głośno. Wallie obejrzał się mimo woli. Na szczycie wzgórza stało pięciu mężczyzn w kapturach. Tomiyano też ich dostrzegł. Uśmiechnął się z satysfakcją.

–Uciekasz przed kimś, szermierzu?

–Tak, żeglarzu. Przed czarnoksiężnikami.

–Czarnoksiężnikami? Tak blisko Rzeki? Ha!

Wallie zerknął na członków załogi. Wszyscy mieli marsowe i miny. Może się wahali, ale najpierw Siódmy musiał przekonać kapitana. Obejrzał się ponownie. Jeźdźcy ruszyli ku najłatwiejszemu zejściu z urwiska. Nnanji był bledszy niż zwykle, lecz nie j ze strachu przed czarnoksiężnikami, tylko z gniewu na bezczelne-; go żeglarza. Czyżby Bogini poddawała ich kolejnej próbie? Zostało bardzo niewiele czasu na negocjacje.

–Zapędzono cię w pułapkę, szermierzu! – rzucił Tomiyano S szyderczo. – Uciekasz.

–Niezupełnie – odparł Wallie, z trudem panując nad głosem. – Rok temu czarnoksiężnicy zabili w Ov czterdziestu szermierzy.

–Szkoda, nie me zabili trzy razy więcej,

–A Matarro Pierwszy? Ratuj choć jego! Odplyń szybko, kapitanie

Przypomnienie bezsilności pozbawiło żeglarza mowy. Statek był unieruchomiony,

a on nic nie mógł na to poradzić.

–Czarnoksiężnicy wezwą demony ognia, kapitanie. Wolałbyś, żeby trzymały się z daleka od *Szafira*, prawda?

Tomiyano omal nie zazgrzytał zębami. Spojrzał na Rzekę. Przy molo woda była gładka jak szkło. Dalej marszczył ją wiatr.

–Jeśli wpuszczę ciebie i twoją zbieraninę na pokład, czarnoksiężnicy ruszą za nami.

–Zabierz nas, a będziesz mógł odpłynąć. Lekceważysz Jej wolę, nie moją. Nie ja ciebie tu ściągnąłem.

–Nie!

Tomiyano znalazł lepsze rozwiązanie. Martwi nie podróżują. s W jego dłoni pojawił się nóż. Po sposobie, w jaki żeglarz go trzymał, Wallie od razu się zorientował, że kapitan potrafi tą bronią rzucać. Nagle poczuł się śmiertelny i bezradny. Stał za daleko, żeby użyć miecza.

–Żaden cholerny szczur lądowy nie postawi nogi na moim statku! Przysiągłem w Yok, że...

–Milcz! – usłyszeli czyjś głos.

Kapitan opuścił ramię i spiorunował wzrokiem osobę, która stanęła w drzwiach nadbudówki. Wallie zerknął przez ramię w stronę lądu. Czarnoksiężników zasłoniły drzewa, ale na pewno znajdowali się już blisko. Popatrzył na Rzekę. Pas spokojnej wody przy brzegu był coraz węższy. Zrywał się wiatr. Do odpłynięcia *Szafira* zostały minuty. Skoro nie mógł wsiąść na statek, powinien razem z Nnanjim ruszyć wrogom na spotkanie.

–Zajmę się tym, Tomo.

Wallie z osłupieniem wlepił oczy w siwowłosego szermierza, który podszedł do kapitana. Zamiast kiltu Piąty nosił czerwoną szatę bez rękawów, a skórzane pasy nie biegiły równolegle, tylko krzyżowały się na piersi. Był niski i pękaty. Miał dziwną figurę...

–Jestem Brota, szermierz piątej rangi, właścicielka *Szafira*...

Gruba kobieta w średnim wieku szermierzem? Gdy Wallie sięgnął po miecz, żeby odwzajemnić salut, w głowie miał zamęt. Usłyszał warknięcie Nnanjiego. Trzeci próbował się sprzeczać, ale Piąta kazała mu zamilknąć. Mężczyzna posłuchał. Właścicielka? Najwyraźniej to ona była prawdziwym kapitanem statku, zapewne matką Tomiyano. Gdy Siódmy schował broń, rzuciła spojrzenie na Rzekę, a potem na wylot doliny. Kucyk miała przewiązany różową wstążką.

–Co to za historia z czarnoksiężnikami, panie?

–Rok temu wybili garnizon w Ov, Bogini przysłała mnie, żebym rozprawił się z nimi, ale na razie brakuje mi ludzi. Pięciu magów będzie tutaj lada chwila. Nie tylko ja jestem w niebezpieczeństwie. Ty, pani, i nowicjusz Matarro...

Kobieta nie była tak wysoka jak Dzika Ani, ale chyba grubsza. Pulchna twarz nie nosiła jednak wyrazu posępnej rezygnacji, który cechował oblicza niewolników. Malowała się na niej władczość i nieustępliwość. Te same cechy Wallie dostrzegł w głęboko osadzonych oczach, które kojarzyły się ze smokami przyczajonymi w

ciemnych jaskiniach. Z kobiecej twarzy patrzyły na niego oczy starego mężczyzny. Wrażenie potęgowały krzaczaste, siwiejące brwi.

–Od trzydziestu lat przemierzam Rzekę, lordzie Shonsu, i ani razu nie kierowała nami Jej Ręka. Nigdy nie słyszałam o statku, który zerwałby się z kotwicy. Może rzeczywiście mamy ubić interes.

Spojrzała na marszczącą się wodę i na żagle, które por się lekko. Wyraźnie grała na czas.

–Lepiej zrobmy to szybko, pani Broto.

Kobieta wzruszyła ramionami.

–Czego właściwie od nas oczekujesz, panie?

Wallie zawahał się. Wolałby w obecności świadków podpisać kontrakt zabezpieczony karami umownymi, ale musiał poprzestać na uścisku dłoni. Zerknął na sielską dolinę.

–Chcemy natychmiast wejść na statek i bezpiecznie dopłynąć do...

Ostrożnie! Geografia Świata była zmienna.

–Do najbliższego miasta, w którym będę mógł zwerbować szermierzy.

Tomiyano próbował coś powiedzieć, ale Brota zgasła go krótkim spojrzeniem.

–Dobrze. Opłata wyniesie dwieście sztuk złota.

Był to rozbój w biały dzień. Za taką sumę można by kupić gospodarstwo.

Przekleństwo Nnanjiego zagłuszył śmiech, który wyrwał się z gardła kapitana. Pozostali żeglarze uśmiechnęli się szeroko.

Żagle załopotały. Jednocześnie poruszyły się krzaki obok dwóch zrujnowanych chat.

–Zgoda! – powiedział Wallie.

Oczy kobiety zwęziły się z gniewu.

–Chcę zobaczyć pieniądze, panie.

Wallie pogrzebał w sakiewce i wyjął jeden z klejnotów, które dał mu bóg.

Sprzedalem podobny za trzy sta, pani. Jak widzisz, mam na przejazd. Umowa stoi.

Kobieta łypnęła na niebieski kamień i chciwość zwyciężyła.

–Bierzcie ich na pokład!

Członkowie załogi pospieszyli wykonać rozkaz. W burcie otworzyły się dwie klapy. Żagle nadęły się radośnie pod pieszczotą wiatru. Gdy lord Shonsu zeskoczył ze stosu drewna, spomiędzy drzew wyjechali prześladowcy. Tomiyano pobiegł do steru. Jja z Vixinim weszli przez jedną furtę, Nnanji prawie wepchnął Honakurę do drugiej. Wallie chwycił za rękę oszołomioną Krówkę. Szafir odbił od molo. Z pomocą brata i jednego z żeglarzy Katanji dostał się na pokład. Ludzie w brązowych szatach z kapturami pędzili ku przystani. Nnanji i Wallie skoczyli i przywarli do burty. Zawiśli kilka cali nad wodą, w której roiło się od piranii. Po chwili wciągnięto ich na statek.

Klapy zamknęły się z hukiem.

Uff!

Czarnoksiężnicy zatrzymali się w połowie drogi do molo. Ich dowódca, Czworthy, bezsilnie potrząsnął pięścią. Wallie czekał w napięciu na czary, ale groźne postacie tylko stały bez ruchu. *Szafir* oddalał się od brzegu, sunąc ku otwartym wodom. Znajdował się poza zasięgiem magii albo czarnoksiężnikom brakło tchu na wypowiedzenie zaklęć.

Brota podeszła do lorda Shonsu i wyciągnęła dłoń. Wokół nich] zebrali się żeglarze. Twarze mieli nieprzyjazne, ręce trzymali za plecami.

Jeśli bogowie poddali orędownika kolejnej próbie, Wallie wyszedł z niej zwycięsko, znalazłszy się na pokładzie statku. Lecz jeśli powinien być zostać i walczyć, zawiódł haniebnie, wydając miecz Bogini w ręce piratów. Za parę minut mógł stać się pokarmem dla ryb. Sięgnął do sakiewki. Celowo długo w niej grzebał, żeby patrzący nie zorientowali się, ile jest w niej klejnotów. Rzucił szafir na tłustą dłoń Broty.

Kobieta uważnie obejrzała klejnot i schowała go do kieszeni, nie proponując reszty. Wyciągnęła obie ręce do lorda Shonsu. Wallie uściśnął je niezgrabnie, pieczętując umowę nowym dla niego zwyczajem. Napięcie opadło.

–Chodź ze mną, panie.

Piąta ruszyła w stronę rufy ciężkim, kaczkowatym chodem. Żeglarze ustępowali jej drogi. Nnanji usunął się na bok i omal nie; wpadł do ładowni. Wallie szedł z uniesioną głową, w każdej chwili spodziewając się ciosu nożem w plecy. Chwilę później Czworthy podążył za mentorem.

Na niewielkim głównym pokładzie *Szafira* było bardzo mało wolnego miejsca. Wallie okrążył duży otwarty luk. Dalej drogę tarasowały szalupy ratunkowe wiszące na obu burtach. Następnie musiał wyminąć główny maszt i drugi luk oraz uważać na liny, pacholki, kołkownice, wiadra z piaskiem, stosy drewna, pokrywy luków i dwie pary schodków prowadzących na pokład rufowy. Był to niebezpieczny tor przeszkód. Kobiety i dzieci które pojawiły się nie wiadomo skąd, z niechęcią spoglądały na intruzów.

Na rufie przynajmniej było pusto. Tomiyano siedzący przy sterze łypnął na nich spode łba. Brota skierowała się do drzwi przy bezanmaszcie. Wchodząc za przewodniczką, Wallie musiał się schylić. Nnanji następował mu na pięty.

Znaleźli się w jasnym i przestronnym, ale niskim pomieszczeniu. Rękojeść siódmego miecza prawie dotykała belek. Jedyne umeblowanie stanowiły dwie duże drewniane skrzynie stojące w głębi. We wszystkich ścianach były po dwa duże okna z żaluzjami. Roztaczał się z nich imponujący widok na cztery strony świata.

–To jest nadbudówka rufowa, panie. Musi wam wystarczyć, bo nie mamy wolnych kajut.

–Tu nam będzie bardzo dobrze – zapewnił Wallie. – A zwykle do czego służy to pomieszczenie? Chcielibyśmy sprawić wam jak najmniej kłopotu, pani.

Krzaczaste brwi uniosły się lekko.

–Nocą korzysta z niego wachta. W dzień bawią się tu dzieci. Jadamy tu, kiedy jest brzydka pogoda. Obejdziemy się bez niego przez dzień lub dwa.

Wallie uśmiechnął się do kobiety. Brota nie odwzajemniła uśmiechu, ale jej postawa już nie była tak wroga jak na początku. Interes to interes. Pasażerom nie groziło wyrzucenie za burtę... przynajmniej na razie.

–Jakich zasad mamy przestrzegać? Nie chcemy żadnych nieporozumień, pani. Przychodzimy w pokoju.

Na twarzy Piątej odmalowało się lekkie zaskoczenie.

–Toalety i prysznice są w części dziobowej. Proszę tylko, żebyście nie schodzili na dół.

–Dobrze.

Kobieta przyglądała ma się przez chwilę, a potem zerknęła na Czwartego.

–Pozwolisz, pani.

Wallie przedstawił jej protegowanego i brata. Nnanji i Brota wymienili cywilne saluty. W tak niskim pomieszczeniu trudno byłoby im wyciągnąć miecze. Młody szermierz, nadal wściekły, zachowywał się szorstko.

–Muszę wspomnieć o pewnej delikatnej sprawie, która często bywa przyczyną kłopotów, lordzie Shonsu. Nie wątpię w wasz honor, ale...

–Adept Nnanji i ja mamy własne niewolnice. Starzec jest nieszkodliwy, a nowicjusza ostrzeżemy. W razie jakichkolwiek zatargów proszę natychmiast mnie poinformować, pani Broto.

–Jesteś uprzejmy, lordzie Shonsu.

–Ty również, pani.

Brota zmarszczyła brwi.

–Przepraszam za maniery syna. On... Jesteście mile widziani na statku. Będziemy służyć tak, jak chce Bogini.

Jeśli Tomiyano był wobec nich jedynie gburowaty, Wallie wolałby nie doświadczyć jego wrogości.

–Zdaje się, że najbliższym miastem jest Aus, około pół dnia drogi na północ?

Piąta spojrzała przez okno. Szafir znajdował się już pośrodku Rzeki.

–W takim razie tam się skierujemy. Ten port czy inny, to nie ma dla nas znaczenia. Gdy tylko odzyskamy stateczność, popłyniemy szybciej.

Odgłosy dobiegające spod głównego pokładu świadczyły, że w ładowniach wre praca. Kilkoro dzieci klęczało przy lukach, obserwując, co dzieje się w czeluściach statku. Na nowo rozmieszczano ładunek, który przesunął się w trakcie rejsu.

–Jeśli przyda się para silnych ramion... Za bardzo wyszedł z roli. Zaskoczenie Broty przerodziło się w podejrzliwość.

–Mamy więcej ludzi do pracy niż miejsca dla nich, panie. A teraz, jeśli mi wybaczycie...

Brota ruszyła ku drzwiom. Wallie obserwował przez chwilę jej szerokie plecy, miecz, siwy kucyk, zamaszyste ruchy potężnych ramion. Gdy kobieta wyszła, odwrócił się do wzburzonego Nnanjiego i poprosił, ucinając wszelkie protesty:

–Opowiedz mi o kobietach-szermierzach, bracie.

–To jedna z rzeczy, która denerwuje prawdziwych szermierzy, Nieraz słyszałem rozmowy na ten temat.

Następnie powtórzył trzy dyskusje toczone kiedyś przez Ludzi, których mentor nie znał. Wallie doszedł do wniosku, że sutry nie zabraniają kobietom uprawiania szermierczego rzemiosła, Szczury wodne miały prawo do własnej interpretacji niejednoznacznych przepisów, ale walka z kobietą mogła budzić w mężczyznach wewnętrzny sprzeciw.

–Musiała być dobra w młodości, skoro doszła do piątej rangi – stwierdził. – Nawet teraz pewnie nieźle potrafiłaby się bronić. Na atak jest za wolna...

Nnanji uśmiechnął się złośliwie.

–W takim razie nic nam nie grozi. Nie widziałem na statku innych szermierzy, oprócz nowicjusza Matarro.

–Dobrze przyjrzałeś się żeglarzom?

–Tak. A co?

Wallie nie odpowiedział, tylko ruszył do drzwi. Okazał się jednak niedostatecznie szybki.

–Panie bracie! Dwieście sztuk złota to zdzierstwo!

–Zgadzam się.

–Więc je odbierzesz, kiedy dotrzemy do Aus?

Oczy Czwartego płonęły. Najwyraźniej miał ochotę obciąć komuś uszy.

–Nie! Zawsze dotrzymuję umów. Mam nadzieję, że pani Brota też. Nnanji popatrzył na mentora pustym wzrokiem.

–Nie przyjrzałeś się żeglarzom. I nie myślisz. Chodź!

Tuż przy drzwiach siedział na odwróconym wiadrze Honakura.

–Coś przegapiłeś? – spytał Wallie kąśliwie.

–Nie sądzę, panie. Interesująca dama!

–I krwiożerczy synalek!

–To prawda. Czujesz się upokorzony?

Stare oczy miały drwiący wyraz.

Walliemu nigdy nie przyszło do głowy, że on sam może być potężną zagadkową postacią. I śmiał krytykować Nnanjiego za bezmyślność? Przecież nie ma potężniejszego człowieka niż szermierz siódmej rangi.

–Mam nadzieję, że tak – powiedział z zadumą. – Nie chciałbym być potraktowany gorzej. “Armia zebrana?”

Do tej pory nie zrobił nic, żeby stworzyć armię. Próbował odgadnąć, co Honakura ma na myśli. Przebiegły stary lis coś przed nim ukrywał.

–Uważasz, że werbunek w Aus będzie nie taki łatwy, jak się spodziewam?

–Może. Znalazłeś jakieś koła do zatoczenia?

–Do licha! Co wymyśliłeś, człowieku?

–Ja, panie? Jestem tylko biednym żebrakiem, starym i pokornym sługą...

Wallie mruknął pod nosem przekleństwo i odszedł. Mały plan bywał nieznośny, gdy wpadał w przekorny nastrój.

Hałas pod pokładem nie ustawał, ale przechył *Szafira* wyraźnie się zmniejszył. Jja siedziała przy nadbudówce dziobom i cierpliwie powstrzymywała Vixiniego, który koniecznie chciał zbadać luk. Krówka póleżała obok niej. Katanji rozmawiał z dwiema

dorastającymi dziewczynkami i z nowym kolegą. Matarro, tym razem bez miecza, miał na sobie tylko przepaskę biodrową. Jedynie znak na czole świadczył o jego profesji. Ilu jeszcze szermierzy było wśród załogi?

Słońce świeciło, wiatr dmuchał, statek sunął po wodzie. Na północno-zachodnim horyzoncie majaczyły ośnieżone szczyty RegiVul, majestatyczne i piękne.

Wallie oparł się o reling i zaczął obserwować ludzi kręcących się po pokładzie, Nnanji stanął obok, a po chwili podeszła do nich Jja z Vixinim w ramionach. Krówka przywlokła się za nią.

–Pływałaś już kiedyś statkami, najdroższa? – zapytał Wallie. – Jaki jest ten, w porównaniu z innymi?

Dziewczyna omiotła wzrokiem pokład i uśmiechnęła się.

–Widzę tylko jedną różnicę, panie. Ten jest czystszy.

–Rzeczywiście dbają o niego.

Choć *Szafir* był stary – sęki w deskach się wybrzuszyły – mosiądz lśnił, farba i lakier błyszcząły, liny wyglądały na nowe i mocne. Członkowie załogi, schludni i zdrowi, nosili przepaski biodrowe, a kobiety dodawały do nich chustę zasłaniającą piersi i związaną na plecach. Miejskowa odmiana kostiumu bikini przyciągała męskie spojrzenia. Tylko dwie starszki miały na sobie długie szaty.

–Możesz zabrać tego urwisa do rufówki – powiedział Wallie, gdy Vixini zaczął wyrywać się z całych sił.

Jedna z dziewczynek zapędziła tam przed chwilą dwa szkraby. Krówka ruszyła za Jja niczym potulna owca.

Raptem Nnanji wydał gardłowy pomruk. Po drabince linowej wspinała się szczupła ciemnowłosa dziewczyna mniej więcej w jego wieku. Jej dwie chusty były żółte i bardziej skąpe, niż nakazywała przyzwoitość.

–Przestań! – rozkazał Wallie.

–Nie mogę popatrzeć? – zapytał Czwarty, udając oburzenie.

–Nie w taki sposób! Kucyk ci sterczy, a z uszu idzie para.

Nnanji zachichotał, ale nadal gapił się na dziewczynę i coraz bardziej zadzierał głowę.

Przy sterze siedziała teraz Brota. Miecz odpasala, żeby jej nie przeszkadzał. Tomiyano i jeszcze jeden żeglarz pracowali przy kabestanie. Zapewne próbowali uwolnić zaklinowany łańcuch kotwiczny. Oprócz brązowej przepaski biodrowej Trzeci miał na sobie skórzany pas, za który zatknął sztylet, symbol kapitańskiej władzy. Pozostali członkowie załogi byli nie uzbrojeni.

–Kiedy płaciłem Brocie, otaczali nas mężczyźni. Mieli broń za plecami?

–Tak, panie bracie. Długie noże.

–Gdzie je potem odłożyli? Zauważyłeś?

–Nie – odburknął Nnanji. – Nie są zbyt uprzejmi, prawda?

Pasażerów przeważnie ignorowano, ale kilka razy Wallie dostrzegł niechętnie spojrzenia. Tymczasem zakończono prace w ładowni, bo dwaj mężczyźni nasunęli pokrywy na luki. Mijając dwóch szermierzy, na pozór nie zwrócili na nich uwagi.

–Niezbýt życzliwi – zgodził się Wallie. – Co powiedział kapitan, kiedy groził mi

nożem? Tylko cicho! – dodał szybko, widząc, że Nnanji zaczerpnął tchu.

Czwarty zamierzał wiernie oddać wypowiedź Tomiyano.

–Dobrze. “Żaden cholerny szczur lądowy nie postawi nogi na moim statku!

Przysięgłem w Yok, że...”. Tyle usłyszałem.

Mentor pokiwał głową.

–Ja też.

Kobiety w majątku Garathondi były wyraźnie zdenerwowane i traktowały gości aż nazbyt uniżenie. Rzeczni Ludzie nie zachowywali się przyjaźnie, ale Wallie wyczuwał podobną atmosferę: dużo napięcia. Z jednym wyjątkiem. Dziewczyna w żółtym stroju zsunęła się po linach i pobiegła do nadbudówki dziobowej. Jeśli próbowała zwrócić na siebie uwagę Czwartego, zasłużyła na nagrodę. Nnanji znowu wydał z siebie nieartykułowany odgłos. Wallie stwierdził, że kokietka jest młodsza, niż sądził w pierwszej chwili, mniej więcej w wieku Quili, wysoka, śniada i apetyczna.

Młody szermierz westchnął. Z lubieżną miną podążał wzrokiem za dziewczyną.

–Ale wyposażenie.

–Popatrz sobie na innych żeglarzy, protegowany.

–Są dla mnie trochę za młode. Powinienem chyba ostrzec smarkacza...

–Na mężczyzn. Nnanji zmarszczył brwi.

–Co mam niby zobaczyć, panie bracie?

–Blizny.

Drobne ślady na ramionach i żebrach, zwykle po prawej stronie stare szramy oraz całkiem świeże zadrapania i siniaki.

Czwarty, opierający się niedbale o poręcz, wyprostował się raptownie. Ze znajomym błyskiem w oczach zaczął recytować sutry. Piętnasta: “Cywilom nie wolno tknąć miecza, chyba że w razie, wyższej konieczności”. Dziewięćdziesiąta piąta: „Nie mają prawa wziąć do ręki nawet floretu”. Dziewięćdziesiąta dziewięć: “Nigdy, przenigdy cywil nie może ćwiczyć floretem ani pałką...”. Nnanji umilkł wstrząśnięty.

–Kobiety również mają blizny – dodał Wallie cicho. – Podejrzewam, że wszyscy na tym statku potrafią władać mieczem. |

–Ale Brota jest szermierzem! Popelnia przestępstwo, panie bracie!

–Kieruje się zdrowym rozsądkiem. Statki są łakomym kąskiem dla piratów, nieprawdaż? Na środku Rzeki nie można wezwać na pomoc garnizonu.

Wallie oczekiwał wyjaśnienia, ale reakcją Nnanjiego było zaskoczenie. Czwarty nie zauważył blizn, przyzwyczajony do ich widoku na ciałach kolegów. Może rzeczywiście doszło do naruszenia kodeksu i dlatego Tomiyano nie chciał wpuścić na pokład Siódmego. Szramy musieliby jednak dostrzec szermierze w każdym porcie. Pod pewnymi względami Nnanji znał Świat równie słabo jak mentor Widać nie słyszał o wielu rzeczach, o których mówiono w koszarach.

–Nie zamierzasz ich oskarżyć?

–Och, Nnanji, Nnanji! Pomyśl! Brota i ja uścisnęliśmy sobie dłonie. Jesteśmy jej gośćmi, w pewnym sensie. To nasza jedyna ochrona przed piraniami. Na plecach i głowie noszę fortunę. Bądź miły dla żeglarzy, dobrze?

Czwarty lekceważył niebezpieczeństwo grożące ze strony innych szermierzy, ale

teraz spojrzął niepewnie na oświetlone słońcem wody Rzeki i dalekie linie brzegów. Jedynymi śladami obecności ludzi było kilka łodzi rybackich.

–Z ilu członków składa się załoga? Nnanji bezradnie potrząsnął głową.

–Ja do tej pory naliczyłem pięciu mężczyzn, sześć kobiet, pięcioro nastolatków i pół tuzina dzieci. Nie przyjrzałem się dobrze czołom, ale myślę, że wszyscy są żeglarzami, oczywiście oprócz Broty i Matarro.

–Tak, panie bracie.

–Gdzie schowali noże?

–Schowali?

Młodzieniec zrobił jeszcze czujniejszą minę i rozejrzał się uważnie po pokładzie. Wallie jeszcze nigdy nie widział go tak zaniepokojonym. Może szczur lądowy zaczynał rozumieć, jaką pułapką może być statek.

–Wiadra z piaskiem... Nie hoduja w nich warzyw... Trzymają na wypadek pożaru? Są na tyle duże, że można na nich siedzieć, ale żadnego nie dałem rady dźwignąć, Ty dałbyś radę, panie bracie. Dlaczego nie wybrali mniejszych do siedzenia?

Spojrzął pytająco na mentora.

–Dobra robota! – powiedział Wallie. – Myślenie nie jest takie trudne, co?

–Boli mnie od niego głowa – odparł Nnanji, ale był zadowolony z pochwały.

–Mentorze?

Wallie obejrzał się i zobaczył Katanjiego. Chłopak miał poważną minę. Obok niego stał nowicjusz Matarro, wyraźnie zdenerwowany.

–Katanji, wyjaśnijmy pewną sprawę. Złożyliśmy sobie z Nnanjimi przysięgę braterską, ale twoim mentorem jestem tylko wtedy, gdy Czwartego nie ma w pobliżu, dobrze?

–Tak, panie.

Katanji rzucił bratu posępne spojrzenie.

Wallie mrugnął do Matarro. Pierwszy drgnął zdziwiony, a potem uśmiechnął się szeroko.

–Mentorze, czy mogę zdjąć miecz? Mato mówi, że zabierze mnie na bocianie gniazdo, a tam nie można wnosić broni.

Słyszając, jak protegowany popisuje się żargonem, Nnanji zmarszczył brwi.

–On chyba sądzi, że szczur lądowy nie będzie miał odwagi wejść na te... Jak je nazywacie, nowicjuszu? – zapytał Wallie.

Katanji rzucił lordowi Shonsu zaniepokojone spojrzenie, które mówiło, że aż taka pomoc nie jest konieczna.

–Reje, panie – odparł Matarro.

–Więc im pokaż! – rzucił Nnanji skwapliwie. – Daj miecz. Popilnuję go. Może znajdę ci przepaskę biodrową? Na statku kilt nie jest najwygodniejszym strojem.

Zdumiony nieoczekiwaną łaskawością brata, Katanji pospiesznie zdjął pasy, rzucił buty i pobiegł za nowicjuszem Matarro. Czwarty odwrócił się do mentora. Ten z aprobatą pokiwał głową, Nnanji szybko się uczył.

Przez jakiś czas Wallie, wsparty o reling, obserwował życie na statku. Na jednym z luków dwaj chłopcy grali w jakąś grę, na pokrywie drugiego trzy kobiety obierały

warzywa. Młody żeglarz, chudy jak szczapa, zaczął szorować pokład. Tomiyano i inni członkowie załogi siedzieli z boku i udawali, że splatają liny ale głównie mieli oko na pasażerów. Od strony nadbudówki rufowej dobiegał śmiech. Wysoko wśród olinowania i żagli hasał Katanji z grupką rówieśników. Słońce mocno przygrzewało. Honakura gdzieś zniknął. Brota czuwała przy sterze, gawędząc ze starszą kobietą w brązowej szacie. Na Rzece zrobił się spory ruch. Mógł to być znak, że Szafir zbliża się do Aus lub do innego portu.

Raptem Nnanji gwizdnął cicho. Dziewczyna w żółtym bikini wyszła z nadbudówki dziobowej i ruszyła niespiesznym krokiem w stronę szermierzy, kołysząc biodrami. Na plecach miała miecz.

–Jak mężczyzna mógłby walczyć z takim przeciwnikiem? – mruknął Czwarty.

Nad tą samą kwestią zastanawiał się Wallie.

–Thana! – huknął Tomiyano, zrywając się na równe nogi.

Dziewczyna odwróciła się, zmarszczyła brwi, a kapitan przyskoczył i zagroził jej drogę. Szepnął coś gniewnie i próbował ją zatrzymać, ale piękna żeglarka go wyminęła.

Podeszła prosto do lorda Shonsu i zasalutowała. Miała dwa szermiercze znaki na czole, lśniące czarne loki, nieskazitelną cerę koloru kawy i klasyczne, delikatne rysy. Była za młoda i zbyt szczupła jak na gust Walliego, który wolał krągłości Jji. Pomyślał jednak, że niewielu mężczyzn odtrąciłoby smukłą wojowniczkę. Nnanji sapał mu nad uchem.

Wallie odwzajemnił salut i przedstawił bratu uczennicę Thanę. Tomiyano stał z boku, palcami muskając nóż.

Druga czekała ze splecionymi rękami i skromnie spuszczonej oczami, aż wyższy rangą przemówi do niej. Wcale nie na Czwartym chciała zrobić wrażenie. Lord Shonsu najwyraźniej zapomniał języka. Skórzane pasy krzyżowały się na piersiach obytych cienką bawełnianą chustą. Rezultat był oszałamiający, wart studiowania. Wallie uczynił duży wysiłek i podniósł wzrok.

–Podróż waszym pięknym statkiem coraz bardziej mi się podoba, uczennico. Twoja obecność czyni przyjemność jeszcze większą.

Dziewczyna rzuciła mu niewinne spojrzenie spod długich rzęs. Udało się jej nawet zapłonić.

–Zaszczycasz nas swoją obecnością, panie.

–Nie sądzę, żeby kapitan był twojego zdania. Thana odęła usta i zerknęła na Tomiyano. Kapitan, oparty o główny maszt, nadal bawił się sztyletem.

–Wybacz mojemu bratu, panie. On nie ma złych intencji.

Akurat! Brat? To znaczyło, że piękna Thana jest córką grubej Broty. Nie do wiary! Nie było między nimi żadnego podobieństwa.

Nim Wallie wymyślił replikę, Druga stwierdziła:

–Masz wspaniały miecz, lordzie Shonsu. Będziesz tak łaskawy i raczysz mi go pokazać?

Wallie zdjął z pleców siódmy miecz i podał go dziewczynie. Zainteresowanie Thany raczej nie było szczere, ale broń wykonana przez mistrza na każdym zrobiłaby

wrażenie. Gdy żeglarka zaczęła oglądać rękojęć z gryfem, wielki szafir i sceny wyryte na osi na znak mentora Nnanji skwapliwie opowiedział legendę związaną z chioxinem.

Nie tylko Tomiyano nie pochwalał zachowania Thany. Kobiety mierzyły ją krytycznym wzrokiem, mężczyźni nie wściekłości. Wallie doszedł do wniosku, że Druga jest samowolną i upartą osobą, z którą brat najwyraźniej nie umie sobie radzić. Może Brota miała jakiś wpływ na córkę.

–Jest cudowny, panie – powiedziała Thana z niekłamanym zachwytem, patrząc na lorda Shonsu, a ignorując Nnanjiego. – Mamy szczęście, że możemy pomóc orędownikowi Bogini.

Wallie schował miecz do pochwy.

–To ja miałem szczęście, że *Szafir* zjawił się w samą porę. Nie przypadkiem, jak sądzę. Widzę, że o niego dbacie.

Trzepotanie rzęsami.

–Jesteś uprzejmy, lordzie Shonsu.

–Twoja matka powiedziała, że statek ma trzydzieści lat, tak?

–O, więcej! Kupił go mój dziadek. Jeszcze dwa lata temu był kapitanem i wielkim żeglarzem. Umarł na gorączkę. Po nim dowodzenie przejął Tomo. – Wzruszyła ramionami. – Jest szorstki w obejściu, ale niezły z niego żeglarz.

–A wasz ojciec?

Thana westchnęła głośno.

–Tata umarł dawno temu. Poza tym był kupcem. My, Rzeczni Ludzie, mamy pewne powiedzenie: “Handlarz to głowa, szermierz to ręce, a żeglarz nogi”. Brakuje nam teraz kogoś takiego. Mój starszy brat Tomiyarro to dopiero był handlarz! Potrafił kupić skorupę żółwia i sprzedać jej pióra, jak mawiała zawsze matka.

–Więc jak handlujecie?

Dziewczyna wyraźnie go uwodziła. Była za młoda, żeby mieć wprawę w tej dziedzinie, ale sama jej uroda robiła piorunujące wrażenie na mężczyznach.

–Matka tym się zajmuje.

–Pani Brota jest zręcznym negocjatorem.

–Ty ją przechytrzyłeś, panie – prychnęła Thana.

–Tak?

–Dostała od ciebie ładny szafir, ale naprawdę zależało jej na zapince.

Wallie nie wiedział, co odpowiedzieć. Zerknął na Nnanjiego, ale chłopak miał zamglone oczy.

–Twój brat powiedział, że to statek rodzinny. Kim są pozostali członkowie załogi, oprócz twojej matki i brata?

–Kuzynami. Ciotkami i wujkami. Nuda! Tak rzadko spotykam... – westchnęła głęboko -...prawdziwych mężczyzn.

–W takim razie nie macie u siebie Jonaszów, a jednak sprowadziła was wczoraj Ręka Bogini?

–To podniecające! Nigdy wcześniej coś takiego nam się nie przydarzyło.

–Słyszałem już od twojej matki. Przypuszczam, że wrócicie na dawne szlaki, gdy

tylko wysiądziemy na brzeg.

–Mam nadzieję, że nie! Przez całe lata kursowaliśmy między Hool i Ki. To bardzo nudne. Wciąż powtarzam matce, żebyśmy spróbowali gdzieś indziej.

–Dlaczego pani Brota się nie zgadza?

–Zysk! – rzuciła Thana z pogardą. – Tamten rynek matka dobrze zna. Drzewo sandałowe z Hool do Ki, garnki i kosze z Ki do Hool. Tam i z powrotem, tam i z powrotem. Nudziarstwo! A teraz nareszcie przygoda! Już nie jesteśmy w tropikach, prawda?

–Tak. Jednak przygody mogą być niebezpieczne. Thana uśmiechnęła się czarująco.

–Czego mamy się bać, skoro jest z nami szermierz siódmej rangi? Na pewno dałbyś sobie radę z całym statkiem piratów, lordzie Shonsu.

–Mam nadzieję, że nie będę musiał! Wallie stwierdził, że rozmowa zbacza na drażliwy temat. Nie zdążył jednak go zmienić.

–Chyba nie masz zbyt wielu możliwości, żeby poćwiczyć fechtunek, uczennico Thano? – wtrącił Nnanji.

Dziewczyna nie wyglądała na spłoszoną. Obrzuciła Czwartego taksującym spojrzeniem.

–Rzeczywiście, adeptcie. Byłbyś tak dobry i udzielił mi lekcji po obiedzie? Nnanji rozpromienił się.

–Będę zachwycony!

Thana kiwnęła głową i wróciła do ważniejszych spraw. Walliemu nie spodobał się jej uśmiech.

–Chyba zbliżamy się do Aus, więc może nie być żadnego “po obiedzie” – powiedział. – Jesteśmy waszymi Jonaszami, a d podobno przynoszą statkowi szczęście.

–Rzeczywiście go potrzebujemy! – Thana konspiracyjnie ściszyła głos. – Zastanawiam się czasami, lordzie Shonsu, czy ciąży i na nas klątwa,

–Jak to?

Wallie wyczuł, że zaraz usłyszy ciekawą historię.

–Cóż, najpierw mój dziadek. Później wujek Matyrri umarł z powodu skaleczenia ręki. Potem piraci! Rok temu. Zabili mojego brata i drugiego wujka, a jeden z kuzynów zmarł później od ran.

–Straszne!

–Tak. To była tragedia. Największy ból mam za sobą, ale oczywiście nadal bardzo mi ich brakuje.

–To wydarzyło się w Yok?

Dziewczyna pobladła i zatoczyła się, jakby ją uderzył. Wydawało się, że zaraz zemdleje. Wallie dostrzegł kątem oka, że Tomiyano do połowy wyciągnął sztylet z za pasa. Stał za daleko, żeby usłyszeć słowa, ale widział reakcję siostry.

Co ją tak poruszyło?

–Twój brat wspomniał o Yok.

Thana tylko kiwnęła głową. Drżała.

–Przypuszczam, że tymi piratami byli szermierze renegeci?

Dziewczyna oblizwała zbiegłe wargi i znowu skinęła głową. Najwyraźniej nie mogła wydobyć z siebie słowa. Wallie zorientował się, że balansuje na skraju przepaści. Tomiyano nie był jedynym, który zauważył, co się dzieje.

–Oczywiście nie powiem tego nikomu spoza naszego cechu, uczennico, ale szermierz odstępcza nie zasługuje na litość – powiedział ściszym głosem i spojrzał na Nnanjiego, który najwyraźniej nie umiał sobie wyjaśnić przerażenia Drugiej. – Mój; zaprzysiężony brat i ja natknęliśmy się dwa dni temu na renegeatów. Rozprawiliśmy się z nimi surowo. Świat jest lepszy bez takich łotrów.

Thana trochę się uspokoiła, a na jej policzki wróciły kolory.

–Ta postawa przynosi ci zaszczyt, panie.

–Lepiej nie rozmawiać o takich rzeczach – stwierdził Wallie pompatycznie i zerknął na protegowanego, szukając poparcia.

–E? Co? – bąknął Nnanji.

W tym momencie z nadbudówki dziobowej wysypali się dorośli i dzieci, niosąc kosze owoców i chleba. Wallie poczuł ulgę, jakby go owiał chłodny wietrzyk.

–A! Idzie obiad! Tylko patrz, co zaraz się stanie, uczennico. Zobaczysz, jak adept Nnanji odbierze zysk, który twoja matka spodziewa się mieć ze sprzedaży mojego szafiru.

Rzeczni Ludzie nie przywiązywali wagi do ceremoniałów. Obiad podano na pokrywie jednego z luków. Żeglarze rozsiedli się, gdzie kto miał ochotę: na wiadrach albo wprost na pokładzie. Jedzenie było proste, ale smaczne: owoce, ser i kielbasa. Po ożywionej dyskusji i paru ukradkowych łypnięciach na szermierzy Brota przekazała ster Tomiyano. Sama usiadła na drugim luku i zademonstrowała, w jaki sposób osiągnęła obecną wagę. Niemal dorównała Nnanjiemu w gargantuizmie.

Załoga i pasażerowie podzielili się na grupki. Siódmego omijano szerokim łukiem, natomiast Katanji zyskał akceptację młodszych żeglarzy. Nnanji przykleił się do Thany i pochłaniając jedzenie, opowiadał jej z zapalem, jak lord Shonsu dostał siódmy miecz. Ściśle trzymał się wersji, którą mentor podał Garadooiemu.

Wallie, z Jją u boku, siedział oparty o burtę. Usiłował nie okazywać niepewności. Misja zapowiadała się na dużo bardziej skomplikowaną, niż sądził. Skoro Bogini przysłała Szafir, żeby uratować Siódmego przed czarnoksiężnikami, musiało chodzić o poważniejszą sprawę niż zwykły transport do Aus. Co takiego wydarzyło się Yok? Thana napomknęła o piratach, ale Tomiyano mówił coś innego. Druga wpadła w panikę tak samo jak Quili, gdy Wallie poruszył temat zabójstw. Rzeczni Ludzie w niczym nie przypominali wieśniaków, którzy uciekli przed szermierzami do lasu. Najmniejsze podejrzenie, że lord Shonsu szpera w mrocznej przeszłości, skłoniłoby żeglarzy do wyjęcia noży z wiader przeciwpożarowych. Wrogość wisiała nad nasłonecznionym pokładem, jak niewidzialna mgła.

Czyżby załoga coś ukrywała? Może następnym miastem było nie Aus, tylko Yok.

Szafir płynął halsem, więc ze swojego miejsca Wallie od czasu do czasu widział odległe góry, niebieskawe w południowych upale. Doszedł do wniosku, że musi porozmawiać z Honakurą, ale na zatłoczonym statku trudno było znaleźć odosobniony kąt. Kapłan siedział na pokrywie luku, gawędząc z kobietą równie starą jak on.

Posiłek dobiegał końca. Dzieci zaczęły sprzątać resztki. Brota ruszyła ciężkim krokiem do steru, żeby zmienić syna. Nie zaszczyciła lorda Shonsu ani jednym spojrzeniem. Po chwili zjawił się Tomiyano i nałożył sobie jedzenie. Wallie zauważył, że ludzie zaczynają spoglądać na prawą burtę. Wstał.

Na pierwszy rzut oka nie dostrzegł niczego godnego uwagi w porcie, do którego zbliżał się Szafir. Góry RegiVul znajdowały się na północnym wschodzie, więc to mogło być tylko Aus. Wyglądało jak każde inne miasto na Świecie. Leżało na płaskim terenie, więc zasłaniały je wysokie składy portowe, dwu- i trzypiętrowe drewniane budynki o czerwonych dachach, poszarzałe od deszczu i wiatru. Za nimi, na tle kobaltowego nieba, rysowało się kilka złotych iglic oraz wyższe domy z szarego kamienia, również kryte czerwoną dachówką. Linię magazynów przerywały wąskie uliczki biegnące do centrum. Szafir lawirował między zakotwiczonymi statkami wszelkich rozmiarów i typów. Wiele innych stało przycumowanych do nabrzeża. Po wodzie niósł się turkot wozów konnych. Tłumy ludzi krzątały się wokół własnych spraw.

Wallie próbował wypatrzeć szermierzy, ale z tej odległości nie można było

odróżnić zawodów ani rang. Jeszcze raz przyjrzał się budowlom i trzema długimi krokami podszedł do pokrywy luku, na której jadł Tomiyano.

–Kapitanie? Co to za wieża?

Żeglarz rzucił mu wrogie spojrzenie i przeniósł wzrok na miasto. Przez chwilę żuł w milczeniu.

–Nie mam pojęcia – burknął w końcu.

–Nigdy takiej nie widziałeś?

–Nie. – Trzeci zaśmiał się pogardliwie. – Myślisz, że może być pełna czarnoksiężników, szermierzu?

Tak. Garadoo i wspomnieli o wieży budowanej w Ov. W historiach opowiadanych przez Nnanjiego również występowały tajemnicze budowle, ale brakowało ich dokładnego opisu. Wieża, która zwróciła uwagę Walliego, była niepodobna do innych budynków w Aus. Stała tuż za rzędem magazynów. Kwadratowa i ciemna, górowała nad okolicznymi domami. Wyglądała złowrogo.

–Ja również nie widziałem takiej budowli – stwierdził Wallie, nie wspominając, że nie odwiedził jeszcze żadnego portu na Świecie. – Jeśli moje podejrzenia są słuszne, nie tylko nam grozi niebezpieczeństwo, kapitanie. Twoja matka i siostra też należą do szermierzy.

Tomiyano prychnął.

–Z pewnością się obronią. Zapłaciłeś za podróż do tego miejsca, lordzie Shonsu, i tutaj wysiądziesz. Szerokiej drogi.

Nnanji skrzyżował wzrok z Shonsu. Myślał o tym samym co mentor.

Wallie ruszył do najbliższych schodków prowadzących na rufę. Po chwili stanął przy Brocie.

–Tamta wieża, pani. Widziałaś kiedyś coś podobnego?

–Nie zasłaniaj mi, panie. Trzymaj głowę niżej.

Wallie ukląkł, hamując gniew. “Nie rozmawiać z kierowcą”. Dopiero teraz zobaczył, że Brota wykonuje trudne manewry, prowadząc statek między zakotwiczonymi jednostkami, i to przy. kapryśnym, słabnącym wietrze.

–Nie – dodała po chwili.

Quili i Garadoo nigdy nie byli w Aus. Raptem Wallie przypomniał sobie dziwny wyraz, który dostrzegł na twarzy jednej z towarzyszek lady Thondi. Dziedziczka miała konszachty z czarnoksiężnikami wysokiej rangi. Jeśli magowie przejęli władzę również w Aus, ona i jej przyjaciółka powinny o tym wiedzieć. Cudownie. Wpadli z deszczu pod rynnę. Dlatego w górach ścigano ich niezbyt gorliwie.

Brocie nie musiał niczego wyjaśniać. Kobieta przyjrzała się dziwnej budowli, ścigając w zamyśleniu brwi.

–Zapłaciłeś za dowieszenie do tego miasta, panie.

–Nie. Wykupiłem transport do najbliższego miasta, w którym będę mógł zwerbować szermierzy.

Piąta chrząknęła.

–Istotnie. Nigdy nie słyszałam, żeby czarnoksiężnicy zbliżali się do Rzeki. Mówiono, że trzymają się górskich terenów. Czczą Boga Ognia. Bogini nie...

Zerknęła na miecz Walliego i umilkła.

Po schodkach wszedł Tomiyano, jedząc brzoskwinie. Oparł się o reling i spojrzał z pogardą na klęczącego szermierza. Wallie przesunął wzrokiem po zatłoczonej nadbrzeżnej ulicy. Żałował, że nie ma okularów.

–Jeśli się nie mylę, pani, tobie również grozi niebezpieczeństwo.

–Nie tak duże, jak sądzisz. – Brota liczyła statki przycumowane do pirsu i zakotwiczone na Rzece. – Na każdym z nich są szczury wodne, panie.

–Może tutaj nie.

Kobieta rozwiązała wstążkę. Siwiejące włosy opadły luźno na plecy.

–Dla handlowca jedno miasto jest podobne do drugiego, towar do sprzedania. Zabierz swoich szermierzy do nadbudówki panie, i zobaczymy, co dalej.

Wallie nie mógł dłużej się spierać, zwłaszcza gdy rozmowie przysłuchiwał się żeglarz z lekceważącym wyrazem twarzy.

Gdy ze swoją gromadką stanął przed drzwiami nadbudówki jeszcze raz spojrzał na coraz bliższy port. Było wciąż za daleko, żeby odróżnić szermierzy od zakapturzonych czarnoksiężników ale wkrótce on mógł stać się widoczny dla nich. Pospiesznie wszedł do środka.

Nnanjiemu nie podobało się ukrywanie przed wrogiem, ale miał dość rozsądku, żeby nic nie mówić. Wallie zamknął wszystkie okiennice i rozsunął żaluzje, żeby móc obserwować, nie będąc widzianym. Honakura przycupnął na jednej ze skrzyń i uśmiechnął się złośliwie.

–Nie mów mi, że powinienem się tego spodziewać! – ostrzegł Wallie.

–Nie jestem taki głupi, panie.

Siódmy usiadł obok niego. Znajdowali się bezpośrednio pod sternikiem, ale okrzyki i turkot wozów, niosące się po wodzie zagłuszały ich skutecznie. Wallie szybko zrelacjonował kapłanowi rozmowę z Thaną i wspomniał o żeglarzach z bliznami od floretów

Starzec wyglądał na rozbawionego.

–Jeśli chodzi o blizny, panie, nieraz widziałem je u żeglarzy

–Ale nigdy u cywili? Honakura potrząsnął głową.

–Znałem żeglarzy, którzy szukali rozgrzeszenia za zabicie ludzi w walce na miecze.

–W takim razie musi istnieć odpowiednia sutra. Żeglarze mają prawo bronić się przed piratami.

Zamyślony Wallie przyłapał się na tym, że trze podbródek który to gest zaczął ostatnio naśladować Nnanji. W końcu stwierdził, że odzwierciedlenie w myślach tysiąca czterdziestu czterech sutr trwałoby zbyt długo. Musiał z tym poczekać

–Rozmawiałem z szermierzem Liną – oznajmił Honakura

–Z kim? Nie wiedziałem, że... Masz na myśli tę starowinę, z którą siedziałeś przy obiedzie?

–Jeśli myślisz, że wiek podważa jej świadectwo...

–Wybacz, starcze! Przepraszam.

–Powiedziała coś, co muszę ci przekazać. “Ostrzeż waszego lorda, żeby nie

próbował walczyć na miecze z kapitanem”.

–Czy ona nie odróżnia kolorów?!

–Widać jest zgrzybiała.

Urażony Honakura nie odezwał się więcej.

Szafir łagodnie uderzył w odbijacze.

Wallie stał przy oknie. Obok niego Nnanji trzymał na rękach Vixiniego i milczał. Był posępny. Rzucono liny. Jacyś mężczyźni, chyba żeglarze z innych statków, przymocowali je do pachołków i pomachali wesoło w odpowiedzi na podziękowania załogi *Szafira*. Otworzono jedną z furt i przygotowano trap, ale go nie wysunięto.

Jja, Katanji i Honakura skupili się przy oknie wychodzącym na miasto. Nawet Krówka wyglądała przez drugie, choć prawdopodobnie nie wiedziała, na co patrzy.

Droga biegnąca między nabrzeżem a magazynami była za wąska na ruch panujący w porcie. Duży statek, który cumował bezpośrednio za rufą *Szafira*, wyładowywał beły płótna i szare worki. Niewolnicy nosili je do furgonów, czekających w rzędzie na swoją kolej. Co jakiś czas podjeżdżały wozy załadowane drewnem opałowym. W przeciwnym kierunku jechały fury z tarcicą. Koła okute żelazem turkotały ogłuszająco po kocich łbach. Dodatkowe zagrożenie dla pieszych stanowili jeźdźcy, lektyki i ręczne wózki. Port wyglądał tak, jak powinien wyglądać. Cuchnął rybami, kurzem, końmi i rzeką.

W pewnym momencie Nnanji syknął i wskazał na coś ręką. Wśród ciżby szli dwaj czarnoksiężnicy: Trzeci w długiej brązowej szacie z obszernymi rękawami i Czwarty w pomarańczowej. Kaptury zakrywały im twarze. Wyglądali groźnie i tajemniczo. Szli wolno, równomiernym krokiem, jakby patrolowali ulice. Odwracali głowy to w jedną, to w drugą stronę. Piesi ustępowali im z drogi. Magowie zrównali się z *Szafirem* i minęli go, nie zatrzymując się. Wallie wypuścił powietrze z płuc. Nie zdawał sobie nawet sprawy, że wstrzymuje oddech.

W tym momencie do nadbudówki wtoczyła się Brota. Spojrzała wilkiem na Shonsu i odsunęła się na bok, przepuszczając Thanę. Za nimi wszedł Matarro, taszcząc duży skórzany worek, a na końcu Lina. Pięta zamknęła za sobą drzwi. Zauważyła czarnoksiężników i postanowiła się schować razem z szermierzami.

Matarro rzucił ciężar na podłogę. Rozległ się głośny łomot Nnanji zeszywniał. Oddał Vixiniego Jji i poszedł sprawdzić zawartość worka.

–To nie nasza wina – powiedział Wallie. – I tak przyplłynęlibyście tutaj. W dole Rzeki jest tylko Czarna Kraina.

Brota nie odpowiedziała, tylko zaczęła wiązać włosy w kucyk.

–Na co czekamy, pani?

–Na urzędnika portowego.

–Czy to zawód?

Kobieta przewróciła oczami, oburzona ignorancją Siódmego.

–Nie. Synekura – powiedziała kwaśnym tonem. – Posadę zwykle dostaje siostrzeniec króla, najstarszy syn albo ktoś inny z rodziny. Oszuści, pijawki i dranie... Zwykle bardziej im się spieszy po nasze pieniądze.

Wallie na wszelki wypadek sięgnął po chioxin. Nnanji pogrzebał w worku

przyniesionym przez Matarro i wydobyl swój miecz. Gdy zaskrzypiał wysuwany trap i z hukiem uderzył o kamienne nabrzeże, obecni rzucili się do okien. Thana stanęła tuż przy Walliem i wyrzała przez żaluzje.

–O! – szepnęła. – Niezły widok!

Jej entuzjazm był zrozumiały. Po trapie wchodził młody mężczyzna niemal dorównujący wzrostem Shonsu. Poruszał się z gracją. Bardzo śniady, przystojny, w pomarańczowej przepasce biodrowej i sandałach, wyglądał jak rzeźba z drzewa orzechowego. Przez ramię miał przewieszoną skórzaną sakwę z bogatymi zdobieniami. Walliemu nasunęło się skojarzenie z reklamą kostiumów plażowych.

Nowo przybyły zaskrzypiał kapitanowi i błysnął w uśmiechu białymi zębami.

–Jestem Ixiphino, żeglarz czwartej rangi, urzędnik portowy Aus...

Tomiyano odpowiedział z zaskakującą uprzejmością, a w tym czasie gość lustrował załogę. Mężczyźni stali blisko wiader z piaskiem. Niechęć do szermierzy nie oznaczała automatycznie sympatii dla czarnoksiężników.

–Witam w Aus, kapitanie – powiedział Ixiphino z kolejnym olśniewającym uśmiechem. – W imieniu starszych i czarodzieja.

–Czarodzieja?

–A! Pierwsza wizyta w tych stronach? Czarodziejem jest groźny lord Yzarazzo Siódmy. W Aus od dawna nie ma barbarzyńskich szermierzy.

–A co ze szczurami wodnymi?

Znowu błysk zębów.

–Nie będą niepokojeni, póki nie zejda ze statku. Mamy dwa lokalne prawa, kapitanie. Pierwsze mówi, że szermierz, który postawi stopę na lądzie, zostanie wyeliminowany. Na zawsze.

Tomiyano poczerwieniał.

–Moja matka jest szermierzem. Zajmuje się naszymi interesami.

–Wielka szkoda. Może handlować z pokładu. Jeśli zejdzie na brzeg, naruszy prawo. – Ixiphino wzruszył ramionami i dodał: –Przekona się jednak, że Aus to dobre miejsce do handlu, a zysk prawdopodobnie będzie większy, niż sądzicie.

–Dlaczego?

–Niektórzy żywią uprzedzenia do miast czarnoksiężników, więc zawija tu mniej statków niż kiedyś. Lecz miejscowi kupcy są uczciwi, oczywiście w miarę, a ludzie spokojni.

–Czarnoksiężnicy utrzymują porządek w Aus?

Urzędnik się zaśmiał.

–Tak, i to z dobrym wynikiem.

Choć członkowie załogi rozsunęli się dyskretnie, żeby obserwujący mieli lepszy widok, przybysz nie patrzył w stronę nadbudówki. Dziwne!

–Co robią czarnoksiężnicy w razie, powiedzmy, buntu uczniów? – zapytał Tomiyano.

Kolejny wybuch śmiechu.

–Trzymamy naszych uczniów w ryzach, kapitanie. Było w mieście paru awanturników. Czasami zjawiali się szermierze i próbowali wszczynać burdy.

Zapewniam cię jednak, panie, że metody czarnoksiężników są równie skuteczne jak szermierzy, jeśli nie bardziej. Czar można rzucić na odległość.

Tomiyano zrobił powątpiewającą minę.

–Zamieniacie wrogów w żaby?

–W trupy, kapitanie. Zwęglone trupy.

Żeglarze wymienili spojrzenia.

–Nie licząc tej jednej restrykcji, kapitanie, Aus Jest jak każde inne miasto. Opłata portowa wynosi dwie sztuki złota.

Kapitan uniósł brwi.

–Brzmi rozsądnie.

–W większości portów jest właśnie taka. Wyższa oznacza łapówkę, na co moi pracodawcy nie pozwalają.

Tomiyano podał urzędnikowi dwie monety i wymienił z nimi uścisk dłoni. Czwarty złożył lekki ukłon, jakby zbierał się do odejścia.

–Wspomniałeś, panie, o dwóch prawach.

–Tak! Ależ ze mnie głupiec. – Mężczyzna uśmiechnął się po raz kolejny. – W Aus obowiązuje całkowity zakaz wstępu dla szermierzy wysokiej rangi, Szóstych i Siódmych. Nie wpuszczamy ich nawet do portu. Zresztą takich jest niewielu. Nie macie na pokładzie wolnych szermierzy, prawda?

–Oczywiście, że nie – odparł Tomiyano. Urzędnik zerknął w stronę nadbudówki rufowej, a potem przeniósł rozbawiony wzrok na kapitana.

–Przysięgasz na swój statek, żeglarzu?

Wallie zacisnął dłoń na rękojeści chioxina. Na czoło wystąpił mu pot.

–Tak.

Nnanji ze świstem wciągnął powietrze do płuc.

Przybysz rzucił Trzeciemu cyniczny uśmiech i potrząsnął głową, jakby miał do czynienia z niegrzecznym dzieckiem. Okręcił się na pięcie i ruszył w dół po trapie. Kapitan otarł czoło grzbietem dłoni i zaczął wykrzykiwać rozkazy.

–Panie bracie!

Znowu się zaczyna, pomyślał Wallie. Już przy pierwszym spotkaniu miał okazję się przekonać, że Nnanji jest niepoprawnym idealistą. Wiedział, że któregoś dnia jego postawa ściągnie na nich kłopoty. Tym razem dla Czwartego sprawa była oczywista.

–Mówiłem, że nie możesz złożyć mi doniesienia, Nnanji. Oskarżysz kapitana przed jego matką?

Młodzieniec poczerwieniał jak burak i zmierzył wzrokiem grupkę szermierzy. Mimo półmroku widać było wrogie miny Thany, Liny i Matarro. Oczy Broty przybrały twardy wyraz.

–Mój syn postąpił tak ze względu na was, adeptcie!

–Nie chcę, żeby mnie ratowano krzywoprzysięstwem, pani! Mój honor byłby splamiony.

Szaleństwo! Samobójstwo! Wallie miał na głowie dwa miasta pełne czarnoksiężników, a Nnanji prowokował żeglarzy, żeby go wyrzucili na brzeg. Z pewnością nie doczekałby następnego portu. Zresztą nie tylko on. Raptem Wallie

dostrzegł rozwiązanie.

–To nie było krzywoprzysięstwo, Nnanji, tylko najprawdziwsza prawda. Nie jesteśmy wolnymi szermierzami.

Czwarty spojrział na niego tępym wzrokiem.

–Mówiłeś, że istnieją trzy rodzaje szermierzy. Pomiędzy jeden. Najemników.

–Oni me stanowią osobnej grupy. Rzadka trafiają się specjalne zadania.

Nnanji żywił mieszane uczucia wobec najemników. Uważał, że zabijanie za pieniądze nie jest honorowe. Z drugiej strony, tacy szermierze mogli nurzać się we krwi i dokonywać wielkich czynów.

–Tak czy inaczej, my wypełniamy specjalną misję dla Bogini. Dlatego jesteśmy najemnikami, a nie wolnymi szermierzami! Kapitan mówił prawdę. A teraz się zamknij!

–Tak, mentorze.

Brota popatrzyła na Shonsu i prawie że się uśmiechnęła.

–Przysięgasz, panie?

–Na mój miecz.

Kobieta pokiwała głową, najwyraźniej bardzo zadowolona. W tym momencie do nadbudówki wszedł Tomiyano. Zamknął za sobą drzwi, oparł się o nie i wlepił wzrok w Siódmego. Lina ściągnęła okiennice od strony Rzeki, wpuszczając świeże powietrze.

–Dziękuję, kapitanie.

–Wiedział, że tu jesteście!

–Najwidoczniej.

–Myślę, że powinniśmy odpłynąć – stwierdziła Brota. – Nie podoba mi się to.

–Nie możemy! – warknął syn. – Nie ma wiatru. Martwa cisza.

Wallie nie był zaskoczony.

–Wolałbym, żebyście tu zostali przez jakiś czas.

Brota spojrziała na niego wilkiem.

–Naprawdę? Dlaczego?

–Bo muszę dowiedzieć się czegoś więcej o czarnoksiężnikach. Bogini nie dałyby mi niewykonalnego zadania, więc musi istnieć jakiś sposób, żeby ich pokonać. Na pewno mają jakiś słaby punkt. Jedyna możliwość, żeby go znaleźć, to rozpytywanie w takich miejscach jak Aus. Ile miast zostało przejętych? Kiedy? Jak? Gdzie utrzymali się szermierze? Moglibyście! znaleźć odpowiedzi na te pytania. Ty i twoja załoga, pani. Byłaby to służba dla Najwyższej.

Albo pokuta. Wallie nie zamierzał jednak badać tajemniczej przeszłości *Szafira*.

Tomiyano zerknął na matkę. Brota skinęła głową.

–Wyłożę towary – burknął kapitan.

–Mam dwa pytania – powiedział Wallie. – Uścisnąłeś rękę urzędnikowi portowemu.

Była gładka czy ze zgrubieniami?

–Gładka. A co?

–To nie była dłoń żeglarza?

Kapitan zmrużył oczy.

–Jaki tam żeglarz. Podejrzewam, że jego ojciec jest starszym albo kimś takim.

–Drugie pytanie: Czy kiedykolwiek w życiu wyrażałeś zdziwienie, że opłata jest niska?

Trzeci poczerwieniał na twarzy.

–Przecież to nie ma znaczenia! Sam wszystko widziałeś i słyszałeś, prawda? Wiedział o was. Czarnoksiężnicy mu powiedzieli.

–On jest czarnoksiężnikiem.

Znaki tatuowane na czołach tak zakorzeniły się w tutejszej kulturze, że słowa Shonsu nie od razu dotarły do Tomiyano. Matka okazała się bystrzejsza. Jej oczy zwężyły się w szparki.

–Dlaczego tak twierdzisz, panie?

–Bo wbrew powszechnemu zwyczajowi nie domagał się łapówki. Chciał nas utwierdzić w przekonaniu, że jego zwierzchnicy są wszystkowiedzący i wszechmocni. Nie zachowywał się jednak jak pacholek obserwowany przez panów. Był rozbawiony i swobodny. Lojalności, którą zademonstrował, nie da się kupić. Śmiało mógł podwyższyć opłatę, a różnicę schować do kieszeni. Poza tym ma gładkie ręce. Jest czarnoksiężnikiem.

Obecni wymienili przestraszone spojrzenia.

–Cóż, idźcie do pracy, ale pamiętajcie, że każdy może być czarnoksiężnikiem, niezależnie od tego, jakie znaki nosi na czole. Proponuję, żebyście nie wpuszczali naraz więcej niż jednego obcego na statek.

–Panie bracie?

–Tak?

–Czarnoksiężnicy potrafią stać się niewidzialni. Może już jest ich pełno na Szafirze. Wallie jęknął.

–Dzięki, Nnanji. Trafna uwaga.

Na brzegu wyłożono próbki drewna i kilka mosiężnych rondli. Brota ustawiła krzesło przy trapie i czekała na klientów. Żeglarze wmieszali się w tłum, żeby zebrać trochę informacji. Honakura również wyruszył do miasta żółwim krokiem. Pod statek zaczęli podjeżdżać domokrażcy i wykrzykiwać ceny towarów. Po długich targach stara Lina kupiła od nich oskubany drób i kosze truskawek. Od czasu do czasu nabrzeżem przechodzili dwójkami czarnoksiężnicy, ale nie zwracali szczególnej uwagi na *Szafir*. Popołudnie ciągnęło się, było gorące i bezwietrzne.

Nnanji rozsiadł się przy torbie z mieczami. Obejrzał uważnie każdą sztukę i stwierdził, że są krótsze, niż przypuszczał. W końcu zaczął je wszystkie ostrzyć.

Vixini zasnęła. Jja i Krówka siedziały przy nim jak posągi, z bezmierną cierpliwością niewolników. Wallie wyglądał przez okno.

–Mentorze, mogę wyjść na pokład? – zapytał Katanji.

–Nie. Dlaczego nie masz miecza?

–Mój kilt jest na dole, w kabinie Mato.

Nnanji chrząknął i wrócił do ostrzenia. Wallie nie interweniował, choć nie widział powodu, dla którego Pierwszy miałby tkwić w zamkniętym pomieszczeniu tak jak on i Nnanji. Katanji nie nosił kucyka, a znak na czole stanowił zaognioną ranę i był nierozpoznawalny nawet z bliska

Czas mijał. Nic się nie działo. Jakiś handlarz obejrzał z lekceważącą miną towar Broty i powędrował dalej. Obok statku znowu przeszli dwaj czarnoksiężnicy. Ostrzałka Nnanjiego irytująco zgrzytała po stali. Honakura minął *Szafir* i podreptał tym razem

w drugą stronę. Katanji chodził od okna do okna i niecierpliwił się. Walliego zmęczyło stanie i wałkowanie problemów wciąż od nowa. Miał mętlik w głowie. Odpowiedź zawsze była taka sama. Potrzebował więcej danych.

To nie w porządku! Jak toczyć wojnę, nie znając sił wroga? Bez wywiadu wojskowego nic nie mógł zdziałać. Mata Hari... George Smiley... W majątku Thondi odegrał rolę powieściowego detektywa. Teraz znalazł się w szpiegowskim thrillerze, ale jakiegokolwiek działania uniemożliwiały mu nieszczęsne znaki na czole. Gdyby tak stał się na chwilę Jamesem Bondem lub nawet Travisem McGee. Kilka dni w Aus jako robotnik portowy albo tragarz, i zdobyłby niezbędne informacje. Niestety, siedem wytatuowanych mieczy od razu rzucało się w oczy.

Ostrzałka zgrzytała, aż cierpły zęby.

Dość tego.

Już kilka razy Wallie przekonał się, że wraz z ciałem Shonsu otrzymał jego gruczoły. Nauczył się dostrzegać zwiastuny niebezpieczeństwa, ale czasami adrenalina zaczynała działać zniechęcająco.

Tak jak teraz.

Frustracja, poczucie bezsilności, konieczność ukrywania się, zakłócenie rytmu biologicznego spowodowane podróżą – wszystko razem spowodowało, że Wallie Smith dopuścił do głosu temperament Shonsu.

–Do diabła! Idę na brzeg!

Nnanji z podziwem spojrział na mentora i odłożył kamień do ostrzenia.

–Racja!

–Ty zostajesz – oznajmił Wallie. – Będziesz pilnował siódmego miecza i zapinki.

Katanji, idź do Broty i poproś ją o kawałek czarnego płótna. Zamknij się, Nnanji.

Dziesięć minut później miał na sobie tylko skrawek materiału omotany wokół bioder i opaskę na czole. Rozsądek błagał o ostrożność, ale było już za późno. Wallie ruszył do drzwi.

–Panie bracie! – Nnanji rzucił mentorowi buntownicze spojrzenie. – Szermierz bez miecza jest jak człowiek bez honoru! Prosiłeś, żebym ci mówił...

–Przyjmuję do wiadomości twoją uwagę.

Wymaszerował z nadbudówki. Na pokładzie stała Brota, trzymając ręce na biodrach. Popatrzyła na Siódmego bez wyrazu.

–Same mięśnie i za grosz rozumu. Co próbujesz udowodnić, panie? To głupota!

Zniewaga! W tej chwili jednak nie był Siódmym. Bez słowa przeszedł obok kobiety.

Na szczycie trapu czekała na niego Jja, blada i niespokojna. Wallie uśmiechnął się wesoło i próbował przejść obok niej, ale zastąpiła mu drogę.

–Panie, proszę. Wiem, że niewolnica nie powinna mówić takich rzeczy, ale proszę, nie rób tego! To bardzo niebezpieczne.

–Niebezpieczeństwo jest wliczone w mój zawód, Jjo. Pocałował ją w czoło i odsunął delikatnie. Kobieta przywarła do niego.

–Proszę... Wallie.

Nigdy tak go nie nazywała. Tylko wtedy, gdy się kochali. Mężczyzna potrząsnął głową.

–Musimy zaufać Bogini, najmilsza. Rozejrzał się po nabrzeżu, ale nigdzie nie dostrzegł czarnoksiężników, więc zszedł po trapie i wmieszał się w tłum pieszych. Miał dobry widok nad głowami ludzi. Nikt nie zwracał na niego uwagi, ale dostrzegł kilka nieprzyjaznych spojrzeń, raczej zdziwionych niż groźnych. Mijał stoliki z rozłożonymi towarami, wózki ze stosami owoców, złotych bochenków chleba i pości czerwonego mięsa atakowanego przez muchy, fury zaprzężone w konie, które z brzękiem uprząży parskwały, podrzucając worki z obrokiem. Uskakiwał przed nadjeżdżającymi z łoskotem wożami, lawirował wśród tłumu, uważając, żeby mu nie nadepnięto na palce. Obserwował ładowanie i rozładowywanie statków. Powietrze było nieruchome, gorące i lepkie. Doki Aus cuchnęły, ale Wallie zaczął się cieszyć wycieczką.

Nagle wypatrzył zakapturzone postacie. Odwrócił się do nich plecami i wcisnął w tłumek stojący przy wózku z szaszłykami. Stary domokrażca obsługujący ruszt rzucił mu baczne spojrzenie, mruknął: "Masz" i podał mu patyk z nadzianymi kawałkami mięsa.

Wielki Shonsu został żebrakiem. Zdrowym i silnym żebrakiem, który powinien znaleźć sobie uczciwą pracę. Wallie pohamował uśmiech, gdy przypomniał sobie o sakiewce z klejnotami, która została na statku. Ugryzł mięso i stwierdził, że jest łykowate, ale smaczne, gorące i mocno przyprawione. Przy drugim kęsie doszedł do

wniosku, że to ośmiornica albo kalmar. Ośmiornice w słodkiej wodzie?

–Niech Bogini doda siły twojemu ramieniu i wyostrzy twój wzrok – wymamrotał.

Jego dobroczyńca cofnął się przerażony, a Wallie natychmiast pożałował swoich słów. Było to szermiercze błogosławieństwo. Starzec zmarszczył brwi. Atletycznie zbudowany, młody mężczyzna z długimi włosami...

Wallie uśmiechnął się szeroko.

–Jak powiadają.

Domokrążca rzucił okiem ponad jego ramieniem.

–Już nie – szepnął. – Nie tutaj. – Potem krzyknął: – Zmiataj! Wallie się obejrzał.

Czarnoksiężnicy już go minęli, więc ruszył dalej, jedząc miejscowy przysmak.

Zobaczył, że na jeden ze statków niewolnicy ładują dachówki, a z drugiego znoszą kosze owoców. Raptem zatrzymał się w pół kroku, aż wpadł na niego jakiś mężczyzna. Grupa wyrostków zdejmowała worki z dużego dwukonnego wozu i wносиła je na niewielki statek. Trap skrzypiał przy każdym ich kroku. Na nabrzeżu leżały długie bele materiału oraz kilka tajemniczych pakunków i tobołków, a nieco dalej reszta ładunku: skrzynie, słoje i rzucające się w oczy miedziane i mosiężne rondle, które lśniły w słońcu.

W tym rozgardiaszu uwagę Walliego przyciągnęły dwa węzowe zwoje miedzianego drutu. Lustrując kolekcję garnków, dostrzegł kilka tak dużych jak pojemniki na śmieci, z pokrywkami i wąskimi dzióbkami u góry. Oceniał, że zwoje pasują do kotłów, i wysnuł wniosek, że są to urządzenia do destylacji.

Wino, owszem. Piwo, tak. Nie znał jednak miejscowego odpowiednika alkoholu, brandy, spirytusu lub bimbrow. Czyżby to była magia? Podniecony odkryciem, ruszył w stronę statku.

Tomiyano rozmawiał z jakimś żeglarzem. Gdy zobaczył Siódmego, jego twarz zapłonęła z wściekłości. Przerwał rozmowę i podszedł do niego, sadząc duże kroki.

–Co do diabła wyprawiasz, Shonsu?

–Węszę. Jestem bezimiennym. Tylko szermierze mogą mnie przeszukać.

Kapitan nie był rozbawiony.

–Tego, co masz pod opaską, wystarczy, żebyś zginął po siedmiokroć. Narażasz mój statek na niebezpieczeństwo. Wallie uśmiechnął się niewinnie.

–Wprost przeciwnie. Bezpieczniej dla twojego statku, gdy jestem na brzegu Teraz powiedz, mi, czy widzisz tamte miedziane węże? Co to jest i do czego służy?

Tomiyano spojrzał niechętnie we wskazanym kierunku.

–Nie mam pojęcia. Chodźmy. Musisz zejść z widoku.

Wallie ruszył za Trzecim. Gromada umorusanych wyrostków i młodych mężczyzn wносиła na pokład worki. Za niektórymi zostawał siad w postaci wąskiego paska żółtego proszku. Kobieta o pospolitej czerwonej twarzy opierała się o reling i liczyła coś nil liczydło. Starszy żeglarz z kapitańskim sztyletem ścigał worki z wozu i podawał je tragarzom. Kadłub statku znajdował się w oplakany stan, wymagał malowania. W porównaniu z *Szafirem* był nędzną łajbą.

Kapitan miał nadwagę, siwe włosy, wyglądał na głupiego i leniwego. Zmierzył Walliego podejrzliwym wzrokiem, ale powrót Tomiyano wykorzystał jako okazję do

przerwy w pracy. Gdy zjawił się tragarz, Wallie załadował mu na plecy worek, który ściągnął z wozu. To samo zrobił, gdy podeszli następni. Kapitan mógł się zająć rozmową.

Wallie podsłuchiwał. Dowiedział się, że w Aus są mielizny, a za Czarną Krainą nie ma żadnych miast i osad przez dwa tygodnie żeglowania. Kapitan Tomiyano winien ruszyć w górę Rzeki. Następnym miastem było Ki San duże i bogate. Żadnych czarnoksiężników. W Aus wszystko się pogorszyło, odkąd przybyli magowie. W Ki San płacono więcej za tak luksusowy towar jak drzewo sandałowe, a z kolei na sprzedaż oferowano wyroby z miedzi i mosiądzu. W tym momencie Trzeci spytał o zwoje drutu, ale stary żeglarz zamknął się jak ostryga. Zdjęty ciekawością Tomiyano postanowił osobiście wyjaśnić tajemnicę.

Miedziane rurki i pokrywy okazały się tak precyzyjnie wykonane, że Wallie nie miał trudności z nasadzeniem ich na jeden z dwóch wielkich garów. Oba były puste. Mogły służyć jedynie do destylacji. Stary żeglarz wyraźnie się denerwował. Próbował zmienić temat, ale w odpowiedzi na bezpośrednie pytanie przyznał, że towar ma być dostarczony do wieży. Tomiyano, coraz bardziej zaintrygowany, powiedział, że kupi jeden zestaw, ale kapitan zdecydowanie odrzucił jego ofertę.

–Na co żeglarzowi taka rzecz? – usłyszeli za plecami czyjś wysoki głos.

Wallie odwrócił się i ujrzał dwóch czarnoksiężników. Jeden z nich trzymał srebrną fujarkę.

Wyższy, w pomarańczowym stroju Czwartego, miał około czterdziestu lat i chudą twarz o podejrzliwym wyrazie, ledwo widoczną pod kapturem. Dłonie ukrywał w rękawach.

Na czole jego młodszego i bardziej krągłego towarzysza widniały trzy wytatuowane pióra. Arogancki uśmieszek wykrzywił wargi, przy których brązowy trzymał ustnik wąskiego instrumentu. Trzy dźwięki magicznej piszczałki zabiły Kandoru.

Pytanie było skierowane do Tomiyano, ale obaj czarnoksiężnicy patrzyli na Walliego.

Po żebrach spływały mu strużki zimnego potu. Znalazł się w pułapce. Z jednej strony miał wóz, z drugiej statek, za sobą trap, górę bel materiału i stosy towarów, a czarnoksiężnicy odcięli mu drogę do *Szafira*. Trzy ostatnie sutry powinny być dla niego ostrzeżeniem, nie wspominając o rozwadze. Honor Nnanjiego, miłość Jji, rozsądek Broty. Odrzucił to wszystko i teraz musiał zapłacić za głupotę.

Najgorsze, że nie wiedział, co mu grozi. Czy człowiek może obronić się przed czarami? Nawet gdyby miał przeciwko sobie tylko noże albo miecze, raczej nie udałoby mu się wziąć nóg zapas, mimo że szaty niewątpliwie przeszkadzałyby czarownikom w pościgu. Jeśli ich jedyną bronią była fujarka albo magiczna formułka, która mogła go zmienić w zwęglonego trupa...

–Po prostu ciekawość, adeptcie – powiedział Tomiyano dziwnie pokornym tonem. – Nigdy czegoś takiego nie widzieliśmy.

–Ciekawość bywa niebezpieczna, żeglarzu – odparł Czwarty nie patrząc na niego. – Szczególnie dla szermierzy siódmej rangi. Zgadzasz się ze mną... Wallie?

Nieosiżliwe! To imię znała Jja, Honakura i Nnanji. Nikt inny na Świecie. Nawet gdyby czarnoksiężnicy schwyłali kogoś z tej trójki, nie zdążyliby wyciągnąć z niego informacji, torturami... albo w inny sposób.

Jja wymówiła jego imię, gdy schodził po trapie. Nikt jednak nie kręcił się w pobliżu. Nawet Brota nie mogła ich usłyszeć.

W grę zatem wchodziła niewidzialność. Albo telepatia. Tak czy inaczej, czarnoksiężnicy byliby nie do pokonania.

–O, widzę niepokój w twoich oczach! – stwierdził czarnoksiężnik z uśmiechem zadowolenia. – Powiedziałeś Jji, żeby ufała Bogini.

Nikt nie mógł tego podsłuchać. Wallie zbladł. Rozpaczliwie j próbował zapanować nad drżeniem. Strach. Raczej lęk przed nieznanym. A głównie irytacja z powodu własnej bezmyślności Idiota!

–Ruszaj! – warknął Czwarty i skinął w stronę trapu.

Kapitan chyba nie był tak głupi, na jakiego wyglądał. Przerwa załadunek i uciekł na pokład.

Wallie zawahał się, ale po chwili wzruszył ramionami i poszedł we wskazane miejsce.

–Na drugą stronę, bliżej statku! – polecił mężczyzna skrzekliwym głosem.

Wallie spełnił polecenie. Czarnoksiężnik z satysfakcją pokiwał głową.

–Nie lubię zapachu szermierzy.

Jego śmiech był równie ostry jak głos. Młodszy towarzysz zawtórował Czwartemu.

–Zdejmij opaskę! – rozkazał.

Skrzyżował ramiona, naśladując zwierzchnika. Fujarka zniknęła. Może magia działała na niewielką odległość?

–Jestem bezimiennym. Służę tylko Bogini – oświadczył Wallie i sam się zdziwił, że jego głos brzmi tak spokojnie.

–Jesteś szermierzem siódmej rangi, a my czcimy Boga Ognia! Zdejmij tę szmatę i zwiąż włosy z tyłu.

Wallie posłuchał bez słowa.

Dlaczego obaj czarnoksiężnicy chowali ręce pod obszernymi szatami? Coś w nich trzymali. Noże? Też źle, ale magia byłaby dużo gorsza. Wallie nie miał pojęcia, jak z nią walczyć. Czarnoksiężnicy mierzyli go spod kapturów zimnymi oczami. Wydawali się spokojniejsi. Czyżby czuli się pewniej, stojąc w większej odległości od Siódmego. Czy to oznaczało, że czary nie działają natychmiast? W takim razie szermierz został przechytrzony i zapędzony w pułapkę.

Zerknął w dół. Między nabrzeżem a kadłubem statku została dzięki odbijaczom spora przerwa. Było dość miejsca na skok w czystą i niewinnie wyglądającą wodę. Na Ziemi nie wahałby się ani chwili. Nie mógł jednak oczekiwać, że bogowie znowu matują go przed piraniami. Uprzedzono go, żeby nie liczył na cuda. Tę drogę ucieczki miał zamkniętą.

–Skacz, jeśli chcesz – rzucił drwiąco starszy czarnoksiężnik. – Oszczędzisz mi

czaru i kłopotu.

–Poczekam – odparł Wallie z udawanym spokojem.

Mężczyzna uśmiechnął się triumfująco.

–Może najpierw rozprawimy się z jego współnikiem – powiedział do towarzysza, nie odrywając wzroku od szermierza.

–Zostawcie go! – krzyknął Wallie. – Nie znaliśmy się wcześniej. Wsiadłem na jego statek pod groźbą miecza.

–Popełnił krzywoprzysięstwo, szermierzu. W takim wypadku zwyczajową karą jest wsadzenie do ust łyżki rozżarzonych węgli.

–Nie miał wyboru, adeptcie! Przysłuchiwałem się z ukrycia jego rozmowie z urzędnikiem portowym. Trzymałem ostrze przy szyi jego siostry.

Czwarty zawahał się.

–Myślę, że kłamiesz, szermierzu. Lecz będziemy litościwi. Skoro jest taki ciekawy, pokażemy mu, do czego służą kotły.

Trzeci ruszył w stronę Tomiyano. Wydawało się, że nie dotyka ziemi. Sunął jak duch. Zbliżył się do kapitana i spojrzał mu w oczy. Ten zrobił krok do tyłu.

–Więc chcesz poznać tajniki naszego rzemiosła, tak?

Mężczyzna był wyraźnie rozbawiony. Sprawiał wrażenie bardziej pewnego siebie niż Czwarty, co oznaczało, że starszy i bardziej doświadczony czarnoksiężnik czegoś się obawia. Wallie uznał, że to dobry znak. Nie widział twarzy żeglarza, ale usłyszał gniew w jego głosie.

–Przepraszam, nie wiedziałem, że należą do was.

–Podnieś jeden, to ci pokażę – rzucił Trzeci kpiącym tonem. Zanosilo się na jakiś podstęp.

–Podnieś!

Żeglarz położył ręce na biodrach.

–Nie!

Czarnoksiężnik coś wymamrotał i machnął ręką przed twarzą kapitana. Tomiyano krzyknął i chwycił się za policzek. Zgięty wpół, zaczął podskakiwać i przeklinać.

Wallie spojrzał na Czwartego, zaciskając pięści. Ten najwyraźniej rozkoszował się jego bezsilną furią.

Tomiyano wyprostował się wściekły i sięgnął po nóż.

Broń zniknęła. Żeglarz odwrócił się do Siódmego ze strachem w oczach, poblady z bólu. Obok ust miał straszliwe oparzenie. Potrząsał lewą ręką, jakby również go piekła.

–Szermierze obcinają uszy, gdy ktoś wyprowadzi ich z równowagi – stwierdził Trzeci. – My nie jesteśmy takimi barbarzyńcami, ale chcemy zapamiętać tych, którzy naruszyli prawo. Ślad ostrzeże moich braci, których spotkasz w przyszłości, że nie należy ci ufać. A teraz, kapitanie Tomiyano, podnieś kocioł!

W bezpiecznej odległości za czarnoksiężnikami zebrali się gapie. Z góry patrzyli żeglarze. Tomiyano rzucił Walliemu wściekłe spojrzenie. Przykucnął i otoczył ramionami wielki gar. Wyprostował się bez trudu i spojrzał na swojego dręczyciela.

–Hodujemy w nich ptaki – oznajmił Trzeci. – Nie wierzysz kapitanie? Zajrzyj!

Zdjął pokrywę. Prosto w twarz Tomiyano wyfrunął z głośnym łopotem skrzydeł biały ptak. Zaskoczony mężczyzna zrobił krok do tyłu, potknął się o jakiś kocioł i runął na ziemię pośród donośnego brzęku. Czarnoksiężnicy wybuchnęli dudniącym śmiechem. Chwilę później dołączyli do nich żeglarze i wciąż rosnący tłum na nabrzeżu. Ptak wzbił się w niebo i odleciał. Tomiyano wstał roztrzęsiony.

Młodszy czarnoksiężnik podszedł do zwierzchnika. Obaj spojrzeli na Walliego.

–Teraz twoja kolej, szermierzu – powiedział Czwarty. Walliemu mocniej zabiło serce. Zastanawiał się, czy zdąży skoczyć, nim czar zacznie działać. Powinien to zrobić wcześniej, gdy tamci byli zajęci dręczeniem żeglarza.

Napięcie rosło. Czarnoksiężnicy i szermierz mierzyli się wzrokiem. Wallie próbował się rozluźnić i oddychać wolno, ale po chwili marzył już tylko o tym, żeby prześladowcy wreszcie coś zrobili.

–Okazałeś się zadziwiająco głupi, Wallie – stwierdził Czwarty- – Nawet jak na szermierza.

–Nie przeczę.

Co się dzieje?

Pomarańczowy lekko skinął głową.

–Ten szermierz jest bardzo pokorny, czarnoksiężniku Resalipi.

Czwarty miał twarz ukrytą pod kapturem, ale Wallie dostrzegł krople potu na jego czole. Wyczuł, że ten człowiek nie chce mordować z zimną krwią. Co innego, gdyby Siódmy ich zaatakował.

Brązowy kaptur nachylił się ku pomarańczowemu. Czyżby Trzeci proponował, że sam dokona egzekucji?

–Nie, Resalipi – powiedział Czwarty. – Myślę, że pokorny szermierz może być dobrym przykładem dla innych. Damy ci wybór, lordzie Wallie. Możesz umrzeć albo doczołgać się do statku na dowód swojej uniżoności.

Nadzieja! Nadzieja rozbłysła jak mały płomyk wśród wygasłych popiołów. Wallie Smith wolał pełzać niż umrzeć.

–Czy wtedy będziemy mogli odплыnąć bezpiecznie? Przyrzekniecie?

Nawet ten drobny opóromal nie skłonił czarnoksiężnika do zmiany zdania.

–Żadnego targowania!

–Dobry pomysł! – nieoczekiwanie poparł Walliego młodszy. – Wiesz, szermierzu, że my, czarnoksiężnicy, przysięgamy na ogień, Zdejmij z siebie tę szmatę i rzuć nam.

W tym momencie Wallie zrozumiał, co się kroi, ale jego wahanie trwało tylko ułamek sekundy. Zerwał przepaskę biodrową, zwinął ją w kłębek i rzucił nad trapem do czarnoksiężników. Póki z nim igrali, pozostawał przy życiu. Nie odważył się spojrzeć na ciżbę. Zerknął na Tomiyano. W oczach żeglarza malowało się zaskoczenie i gniew.

Trzeci złapał przepaskę i cisnął ją na ziemię przed zwierzchnikiem. Czwarty wyciągnął przed siebie rękę i wymamrotał kito słów. Materiał zaczął się tlić, a po chwili buchnął płomieniem. Obaj mężczyźni spojrzeli na Walliego, żeby zobaczyć jego reakcję, więc udał, że jest pod wrażeniem.

–Przysięgam – powiedział Czwarty. – A teraz się kładź.

Walliego przez moment korciło, żeby spróbować ucieczki. Dusza Shonsu buntowała się w nim na myśl o upokorzeniu, ale wypełnił polecenie – nagi, śmiertelnie zawstydzony i bezbronny.

Czarnoksiężnik przyglądał mu się przez chwilę wyraźnie zaskoczony.

–Pełnij! Jeśli się zatrzymasz, zginiesz. Wallie podniósł wzrok na jego towarzysza. Trzeci również był zdziwiony.

–Mam na pokładzie juniora, który jest w gorącej wodzie kąpany – powiedział Siódmy. – Kapitanie, idź na statek i uprzedź Nnanjiego, proszę. W razie potrzeby przywiąż go do masztu. Nic chcę więcej kłopotów.

–Tylko każ mu patrzeć, żeglarzu – dorzucił ze śmiechem młodszy czarnoksiężnik. Tomiyano puścił się biegiem w stronę Szafira.

–Czołgaj się, szermierzu!

Wallie ukląkł, opierając się na rękach.

–Na brzuchu, powiedziałem!

Wallie położył się na ziemi i zaczął pełznąć. Miał do przebycia tylko pięć długości statku. Minał stos garnków i wóz. Tłum rozstał się przed nim.

Miał do przebycia tylko pięć długości statku. Potrzebował około dziesięciu lat.

–Trzymaj głowę uniesioną, szermierzu! Czarnoksiężnicy szli za nim, krzycząc do mieszkańców Aus, żeby zrobili miejsce szermierzowi. Ludzie utworzyli szpaler i rzucali drwiące, rubaszne lub grubiańskie komentarze. Czołgając się obok wózków i straganów, Wallie powtarzał sobie w duchu, że musi być pragmatyczny, a upokorzenie jest lepsze od śmierci.

Śmiech wybuchł, nim szermierz dotarł do końca pierwszego statku. Potem zaczęto ciskać w niego końskim łajnem, zgniłymi rybami i twardymi przedmiotami.

–Głowa w górze, szermierzu!

Wallie widział bose stopy, buty, sandały. Potem dostrzegł szaty sięgające ziemi; przybyło więcej czarnoksiężników. Tłum go popędzał, dzieci budowały przeszkody z bel materiału i skrzyń.

–Głowa, szermierzu! – powtarzał za nim skrzekliwy głos.

Wallie zaznał już kiedyś szyderstw gapiów, kiedy prowadzono go do Sądu Bogini. Wtedy jednak był Walterem Smithem, obolałym i sponiewieranym. Teraz przywykł myśleć o sobie jako o szermierzu siódmej rangi. Drwiny bolały mocniej.

–Zróbcie drogę szermierzowi!

Korytarz utworzony z ludzi i skrzyń skręcał w stronę jednego z furgonów. Gdy Wallie posłusznie przeczołgał się pod wozem, powitały go brawa. Zastanawiał się, przed czym właściwie ucieka. Przed muzyką? Białym ptakiem? Płonącą szmatą? Może czarnoksiężnicy przez cały czas blefowali. Jednak Kandoru zginął naprawdę. Garnizon w Ov przestał istnieć, w Aus prawdopodobnie też. Gruby żeglarz, kumpel Tomiyano, uciekł na statek, gdy dostrzegł zakapturzone postacie.

Może Wallie by nie wytrzymał, gdyby raptem nie pomyślał o Nnanjim. Protegowany oskarżył go kiedyś przed Imperkannim z tak błahego powodu jak przebranie się za niewolnicę. Co będzie teraz? Nnanji nigdy mu czegoś takiego nie wybaczy. Złożył czwartą przysięgę. "Twój honor jest moim honorem". Wallie okrył go hańbą tak samo

jak siebie. Chłopak zabije bezbronno wyrzutka, zaatakuj bez ostrzeżenia... Nie, nie będzie miał prawa tego zrobić, bo we własnych oczach również będzie wyrzutkiem. Prędej zabije siebie. W tej kulturze wstyd był rzeczą gorszą od śmierci. Wallie gorączkowo przebiegł myślą sutry. Czy na Świecie istnieje odpowiednik rzymskiego lub pruskiego samobójstwa: nadziania się na własny miecz albo czyszczenia pistoletu? Nie znalazł w sutrach żadnej wskazówki, że Bogini oczekuje od niego seppuku. Wtem trafił na powiedzenie szermierzy: "Umył swój miecz". Oczywiście.

Pojął teraz w pełni bezmiar swojej głupoty. Shonsu czy Nnanji nigdy nie wyszliby na brzeg bez broni, a gdyby wpadli w pułapkę tak, jak Wallie, skoczyliby do wody. Tego właśnie spodziewali się czarnoksiężnicy. Prawdopodobnie bogowie również. Powinien mieć więcej wiary. Zawiódł nie raz, lecz podwójnie.

Ponad wszystko na Świecie Nnanji cenił swój honor, a mentor właśnie go szargał, w błocie. Nie mógł liczyć na przebaczenie, zrozumienie, puszczenie w niepamięć. Czwarta przysięga była nieodwołalna. Nie zdołałby wymyślić większego okrucieństwa. Możliwe, że kiedy dotrze do *Szafira*, znajdzie Nnanjiego martwym. Wciąż desperacko szukał rozwiązania, gdy raptem stwierdził, że jego udręka dobiega końca. Martwiąc się o protegowanego, pełził automatycznie i zapomniał o szyderstwach.

Trap *Szafira* pojawił się przed nim jak oaza na pustyni. Doczołgał się do statku, ukląkł, potem wstał. Czekał na jakiś podstęp czarnoksiężników, ale usłyszał jedynie pogardliwe wiwaty gapiów.

Był brudny jak nieboskie stworzenie, podrapany i drżący. Obejrzał się na prześladowców. Odniósł wrażenie, że patrzą na niego z satysfakcją i rozbawieniem, ale nie widział dokładnie ich twarzy ukrytych w cieniu kapturów. Lekko skinął im głową, okręcił się na pięcie i wszedł po trapie.

Bardzo blada Jja podała mu kawałek płótna. Wallie owinął się nim w pasie. Przez chwilę spoglądali na siebie w milczeniu. Potem Siódmy rozejrzał się po pokładzie. Żeglarze, Brota i Thana nie zwracali na niego uwagi. Stał się niewidzialny. Dla wszystkich z wyjątkiem Jji.

W miejscach publicznych zawsze miała oczy spuszczone. Teraz patrzyła mu prosto w twarz.

–Tylko ty! – szepnęła. – Nie dbasz o honor?

–Honor? Niewolnica?

Kobieta wzięła go za ramię i pociągnęła do nadbudówki dziobowej. Wallie pozwolił się zaprowadzić do ciasnego pomieszczenia z prysznicem, mrocznego i cuchnącego pleśnią. Tam Jja go umyła, ręcznie pompując wodę. Przy okazji cała się zamoczyła.

–Jjo... przepraszam.

–Przepraszasz? Mówiłam!

Była na niego wściekła. Strach ustąpił miejsca gniewowi. Przemiana potulnej niewolnicy w rozsierdzoną kochankę okazała się bardziej zaskakująca niż niedawne czary.

–Gdzie jest Nnanji?

–Nie mam pojęcia!

Nareszcie czysty, objął ją i pocałował. Jja próbowała się opierać – kolejny cud – ale w końcu mu uległa. Gdy odsunęli się od siebie, przez chwilę mierzyła go wzrokiem, a potem wybuchnęła płaczem. Wallie przytulił ją mocno. Oboje ociekali wodą.

–Rzeczywiście powinienem był cię posłuchać, najmilsza. Bardzo mi przykro.

Dziewczyna położyła mu głowę na piersi i szepnęła:

–Nie, to ja muszę przeprosić, panie, że tak do ciebie się odezwałam.

–Nigdy więcej nie nazywaj mnie “panem”! Nigdy!

–Ale... – Skonsternowana podniosła wzrok. – Jak mam cię nazywać?

–Nazywaj mnie “ukochanym”, gdy na to zasłużę, a “idiotą” w innych sytuacjach.

To ostatni rozkaz, jaki ci wydaję. Och, Jjo, jesteś jedyną rozsądną osobą na Świecie. Kocham cię do szaleństwa. Chodź. Zobaczymy, co da się uratować z bałaganu, jakiego narobiłem.

Jja podała mu kilt i buty. Wallie przeczesał włosy, zebrał się w sobie i wyszedł na pokład skąpany w oślepiającym słońcu. Brota, Thana, Tomiyano, żeglarze... Nikt go nie dostrzegł. Niewidzialny szermierz. Powitały go za to okrzyki z nabrzeża. Nie spojrzał w tamtą stronę.

Zapinka do włosów i chioxin znajdowały się na rufie. Gdy Wallie obchodził pokrywę tylnego luku, drzwi nadbudówki się otworzyły i stanął w nich Honakura, bardzo znużony. Wyglądał jak poczciwy wiejski lekarz wychodzący od chorego –“Możecie teraz wejść”. Próbował minąć szermierza, ale ten zastąpił mu drogę.

–I co, starcze?

Kapłan spojrzał na Siódmego. Twarz miał nieprzeniknioną.

–Ten młody człowiek ma głowę jak kokos. Nigdy nie widziałem twardszej. Ale w końcu zrozumiał.

–Jestem ci wdzięczny, świętobliwy. W wyblakłych oczach pojawił się błysk.

–Nie zrobiłem tego dla ciebie. Jesteś szaleńcem godnym pogardy.

Oddalił się powolnym krokiem.

Wallie wszedł do nadbudówki i zamknął za sobą drzwi. Krówka siedziała na jednej ze skrzyń i gapiała się przed siebie pustym wzrokiem. Nnanji, bardzo blady, stał pośrodku kajuty.

Przywodził na myśl bezbronne, zranione dziecko. W ręce trzymał pas z siódmym mieczem. Wallie podszedł do protegowanego i spojrzał mu w oczy. Żałował, że nie przygotował sobie mowy,

–Bogowie są okrutni, panie bracie.

–Nnanji...

–Nie umiałbym tego zrobić.

Pokrętnie rozumowanie. Nie zdobyłbym się na takie tchórzostwo, a to znaczy, że masz więcej odwagi niż ja? Logika Honakury.

–Nnanji, przepraszam...

Chłopak ze smutkiem potrząsnął głową.

–Bogowie są okrutni. “Kiedy potężny zostanie upokorzony?” Starzec wyjaśnił, że

musiałeś znieść to poniżenie, bracie, ale ja bym nie potrafił. Nawet dla Bogini.

Wyglądało, jakby Czwarty chciał pocieszyć mentora.

–Do diabła!

Wallie nie chciał ratować się kłamstwem, choćby nie wiadomo jak gorzka była prawda.

–Nie myślałem o zagadce. Nawet mi nie przyszła do głowy. Czołgałem się, bo nie chciałem umrzeć.

Nnanji zamknął oczy.

–W moim świecie takie wyjście uznano by za honorowe.

Wallie wiedział, że w żaden sposób nie zdoła pogodzić dwóch całkowicie odmiennych kultur. Musiał jednak spróbować wytłumaczyć Nnanjiemu, że to, co zrobił, wcale nie jest dla niego aż takie straszne.

–Złamałem prawo. Poniosłem karę. Tylko ja ucierpiałem, jak widzisz. Stwierdziłem, że to lepsze niż śmierć. Mówiłem ci, że nie jestem prawdziwym szermierzem, choć staram się, jak mogę.

Nnanji odwrócił się, ukrywając twarz przed mentorem.

–Bogowie musieli wiedzieć, że to zrobisz.

–Chyba tak. Może powinienem był skoczyć. Może Bogini pozwoliłaby mi... wrócić bezpiecznie.

Nie znalazł w pamięci słowa “pływanie”. Mijały sekundy. Z portu dobiegał zgiełk.

–Ostrzegałem cię, Nnanji, już pierwszego dnia, kiedy siedzieliśmy na murku w świątynnym ogrodzie.

–“Nie jestem jednym z tych bohaterów, których opiewa się w eposach”.

Pamiętam.

–Nie mogę cię zwolnić z czwartej przysięgi, bo jest nieodwołalna. Lecz druga straci ważność, jeśli chcesz. Pozostaniemy zaprzysiężonymi braćmi, ale nigdy więcej się nie spotkamy. W następnym porcie możesz odejść.

Po dłuższej chwili młody szermierz wyprostował kościste ramiona i spojrzał na Siódmego.

–Nie. Ja również mam rolę do odegrania. Starzec tak uważa. Zostanę.

Podał mentorowi zapinkę. Wallie spiął nią włosy, zaskoczony i wdzięczny.

–Może nie na długo. Mały bóg ostrzegł mnie, że karą za porażkę jest śmierć albo coś gorszego. Może Honakura źle rozwiązał zagadkę. Jeśli wszystko zepsułem, misja szybko się skończy.

Nnanji głośno przełknął ślinę.

–Gorszego? W takim razie już zostałeś ukarany. To była również moja wina, bracie.

–Nic podobnego! Co masz na myśli?

–Prosiłeś, żebym cię ostrzegał, gdy będziesz popełniał błąd. Zdejmując miecz...

–Ostrzegłeś mnie. Ja cię zignorowałem.

Czwarty wyciągnął chioxin. Walliemu szybciej zabiło serce. Wiedział, że Nnanji z nagim mieczem to nie przelewki.

–Mogłem cię powstrzymać, bracie – powiedział cicho protegowany.

Wallie milczał. Ostrze zabłysło w półmroku kajuty, gdy Nnanji zaczął je oglądać z obu stron.

–Powinienem cię zatrzymać. Ale byłeś Jej orędownikiem. Byłeś? Tego dnia jedno stało się na pewno. Nnanji został brutalnie wyleczony z kultu bohatera.

–Jesteś – poprawił się chłopak z raczej kwaśnym uśmiechem. Podał mu pasy, ale bez broni. Wallie je nałożył, zastanawiając się z niepokojem, jakie myśli krążą po rudej głowie.

–Mam nadzieję, choć dzisiaj wcale nie czuję się jak orędownik. Nnanji obserwował grę światła na klindze i szafirze.

–Pamiętasz ostatnie słowa Briu, panie bracie?

–Nie.

–Przedostatnie. Powiedział: “Musimy się starać być lepszymi”.

Może Nnanji żałował, że zmienił mentora.

Przez chwilę patrzył taksująco na Siódmego, a potem uklęknął na jedno kolano. Trzymał siódmy miecz w obu rękach i powiedział uroczyście:

–Zarabiaj nim na życie. Władaj nim w Jej służbie. Umrzyj z nim w dłoni.

Sutry wymagały tego rytuału przy wręczaniu rekrutowi pierwszego miecza, ale szermierze rozszerzyli go na każdą nową broń. Ceremoniał był jak drugie narodziny Shonsu. Jednocześnie stanowił potwierdzenie przyjaźni, oznaczał wybaczenie, pojednanie i nowy początek. Mówił: “Teraz bądź szermierzem”. Gest, wynikający z romantyzmu Nnanjiego, tym razem okazał się krzepiący. Zły, że wzruszenie ścisła mu gardło, Wallie wyrecytował odpowiedź:

–To dla mnie zaszczyt i duma. – Wziął miecz i uśmiechnął się do protegowanego.

–Dziękuję, bracie. Spróbuję być lepszy. Nnanji nie odwzajemnił uśmiechu.

–Ja też – powiedział cicho.

Obaj odwrócili się, gdy skrzypnęły drzwi.

–Panie! – zawołała Jja. – Statek zaraz odpływa, a nowicjusza Katanjiego nie ma na pokładzie.

Nnanji rzucił się do wyjścia, ale żelazna dłoń zacisnęła się niczym paszcza lwa na jego ramieniu.

–Zła taktyka, bracie!

–Tak!

Czwarty został w kajucie, a Wallie poszedł zbadać sprawę. Przywitały go ironiczne okrzyki z nabrzeża. Próbkę towarów rzucono niedbale na pokład. Brota siedziała przy sterze, załoga czekała przy linach, dwaj mężczyźni szykowali się do wciągnięcia trapu. Gdy Wallie postawił na nim nogę, popatrzyli na niego rozgniewanym wzrokiem.

Jednym z nich był Tomiyano. Oparzenie na policzku szerniało i popękało jak nadpalona skóra aligatora. Zapewne bardzo dokuczało mimo grubej warstwy maści, bo kapitan starał się nie poruszać tą częścią twarzy.

–Na demony, co robisz, szermierzu? – wymamrotał niewyraźnie.

–Nasz Pierwszy został na brzegu.

–Zakapturzeni kazali nam odpłynąć. Chcesz z nimi dyskutować?

–Chyba będę musiał.

Gdy Wallie ruszył w dół po trapie, tłum natychmiast się uciszył. Gapie stali po obu stronach kordonu utworzonego przez ośmiu czy dziewięciu czarnoksiężników, którzy zamknęli ulicę na całej szerokości od Rzeki do magazynów. Ludzie wychylali się z okien składów, sterczeli na wozach, wisieli na olinowaniach statków cumujących w porcie. Wyglądało na to, że z zainteresowaniem obserwują drużynę Shonsu, prowadzącą w Aus dyskretną akcję wywiadowczą.

Obok Czwartego, tego który miał piskliwy głos, stał teraz Piąty, a jego twarz była ukryta pod czerwonym kapturem. Sprawa *Szafira* zwabiła grube ryby. Katanji mógł znajdować się milę stąd, ale Wallie miał nadzieję, że chłopak jest gdzieś blisko, tylko utknął w ciżbie. Omiatały go spojrzenia setek oczu, po skórze chodziły mu ciarki. W każdej chwili spodziewał się czarnoksiężskiego ataku. Zszedł na nabrzeże, skrzyżował ramiona i zawołał:

–Porozmawiajmy, adeptcie czarnoksiężniku!

Dwie głowy, jedna w czerwonym, druga w pomarańczowym kapturze, zwróciły się ku sobie. Po krótkiej naradzie Czwarty ruszył wolno w stronę Siódmego i zatrzymał się w bezpiecznej odległości, poza zasięgiem miecza.

–Czego chcesz, szermierzu?

Wallie próbował odczytać wyraz jego twarzy. Dostrzegł na niej coś nowego. Niepewność? Urazę? Może dostał reprimendę od zwierzchnika?

–Dziękuję, że mnie oszczędziłeś, adeptcie. Chętnie uściskałbym ci rękę.

Oczywiście, gdybyś potrafił czytać w myślach, stwierdziłbyś, że chodzi mi jedynie o odwrócenie waszej uwagi.

–Czarnoksiężnikowi? Podałeś już rękę jakiemuś szermierzowi, Shonsu?

Pospiesz się, Katanji!

Shonsu!

–Wcześniej nie znałeś mojego imienia, czarnoksiężniku. Na chudym obliczu

wykwitł rumieniec.

–Nieprawda!

Wallie doskonale zdawał sobie sprawę, że prowokowanie czarnoksiężników jest niebezpieczną głupotą, ale uznał, że może być pouczające.

–Kłamiesz, adeptcie! Czarnoksiężnik obnażył zęby.

–Nie! Wykonanie pierwotnego wyroku byłoby zabawne, ale też ryzykowne.

Jeszcze wykazałbyś się heroizmem i zrobił wrażenie na przyjaciołach. A tak nie sprawisz nam więcej kłopotów.

Pierwotny wyrok? Zdradź coś więcej!

–Rzeczywiście, adeptcie. Doceniam twoją litościwość. Ponownie wyciągam do ciebie rękę.

–A ja nią wzgardzam. Cierpliwość moich zwierzchników nie jest niewyczerpana. Chroni cię tylko moja przysięga. Wracaj na statek, Shonsu! Czeka cię dużo płaszczenia się po powrocie do gniazda.

Wallie kątem oka dostrzegł, że ktoś przedziera się przez tłum i biegnie skrajem nabrzeża. Nie śmiał się odwrócić. Na szczęście kaptury bardzo ograniczały czarnoksiężnikom pole widzenia.

Gdzie jest moje gniazdo? Zdaje się, że wiesz o Shonsu więcej niż ja.

–Mam nadzieję, że wyrozumiałość nie przysporzyła ci kłopotów.

Przysporzyła. Czarnoksiężnik znowu poczerwieniał.

Ktoś wbiegł po trapie na pokład. Wallie odwrócił się, udając zaskoczenie. Zobaczył chudą postać i powiewający ogon przepaski biodrowej.

–Kto to był? – zapytał Czwarty. Wallie wzruszył ramionami.

–Jakiś żeglarski dzieciak. Cóż, Bogini z tobą. Żegnaj, adeptcie. Ze względu na ciebie oszczędzę następnego czarnoksiężnika, którego spotkam.

–Lepiej się martw o następnego szermierza, Shonsu!

Czarnoksiężnik wrócił do towarzyszy.

Wchodząc na statek, Wallie drżał na całym ciele. Adept miał rację. Siódmy był teraz znany z imienia. Jego reputacja znaczyła mniej niż zero. Czy kiedykolwiek uda mu się zebrać armię?

–Niewidzialność. To jedyne wyjaśnienie – stwierdził Wallie.

Stał przy prawej burcie i obejmował ramieniem Jję. Honakura siedział w połowie schodków, trzymając łokcie na kolanach. Przynajmniej raz nie musiał zadzierać głowy, patrząc na Shonsu. Nnanji opierał się o reling. Wyglądał jak chmura gradowa. Spojrzenie miał puste, jakby zwrócone do wewnątrz. Katanji, ubrany z powrotem w szermierczy kilt, starał się nie rzucać w oczy. Tylko czekał, aż rozpęta się piekło, gdy zostanie sam z bratem... albo wcześniej, jeśli lord Shonsu przypomni sobie o jego istnieniu. Na pokładzie były jeszcze dwie osoby. Krówka zajmowała się Vixinim albo na odwrót.

Aus zostało daleko w tyle. *Szafirem* zaczęło kołysać, gdy na środku Rzeki zerwał się wiatr. Słońce stało jeszcze wysoko. Rola orędownika Bogini okazała się bardzo uciążliwa. W czasie pierwszych trzech dni misji Wallie nastawił do siebie wrogo dwa miasta czarnoksiężników, cały cech szermierzy i załogę statku. Może również

samych bogów.

W zamian nauczył się... Czego?

Opisał towarzyszom, co widział: spaloną przepaskę, wyczarowanego ptaka, znikający sztylet i poparzonego żeglarza. Dodał do tego historie o magicznej fujarce i demonach ognia szalejących w Ov, a także opowieści, które Nnanji zasłyszał w koszarach.

–Myślałem, że potrafią czytać w ludzkich myślach, słuchać naszych umysłów. – Shonsu nie znał słowa “telepatia”. – Możemy to jednak wykluczyć, bo oszukałem ich, czekając na Katanjiego. Nie wiedzieli, o czym myślę. Pozostaje więc niewidzialność. Kiedy rozmawiałem z Jją, obok nas stał czarnoksiężnik.

Honakura westchnął.

–Ilu ich jest teraz na pokładzie.

–Kto wie? Mów dalej, to może usłyszymy, jak się śmieją.

Nnanji uniósł głowę i zaczął się rozglądać, jakby liczył niewidzialnych wrogów. Niewykluczone też, że obserwował żeglarzy czyszczących pokład. Spojrzenia, które od czasu do czasu rzucali na pasażerów, były nieprzyjazne i groźne. Do Broty siedzącej przy sterze podszedł syn. W miejsce ukradzonego miał nowy sztylet.

–Umysł mi się buntuje na myśl o niewidzialności – poskarżył się starzec.

Nie słyszał, jak Nnanji powtarzał mentorowi historię Tarru o czarnoksiężniku na ośle, więc Czwarty opowiedział ją jeszcze raz. Honakura obnażył dziąsła w szerokim uśmiechu.

–Mnie również – przyznał się Wallie. – Nie widzę jednak innego wyjaśnienia. Jeśli zejście na brzeg miało jakikolwiek sens, to ten, że porozmawiałem z czarnoksiężnikami. Tak więc moja głupota na coś jednak się przydała.

–Dlaczego nie ma niewidzialnych szermierzy? – odezwał się Nnanji z żalem w głosie. – Uczyń mnie niewidzialnym, panie bracie, a oczyszczę Ov i Aus.

Wallie chętnie zrobiłby to samo.

Tomiyano zszedł po schodkach i pospieszył na dziób. Wokół niego zebrali się żeglarze, mężczyźni i kobiety, niczym gromadka dzieci szykujących jakiś psikus.

–Opowieść czcigodnego Tarru może mieć inne wyjaśnienie – stwierdził Honakura. – Czarnoksiężnicy potrafią zmieniać znaki na czole. Mężczyzna na ośle po prostu stał się garbarzem, chłopem albo kimś innym.

–Też wpadłem na takie rozwiązanie – powiedział Wallie cierpliwie.

Starzec nie mógł przywyknąć do myśli, że szermierz jest zdolny do używania rozumu.

–To by również wyjaśniało sprawę fałszywego urzędnika portowego.

–Tak, ale nie sytuację, kiedy rozmawialiśmy z Jją. Na pokładzie musiał być czarnoksiężnik.

Honakura westchnął.

–Gdybym umiał zmieniać postać, chyba chciałbym wyglądać jak tamten urzędnik, młody i piękny. Pokochałabyś mnie wtedy, Jjo?

–Był bardzo przystojny – odparła niewolnica taktownie. Uśmiechnęła się i pocałowała swego właściciela w policzek. – Ale ja i tak kocham tylko szermierzy.

–Jednego szermierza – poprawił ją Wallie.

–Dużego, silnego szermierza.

Mężczyzna oddał jej pocałunek. Minęło dużo czasu, odkąd dzielili łożę w królewskim apartamencie w świątynnych koszarach. Doszło do tego, że Wallie z coraz większym sentymentem wspominał okres uwięzienia.

Wśród załogi coś się działo. W ukradkowych spojrzeniach widać było wesołość. Podjęto jakąś decyzję i wieść się rozeszła. Kapitan został oszpecony na całe życie, statek narażono na niebezpieczeństwo. Cokolwiek spowodowało początkową wrogość żeglarzy, teraz mieli więcej powodów, żeby nie lubić intruzów, a mniej, żeby bać się Bogini. Orędownicy nie czołgają się w błocie. Strach przed Siódmym zmienił się w pogardę.

–Następna sprawa – powiedział Wallie. – Skąd wiedzieli, że jestem na *Szafirze*! Schowałem się w nadbudówce, zanim ktokolwiek był w stanie dostrzec mnie z brzegu. Jestem tego pewien. Mam całkiem dobry wzrok, a nie mogłem odróżnić ludzi kręcących się po nabrzeżu.

Honakura ściągnął brwi.

–Uznaliśmy, że potrafia przesyłać wieści na odległość, panie. Czarnoksiężnicy w kamieniołomie widzieli, że wsiadasz na niebieski statek. Nie zauważyłem wielu niebieskich statków w Aus.

–Możliwe. Choć jestem przekonany, że czarnoksiężnicy nie znali mnie jako Shonsu. Thondi na pewno wyjawiała im moje imię, ale wiadomość nie zdążyłaby dotrzeć do Aus. Ktoś z mieszkańców mnie rozpoznał.

Shonsu rzeczywiście wyróżniał się w tłumie.

–W takim razie widzą na odległość – rzekł kapłan. – To by się zgadzało! Czarnoksiężnicy z obu stron górskiej rzeki spotkali się przy zerwanym moście. Nie widzieli jednak, jak po nim przechodziliśmy. Dlatego tyle czasu minęło, nim dotarli za nami do kamieniołomu!

–Niewykluczone – zgodził się Wallie. – I wypatrzyli mnie na pokładzie, kiedy *Szafir* wpływał do portu? Możliwe, możliwe!

Żeglarze rozeszli się po statku. Dzieci zabrano pod pokład. Nnanji sięgnął do miecza, jakby zamierzał sprawdzić, czy łatwo się wysuwa z pochwy. W ostatniej chwili udał, że chciał tylko poprawić kucyk. Umiał wyczuć niebezpieczeństwo. Z każdą minutą był coraz bardziej spięty.

–Zyskujesz sobie imponującą liczbę przeciwników, panie – stwierdził Honakura.

W głosie kapłana zabrzmiała taka ironia, że Nnanji spiorunował go wzrokiem.

–Dużo się wywiedziałeś, starcze? – zapytał Wallie.

–Niewiele. Nie zauważyłem, żeby ktokolwiek obserwował statek. Ujrzałem, jak schodzisz po trapie, a potem zobaczyłem, że idą za tobą dwaj czarnoksiężnicy. Nie widziałem jednak, skąd nadeszli. Nie mijali mnie.

Wallie chrząknął. Czyżby do tamtego momentu ci dwaj byli niewidzialni? Na tłoczonym nabrzeżu zdeptano by ich na śmierć w ciągu paru minut. Czyżby w takim razie zeszli za nim z pokładu *Szafira*?

–Miejscowi niechętnie rozmawiają z obcymi o czarnoksiężnikach – dodał

Honakura z irytacją. – Nic dziwnego. Dowiedziałem się jednak, że są w Aus od dawna, od dziesięciu lat albo dłużej.

–Dziesięć lat?! Ile miast jeszcze opanowali?

–Nie wiem.

–Panie? – odezwał się cichy głos.

–Tak, nowicjuszu?

–Z całym szacunkiem, panie, to się stało jedenaście lat temu, w Dzień Szermierza w 27 344 roku.

–Naprawdę? Kto ci powiedział? Chłopak oblał się rumieńcem.

–Dziewczyna, panie. Sprzedawała wino gruszkowe w kubkach. Miała na czole znak szermierzy.

Wallie uśmiechnął się mimo woli. Spojrzał na Nnanjiego.

Czwarty zrobił czujną minę.

–Dobre?

Katanji się skrzywił.

–Okropne, panie. To był znak ojcowski. Nie lubię wina gruszkowego.

Wallie tym razem się roześmiał, mimo napięcia, które narastało na pokładzie.

–Co jeszcze ci powiedziała po tym, jak jej pogratulowałeś świetnego wina?

–Jej ojca zabili czarnoksiężnicy, panie – kontynuował Pierwszy z większą pewnością siebie. – Uznałem więc, że mnie nie wyda, choć zauważyła mój znak. Tutaj nie użyli demonów ognia. Garnizon wydawał coroczny bankiet. Zjawili się na nim czarnoksiężnicy i rzucili wyzwanie.

–A dwie trzecie albo trzy czwarte szermierzy było pijanych. I co się stało?

–Wszyscy wybiegli przed frontowe drzwi, machając mieczami i krzycząc, panie. Ona widziała, jak czarnoksiężnicy ich zabijają piorunami.

–Piorunami? – To było coś nowego.

–Tak. Grzmoty i błyskawice. Szermierz wypadał na dwór i od razu padał rażony piorunem. Trupy nie były porozrywane na kawałki tak jak w Ov, na ciałach prawie żadnych śladów. Kilka poparzeń, ale bardzo mało krwi.

“A od drugiego wziąć mądrość...”.

–Mów dalej!

–Wtedy czarnoksiężnicy kazali wszystkim wyjść i zaczęli szukać szermierzy wśród gości, którzy przeżyli. Paru próbowało uciec tylnym oknem. Ich również zabili. Potem spalili budynek, żeby mieć pewność. Osiemnastu zabitych, cały garnizon. Dziewczyna uważa, że od tamtego czasu do miasta przybyło w różnych latach dwunastu szermierzy. Wszyscy zostali zabici, panie.

–Dobra robota! – pochwalił Wallie. – Nnanji, myślę, że powinieneś mu wybaczyć zejście na brzeg bez pozwolenia.

Czwarty skinął głową, uśmiechając się z dumą. Na twarzy Katanjiego odmalowała się ulga.

–Czarnoksiężnicy wypędzili farbiarzy.

–Co takiego?

–Wszyscy farbiarze opuścili miasto. Zaraz potem wzrosły ceny tkanin i ubrań. –

Chłopak zerknął na załogę. – I skór. Pomyślałem sobie, że żeglarze mogliby być zainteresowani.

–Mniejsza o to! – warknął Nnanji. – Co jeszcze?

–To chyba wszystko... Aha, następnym miastem jest Ki San. Tam nie ma czarnoksiężników, ale są w Wal, po tej stronie Rzeki. Kobieta nie wiedziała o innych miastach, nawet o Ov.

Ludzie niewiele podróżowali, z wyjątkiem handlarzy, żeglarzy i minstrelów. Nie było gazet ani telewizji.

–Dobrze się spisałeś, nowicjuszu! Zebrałeś cenne informacje, i to w bardzo krótkim czasie.

Katanji poczerwieniał, zadowolony z siebie i z pochwały.

–Nie miałem czasu, żeby porozmawiać jeszcze z kimś innym, panie.

–Nnanji, nauczysz protegowanego sutry siedemset siedemdziesiątej drugiej, siedemset siedemdziesiątej trzeciej i siedemset dziewięćdziesiątej.

Czwarty pokiwał głową. Sutry dotyczyły wywiadu wojskowego i szpiegostwa.

–I osiemset czwartej, panie bracie! – dorzucił z uśmiechem.

–Twój znak wygoi się za kilka dni, nowicjuszu – powiedział Wallie. – Nie przypuszczam, żebyśmy kiedykolwiek wrócili do Aus, ale gdyby tak się stało, nie będziesz drugi raz próbował tej samej sztuczki, jasne?

–Oczywiście, panie – zapewnił Katanji, nie dość jednak pokornie, żeby brat przestał łypać na niego podejrzliwie.

Na szczęście coś odwróciło uwagę mentora. Na jego ustach pojawił się szeroki uśmiech. Z nadbudówki dziobowej wyszła zgrabna Thana. Czy na to właśnie czekali żeglarze? Dziewczyna nie miała miecza. Jediną bronią na pokładzie był sztylet kapitana.

–Myślisz więc, że potężny został upokorzony, a ty wzięłeś mądrość od drugiego brata? – odezwał się Honakura. – Co ze zdobyciem armii i zatoczeniem koła?

Wallie spiorunował go wzrokiem.

–Ty mi powiedz, starcze!

–To twoja zagadka, panie.

–Tak, ale ty coś zrozumiałeś, prawda?

–Chyba tak. – Kapłan uśmiechnął się złośliwie. – Chodzi o rzecz, którą usłyszałem od ciebie, panie, ale wydaje się tak oczywista, że waham się...

–Kłopoty! – syknął Nnanji.

Thana niosła dwa florety i dwie maski. Szła na rufę, w kierunku szermierzy, smukła, ponętna i nadal ubrana tylko w dwa skąpe paski żółtej bawełny.

–Adepcie Nnanji? – Druga uśmiechnęła się przymilnie. – Obiecałeś mi lekcję fechtunku. Czwarty głośno przełknął ślinę.

–Jak mogę walczyć z kimś takim? – szepnął do mentora.

Walliego niepokoiła inna sprawa.

–To jakaś pułapka. Na litość bogów, sprawdź jej floret, nim zaczniecie.

Tego, by być ostrożnym, nie podpowiedziały mu sutry ani szermierczy instynkt Shonsu. W takiej sytuacji Siódmy nie węszyłby podstępny. Nigdy nie widział Hamleta.

Nnanji rzucił mentorowi niedowierzające spojrzenie.

– Nawet nie ma jak dobrać broni, nie mówiąc o fechtowaniu! Spojrzał na otwarty pokład rufowy. Tam też było niewiele miejsca.

Wallie potrząsnął głową.

– Widzisz, jakie krótkie są te florety? Zresztą tu właśnie rozegrałaby się walka, gdyby zaatakowali piraci, więc ćwiczenie ma sens.

Wyglądało na to, że najwięcej wolnej przestrzeni na Szafirze jest przy głównym maszcie, gdzie stała Thana, ale dla szczerów lądowych miejsca między szalupami a przednim lukiem było stanowczo za mało. Załoga ustawiła się w kręgu, z nie ukrywaną radością czekając na widowisko.

– Spełnię obietnicę z największą przyjemnością, uczennico Thano. – Zapewnienie nie brzmiało zbyt przekonująco.

– Daj mi swój miecz – powiedział Wallie i myślał o niezliczonych linach wiszących nad głową. – I nie lekceważ jej!

Nnanji znowu łypnął na niego niedowierzająco. Wietrzył kłopoty, ale najwyraźniej nie wątpił, że pokona Drugą. Wallie nie miał takiej pewności. Szymierze posługiwali się długimi mieczami oraz lubowali w zamaszystych ciosach, wyskokach i widowiskowych paradach, niewykonalnych na małym statku.

Czwarty zerknął w górę, ostrożnie wyjął miecz i podał go mentorowi. Następnie podszedł do Thany i wyciągnął rękę po florety. Dziewczyna podała mu oba z nachmurzoną miną, jakby się domyślała, że Siódmy go ostrzegł. Po długim wahaniu Nnanji zdecydował się na jeden z floretów i machnął nim kilka razy. Nie do końca zadowolony z wyboru, stanął na wprost Thany. Oboje nałożyli maski.

– Do siedmiu, adeptcie?

– Sądziłem, że to będzie lekcja, uczennico.

– Oczywiście, adeptcie. Ależ jestem głupia.

Dziewczyna przyjęła pozycję obronną.

– Spróbuj trzymać rękę trochę wyżej – poradził Nnanji. – Teraz lepiej. Zaczynamy?

Thana zrobiła wypad. Nnanji cofnął się i upadł na pokrywę luku.

– Jeden! – krzyknęła Druga.

Żeglarze zawyli triumfalnie.

W drugim starciu Nnanji wytrzymał parę sekund dłużej, lecz wracając do pozycji wyjściowej, skupił się bardziej na tym, co ma za sobą, niż na przeciwniczce. Dostał cios w głowę.

– Dwa!

Nigdy nie oglądał filmów o piratach, więc przegapił możliwość wskoczenia na pokrywę luku. Za trzecim razem zaatakował wściekle i udało mu się odzyskać trochę pola. Thana zręcznie lawirowała między masztem a sztagami. Walka była szybka i zacięta, na krótki dystans, zupełnie nie w stylu, do którego przywykł Szymierz. Floret zaplatał mu się w wanty, a Druga dźgnęła go w żebra.

– Trzy!

Załoga rozwrzeszczała się jak stado papug. Wallie kłął przez zaciśnięte zęby. Thana była Drugą, a rzeczni szymierze mieli znacznie wyższe wymagania wobec

kandydatów do promocji niż szczury lądowe. Jej mistrzostwo zrobiło na Siódmym duże wrażenie. Pomyślał, że jemu też nie zaszkodziłoby trochę ćwiczeń.

Statek zakołysał się mocniej.

–Cztery! – wrzasnęła Thana triumfalnie.

Zerwała maskę, zaczęła podskakiwać i rozdawać ukłony, nagradzana głośnymi wiwatami.

Purpurowy Nnanji chyłkiem opuścił pole walki. Z miną zbitego psa wrócił do swoich. Nie było go raptem trzy minuty. Unikając wzroku mentora, wychylił się przez reling, jakby miał zamiar zwymiotować.

Nieproszeni goście ponieśli haniebną klęskę w ich własnej grze. Po zabawie przyszła pora na interesy. Tomiyano ruszył wolnym krokiem w stronę rufy. Wskoczył na pokrywę luku i położył dłonie na biodrach. Trzej żeglarze stanęli blisko wiader z piaskiem.

–Zamierzamy wysadzić was na pierwszym moło, Shonsu. Dalej pójdziecie na piechotę.

Wallie spojrział ku brzegowi. Dostrzegł gospodarstwa, więc w pobliżu musiały być również przystanie.

–Przypominam, kapitanie, że zapłaciłem za dowieszenie do pierwszego portu, w którym będę mógł zwerbować szermierzy – oświadczył z udawanym spokojem.

Żeglarz rzucił mu krzywy uśmiech.

–Kto zechce pod tobą służyć, Shonsu? Pierwszy szermierz, którego spotkasz, postawi cię przed sądem za tchórzostwo. Umowy nie da się dotrzymać. Wsiądziesz na brzeg, i szerokiej drogi!

Nazwanie szermierza tchórzem prowadziło do rozlewu krwi tak nieuchronnie, jak po błyskawicy następuje grzmot. Tomiyano najwyraźniej prowokował pasażerów, żeby móc ich zabić i przywłaszczyć sobie siódmy miecz oraz inne cenne rzeczy. Nieobecność dzieci źle wróżyła, ale po pokładzie kręciły się wyrostki, na przykład Matarro, więc prawdopodobnie walka nie była głównym celem Trzeciego. Z pewnością jednak stanowiła jedną z możliwości.

Wallie zdawał sobie sprawę, że nie wolno mu do niej dopuścić. Nnanji właśnie udowodnił, że nie potrafi walczyć na statku. Nawet Shonsu nie poradziłby sobie z gradem noży.

Nie mógł również zaapelować do Broty, nawet gdyby pozwoliła mu na to duma. Syn bez wątplenia poinformował ją o planach, a ona wyraziła na nie zgodę. Istniało jeszcze jedno wyjście: zejść na brzeg, licząc, że Bogini nie pozwoli statkowi odpłynąć, choć żeglarze najwyraźniej przestali się obawiać boskiej interwencji. Wallie przyznał w duchu, że chyba mają rację. Dostał Szafir, a reszta należała do niego. Bohaterowie eposów ujeżdżający narowiste ogiery nigdy nie spadają.

Potulne opuszczenie statku oznaczałoby rezygnację z misji. Mógł to być kolejny sprawdzian albo początek kary. Wallie nie znajdował dobrego rozwiązania.

Protegowany czekał na jego decyzję. “Teraz bądź szermierzem!”.

–Łap! – zawołał Wallie.

Rzucił kapitanowi miecz Nnanjiego, rękojeścią do przodu. Tomiyano złapał broń

jak cyrkowy żongler. Żeglarze sięgnęli do wiader, ale zamarli w pół ruchu.

–Co, do diabła? – zapytał Trzeci z wściekłością. Wallie wyjął z bezwładnych rąk Nnanjiego floret i maskę, ignorując jego zaskoczone spojrzenie.

–Łap! – krzyknął ponownie.

Tomiyano uchylił się. Maską uderzyła w wanty i upadła z brzękiem na pokład.

–Co robisz, na demony?! – ryknął kapitan.

–Żeglarzu Tomiyano, ja, szermierz siódmej rangi, Shonsu, mianuję cię stróżem porządku celem powstrzymania pasażera uzbrojonego we floret.

–Co takiego? Oszalałeś!

–Zobaczymy.

–Do czego zmierzasz?

Wallie wskoczył na pokrywę luku.

–Żeglarzu, jesteś bezczelnym psem. Zostaniesz wychłostany. Broń się!

Szermierz zaatakował. Tomiyano sparował cios i odruchowo ripostował. Wallie obronił się i ponowił atak.

–Do diabła! – rozległ się z tyłu głos Nnanjiego.

Zabręczała stal. Przez chwilę Wallie badał możliwości przeciwnika. Tomiyano okazał się szybki i niezły technicznie, dużo lepszy od Thany. Na poziomie Szóstego? W końcu Shonsu wziął się do roboty. Ciął floretem przez pierś żeglarza, zostawiając czerwoną pręgę. Kapitan zaklął i zrobił wypad. Wallie ripostował i zdarł pas skóry z żeber Trzeciego. Następnym razem celowo rozkrwawił mu nos. Trafienie tak blisko oczu było niebezpieczne, ale widowiskowe. Trysnęła czerwona fontanna.

Cofając się przed gwałtownym atakiem, Tomiyano zeskoczył z luku. Wallie ruszył za nim. Pogonił kapitana przez jego własny pokład, tnąc i dźgając bez litości.

Dlaczego rzucił wyzwanie? Nie tylko po to, żeby zrobić wrażenie na Nnanjim. I na żeglarzach. Sygnalizował bogom: “Oto moje ciało i miecz. Jeśli życie orędownika jest zastawem, weźcie je. Wykonajcie wyrok”.

Walcząc mieczem przeciwko floretowi, Tomiyano mógł podejmować ryzyko, którego Siódmy musiał unikać. Groziła mu co najwyżej kolejna pręga, niewykluczone zaś, że pierwszy błąd Walliego byłby jego ostatnim. Ostrze miecza Nnanjiego przecięłoby ciało łatwo jak powietrze. Każde trafienie mogło okazać się śmiertelne.

Wallie miał jednak pewną przewagę. Niewiarygodne, jak Shonsu umiał przyspieszyć ruch floretu na ostatnich kilku centymetrach, jak mocno potrafił nim ciąć. Poza tym nie darmo uchodził za najlepszego fechtmistrza na Świecie.

To nie był pojedynek, tylko masakra.

Załoga nic nie mogła zrobić. Kapitanowi nie groziło prawdziwe niebezpieczeństwo. Nie mieli prawa interweniować, póki nie krzyknie o pomoc. A Tomiyano nie zamierzał o nią prosić, gdy okoliczności mu sprzyjały. Wallie prawidłowo ocenił tego człowieka.

Na *Szafirze* słyhać było tylko chrapliwe oddechy, ostry szczepek metalu, dudnienie butów szermierza o deski. Skonsternowani żeglarze schodzili pojedynkującym się z drogi. Shonsu musiał już kiedyś walczyć na pokładzie statku. Jego styl walki zmienił się całkowicie. Ciasnota, liczne przeszkody i kołysanie zupełnie mu nie przeszkadzały.

Floret i miecz śmigały w powietrzu. Tomiyano cofał się, starając parować ciosy i unikać bezpośredniego zwarcia. Wallie napierał nieustępliwie, bez trudu przedzierając się przez jego obronę. Obaj pocili się i dyszeli ciężko, a kapitan broczył krwią. Plecy, pierś i żebra miał posiniaczone i odarte ze skóry, jakby go wychłostano.

–Dość! – wysapał Wallie. – Rzuć miecz.

Tomiyano był dumnym człowiekiem. Nie zamierzał się poddać ani wołać o pomoc. Próbował wszystkich sztuczek, które znał, ale przegrywał. Mimo to nie chciał zrezygnować z dalszej walki.

Wallie przestał atakować i tylko parował ciosy.

–Powiedziałem, rzuć miecz!

Byli na końcu pokładu. Tomiyano słabł z każdą chwilą, ale nie miał zamiaru złożyć broni. Pałał żądzą mordy. Wallie musiałby złamać mu obojczyk.

–Ostatnia szansa, żeglarzu!

Nagle kapitan chwycił miecz oburącz i zadał długi, potężny cios niczym machnięcie kosą albo uderzenie kijem golfowym. Ostrze przecięło kilt i tętnicę udową.

Leżąc na plecach, Wallie ujrzał dwoje triumfujących oczu i miecz uniesiony do coup de grace, groźnie rysujący się na jasnym tle żagli i nieba. Słyszał tylko łomot własnego serca, zasilającego szkarłatną fontannę, wraz z którą uchodziło z niego życie. Czas stanął w miejscu. Nikt nie oddychał. Raptem żeglarz zaklął i opuścił broń.

Wallie próbował usiąść, ale w tym momencie ktoś wyłączył wszystkie światła.

Księga trzecia: Jak drugi szermierz przejął miecz

1

Pędząc do mentora, Nnanji powtarzał w myślach sutrę “O tamowaniu krwi”. Uprzedził go jeden z żeglarzy, przyciskając kciukami tętnicę Shonsu. Thana zjawiała się z wiadrem wody. Najwyraźniej Rzecznicy Ludzie wiedzieli, co robić, gdy w pobliżu nie ma uzdrowicieli.

Pozwolił im zająć się rannym, a sam odciągnął umazaną krwią Jję. Niewolnica tylko przeszkadzała. Tymczasem przy Shonsu uklękła Brota i zaczęła wydawać polecenia. Wyglądało na to, że zna się na rzeczy.

–Potrzebne mu będzie ciepłe łóżko – powiedział Nnanji do Jji, prowadząc ją na rufę. – W skrzyniach są koce.

Gdy dotarli do nadbudówki, powitało ich dziwne zawodzenie. Wydawała je Krówka, która zapewne obserwowała walkę. Już wcześniej zdarzało się jej tak wyć. Cóż za pomyłką się okazała! Nnanji uderzył ją w twarz. Dziewczyna od razu wróciła do zwykłego stanu tępej bezmyślności.

Kapłan nadal siedział na schodkach prowadzących na pokład rufowy. Wyglądał na starszego o tysiąc lat. Był wstrząśnięty.

–Wszystko w porządku, starcze?

Honakura skinął głową. Potem wziął się w garść i uśmiechnął.

Katanji...

–Łapiesz muchy, nowicjuszu?

–Ee, nie!

–Co nie?

–Nie, mentorze.

–Więc zamknij usta i stań prosto.

Odpowiedzialność, mówił Shonsu.

–Wraca do przytomności – dobiegał z dziobu głos Broty. – Włóż mu rękojeść między zęby... Igielnik.

Tak, niewątpliwie wiedziała, co robi.

Nnanji wziął głęboki oddech i rozejrzał się po statku. Wyczuł zmianę nastroju. Nawet rzeczny motłoch umiał docenić szermierczy kunszt. Niewiarygodne! Żeglarze już wcześniej nie potrafili rzucić rybom na pożarcie mistrza nad mistrzami, a teraz najwyraźniej nie mieli na to ochoty. Mógł więc trochę się odprężyć, zaczekać, aż Shonsu dojdzie do siebie. Potrzebował jednak swojego miecza. Ruszył na poszukiwanie kapitana.

Tomiyano stał oparty o reling. Ledwo trzymał się na nogach. Starsza kobieta próbowała wytrzeć go ręcznikiem. Żeglarz opędzał się od niej. Przy krwawiącym nosie trzymał chustkę, a w drugiej ręce ścisnął miecz Nnanjiego. Oczy miał zamglone z bólu i wciąż z trudem łapał powietrze. Wyglądał strasznie: siniaki, pręgi, zadrapania na całym ciele, od spoconych włosów po stopy zbroczone krwią Shonsu.

Jak na cywila stoczył niezłą walkę, może najlepszą, jaką Nnanji kiedykolwiek

widział.

Udało mu się odparować wiele ciosów, a odbicie choć jednego w walce z Shonsu było wyczynem. Stał o własnych siłach, co już samo świadczyło o jego wytrzymałości. Na widok Czwartego kobieta cofnęła się z lękiem.

–Mogę dostać miecz z powrotem, kapitanie? – powiedział Nnanji, wyciągając rękę.

Tomiyano odjął chustkę od twarzy i uniósł miecz tak, że jego czubek niemal dotykał pępka szermierza. Dłoń mu drżała, i nic dziwnego.

–Co z nim zrobisz, synku?

–Schowam go do pochwy, żeglarzu.

Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem. Krew ciekła z nosa kapitana, sączyła się z licznych ran. Jeśli żeglarze zamierzali rzucić Shonsu piraniom, teraz wszystko się ważyło. Nnanji mógł odzyskać miecz skierowany czubkiem do przodu. Pozostało mu tylko czekać, więc czekał. Nie po raz pierwszy grożono mu bronią. Wyciągnięta ręka nawet mu nie drgnęła. Członkowie załogi obserwowali scenę.

Czas mijał. Oddech kapitana stopniowo się uspokoił. Nnanji poczuł jednak, że role się odwróciły. Już nie Tomiyano rzucał mu wyzwanie, lecz on sam pytał go wzrokiem, czy boi się oddać miecz. W końcu żeglarz opuścił rękę, wytarł klingę kawałkiem płótna i podał broń rękojeścią do przodu.

Nnanji schował miecz do pochwy i podziękował kapitanowi.

Wokół rannego nadal był tłok, więc Czwarty ruszył do kajuty, żeby sprawdzić, czy niewolnica przygotowała łóżko. W drzwiach wpadł na Honakurę. Kapłan najwyraźniej otrząsnął się z szoku. Uśmiechał się w irytujący sposób.

–Na to, co się stało, również masz wyjaśnienie, starcze?

–Wyjaśnienia są jak wino, adeptcie. Zbyt wiele w ciągu jednego dnia może zaszkodzić.

Mętne kapłańskie gadanie.

–Mogą też być jak domowy chleb mojej matki: bardzo dobry, kiedy świeży, ale trudny do pogryzienia, gdy się zestarzeje.

Starzec tylko potrząsnął głową.

–Dlaczego Bogini go nie uratowała? – wybuchnął Nnanji.

–Uratowała.

Młodzieniec zerknął na rannego szermierza otoczonego przez gapiów.

–To ma być ratunek? Nie widziałem żadnych cudów.

Honakura zaśmiał się sucho.

–Ja widziałem dwa! Czy można odebrać takie lanie, a potem nie dokończyć dzieła?

Nnanji zastanawiał się przez chwilę.

–Może nie. W dodatku został upokorzony na oczach załogi.

–To akurat ułatwiło sprawę.

–Dlaczego? Mniejsza o to. Jaki był drugi cud?

Kapłan zachichotał w swój zwykły denerwujący sposób.

–Domyśl się sam, adeptcie.

–Nie mam czasu na zagadki – warknął Nnanji. – Czekają na mnie obowiązki.

Wmaszerował do kajuty, dziwnie poirytowany złośliwym uśmiechem starca.

Siódmego zabandażowano, przeniesiono do kajuty i położono na sienniku obszytym niebieskim płótnem. Brota obrzuciła wzrokiem rannego, zerknęła na Czwartego i wyszła bez słowa. Reszta załogi ruszyła za nią.

Jja zaczęła zmywać krew ze swojego pana. Był nieprzytomny i blady jak... bardzo blady. Nnanji zdjął mu zapinkę, pasy i miecz. Potem usiadł na jednej ze skrzyń i sprawdził kieszenie. Wiedział o szafirach, ale zagwizdał na ich widok i pospiesznie wrzucił klejnoty do własnej sakiewki, nim ktoś je zobaczy. Następnie przeliczył pieniądze mentora. "Moje dobro twoim dobrem". Zamierzał jednak trzymać je oddzielnie. Na razie położył swoje monety na skrzyni. Wziął do ręki siódmy miecz i przyglądał mu się przez chwilę, zanim wsunął go do swojego futerału. Żałował, że w kajucie nie ma lustra. Z pewnością żaden Czwarty nigdy nie nosił takiej broni. Niechętnie schował zapinkę do sakiewki. W tym momencie do nadbudówki zajrzał Katanji. Brat przywołał go skinieniem.

–Ile masz pieniędzy, protegowany?

Chłopak zrobił zaskoczoną minę.

–Pięć złotych monet, dwie srebrne, trzy cynowe i czternaście miedzianych, mentorze.

Skąd u gałgana taki majątek?

–W porządku. Przelicz moje, dobrze? Pierwszy zamrugał zdziwiony, ale ukląkł przy skrzyni i wypełnił polecenie.

–Czterdzieści trzy złote monety, dziewiętnaście srebrnych, jedna cynowa i sześć miedziaków.

Rachunek się zgadzał.

–Weź je i pilnuj – powiedział Nnanji.

Brat posłusznie zgarnął monety do swojej sakiewki.

–Nie zamierzają wysadzić nas na brzeg – poinformował. – Wszyscy chcieli, ale Brota się sprzeciwiła... na razie. Kapitana zabrano pod pokład. Czy on... przeżyje?

–Shonsu? Oczywiście.

Katanji z powątpiewaniem spojrział na rannego, a potem nadał twarzy przymilny wyraz.

–Nnanji? Nie zechcą ze mną rozmawiać, póki będę nosił miecz.

Czwarty już otworzył usta, żeby wpoić protegowanemu kilka prawd na temat zachowania szermierzy, ale w ostatniej chwili się zreflektował.

–Więc go zdejmij.

Rozbawiła go mina brata. Podobnie jak szybkość, z jaką Katanji założył idiotyczną przepaskę biodrową. Chłopak najwyraźniej się obawiał, że mentor zmieni zdanie. Porwał sakiewkę z pieniędzmi i wybiegł. Będzie jeszcze czas zrobić z niego szermierza, kiedy drużyna zejdzie z tej przegniłej pływającej balii.

Zostały jeszcze dwie albo trzy godziny światła dziennego. Nnanji doszedł do wniosku, że kajuta na rufie jest najlepszym stanowiskiem obronnym, jakie mógłby znaleźć na *Szafirze*. Poza tym miał tutaj oko na Shonsu. Ranny mężczyzna znajdował się w dziwnym stanie. Nie był przytomny ani nieprzytomny. Gdy się do niego mówiło,

otwierał oczy i zdawał się rozumieć, ale przeważnie tylko leżał lub ciskał się niespokojnie po legowisku. Często prosił o picie, które Jja podawała mu przez słomkę. Potem kładł głowę na poduszce i zamykał oczy.

Mocno się pocił, a od czasu do czasu wstrząsały nim dreszcze. Niewolnica nie odstępowała go na krok. W drzwiach położyła zrolowany siennik, żeby Vixini nie wyszedł. Na szczęście dziecko przynajmniej raz zachowywało się grzecznie.

Nnanji trochę bawił się z chłopczykiem i rozmawiał z Jja, ale głównie myślał o rzemiośle szermierczym. Technika fechtowania na statku była bardzo interesująca: niewiele pracy nóg – co najwyżej drobne kroki – a za to dużo ramionami, pchnięcia czubkiem klingi zamiast cięć ostrzem. Nie dotrzymałby pola Tomiyano także na lądzie, ale Thanę umiałby pokonać. Nawet nie zbliżyłaby się do niego. Na statku jednak był żółtodziobem. Dobry fechtmistrz powinien przyswoić obie metody walki. Shonsu najwyraźniej je znał.

Jak ocenić Tomiyano? Dwie lub trzy rangi gorszy od Shonsu, ale walczył dłuższą bronią niż ta, do której był przyzwyczajony. Trzeba w takim razie dodać mu pół rangi, a odjąć jedną za walkę na własnym terenie oraz co najmniej dwie za posługiwanie się mieczem przeciwko floretowi. Największy jednak kłopot sprawiała klasyfikacja Shonsu. “Siódmy oznacza po prostu niepokonany”, lubił mawiać Briu. Shonsu był najlepszy na Świecie. Może Dziesiąty?

Wreszcie Nnanji doszedł do wniosku, że Tomiyano można przyznać piątą rangę albo słabą szóstą. A przecież to żeglarz! Gdzie nabył takie umiejętności? Może od zmarłego brata, o którym wspomniała Thana. Jeśli nie od niego, to od kogoś. równie dobrego.

Tak, nauczy się nowego sposobu walki. Najpierw przypomni sobie pojedynek z Thaną, a potem Shonsu z Tomiyano, krok po kroku, cios po ciosie.

Poranne słońce bardzo wolno wspinało się na niebo. Nadzwyczaj wolno jak dla kobiety, która całe życie spędziła w tropikach. Wiał słaby wietrzyk, marszcząc Rzekę, szeroką i jasną. Dzień był piękny, musiała przyznać, a klimat lepszy dla osoby jej tuszy. W Aus mówiono, że w tych stronach nie ma żadnych niebezpieczeństw, żadnych mielizn ani progów. Na szlaku wodnym panował umiarkowany ruch. Członkowie załogi przezornie trzymali się z dala od Piątej, gdy wpadała w taki nastrój, więc samotnie czuwała przy sterze. Nic jej nie rozpraszało.

Spała źle, a gdy się obudziła, wcale nie była bliższa podjęcia decyzji, choć zwykle podczas snu umysł rozwiązywał problemy. Pozostało jej czekać. Wiedziała, że prędzej czy później znajdzie się wyjście z sytuacji. Jako dobry handlarz umiała być cierpliwa.

Szermierz jeszcze żył i miał duże szansę się wylizać. Najwyraźniej rozumiał, co się do niego mówi. Odpowiadał chrząknięciami i ruchami głowy. Jeszcze nigdy nie widziała, żeby ktoś stracił tyle krwi. Nawet w Yok jej pokład nie wyglądał jak podłoga rzeźni.

Tomo jeszcze spał pod wpływem środków odurzających, a ona nie zamierzała go budzić. Jeśli obraził bogów, już poniósł karę. Nie miał złamanych kości – dzięki Najwyższej! – ale był mocno zmasakrowany. Może teraz łatwiej będzie dojść z nim do

ład. Ostatnimi czasy stał się krnąbrny, podobnie jak Thana. Dziewczyna przysparzała matce coraz więcej kłopotów. Wydawało się, że po masakrze wrócili do dawnego, ustalonego trybu życia, tyle że trzymali się z dala od Hool i nigdy nie zbliżali do Yok czy Joof. Zresztą do tych portów i tak zawijali tylko raz do roku, po wiosenne zbiory. Lecz nie, mimo wszystko nie było już tak samo, choć ona nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Teraz nastąpiła zmiana większa, niż by sobie życzyli.

W tym momencie dostrzegła ruch na głównym pokładzie. Kątem oka zaczęła obserwować swoich ludzi, pozornie nie zwracając na nich uwagi. Raptem zobaczyła drobną postać, z trudem wspinającą się po schodkach rufowych. Tak. Właśnie na niego czekała.

Mężczyzna, lekko zasapany, nie przywitał się, tylko obdarzył ją uśmiechem. Usiadł obok niej na ławce, nie czekając na zaproszenie. Łysina lśniła mu od potu. Palcami ledwo dotykał pokładu.

–Nie wolno przeszkadzać, kiedy steruję – burknęła kobieta.

Zmusił ją, żeby pierwsza się odezwała.

–Nie zajmę ci dużo czasu. Podjęłaś już decyzję, pani?

–Doszłam do wniosku, że żebracy na moim statku podobają mi się jeszcze mniej niż szermierze.

Oczy mężczyzny były zadziwiająco bystre jak na jego podeszły wiek.

–Przewyższam cię rangą.

Lina miała rację, że to kapłan. Zdradzał go sposób mówienia. Szósty? Przyszło jej do głowy, żeby zażądać dowodów, ale szybko się rozmyśliła. W obecnym nastroju załoga padłaby przed nim na twarz, gdyby naprawdę okazał się kapłanem szóstej rangi. Wydawałby rozkazy zamiast niej.

Chrząknęła znacząco, ale starzec milczał. Trzymał ręce splecione na kolanach, patrząc prosto przed siebie i majtał nogami jak małe dziecko. Czekał, aż ona się odezwie. Bezcelność! Spojrzała na główny pokład.

–Co tam się dzieje?

Miała nadzieję, że jej domysły są mylne.

–Kolejna lekcja fechtunku.

O, nie! Sięgnęła do gwizdka.

–To jego pomysł.

–Nie wierzę! Czwarty, proszący o lekcję Drugą?

Mężczyzna skinął głową, uśmiechając się szeroko. Nie patrzył na Brotę. Prawdopodobnie wykręcanie głowy pod tym kątem sprawiało mu ból.

–Adept Nnanji jest ambitnym młodym człowiekiem. Twierdzi, że wasz sposób fechtowania jest inny. Czy to prawda?

–Tak. Jednak nigdy nie spotkałam szczura lądowego, który przyznałby, że nasz sposób jest lepszy.

–Nie wiem, czy on doszedł do aż tak daleko idącego wniosku, ale zawsze jest chętny do nauki.

Ćwiczący stanęli naprzeciwko siebie, a załoga otoczyła ich kręgiem. Starzec

milczał, pozwalając kobiecie kierować rozmową.

–Chętnie wysadziłabym was na brzeg.

Widziała po drodze wiele małych przystani, do których mógłby zawinąć *Szafir*. Nie dostrzegła jednak żadnych osad, gdzie znalazłby się uzdrowiciel potrafiący odróżnić ciętą ranę od ukąszenia węża.

–Nie zrobisz tego, pani.

–Nie bądź taki pewny, starcze.

–Jestem pewien, że tego nie zrobisz. Nie powiedziałem, że nie spróbujesz.

–Więc przyszedłeś mnie ostrzec?

Tym razem bezimienny odwrócił ku niej głowę i pokazał w uśmiechu zębia. Później wrócił do obserwowania lekcji fechtunku. Wiatr niósł szczęk floretów, ale widownia zachowywała się dziwnie cicho.

–Jesteś kapłanem!

–Tak.

–Po co kapłan włóczy się z szermierzami?

–Zbiera cuda.

–Na przykład jakie?

–Takie, że twój syn nie rzucił lorda Shonsu rybom, choć miał go na końcu miecza.

–Myślisz, że on nadal jest orędownikiem Bogini, po tym co zrobił w Aus?

Mały człowieczek poprawił się na ławce.

–Nie próbuj odgadnąć boskich zamiarów, pani. Jeśli Ona chciała, żeby szermierz zrobił taką rzecz, najlepszym wyborem był Shonsu. Prawda?

–Ale dlaczego...

–Nie wiem. Dowiem się jednak, jeśli pożyję dostatecznie długo... albo nie, co też jest możliwe. Nauczyłem się cierpliwości parę żyć temu.

Kobieta spojrzała na wimpel i dokonała poprawki kursu. Żagle wypełniły się wiatrem, statek nabrał szybkości.

–Wymień mi inny cud.

–Czy kiedykolwiek widziałaś tak mocno kochaną niewolnicę? Albo tak młodego Czwartego? Ci, którzy pomagają Shonsu, dostają nagrody.

–A mój syn został ukarany, bo robił mu trudności?

Mężczyzna skinął głową.

–Nawet jeśli pozwolę wam zostać, reszta mojej rodziny może się nie zgodzić. Starzec zachichotał, nie podnosząc wzroku.

–Jeden! – dobiegł okrzyk Czwartego.

Tłum zamruczał.

–On wygrywa! – krzyknęła Brota.

–Bardzo szybko się uczy. Nie lekceważ adepta Nnanjiego. On nie jest taki głupi, jak się wydaje. Młodość! Wyrośnie z tego.

–Shonsu stracił dużo krwi, ale powinien dojść do siebie za kilka dni, nim dotrzemy do Ki San. A co wtedy? Będzie musiał zemścić się na Tomo.

Kapłan znowu się zaśmiał.

–Nie Shonsu. Uściśnie mu rękę i zaproponuje parę lekcji.

–Więc na Świecie nie ma drugiego takiego szermierza!

–Prawda – odparł krótko bezimienny.

–Poza tym, nigdy nie słyszałam o szczurze lądowym udzielającym lekcji żeglarzowi. Niektórzy nawet uznaliby, że to naruszenia prawa.

–Czyżby?

–Zdaje się, że mówi o tym jakaś sutra – bąknęła kobieta z lekceważeniem. Szczury wodne nie przejmowały się zbytnio kodeksami. – A jeśli on umrze? Widziałam rany dotknięte klątwą. Mój szwagier umarł od zwykłego skaleczenia na rękę. Mój siostrzeniec...

–Cięcie mieczem?

Groźba? Skąd paskudny, wścibski człowieczek o tym wiedział? Starzec miał wyraz twarzy, jakby nic nie powiedział. Był skupiony na pojedynku.

–Dwa! – krzyknął Nnanji.

–Shonsu nie umrze. Może ciężko chorować... – Kapłan umilkł na chwilę. – Tak, na pewno nie umrze. Nie sprawimy wam kłopotów. Twoja córka zajmie się adeptem Nnanjim. Jego brat jest...

–Małym urwisem! Dzisiaj rano uczył się od Oligarro wiązania węzłów. Po co szczurowi lądowemu ta umiejętność?

Starzec zaśmiał się głośno, rozpryskując kropelki śliny.

–O to samo pytał go Nnanji, ale można się domyślać. Niewolnica nie opuści pana, więc nie będzie uciążliwa.

–Jest jeszcze ta druga. Nie lubię dziewczek na statku. Katanji mówi chłopcom różne rzeczy. Czy tak?

–Nie zdziwiłbym się. Nie sądzę jednak, żeby Krówka była potrzebna. Możesz jej się pozbyć, jeśli chcesz, pani.

–Jak?

Kapłan puścił do niej oko i nagle oboje wybuchnęli śmiechem.

–Młoda Thaną coś czuje do lorda Shonsu. Czyż młodość nie jest cudowna? Pamiętasz, pani? Płomień? Udręka? Ból rozłąki? Jak to możliwe, że jedna osoba staje się słońcem, a reszta Świata tylko gwiazdami?

Jak mogłaby zapomnieć? Tomiy, młody, szczupły i przystojny. Co szczury lądowe mogły wiedzieć o krótkich zalotach Rzecznych Ludzi, o paru kradzionych godzinach, gdy dwa statki spotykały się w porcie? Świadomość, że można już nigdy więcej nie zobaczyć rodziny? I co jej zostało po Tomiyu oprócz syna, który okazał się na tyle szalony, żeby ranić szermierza siódmej rangi, oraz niesfornej córki, bezwstydnej kokietki?

Kolejny triumfalny okrzyk Czwartego. Thaną nie zdobyła jeszcze żadnego punktu. I nie miała szansy zdobyć, bo rudzielec już opanował zasady walki na statku.

–Thaną od zawsze się odgraża, że wyjdzie tylko za Siódmego. Tomo mówi, że...

Brota pozwoliła, żeby konfrontacja zmieniła się w rozmowę, niemal w spisek ich dwojga. Ten zasuszony staruszek okazał się sprytniejszy od wszystkich handlarzy, których znała.

–Nie za tego Siódmego – powiedział kapłan. – Choćby nie wiadomo jak długo

próbowała.

–Spodziewasz się, panie, że jeszcze trochę zostanieie na *Szafirze*, co?

Mężczyzna wstał sztywno.

–Sądzę, że to będzie długa podróż.

–Dokąd? W Ki San są szermierze.

–Ale Shonsu nie może ich teraz werbować, z powodu rany, którą zadał mu twój syn. Tak więc umowa nadal obowiązuje.

Uśmiechnął się promiennie. Nawet gdy stał, jego oczy znajdowały się na poziomie twarzy kobiety. Brota spiorunowała go wzrokiem.

–Mogę oddać klejnot.

Kapłan potrząsnął głową.

–Wymieniliście uścisk dłoni. Ostrzegałem cię, pani. Nie sprzeciwiaj się woli Bogini. Służ Jej dobrze, a zostaniesz nagrodzona.

–A jeśli on umrze?

–Nie umrze.

–Nie możesz tego wiedzieć.

Jego osobliwa pewność siebie mimo wszystko zrobiła wrażenie na sterniczce. A Brota zwykle potrafiła wyczuć kłamstwo na sto kroków.

–Po prostu wiem. Jestem pewien.

–To mocne słowa.

–Chodzi o pewne proroctwo. Shonsu nie umrze tym razem, bo wiem, kto go zabije. Nie twój syn.

Ruszył niepewnym krokiem po kołyszącym się pokładzie.

–Cztery! – zawołał Nnanji.

Wygrał lekcję.

–Za późno, żeby wyrzucić ich na brzeg – stwierdził Tomiyano ze złością.

Szafir wyprzedził ociężałą barkę i mijał od zawietrznej statek przewożący bydło. Czekają ich pospolite sąsiedztwo przez parę minut.

Tak, było o wiele za późno. Za dużo świadków. Na Rzece panował ruch jak na targowisku. Poranne słońce tańczyło na zatłoczonych wodach. Rzeczne mewy skrzeczały w górze. Brota nic nie powiedziała na uwagę syna.

–Moglibyśmy kupić każdy statek za ten przeklęty miecz. Nie mówiąc o zapince. I klejnotach, które pewnie jeszcze mu zostały w sakiewce.

W ciągu czterech dni stan zdrowia Trzeciego uległ zdumiewającej poprawie. Choć opuchlizna zeszła, ramiona miały więcej odcieni niż tęcza, a właściciel poruszał nimi ostrożnie jak wiekowy staruszek. Opierał się o reling i narzekał. Brota czuła, że syn nie mówi poważnie, ale gdyby okazała zainteresowanie, tylko pogorszyłaby sytuację. Tomiyano wyraźnie prowokował matkę. Ostatnie doświadczenie nie uczyniło go pokorniejszym. Niezależnie od ceny powalił szermierza siódmej rangi, czym najprawdopodobniej nie mógł się pochwalić ani jeden żeglarz.

–Towarzystwo za rufą.

Piąta odwróciła się i zobaczyła, że dogania ich galera z dziobem ozdobionym lśniącymi emaliowanymi arabeskami. Jej wiosła poruszały się jak skrzydła. Przecięła *Szafirowi* drogę, zanim Brota zdążyła minąć statek z bydłem. Fe!

–Szermierz umrze – powiedział Tomiyano i ostrożnie oparł łokcie o reling. Tors miał równie kolorowy jak plecy, a oparzenie na twarzy łuszczyło się. – Jego udo wygląda jak melon. Słyszałaś, co on wygaduje? Bredzi!

–Mówiłam ci, żebyś trzymał się z dala od nadbudówki.

–Tylko zajrzałem przez okno. Jego ranę czuć aż z ładowni. Na całym statku przekłete szczury ładowe! Ten Nnanji jest niebezpieczny. Za każdym razem, kiedy go widzę, tylko czekam, aż kogoś oskarży. Nawiedzony szczeniak!

Brota nie odezwała się ani słowem. Czwarty obiecał, że nie będzie żadnych denuncjacji w Ki San. Thana, pouczona przez matkę, sprawowała nad nim władzę. Chłopak krążył wokół niej jak wytresowana ćma.

–I jeszcze Katanji!

Tomiyano splunął za burtę. Najwyraźniej jego wątroba była skażona złą krwią. Przydałby mu się rabarbarowy środek przeczyszczający. Brota pomyślała, że może piwo zabiłoby smak leku. Syn nigdy nie zażywał go z własnej woli.

–Ty jeden skarżysz się na niego. Chłopak ze wszystkimi się dogaduje.

–Właśnie o to mi chodzi! Widziałaś, jak Diwa na niego patrzy? A Mei? Wyrzucimy ich w Ki San, tak?

Brota wprawdzie poruszyła sterem. Może było błędem, że nigdy nie brali pasażerów. Syn reagował, jakby zadano mu gwałt. Niektórzy członkowie załogi mieli podobne odczucia. Tomiyano urodził się na *Szafirze* i nigdy nie spał w innym miejscu. Uwielbiał starą łajbę.

Z galery dobiegły ryki wściekłości. Statek gwałtownie skręcił w prawo, a wiosłarze ustawili wiosła na płask, żeby nie otrzeć nimi o krypę z bydłem. Brota zaczęła

planować następny manewr. Parę dużych towarowców, trzy razy większych od Szafira, posuwało się wolno, tarasując drogę. Białe luksusowe jachty śmigały w jedną i drugą stronę jak ważki; prawdopodobnie właściciele eskortowali towar. Brota jeszcze nigdy nie widziała równie ożywionego ruchu, i to tak daleko od portu. Pojawiły się przedmieścia Ki San. Wzdłuż brzegu stały okazałe rezydencje. Ki San musiało być wielkie. Kobietę ogarnęło podniecenie. Załoga ustawiła się przy relingu na głównym pokładzie.

–Zamierzasz wysadzić ich w Ki San?

–Poczekamy i zobaczymy, co powie chłopak.

–On? Powiedział Thanie, że przed Aus nie widział żadnego miasta. Ki San jest... –

Tomiyano przyjrzał się brzegowi i zatłoczonej Rzece -...warte obejrzenia. Wchłonie ich wszystkich i nawet tego nie zauważy. Czwarty zostanie na pokładzie!

Nnanji chyba jeszcze nie przemyślał tej kwestii. Stał na pokładzie razem z żeglarzami. Miedziany kucyk lśnił w porannym słońcu, a obok niego jeszcze mocniej błyszczał srebrny gryf i szafir. Nieobecni byli tylko Shonsu i jego niewolnica. Kobieta chyba wcale nie spała. Oto prawdziwe oddanie.

Tomiyano również patrzył na miecz.

–On nie może zejść na brzeg, prawda? Szermierze stanowiliby większe zagrożenie niż czarnoksiężnicy!

Zaśmiał się i mruknął coś pogardliwego na temat szermierzy, ale Brota mogła śmiało udawać, że nie dosłyszała.

Gdyby Nnanji natknął się na szermierza wyższej rangi, siódmy miecz byłby dla niego wyrokiem śmierci. Teoretycznie mógł nosić go w pochwie u pasa, a na plecach swój, ale z pewnością uznałby, że takie wyjście jest poniżej jego godności.

Przed *Szafirem* wlokła się łódź z drewnem i dwa kutry rybackie.

–Głowa mnie boli od wyężdżania wzroku – powiedziała Brota. – Szkoda, że nie możesz przejąć steru.

–Odsuń się!

–Ale twoje ramiona...

–Powiedziałem, odejdz!

Brota wpuściła syna za ster i ruszyła do schodków. Miała dość nacisków Tomiyano. Reszta załogi też wywierała na nią presję, choć trochę subtelniej. Piąta zamierzała pozwolić szermierzom zostać do czasu, aż sprzeda drzewo sandałowe. Wtedy ich wysadzi. Tak będzie bezpieczniej. Chyba że bogowie rzeczywiście okażą się tak wspaniałomyślni, jak obiecywał starzec. Słowa nic nie kosztowały. Potrzebowała dowodów.

Brota siedziała razem z resztą rodziny na pokrywie luku, gdy w całej krasie ukazało się Ki San, skąpane w blasku słońca. Widziała kawał Świata, ale miasto zrobiło na niej wrażenie. Na licznych wzgórzach wyrastał las miedzianych iglic, kopuł i dachów. Na najwyższym szczycie lśnił bielą i złotem pałac. Tłoczne nabrzeże ginęło za zakrętem Rzeki. Maszty, olinowania i żagle ciągnęły się w nieskończoność, wytyczając łuk linii brzegowej. Między statkami krążyły lichtugi i barki. Po wodzie niósł się stały łoskot pracujących wind kotwicznych i kół wozów.

Obserwując zgiełkliwy port, Brota zaczęła się martwić, czy zdołają gdzieś przycumować. W tym momencie od nabrzeża odbił mały prom i Tomiyano z dziecinną łatwością wpasował się w wolne miejsce. Uśmiechnął się triumfalnie. Żeglarze nagrodzili go brawami i skoczyli zwiając żagle i rzucać cumy.

Brota dźwignęła się ciężko i podeszła do Nnanjiego.

–I co, adeptcie? Chcesz zostać na pokładzie?

Chłopak popatrzył na miasto i przełknął ślinę.

–Tak. Poślesz po uzdrowiciela, pani?

–Tak.

–Pani? – bąknął Czwarty z zakłopotaniem, odrywając się od widoku. – Chcę sprzedać Krówkę. Niewolnica, która histeryzuje na widok krwi, nie jest odpowiednią towarzyszką dla szermierza.

–To prawda.

Dobra robota, Thano!

–Eee, zastanawiałem się, czy ty byś jej nie sprzedała, pani? – wyjąkał Nnanji. – Dostaniesz większą cenę niż ja.

–Pewnie tak. Gdy mężczyzna pozbywa się takiej niewolnicy, w klientach budzą się wątpliwości. Oczywiście, wezmę prowizję. Jedna szóstka?

Nnanjiemu zrzęda mina.

–Thana mówiła, że weźmiesz jedną piątą.

–W porządku. Jak dla ciebie, jedna piątą.

Chłopak się rozpromienił.

–Jesteś bardzo łaskawa, pani.

–Cała przyjemność po mojej stronie, adeptcie.

Gdy urzędnik portowy opuścił statek, wysłano Matarro po uzdrowiciela.

Do Siódmego przybył Szósty z trzema juniorami do niesienia toreb. Zielona szata tłuściocha o niskim głosie i wytwornych manierach była świeżo wyprasowana, czarne włosy gładko przylegały do czaszki. Uzdrowiciel zmarszczył brwi na widok pacjenta. Uczniowie otoczyli legowisko, szeptali coś do siebie i tręcali się łokciami. Laicy stłoczyli się w drugim końcu kajuty.

Szósty wyprostował się i spojrzał na zatroskaną grupkę.

–Komu mam złożyć raport?

–Mnie – powiedział Nnanji, robiąc krok do przodu.

Brota wystąpiła razem z nim.

–Rana jest przeklęta – oznajmił uzdrowiciel.

Oczywiście.

–Gdyby chodziło o cywila, radziłbym wezwać chirurga, żeby uciął kończynę.

–Nie – powiedział Nnanji krótko.

Szósty skinął głową.

–Tak myślałem. W takim razie z żalem oświadczam, że nie mogę wziąć tego przypadku.

Brota już zamierzała się wtrącić, ale Czwarty ją uprzedził. Znał właściwą odpowiedź.

–Szanujemy twoją wiedzę i honor. Skoro już tu jesteś, panie, może udzieliłbyś porady co do... tych siniaków od floretu na moich żebrach. Co byś zalecił?

W oku błyszczała mu łza, ale Nnanji najwyraźniej nie zdawał sobie z tego sprawy.

Uzdrowiciel z całą powagą zalecił Czwartemu, żeby przebywał w chłodzie, dużo pił, co dwie godziny przykładął gorące kompresy na siniaki i smarował je maścią. Nnanji podziękował mu uroczyście oraz zapłacił złotem za poradę i balsam, który jeden z juniorów wyjął z torby.

–Wrócisz jutro, panie? – zapytała Brota.

Szermierz spojrział na nią zaskoczony, ale Szósty rozpromienił się i obiecał, że oczywiście wróci, by sprawdzić stan adepta. Piąta nie miała zamiaru zostawać w porcie na noc, ale nie chciała, żeby ten człowiek rozpowiadał w garnizonie o Siódmym, który przybył do Ki San. Odprowadziła uzdrowiciela na pokład.

–Jak długo jeszcze, panie? – zapytała.

–Jakieś pięć dni. Jest silnym mężczyzną. Możecie wezwać kapłanów.

Pięć dni, pomyślała Brota.

Uzdrowiciel sam omal nie stał się ofiarą miecza, bo Matarro i Katanji wyznaczyli siebie na straż honorową przy trapie. Widząc ich nieporadne saluty, Brota skryła uśmiech i krzyknęła na Nnanjiego, żeby przyszedł i dał im lekcję. Czwarty wybiegł wściekły z nadbudówki i spełnił prośbę w podobnym nastroju.

–O rany! Czy on naprawdę oczekuje, że będziemy tak sterczeć przez cały dzień? – zapytał Matarro, kiedy potwór odszedł.

–Nie. – Katanji przybrał wygodniejszą pozycję. – Jest zdenerwowany z powodu Shonsu. Nnanji zwykle jest w porządku.

Gdy wkrótce Brota schodziła na brzeg, chłopcy obnażyli miecze, tym razem z większą wprawą.

Na nabrzeżu wyłożono próbki drzewa sandałowego i parę mosiężnych garnków. Piąta usiadła na krzeselku, w palącym słońcu. Mijały ją tłumy pieszych, załadowane fury wzniecały chmury kurzu. Powietrze cuchnęło końskim nawozem. Handlarze wysokich rang przechadzali się ze swoimi pomocnikami i rzucali szydercze uwagi na temat wystawionego towaru. Domokrążcy pchali taczki, tragarze ciągnęli dwukołowe wózki. Lektyki, muły, piesi i kramarze lawirowali między pojazdami. W ciżbie migwały białe, czarne, żółte, brązowe, pomarańczowe szaty i przepaski biodrowe. Ulice patrolowało wielu szermierzy.

–Co teraz będzie? – spytał Katanji, zafascynowany.

–Nudy – odparł Matarro. – Podejdzie jakiś kupiec, obejrzy, co mamy do sprzedania, i powie, że to wszystko śmieci, na co Brota się oburzy. Potem zaczną się targować i będą powtarzać, że kolejne ceny są nie do przyjęcia. Jeśli gość będzie poważny, wejdzie na pokład i sam sprawdzi towar. Wtedy dobiją targu i na koniec wymienią uścisk dłoni.

Na razie nic się nie działo. Handlarze węszyli jak psy i szli dalej. W pewnym momencie zjawiała się Thana w towarzystwie wypucowanej, uczesanej i stosownie ubranej Krówki. Sprowadziła ją na brzeg. Pierwsi zasalutowali, gapiąc się na kobiety.

–Nigdy tego nie robiłeś – stwierdził Matarro.

–Robiłem! – Katanji przewrócił oczami. – Ostatniej nocy znowu! Nnanji chrapał, a ja podkradłem się do Krówki i sam ją obsłużyłem. Trzy razy.

–Wygląda mi na kłodę! – bąknął młody szermierz z powątpiewaniem..

–W życiu! Jak tylko zaczynam, ona szaleje. Uwielbia to! Dyszy i jęczy! Niezła sztuka!

Katanji wdał się w pikantne szczegóły. Matarro był pod wrażeniem, ale wciąż nie dowierzał koledze.

–Przysięgasz na miecz?

Pierwszy nie wahał się ani chwili. Potem uwagę chłopców przyciągnęło to, co działo się na brzegu.

Krówka wzbudziła większe zainteresowanie niż cała góra drzewa sandałowego. Handlarz szóstej rangi zerwał negocjacje przy sąsiednim statku. Gdy przybiegł, Brota aż wstała z krzeselka. Jednocześnie pojawił się Piąty, a po nim jeszcze jeden Szósty. Gdy do mistrzów dołączyli uczniowie, utworzył się spory tłumek.

Matarro kilka razy zaklął z niedowierzaniem. Z nadbudówki wyszedł Nnanji. Wyglądało na to, że Brota prowadzi aukcję. Chętni wymachiwali rękami i krzyczeli.

–Nie widzieli nigdy takich cycków? – zdziwił się Katanji.

–Takich nie! – odparł Matarro z tęsknotą w głosie.

W tym momencie wśród handlarzy i gapiów zapanowało poruszenie. Tłum pospiesznie rozstał się przed nowo przybyłymi. Byli nimi szermierze.

–O rany! – zawołał Matarro. – Szósty?

Nnanji wskoczył z powrotem do kajuty i podbiegł do okna, mrużąc coś pod nosem i dygocząc z wściekłości.

Jja właśnie smarowała maścią ranę Shonsu. Uniosła głowę, odgarnęła włosy grzbietem dłoni i uśmiechnęła się lekko. Była blada i miała zaczerwienione oczy.

–Adepcie? Nie zaszkodzi, jeśli wsuniesz miecz pod siennik i staniesz blisko drzwi.

Jednak Nnanji nie umiał rozstać się z powierzonym skarbem. Nie ruszył się z miejsca i tylko z niepokojem zerkał przez żaluzje.

Tłum szybko się rozproszył. Przy Szafirze został tylko oddział szermierzy i kilku ciekawskich.

–Jja! Chodź popatrz! – zawołał Nnanji. Razem obserwowali, jak lektyka, do której wsiadła Krówka, oddala się wraz z uzbrojoną eskortą.

–Widziałem wiele cudów, odkąd jestem z Shonsu, ale nigdy takiego – szepnął Czwarty. – Niewolnica w lektyce?

Brota zatrzymała się na chwilę, żeby porozmawiać z jakimś kupcem, a potem weszła z dudnieniem po trapie. Znalazłszy się na pokładzie własnego statku, bluznęła stekiem żeglarskich przekleństw i zaczęła wygrażać pięściami. Załoga w mig się ulotniła. Wszyscy wiedzieli, że lepiej nie zagadywać Piątej, gdy jest w takim nastroju. Kobieta wpadła do nadbudówki rufowej. Omal nie wyrwała drzwi z zawiasów. Tuż za nią przybiegł Katanji. Chwilę później zjawił się Matarro, zachowując należytą ostrożność.

–Oto twoje pieniądze! – warknęła Brota, wciskając Nnanjiemu do ręki skórzany woreczek. – Dwadzieścia sztuk złota!

–Szósty ją kupił?

–Tak! Czcigodny Farandako, szermierz szóstej rangi, dowódca gwardii Ki San! Wywindowałam cenę do pięćdziesięciu, a chętni daliby osiemdziesiąt lub dziewięćdziesiąt, lecz wtedy zjawia się szlachetny szermierz i mówi, że dwadzieścia to aż nadto za niewolnicę i ją zabiera. Szermierze!

Rozbój w biały dzień! Nnanji spojrzał na sakiewkę, potem na Brotę i rozpalonego Shonsu.

–Bracie, potrzeba nam uczciwego szermierza – powiedział ze smutkiem. Żadnej odpowiedzi.

–Czcigodny i tak okazał się hojny! – Brota nadal trzęsła się z wściekłości. – Mógł zapłacić jedną sztukę złota. Albo wcale!

–Dlaczego, pani? Co jest takiego szczególnego w Krówce? Po co lektyka?

–Król – odparła Brota, ścisząc głos do prawie normalnego. – Kolekcjonuje takie niewolnice jak ona. Wystarczy, że przekaże ją pałacowemu rządcy, a może być pewien, że dostanie co najmniej sto.

Sama tyle by zarobiła, gdyby wcześniej zbadala rynek.

–Cieszę się ze względu na biedną Krówkę – odezwała się Jja. – Będzie mieszkała w pałacu. Bogini nagradza tych, którzy pomagają mojemu panu.

Nnanji i Brota spojrzeli po sobie zaskoczeni i zawstydzeni, że o tym nie pomyśleli.

–Podbiłaś cenę do pięćdziesięciu, tak, pani? – powiedział Nnanji, wysypując monety na dłoń. – Piąta część to dziesięć, zgadza się? W takim razie dziesięć dla ciebie i dziesięć dla mnie. Tyle właśnie za nią zapłaciłem.

Brota prychnęła, ale wzięła pieniądze, nim adept odzyskał rozum.

–Hej, Katanji, weź je na przechowanie – powiedział Nnanji.

W tym momencie przypomniał sobie, że dwaj Pierwsi mają służbę wartowniczą. Natychmiast wypędził ich z kajuty, ciskając gromy i prorokując wszelkie kataklizmy.

–Sto sztuk złota! – zgorszył się Katanji, kiedy obaj wrócili na posterunek. – Za materac? – Skrzywił się z niesmakiem. – O rany, ktoś przeżyje królewskie rozczarowanie!

Matarro się wyszczerzył, czując, że jest coraz bliższy prawdy. Chłopcy wybuchnęli śmiechem. Zaśmiewali się tak serdecznie, że omal nie upuścili mieczy.

–Trzysta! – Tomiyano zerknął przez ramię, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie usłyszeli go handlarze.

Ale kupcy obserwowali, jak niewolnicy znoszą ze statku drzewo sandałowe i ładują je na wozy. Matka tylko skinęła głową, zgarniając monety ze stolika do skórzanego woreczka. Jeszcze żaden towar nie przyniósł im takiego zysku, co oznaaczało, że na przystani z której zabrali Shonsu i jego drużynę, zostawili drewno warte trzydzieści sztuk złota.

Było dopiero przedpołudnie. Marnowała się dobra pogoda na żeglowanie.

–Następny port? – zapytała Brota.

–Trzy dni do Wal, Stamtąd trzy albo cztery do Dri

Pięć dni!

–Towar?

–Mosiądz.

Brota skinęła głową. Ki San szczyciło się mosiężnymi i miedzianymi wyrobami. Garnki przywiezione przez *Szafir* potraktowano z lekceważeniem, ale na szczęście zostało ich w ładowni tylko kilkadziesiąt sztuk. Sprzedadzą je razem z dobrym towarem, który tutaj kupią. Na wprost miejsca, gdzie cumowali, znajdował się magazyn wyrobów z mosiądzu. Może to znak od Bogini lub nie, ale przynajmniej oszczędzą na wynajęciu wozu. Rzeczywiście, handlarz już stał na nabrzeżu. Brota podała Tomiyano sakiewkę i ruszyła przez ulicę. Gdyby szli dalej, wzięłaby miecz. W razie potrzeby syn mógłby go użyć.

Kupiec trzeciej rangi był młody i nerwowy. Widać od niedawna pracował na swoim. Jego skład był niewielki jak na miejscowe warunki, choć w otwartej od frontu budowli zmieściłby się *Szafir*. Brota poczyniła kilka zwyczajowych uwag, mężczyzna odpowiedział. Zgodnie z prawem kupcy nie powinni robić interesów tylko z kupcami, ale mało który handlarz stawiał sutry przed zyskiem. Jakość wyrobów zrobiła na niej wrażenie. Tomiyano również dał jej znak świadczący o aprobacie. Garnki, kufle, noże i naczynia, zwłaszcza naczynia. Talerze były ciężkie. Brota chodziła między lśniącymi stosami, taksując je wzrokiem. W ciemnym kącie znalazła górę uszkodzonych przedmiotów i zainteresowała się nimi. Ilość, waga, uszkodzenia, pakowanie...

W końcu z wdzięcznością usiadła na podsunętym krześle i weszła w rolę bezradnej wdowy. Tomiyano z wprawą grał swoją rolę, odczytując sygnały matki, która udawała, że się waha. Jak dużo towaru mogą załadować? Zależy, ile będzie talerzy, a ile garnków. Kobieta zwróciła się do handlarza o pomoc, bo wiedziała że *Szafir* jest znacznie pojemniejszy niż się wydawało na pierwszy rzut oka; ciasne były tylko kabiny. Zaczęła sprzeczać się z synem o wielkość ładowni. Ona mówiła, że są duże, a Tomiyano cierpliwie ją przekonywał, że małe. Handlarz uwierzył żeglarzowi.

–Proszę, oto trzysta sztuk złota, które dostaliśmy za drewno – powiedziała nagle Brota, rzucając sakiewkę na stoi. – Ty bierzesz pieniądze, panie, a my tyle towaru, ile się zmieści na statku. Tak będzie najprościej, prawda? – Uśmiechnęła się niewinnie.

Tomiyano chwycił się za głowę. Trzysta sztuk złota! Nigdy za tyle nie załadują. Handlarz był jednak podejrzliwy.

–Mówisz poważnie, pani?

–Oczywiście. Trzysta za wszystko, co damy radę upakować w ładowniach. Sami wybierzemy towar. Z dostawą na statek.

Mężczyzna roześmiał się.

–A może za tysiąc, pani?

Połknął haczyk!

–W tej sakiewce jest trzysta. Dostaliśmy je za drewno. Jeśli od razu dostarczysz towar, zostanie nam jeszcze pół dnia żeglowania. Jeśli pójdę gdzieś indziej i zacznę się targować, będziemy musieli zatrzymać się tu na noc.

Trzeci popatrzył na statek. Kalkulował w myślach.

–Za cały ładunek... osiemset.

Kobieta wymaszerowała z magazynu. Syn podążył za nią.

–Tu są jeszcze dwa, a w tę stronę trzy składy – powiedział. Handlarz zawołał: "Siedemset!". Brota szła dalej. Tomiyano ciągnął matkę za łokieć i krzychał jej do jednego ucha, a właściciel magazynu do drugiego.

–Wszyscy najlepsi rzemieślnicy w mieście...

–Nie ma miejsca na towar za trzysta sztuk złota! Wszystko się porysuje i pognie. Nie mówiąc o obciążeniu! Pójdziemy na dno.

–Z Shonsu na pokładzie? Też coś! – prychnęła Brota.

Trudno jej się szło po kocich łbach, więc zwolniła kroku.

–Pięćset. Moja ostatnia oferta.

Handlarz nie ustępował, a z przodu już zbliżał się następny.

–A jeśli on umrze? – warknął Tomiyano. Już nie było mowy o wyrzucaniu za burtę.

–Uzdrowiciel powiedział, że ma jeszcze pięć dni. Połowa już minęła.

–Czterysta – rzucił mężczyzna.

Dotarli do kolejnego składu, znacznie większego niż pierwszy. Właściciel, uprzedzony przez szpiegów, już czekał na klientów. Wykonał gest pozdrowienia.

–Zgoda! – zawołał Trzeci, niemal szlochając.

Kobieta odwróciła się i wyciągnęła do niego ręce.

Wszędzie walały się garnki: w kabinach, szalupach, wzdłuż przejść, na pokładach. Talerze poszły do ładowni. Tomiyano martwił się o zanurzenie, rozmieszczenie ładunku, nie dokończone naprawy, balast i trymowanie. Handlarz lamentował i wykrzykiwał histerycznie, że jest zrujnowany. Osłupiali członkowie załogi doszli do wniosku, że Brota postradała zmysły. Co zrobią z garnkami, jeśli zaczną padać? Jak w razie nagłej potrzeby dostaną się do drabinek wantowych? Piąta ignorowała wszystkie komentarze. Umiała dostrzec okazję, a poza tym wiedziała, że z Shonsu nie grozi im zatonięcie. Mogła dostać za towar trzysta pięćdziesiąt albo więcej. Pięć dni, a noga jeszcze nie zaczęła czernieć. Powolna śmierć.

Jedynym miejscem wolnym od rondli pozostała nadbudówka rufowa. Nnanji ustawił się przed drzwiami, skrzyżował ramiona i łypał na wszystkich groźnym wzrokiem. Na plecach miał siódmy miecz. Obronił placówkę.

Szafir odbił od nabrzeża jak pijany. Niechętnie reagował na ster, zupełnie jakby

był urażony.

Tylko w nadbudówce było trochę luźniej, więc po zrzuconiu kotwicy tu właśnie przyniesiono jedzenie: pieczonego dodo, aromatyczną zapiekankę z krowy morskiej, świeży ciemny chleb i parujące dania z warzyw kupionych w Ki San. Brota usiadła na jednej ze skrzyń, a wszyscy pozostali stłoczyli się na podłódze.

Wśród załogi panował dziwny nastrój. Żeglarze martwili się o stateczność *Szafira*, ładunek i pogodę na najbliższe dni. Z drugiej strony wszyscy cieszyli się udaną transakcją i wierzyli, że Bogini uśmiechnęła się do nich. Już zapomnieli o Hool. Smuciła ich jedynie perspektywa, że ranny mężczyzna leżący w kącie umrze tak jak Katyrrri i Brokaro. Pasażerowie byli markotni, ale przekonani, że Shonsu będzie żył. Rozmowy, które nawiązano w trakcie podawania sobie tac, szybko umilkły.

W pewnym momencie zjawił się Tomiyano, niosąc duży miedziany gar z dziwnym zwojem u góry. Brota wstrzymała oddech. Kapitan zlokalizował Nnanjiego i ruszył w jego stronę, lawirując między siedzącymi. Delikatnie postawił naczynie na podłódze.

–Adepcie Nnanji, wiesz, do czego to służy?

Czwarty zmarszczył brwi i pokręcił głową.

–Twój mentor widział podobne w Aus, tylko większe. Z jakiegoś powodu bardzo się nimi zainteresował. Miałem nadzieję, że wiesz, co to jest. Dostaliśmy je razem z innymi kupionymi rzeczami.

Nnanji zamknął oczy.

–Shonsu powiedział: “Dostrzegłem miedziane zwoje, które mogą mieć coś wspólnego z czarnoksiężnikami, więc poszedłem je obejrzeć” – grzmiącym głosem zacytował Siódmego i otworzył oczy. – Nie umiem ci pomóc, kapitanie. Ale jeśli sprzedasz mi jeden kocioł, mentor rzuci na niego okiem, kiedy odzyska przytomność.

–Dam ci go za darmo – burknął Tomiyano.

Propozycja rozejmu! Nie do wiary! Czy szermierz ją przyjmie? Brota pomyślała, że warto by pomodlić się do Najwyższej.

–Nie mogę przyjąć od ciebie prezentu, kapitanie – oświadczył Nnanji. – Za ile go kupię?

Tomo poczerwieniał z wściekłości.

–Pięć!

Nnanji bez wahania sięgnął do sakiewki i odliczył cztery złote monety oraz dwadzieścia jeden srebrnych. Położył je u stóp żeglarza.

Trzeci rozrzucił je kopniakiem i poszedł w drugi koniec kajuty, zostawiając garnek. Brota postanowiła się nie wtrącać, tylko westchnęła ciężko. Kiedy mężczyźni zachowują się jak dzieci, kobiety powinny stać z boku.

–Jak daleko jest do następnego portu, pani? – zapytał Honakura ze swojego kąta.

–Okolo trzech dni do Wal – odparła Brota z pełnymi ustami.

–W Wal są czarnoksiężnicy! – zauważył Nnanji.

Piąta zerknęła na Tomiyano.

–To prawda?

–Nie pomyślałem, żeby się tym zainteresować – przyznał kapitan, zły na siebie. –

Wypytałem o odległości, prądy, znaki orientacyjne, mielizny i rynek, a o czarnoksiężników nie! O Dri, następny port, też się nie dowiedziałem.

–Dri jest w porządku – wtrącił Katanji. Ten chłopak ma dar wywoływania burzy w słoneczny dzień, pomyślała Brota.

–Nie pozwoliłem ci zejść na brzeg! – warknął Nnanji. Pierwszy nie raczył odpowiedzieć, tylko spokojnie jadł dalej. Jego mentor musiał przyznać się do porażki.

–No dobrze. Co odkryłeś?

–Lewy brzeg to terytorium czarnoksiężników – oznajmił Katanji, wskazując ręką góry.

–Nie odróżniasz prawej strony od lewej?

–On ma rację, adeptcie – odezwała się Brota. – Płyniemy w górę Rzeki, więc to właśnie jest lewy brzeg.

Nnanji rzucił bratu piorunujące spojrzenie. Katanji był zbyt ostrożny, żeby się uśmiechnąć, ale w oczach miał iskierki.

–Na południu leży Czarna Kraina, mentorze. Magowie opanowali co najmniej trzy miasta na lewym brzegu: Aus, Wal i Sen, a może więcej. I oczywiście Ov, po drugiej stronie gór RegiVul. Na prawym brzegu nie ma czarnoksiężników, przynajmniej w najbliższej okolicy. Ki San, Dri i Casr są czyste.

–Dobra robota, nowicjuszu – pochwalił go burkliwie Czwarty. Znowu ryknął jak Shonsu, pomyślał Katanji i ukrył uśmiech, pakując do ust kawał placka.

–Dobra robota – powtórzył Nnanji i zmarszczył czoło w zadumie. Spojrzał na Brotę. – Ominiemy Wal?

–Na razie mam dość czarnoksiężników. Możemy płynąć do Dri.

Droga musiała jednak zająć im więcej niż pięć dni.

Gdy sprzątnięto naczynia, Oligarro przyniósł mandolinę. Potem Holiyi zagrał kilka melodii na fletni Pana. Zapadła senna cisza... Ściemniło się. Na niebo wzeszedł Bóg Snów, duży i jasny.

–Nnanji? Zaśpiewaj nam coś.

–Nie.

–Tak! – poprosili wszyscy chórem.

Jonaszowie byli teraz w łaskach. Przynieśli zysk.

Czwarty w końcu dał się namówić. Głos miał drżący i niezbyt silny, ale dzięki darowi naśladowania poradził sobie z linią melodyczną. Słowa nie stanowiły dla niego problemu. Wybrał sagę o dziesięcioletnim oblężeniu Uli, o wielkim bohaterze Akiliso Siódmym, który rozpaczał po stracie ulubionej niewolnicy. Była to znana opowieść, ale Nnanji potrafił oddać jej nastrój jak prawdziwy minstrel. Gdy dotarł do fragmentu, w którym zaprzysiężony brat Akiliso rusza konno do boju, nagle zamilkł.

–Myślę, że wystarczy na jeden wieczór. Dokończę kiedy indziej.

Kajuta zatrzęsa się od braw i pochwał. Parę osób ocierało łzy. Brota też była pod wrażeniem pieśni. Może starzec ma rację i Shonsu wyzdrowieje, nim dotrą do Dri, a wtedy Bogini uwolni Szafir. Trzysta sztuk złota za ładunek drzewa sandałowego!

Uważała jednak, że Siódmy umrze.

W środku zrobiło się już ciemno. Tylko przez okna wpadał księżycowy blask. Na suficie igrały refleksy światła.

–Adepcie Nnanji? – dobiegł z mroku głos Matarro. – Co zrobisz, jeśli lord Shonsu umrze?

–Nie twój interes, chłopcze – skarciła go matka.

–W porządku – odezwał się Czwarty. – Jest szermierzem, więc ma prawo pytać. Ja też umrę, nowicjuszu. Po plecach Broty przebiegł zimny dreszcz.

–Pora spać! – oświadczyła głośno, wstając ze skrzyni. Dzieci jej posłuchały, ale dorośli siedzieli i czekali.

–Nnanji! Co masz na myśli?! – krzyknął Katanji.

–Nie doszło do naruszenia kodeksu! – stwierdziła Brota. – Tomo został wyznaczony na stróża porządku! I

–Zgadza się. Nie będzie żadnego oskarżenia. Widzisz, nowicjuszu, gdyby wiązała mnie z lordem Shonsu tylko pierwsza albo druga przysięga, nie byłoby kłopotu. My jednak złożyliśmy sobie ważniejszą przysięgę, więc spróbuję go pomścić.

Tomiyano wydał nieartykułowany dźwięk.

–Myślę, że do tego nie dojdzie, ale powstaje interesująca kwestia. – Nnanji był tak opanowany, jakby rozmawiał o cenie ryb. – Kapitan nie jest szermierzem, więc nie mogę go wyzwać. Nie było przestępstwa, więc nie mogę ogłosić wyroku i zabić Trzeciego. Chyba musiałbym dać mu miecz i uprawnienia stróża porządku. Lecz te rozważania są niepotrzebne, bo Shonsu nie umrze.

–Przeklęty szczur lądowy! – warknął Tomiyano. – Myślisz, że ci się upiecze?

–Ani przez chwilę. Zasztyletowałbyś mnie albo przeszył mieczem Gdybym ja cię zabił, pozostali by mnie dopadli. Mężczyźni potwierdzili te słowa gniewnymi pomrukami.

–Nie martw się więc. Nie zrobię nic bez ostrzeżenia. Shonsu nie umrze, a jeśli nawet, dostaniesz mnie pierwszy.

–Musiałbyś wyzwać wszystkich świadków! – krzyknęła Brota. – Tak, wszystkich!

–Tak, ale przysięga to przysięga – powiedział Nnanji chłodno.

Kobieta zaklęła głośno, uciszając narastający gwar.

–To przesądza sprawę! Jutro wysiadacie na pierwszej przystani, którą zobaczymy. Wszyscy. Nigdy w życiu nie zламаłam umowy, ale ta wygasa!

Załoga głośno ją poparła.

–Dużo zarobiłaś na drewnie, pani? – rozległ się w ciemności głos starca.

Brocie nagle zrobiło się zimno. Nie tylko przyjęła klejnot od Shonsu, ale teraz również złoto od Bogini. W dodatku tak przeciążyła statek, że nagły szkwał groził jego zatopieniem.

–Cóż... zaczekajmy do jutra – powiedziała niepewnie.

Kajutę wypełniły okrzyki niedowierzania. Wszyscy uznali, że Brota zwariowała. Ona również tak uważała.

Cztery dni po opuszczeniu Ki San, późnym popołudniem, Brota wysłała Tomiyano po Nnanjiego. Chudy rudzielec stał oparty o reling i w posępnym nastroju patrzył na Rzekę. Obok miedzianego kucyka iskrzył się szafir. Blask słońca tańczył na srebrnej rękojeści chioxina.

Nikt z obecnych na pokładzie nie odważył się zagadnąć młodego szermierza. Brota obserwowała z ławki sternika, jak syn zbliża się do Czwartego, celowo trącając po drodze parę mosiężnych garnków. Oligarro i Holiyi też czuwali w pewnej odległości.

Kapitan coś powiedział, Nnanji zerknął na Brotę, wzruszył ramionami i zaczął iść w stronę rufy. Jeśli bał się odwrócić plecami do żeglarza uzbrojonego w sztylet, nie dał tego po sobie poznać.

–Pani?

Był zadowolony, ale ostrożny.

Piąta wskazała na prawą burtę. W oddali rysowała się cienka linia wschodniego brzegu, na którym bystre oko mogło dostrzec budynki, a przy odrobinie wyobraźni – wieżę. Dalej, niczym skryzalizowane niebo, majaczył masyw RegiVul.

–Wal? – spytał Nnanji.

–Wal.

Kobieta skinęła głową ku lewej burcie. Podążając za jej wzrokiem, Czwarty ujrzął niegościnne, bagniste tereny porośnięte gąszczem krzaków. Na tym brzegu od wielu godzin nie wypatryli ani jednej chaty, nie mówiąc o osadach. Nnanji spojrział w górę na żagle, a potem zdziwiony na Brotę.

–Co niby mam zobaczyć?

Szczur lądowy!

–Niebo.

–O!

Znad lądu nadciągały gigantyczne chmury burzowe, oślepiająco białe u góry, ciemne u podstawy i przecinane błyskawicami.

–Statek jest przeciążony, tak? – zapytał Nnanji. Patrzył z rozbawieniem na Piątą.

–Nawet gdyby nie był, i tak szukałabym portu. Nigdy nie widziałam, żeby burza zbliżała się tak szybko.

Raptem Czwarty uśmiechnął się szeroko.

–Ona chce, żebyśmy zawinęli do Wal.

Brota nie widziała żadnego powodu do wesołości. Wykręciła sterem. *Szafir* zareagował niechętnie.

–Nie mamy wyboru – stwierdziła kobieta ponuro.

–Świetnie. Idę do nadbudówki.

Tomiyano wskazał na swoje oparzenie. Na jego twarzy malowała się nienawiść.

–Ja też – oświadczył.

Godzinę później Brota znowu wezwała Nnanjiego. Tym razem adept przyszedł sam. Statek szedł pod wszystkimi żaglami, pchany kapryśnym wiatrem, a Wal niewiele się przybliżyło. Czwarty miał na plecach własny miecz zamiast chioxina.

Najwyraźniej spodziewał się kłopotów.

–Nie wiem, czy zdążymy – uprzedziła sterniczka.

Może Shonsu miał jednak pójść na dno, a ona zostać ukarana za chciwość.

Palce burzy niemal sięgały słońca, ale Nnanji je zignorował. Wskazał zdziwiony na Wal.

–Myślałem, że tam płyniemy, pani?

–Halsujemy. Nie da się płynąć prosto pod wiatr, Nnanji!

–Aha! – Czwartego nie interesowały szczegóły techniczne.

–Musimy uprzątnąć pokład – oznajmiła Brota i zacisnęła zęby na widok uśmiechu adepta.

–Garnki napełnią się wodą deszczową?

–Zaczną się toczyć. Musimy przenieść ich jak najwięcej do nadbudówki rufowej.

Uśmiech zniknął. Przez chwilę kobieta myślała, że szermierz będzie się kłócił, ale on skinął głową.

–Czy Shonsu będzie bezpieczny, jeśli ułożymy go za dwiema skrzyniami?

–Też wpadliśmy na ten pomysł. Przynajmniej nie posypią się na niego rondle.

–Mogę jakoś pomóc?

Kobieta wskazała na zaśmieconą rufę.

–Wyrzucić je za burtę, jeśli chcesz.

Młodzieniec wytrzeszczył oczy.

–Mówisz poważnie, pani?

–Tak!

Nnanjiemu udało się nie roześmiać, choć kosztowało go to wiele wysiłku.

–Dobrze!

Ochoczo wziął się do ciskania garnków, dzbanów i kufli przez reling. Lae i Mata robiły to samo na głównym pokładzie, a pozostali członkowie załogi przenosili rzeczy do nadbudówki. Tomiyano opróżniał szalupy.

Wkrótce dogoniła ich armia cieni. Słońce zgasło. Szafir włókł się, zostawiając za sobą ślad w postaci miedzianych garnków i naczyń podskakujących na falach. Brota unikała wzroku Nnanjiego.

Nagle wiatr ustał. Żagle załopotały bezradnie, statek utracił prędkość i zaczął się kiwać na coraz większych falach. Wyrzucane przedmioty już nie tworzyły kilwateru za rufą, tylko kołysały się przy burtach.

–Co się stało? – zapytał Nnanji podejrzliwie.

–Cisza przed burzą. Tak jest zawsze. Wkrótce zerwie się wiatr, bardzo silny.

Dlatego powiedziałam, że możemy zdążyć. Teraz pozostaje nam tylko czekać.

Mogli również skrócić żagle. Gwizdek Tomiyano wezwał załogę do lin. Nnanji wzruszył ramionami i wrócił do opróżniania pokładu z ładunku.

–Nic, czego miałbym się wstydzić... unikać hańby... Niski głos słyhać było tylko dlatego, że ucichł wiatr.

–Co to takiego? – wykrzyknęła zaskoczona Brota. Na twarzy Nnanjiego odmalował się smutek.

–Lord Shonsu powtarza kodeks szermierzy. Zwykle bredzi bez sensu, ale dzisiaj

przez cały czas cytuje fragmenty kodeksu.

Oboje spojrzeli po sobie niepewnie.

Modlitwę o wybaczenie?

Niebo nad nimi robiło się coraz ciemniejsze. Na zachodzie było zupełnie czarne.

Brota na wszelki wypadek przekazała ster Tomiyano i Oligarro. Powietrze było wilgotne, nieruchome i ciężkie. *Szafir* dryfował po wielkiej Rzece.

Ładunek, który został na pokładzie, starannie zabezpieczono. Nadbudówkę rufową wypełniły pod sufit góry metalowych naczyń. Kiedy Brota i Nnanji stanęli w drzwiach, nie dostrzegli chorego. Shonsu leżał w drugim końcu pomieszczenia, za barykadą ze skrzyń. Na jednej z nich siedziała Jja. Na widok wchodzących uśmiechnęła się dzielnie.

– Czarnoksiężnicy będą mieli kłopoty z dostaniem się do mojego pana.

Brota coś odpowiedziała wesołym tonem, ale jednocześnie pomyślała, że byłyby kłopoty, gdyby przyszło im szybko opuścić statek. Nnanjiemu taka myśl najwyraźniej nie powstała w głowie. Ciekawe, czy Jja przewidziała niebezpieczeństwo.

– Sutry szermierzy... wola Bogini... – mamrotał ranny.

W tym momencie zerwał się wiatr.

Szafir skoczył do przodu, kołysząc się, trzęsąc, skrzypiąc gniewnie każdą deską i liną. Brota skuliła się pod ścianą nadbudówki, owinęła skórzaną peleryną i zapłakała nad starym żaglowcem. Nadużyła jego zaufania, obciążając do granic wytrzymałości. Przy każdym przechyle lub zanurzeniu w fale z kabin pod pokładem dobiegał stłumiony brzęk, ale Tomo radził sobie świetnie. Jego dziadek nie potrafiłby lepiej odczytywać kierunku wiatru po wyglądzie wody i mknąć w stronę Wal, trzymając się z dala od strefy ciszy i jednocześnie uciekając przed furią sztormu.

Deszcz jeszcze nie zaczął padać. Wal lśniło w słońcu. Rosło w oczach, ale tak wolno się przybliżało! Jak na ironię, drogę wskazywała czarnoksiężska wieża niczym latarnia morska. Potem na miasto również padł cień i tylko dalekie góry pławiły się w słonecznym blasku. Dzieci wsiadły do szalup. Dorośli stali przy relingach i próbowali zachować spokój. Burza ścigała ich zygzakami błyskawic i mruzczała, jakby giganci rzucali przekleństwa.

Wal bardzo przypominało Aus: drewniane domy i czerwone dachówki. Na kotwicy nie stały żadne statki. Wszystkie cumowały bezpiecznie w basenie portowym, podskakując niespokojnie na nadciągających falach. Tomiyano zręcznie wprowadził *Szafir* do portu i znalazł miejsce postoju.

Następnie pomaszerował gniewnie do nadbudówki rufowej, żeby się ukryć przed czarnoksiężnikami. Obserwująca go Brota raptem uświadomiła sobie, że syn będzie tam zamknięty razem z Nnanjim. Krzyknęła. Tomiyano zatrzymał się i posłusznie oddał Oligarro pas ze sztyletem. Potem wkroczył do kajuty i zamknął drzwi. Matka stanęła przy nich na wszelki wypadek, choć żeglarz był nie uzbrojony, a szermierz miałby kłopoty z wyciągnięciem miecza w niskim pomieszczeniu. Zresztą, gdyby spróbował, Tomo złamałby go jak gałązkę.

Przez żaluzje Brota słyszała ochryple mamrotanie:

– Sutry szermiercze...

Piąta została przy drzwiach kajuty i jednocześnie pilnowała Oligarro, mocno zbudowanego, siwowłosego mężczyzny o łagodnym głosie. Na ogół godny zaufania, czasami bywał nieprzewidywalny. Nabrzeże opustoszało przed zbliżającą się burzą. Wiatr unosił z bruku kurz i śmieci. Konie zabrano w bezpieczne miejsce, a zostali tylko niewolnicy przenoszący drewno ze statku na wóz. Widać byli wodoodporni i nie bali się grzmotów. Grzmot! Przetoczył się po czarnym jak węgiel niebie, które wisiało nad Rzeką jak namiot.

Dorośli i dzieci uciekli pod pokład. Brota zerknęła z niepokojem na wieżę górującą nad miastem, taką samą jak w Aus, ale tutaj szczególnie złowieszczą, czarną na tle czerni. Miała nadzieję, że tutaj obowiązują takie same zasady i kobiety-szermierze są bezpieczne na statku. Wtem spostrzegła Katanjiego, który skulił się pod szalupą i z uśmiechem chochlika obserwował burzę. Znikał, gdy błyskawica rozdzierała niebo, a pojawiał się w mroku, który po niej zapadał. Nie miał przy sobie miecza. Bystry dzieciak. Lubił wszystko sam zobaczyć, lubił wiedzieć.

Gdy zjawił się urzędnik portowy, wysunięto dla niego trap. Stary żeglarz trzeciej rangi wszedł po nim, utykając. Brocie nie spodobał się od pierwszego spojrzenia. Zasalutował Oligarro. Brązowa szata furkotała wokół chudej postaci, oczy łzawiły od wiatru. Mężczyzna miał na imię Hiolanso. Shonsu twierdził, że urzędnik portowy z Aus to czarnoksiężnik. Jeśli ten był nim również, przybrał dużo mniej atrakcyjną powierzchowność: rzadkie siwe włosy, cienka szyja, liczne zmarszczki i plamy wątrobowe.

Oligarro odpowiedział na salut, pełniąc rolę kapitana statku.

Hiolanso powitał go w Wal w imieniu starszych i czarodzieja, a następnie w poszukiwaniu schronienia ruszył do nadbudówki rufowej. Brota zastąpiła mu drogę. Urzędnik rzucił okiem na jej znaki i zasalutował sztywno. Piąta odwzajemniła pozdrowienie.

–Wiesz, pani, że szermierze nie mogą schodzić na brzeg?

–Wiem.

Hiolanso łypnął podejrzliwie w stronę nadbudówki, przesunął wzrokiem po ładunku rozmieszczonym na pokładzie i odwrócił się do Oligarro.

–Byliście mocno obciążeni, gdy wpływaliście do portu, kapitanie.

–Poradziliśmy sobie – odparł żeglarz z kamiennym wyrazem twarzy.

Trzeci uśmiechnął się krzywo.

–Więc szybko załatwmy sprawę. Nie chcę kręcić się po porcie przy tej pogodzie. Opłata wynosi dwadzieścia sztuk złota.

–Dwadzieścia! – wykrzyknęli chórem Brota i Oligarro. Zawtórował im grzmot na znak wściekłości niebios.

–Nigdy nie słyszałam o takiej opłacie! – huknęła Piąta.

Urzędnik skrzywił się, gdy trzasnął piorun.

–Tak czy inaczej opłata właśnie tyle wynosi. Dzisiaj.

Oligarro poczerwieniał.

–To absurd! Nie możemy tak dużo zapłacić!

–Więc musicie opuścić port.

Brota zastanawiała się, jakim cudem Tomiyano wytrzyma, podsłuchując zapewne za drzwiami nadbudówki. Czy Trzeci był czarnoksiężnikiem?

–Mam pięć sztuk złota – powiedział Oligarro niepewnie. – Weź je i odejź.

–Dwadzieścia.

Nie mieli wyboru i urzędnik dobrze o tym wiedział. Brota zerknęła na nabrzeże, gdzie stało czterech czy pięciu młodzieńców, zapewne uczniów. Hiolanso kazałby im odwiązać cumy, gdyby przybysze nie zapłacili. Brota nieraz zetknęła się z korupcją urzędników portowych, ale jeszcze nigdy z tak rażąca. Zwłaszcza w sytuacji, gdy jej statkowi groziła zagłada.

–W takim razie muszę iść po pieniądze – oświadczyła, rzucając żeglarzowi ostrzegawcze spojrzenie.

Na ogorzałym czole Oligarro nabrzmiały żyły.

–Pospiesz się, pani, bo zażądam trzydziestu!

Hiolanso drżał na zimnym wietrze.

Brota ciężkim krokiem ruszyła do schodków prowadzących pod pokład. Miała nadzieję, że Oligarro nie straci panowania nad sobą i zatrzyma urzędnika z dala od nadbudówki. Gdyby ten łajdak znalazł na statku szermierza wysokiej rangi, opłata natychmiast wzrosłaby do pięćdziesięciu sztuk złota albo więcej. Tymczasem pieniądze znajdowały się w kabinie na rufie, a przejścia były dokładnie zatarasowane miedzianymi naczyniami. Katanji pobiegł przed Brota i przytrzymał jej drzwi, mocując się z wichurą. Kobieta podziękowała i ruszyła w dół po stopniach.

–Mam piętnaście złotych monet, pani – odezwał się chłopak. Brota odwróciła się. Nie widziała go dobrze w ciemności.

–To byłoby miłe z twojej strony.

–Dwie srebrne?

–Jesteś równie podły jak on! No dobrze, dwa srebrniki.

Chłopak zachichotał i odliczył piętnaście monet. Kobieta zdziwiła się, skąd zwykły Pierwszy ma taki majątek. Nie podobało się jej, że szermierze szastają pieniędzmi na prawo i lewo. Sprytny dzieciak. Niewiele osób dostrzegłoby okazję szybkiego zarobku.

Gdy wyszła na pokład, przywitały ją błyskawice i grzmoty. Dostrzegła zdziwienie Oligarro, że tak szybko wróciła. Podała urzędnikowi pieniądze.

–Mam nadzieję, że wasz pobyt w Wal będzie pożyteczny, pani – rzucił Hiolanso drwiąco. – Życzę dobrego dnia, kapitanie.

Uklonił się i ruszył do zejścia na brzeg. Po trzech krokach przystanął. Jakiś człowiek wchodził po trapie. Gdy dotarł na pokład, stanął nieruchomo jak posąg, wysoki i groźny. Dłonie miał schowane w rękawach, twarz niewidoczną pod kapturem. W tym momencie niebo przecięła błyskawica. Oświetliła czerwoną szatę powiewającą na wietrze, gęste czarne brwi, kwadratową szczękę, oczy o surowym wyrazie.

Po chwili znowu zapadła ciemność. Mężczyzna zrobił kilka kroków do przodu, jakby sunął na kółkach.

–Zwróć dwadzieścia sztuk złota pani Brocie, Hiolanso – rozkazał.

Piąta zadrżała, ale nie od chłodnych podmuchów. Skąd znał jej imię? Urzędnik portowy wyjął pieniądze z sakiewki i odliczył je drżącymi rękami. Zęby mu szczękały.

–Przepraszam, pani kapitan – powiedział czarnoksiężnik głębokim głosem. – Starszym i czarodziejowi od dawna leżała na sercu sprawa korupcji wśród urzędników. Wreszcie jednego przyłapaliśmy. Zostanie ukarany. Dajemy waszemu statkowi schronienie w naszym porcie bez żadnej opłaty.

–Jak zostanie ukarany? – spytała Brota, przypominając sobie wszystkie krzywdy doznane od urzędników portowych.

–To zależy od sądu. – Czarnoksiężnik spojrzał na przestępcę. – Jedna ręka w ogniu, a za taką dużą kradzież pewnie dwie.

Przeraźliwy pisk Hiolanso utonął w łoskocie piorunów. Mężczyzna rzucił się do trapu, mijając czarnoksiężnika. Ten chwycił go za ramię. Zahuczał kolejny ogłuszający grzmot. Nad pokładem uniosła się smużka dymu, którą zaraz rozwiął wiatr.

Trap był pusty. Uciekinier zniknął bez śladu.

Brota usłyszała skowyt przerażenia. Dźwięk wydobył się z jej gardła. Oligarro zaczął się trząść.

Kap... kap...kap... Spadły pierwsze krople deszczu.

Przybysz zasalutował żeglarzowi.

–Jestem Zarakano, czarnoksiężnik piątej rangi...

Oligarro odpowiedział mu drżącym głosem. Piąty spojrzał na Brotę i złożył jej salut jak równej sobie. Głos kobiety recytującej formułkę powitania też nie brzmiał zbyt pewnie. Urzędnik portowy zniknął na jej oczach. Przed spotkaniem Shonsu nie wierzyła w czarnoksiężników. Teraz jeden stał na pokładzie *Szafira*. Na trapie jej statku zabił człowieka. Po urzędniku, który z nią rozmawiał, została chwilę później tylko smużka dymu. Po raz pierwszy w życiu przestraszyła się, że zaraz zemdleje.

Kap... kap... kap...

–Schrońmy się – powiedział Zarakano.

Sięgnął do klamki, a Brota była zbyt sparaliżowana, żeby coś zrobić. Wiatr szarpnął drzwiami nadbudówki i otworzył je z trzaskiem.

W progu stał Nnanji ze skrzyżowanymi ramionami. W tym momencie błyskawica wydobyła z mroku jego bladą twarz, rude włosy i pomarańczowy kilt oraz tysiące miedzianych płomyków. Przez statek przetoczył się huk pioruna. Czarnoksiężnik cofnął się zaskoczony. Ujrzał, że nie ma przed sobą szczura wodnego. Pasy, kilt, buty, miecz. Przez chwilę nikt się nie ruszał ani nie odzywał. Wiatr nagle ucichł. Zapadła cisza jak przed burzą.

–Tylko sprawiedliwość...

Nnanji nie mógł dobyć miecza.

Szermierz i czarnoksiężnik mierzyli się wzrokiem przez długą chwilę, pełną najwyższego napięcia. W końcu przybysz wykonał gest powitania niższego rangą. Twarz Czwartego była nieprzenikniona.

–Jestem Nnanji, szermierz czwartej rangi...

Ostatnio na *Szafirze* wiele mówiono o czarnoksiężnikach. Najwięcej informacji

zdobył Katanji. Czy szermierz i mag kiedykolwiek witali się w ten sposób? Było to spotkanie węża i mangusty. Mangusta zaszalutowała pierwsza.

–Jestem Zarakano, czarnoksiężnik piątej rangi...

Wąż odpowiedział.

–Zawsze będę wierny... – zabrzmiał w tle głos Shonsu.

Jednocześnie huknął piorun, zagłuszając go całkowicie.

Tomiyano ukrywał się w kącie. Co by było, gdyby Piąty wszedł dalej i zobaczył jego napiętnowaną twarz? A jeśli usłyszał Shonsu i rozpoznał słowa kodeksu szermierzy?

Kap, kap! O pokład zaczęły bębnić duże krople.

–Ilu wolnych szermierzy przewozisz, pani? – spytał Zarakano. Nie odrywał wzroku od Nnanjiego.

–Tylko adepta Nnanjiego i Pierwszego – odparła Brota.

Zastanawiała się, czy Katanji wrócił na swoje miejsce pod szalupą i czy czarnoksiężnik potrafi przejrzeć jej kłamstwo. Szum deszczu był coraz głośniejszy, a w dodatku znowu zerwał się wiatr, tłumiąc mamrotanie rannego.

–Adept Nnanji to roztropny młodzieniec – stwierdził przybysz tonem, który miał brzmieć jowialnie. – Ja również. Życzę dobrego dnia, pani. – W świetle błyskawicy zaiskrzyły się czerwienią i żółcią zgromadzone przedmioty. – Widzę, że przewozicie duży ładunek. Rzucę na niego czar pomyślności.

Brota sięgnęła do klamki. Z pomocą Oligarro zamknęła drzwi i oparła się o nie, słaba i roztrzęsiona.

–Dziękuję, panie Zarakano. Tobie również życzę dobrego dnia.

Starła się osłonić mu tyły przed szermierzem.

Z nieba lunęły strumienie wody. Nawałnica spowiła pokład białą mgłą.

Zarakano skinął Piątej głową, nasunął kaptur na twarz i pospieszył do trapu. Na brzegu czekali na niego dwaj czarnoksiężnicy drugiej rangi w żółtych szatach. Wszyscy trzej przebiegli przez ulicę i zniknęli za kurtyną deszczu.

Nawet najgwałtowniejsze burze kiedyś ustają. Brota poszła do swojej kabiny, gdyż rozboleła ją głowa. Chyba się zdrzemnęła, bo obudziło ją pukanie do drzwi.

–Kto tam?

–Nowicjusz Katanji.

–Chwileczkę.

Statek mniej się kołysał i już tak nie skrzypiał, a przez okno sączył się blask słońca.

Wyłożona drewnem kabina Piątej była trochę większa niż inne na *Szafirze*. Pomieściła komodę, skrzynię i koję, które to luksusy należały się Brocie ze względu na wiek. Lampa stojąca przy łóżku, jedyna na pokładzie, uchodziła za symbol władzy, bardziej niż sztylet Tomiyano. Klitkę ozdobił ponadto dywan, zasłony i trzy małe kilimy.

Kobieta oparła się na łokciu i przez chwilę zbierała myśli. Wiatr się uspokoił. Zostały jakieś dwie godziny do zachodu słońca. Wkrótce mogli wypłynąć z portu. Brota wstała z koi i poczłapała do drzwi. Katanji miał umorusaną twarz i mokre włosy,

ale uśmiechał się od ucha do ucha.

–Przyszedłeś po pieniądze? – Brota zaśmiała się i wyjęła z szuflady piętnaście złotych monet. – I dwie srebrne? A jeśli powiem twojemu bratu?

Chłopak przyglądał się jej przez chwilę, a potem wzruszył ramionami.

–Następnym razem ci nie pomogę, pani.

Jakim następnym razem?

–Skąd Pierwszy ma tyle pieniędzy?

–Większość należy do Nnanjiego. Przechowuję dziesięć, które dostał za Krówkę.

Nie pamiętasz, pani?

Kobieta podała mu dwa srebrniki.

–Dziękuję, szermierzu.

–Nie ma za co, szermierzu – odparł Katanji śmiało.

Dzięki szerokiemu uśmiechowi zuchwałość uszła mu na sucho. Brota zauważyła, że wszystkie monety powędrowały do tej samej kieszeni.

–Zostaniemy tu na noc?

–Wyływamy. Kaptury wiedzą, że twój brat jest na pokładzie.

–Nie wierzysz zatem w czar pomyślności!

Oczy mu błyszcząły.

Brota nie miała zwyczaju omawiać swoich decyzji, nawet z Tomiyano, a co dopiero ze szczurem lądowym, w dodatku Pierwszym, ale...

–Nie. A ty?

Chłopak zachichotał.

–Jasne, że tak! Poza tym, nie dalej jak dzisiaj Holiyi skarżył się, że już dawno nie spędził nocy w porcie.

–Niech żeglarz Holiyi sam się troszczy o swoje miłostki, nowicjuszu, bo sprawię, że Nnanji zainteresuje się twoimi.

Katanji poczerwieniał jak burak, a w jego oczach błysnął niepokój. Ostatecznie był jeszcze wyrostkiem, a Brota rozmawiała z nim jak z handlarzem piątej rangi.

–Coś jeszcze? – spytała kobieta, marząc o prysznicu przed wyjściem z portu.

–Mam dla ciebie, pani, pewną informację. Myślę, że jest warta sztuki złota. Albo dwóch.

Brota opadła na łóżko, aż zaskrzypiały sprężyny, i łypnęła na niego podejrzliwie.

–Dwie sztuki złota! Cóż to jest? Tajemnica eliksiru życia? Chłopak potrząsnął głową.

–Gdzie zdobyłeś tę informację?

–Nie mogę powiedzieć. Chcesz ją usłyszeć, pani?

–Kto uzna, czy jest warta jednej sztuki złota, dwóch czy żadnej?

Po chwili wahania Katanji wzruszył ramionami.

–Chyba ty, pani.

–Jeśli nie będę chciała jej wykorzystać, nie zapłacę?

Pierwszy spojrział na nią niepewnie, a potem uśmiechnął się szeroko.

–Na pewno zechcesz, pani. W mieście są dwaj handlarze wyrobami mosiężnymi, Jasiulko i Fennerolomini.

Udało mu się wzbudzić zainteresowanie.

–Skąd wiesz? Byłeś w mieście czarnoksiężników? Zwariowałeś?

–Szermierze nie schodzą tutaj na brzeg.

Kobieta zerknęła na jego stopy.

–Lepiej powiem Tomo, żeby wyczyścił pokład. Chłopak spuścił oczy i przygryzł wargi, zawstydzony, że przeoczył taką rzecz.

–Nie zadawaj pytań, pani. Proszę.

Gdzie tak pobrudził sobie twarz? Wyglądała jak umazana smarem. Pierwszy dobrze się zapowiadał. Brota doszła do wniosku, że jest jednym z cudów, które podobno przytrafiały się Shonsu.

–Dobrze wiedzieć to i owo o kupcach, Katanji, ale informacja nie jest warta dwóch złotych monet.

–W takim razie zdradzę więcej.

–Niech będzie.

–Dwie noce temu był pożar. Magazyn Jasiulko spłonął. Kupiec stracił cały towar – wyrzucił z siebie nowicjusz.

Brota przez dłuższą chwilę patrzyła na niego bez słowa. Nie miała wątpliwości, że Pierwszy mówi prawdę. Sięgnęła do sakiewki i w milczeniu wręczyła mu dwie sztuki złota.

Może zadziałał czar rzucony przez Zarakano, ale Brota wolała myśleć, że to dzieło Bogini. Jakkolwiek było, została w porcie na noc, a rano wysłała wiadomość do obu kupców. Następnie doprowadziła do tego, że zaczęli się licytować między sobą. Fennerolomini chciał skorzystać z okazji i pozbyć się konkurenta. W końcu Jasiulko wziął cały ładunek za pięćset dwadzieścia trzy sztuki złota. Brota uściśniła mu dłonie, a potem udała się do swojej kabiny i odtańczyła gigę.

W tym czasie Lae udała się na zwiad, a po powrocie zaczęła z entuzjazmem opowiadać o meblach wykonanych z gatunku dębu, który rósł tylko w okolicy Wal. Kiedy handlarze przynieśli próbki, Brota zgodziła się z jej oceną i kupiła lśniące stoły, zdobione krzesła i misternie inkrustowane skrzynie. *Szafir* został w porcie na drugą noc, a czarnoksiężnicy nie niepokoiili żeglarzy. Nnanji nie opuszczał nadbudówki, Shonsu przestał majaczyć, ale rana coraz bardziej się jątrzyła. Wydawało się, że śmierć jest blisko.

Nikt nie pytał, gdzie się podziewa nowicjusz Katanji. W każdym razie był na pokładzie, kiedy następnego ranka rozwinięto żagle i *Szafir* skierował się ku Dri, leżącemu trzy dni w górę Rzeki.

Dni mijały, a Dri jeszcze się nie ukazało. Choć statek płynął po szklistej Rzece pod pełnymi żaglami, ledwo sobie radził z prądem przy słabym, kapryśnym wietrze.

Honakura był coraz bardziej zatroskany. Nawet on stwierdził, że mimo głębokiej wiary w cuda i misję Shonsu, coraz bardziej wątpi w wyzdrowienie chorego. Potężny mężczyzna z dnia na dzień nikł w oczach. Chyba tylko interwencja bogów sprawiała, że jeszcze żył. Jja wyglądała jak cień człowieka, a Nnanji popadł w przygnębienie.

Żeglarze przyszli do Honakury po radę, bo z początku nie mogli uwierzyć, że Czwarty spełni zapowiedź. Starzec potwierdził, że żadne niebezpieczeństwo grożące jemu albo przyjaciółom nie odwiedzie adepta od zrobienia tego, co uważał za swój obowiązek i sprawę honoru. Jeśli Shonsu umrze, Nnanji go pomści.

Załoga ustaliła, że wtedy złapie go w sieć jak świnię przygotowaną na targ i wysadzi na brzeg razem z pozostałymi pasażerami.

Tomiyano miał inny pomysł. Oświadczył, że na szalonego szermierza zaczeka z nożem, i do diabła z konsekwencjami. Niektórzy mężczyźni zgadzali się z kapitanem.

Atmosfera na statku nie przypominała sielanki. Na razie jednak *Szafir* był unieruchomiony przez ciszę. Misja Shonsu również utknęła w martwym punkcie. Stary kapłan wiedział, że sprawa jest pilna, a bogowie się niecierpliwą. Najwyraźniej ktoś zawiódł. Honakura chętnie by pomógł, ale odgrywał w dramacie poślednią rolę i nie mógł za bardzo się wtrącać. Zresztą nie miał pojęcia, co się wydarzy w najbliższej przyszłości.

Pewną wskazówkę stanowiły dla niego proroctwa Ikondoriny, a zagadka półboga powoli nabierała sensu. O misji Shonsu kapłan wiedział dużo więcej niż sam szermierz, nie mówiąc o innych osobach, ale w tym momencie czuł się zdezorientowany.

Było gorące i bezwietrzne popołudnie. Góry rysujące się na wschodzie przesłaniała mgiełka, lazurowa woda wyglądała jak lustro. Wysoko w górze –

zadzieranie głowy sprawiało Honakurze duże trudności – Katanji i jego nowi koledzy wisieli wczepieni w olinowanie jak leniwce. Na pokładzie rufowym siedziała grupka kobiet, rozmawiając cicho i szyjąc ciepłe ubrania na zimę. Holiyi, Maloli i Oligarro splatali liny, co wyglądało na usypiające zajęcie. Linihyo i Sinboro nudzili się w dziobówce. Młody Matarro z wyraźną dumą trzymał ster, choć *Szafir* prawie stał w miejscu, zostawiając za sobą jedynie drobne falki na jedwabistej gładzi.

Jedyną osobą, którą wyraźnie rozpieszczała energia, był Tomiyano. Klęczał przy tylnym luku i skrobał pokrywę kawałkiem piaskowca. Praca nie należała do przyjemnych. Kapitan chyba demonstrował, że już odzyskał siły, ale zapasowe narzędzia, które położył w widocznym miejscu, sugerowały, że doceniłby pomoc. Aluzję zignorowano. Po namyśle Honakura uznał, że celem tej czynności jest usunięcie starej farby przed położeniem nowej. Tak przyziemnymi sprawami nie musiał się zajmować od czasów dzieciństwa, ale wniosek wydał mu się logiczny. W każdym razie Tomiyano był jedyną naprawdę zajęętą osobą na pokładzie, a zgrzyt skrobaczki jedynym głośnym dźwiękiem.

Nnanji opierał się o reling i patrzył na dalekie kutry rybackie. Nikt z załogi nie chciał z nim rozmawiać. Traktowano go jak niebezpieczne zwierzę.

Honakura przydreptał i stanął obok niego. Adept przez chwilę mierzył go wzrokiem.

–Coś się zmieniło? – zapytał.

Kapłan pokręcił głową.

Szermierz przeniósł spojrzenie z powrotem na wodę. Napięcie ostatnich dni wyryło się na gładkiej młodzieńczej twarzy. Jej rysy wyraźnie się zaostrzyły. Niema kontemplacja też była czymś nowym u Czwartego.

–Nie zawsze lubiano mnie w koszarach – powiedział Nnanji cicho.

–Co masz na myśli?

–Że nie musisz chodzić za mną z zatroskaną miną. Przypominasz mi moją matkę, zamartwiającą się, że boli mnie brzuch.

Honakurę zaskoczył ton Czwartego. Stwierdził, że uczucie nie jest mu znane.

–Popełniłem błąd? – spytał adept. Kolejna niespodzianka.

–Kiedy?

–Gdy sprzedałem Krówkę. Ona należała do naszej siódemki.

–Nie wydarzył się żaden cud, który by cię powstrzymał, więc nie sądzę. Nnanji jęknął.

–Czuję, że to był błąd. Jeszcze nigdy nie miałem takiej ochoty na kobietę.

Młody szermierz szczyił się w koszarach niezłą reputacją.

–Dlaczego w takim razie ją sprzedałeś?

Kącik ust adepta wykrzywił lekki uśmieszek.

–Zinterpretowałem aluzję jako obietnicę.

Interesujące! Chłopak pokpiwał z samego siebie, co stanowiło całkiem nowe osiągnięcie. W Ki San i Wal nie mógł zejść na brzeg razem z innymi kawalerami. Nie mógł skakać po linach z mieczem na plecach, a załoga nie poprosiła go o pomoc w żeglarskich zajęciach.

–Przydałoby ci się trochę ruchu, adeptcie.

Nnanji pokiwał głową.

–Też o tym myślałem. Sądzę jednak, że pomógłby mi innego rodzaju ruch.

Miałbyś coś przeciwko lekcji fechtunku, starcze?

–Tak, właśnie lekcji fechtunku mi brakuje, ale to byłoby nielegalne, prawda?

Spróbuj z Thaną. Może zgodzi się na takie ćwiczenia.

–Nie sądzę. Chyba zmieniłem się w ducha. Dziewczyna mnie nie dostrzega, nawet kiedy do niej mówię. Dla rozrywki pracuję ze smarkaczem. On tego nienawidzi, a nie chciałbym go zniechęcić.

Honakura znał opinię Broty o Katanjim jako szermierzu. Widział, jak Pierwszy chowa się w komorze łańcuchowej, kiedy jego mentor nadchodzi z floretami.

Nnanji odwrócił się do starca i uśmiechnął szeroko.

–Będę musiał poprosić kapitana.

–Żartujesz! – przeraził się Honakura.

–Ani trochę. Sutry zakazują dawania broni cywilowi, ale nie mówią, że nie wolno mi przyjąć od niego floretu. Swój zostawiłem w Hann. Nie mogę udzielać lekcji cywilowi...

–Ale on jest lepszy od ciebie? Rozumujesz jak kapłan, adeptcie.

–Ciekawe, od kogo przejąłem ten brzydki nawyk? Tak czy inaczej, Tomiyano co najwyżej wyrzuci mnie za burtę, prawda? W zamian za lekcję fechtunku mogę wziąć lekcję żeglowania albo pomóc mu przy tym hałaśliwym zajęciu, na czymkolwiek ono polega.

Szermierz zniżający się do pracy fizycznej? Albo proszący żeglarza o lekcję fechtunku? Honakura szczyił się, że potrafi przejrzeć każdego człowieka. Nie podobało mu się dziwaczne zachowanie Czwartego. Intuicja podpowiadała mu, że może właśnie na coś takiego czekają bogowie, ale...

W oczach szermierza oprócz uśmiechu pojawiło się coś nowego. Z doświadczenia Honakury wynikało, że większość ludzi używa oczu tylko do patrzenia, a nieliczni naprawdę widzą. Nnanji właśnie przeszedł z jednej do drugiej kategorii, bo zauważył reakcję starego kapłana, a Siódmy rzadko się zdradzał z własnymi odczuciami.

–No więc?

–Tomiyano może zrobić o wiele gorszą rzecz. Sprawić ci takie lanie jak Shonsu jemu.

Nnanji pokręcił głową.

–Nie jest dużo lepszy ode mnie. Ta świadomość go powstrzyma. Ja również mógłbym go zmasakrować.

–Ale dlaczego miałby udzielać lekcji człowiekowi, który być może spróbuje go zabić? Musiałby oszaleć!

–Lubi robić wrażenie na innych. Oddał mi miecz, pamiętasz?

Skąd u Nnanjiego taka przenikliwość? Rozmawiał z Katanjim? Jednak Honakura nie sądził, żeby adept radził się brata. Takie zachowanie byłoby jeszcze bardziej do niego niepodobne...

–Chcesz się założyć, starcze?

–Nie! Myślę, że powinieneś trzymać się z dala od Tomiyano. On jest niebezpieczny. – W tym momencie Honakura zorientował się, że argument jest chybiony. – Próbowałby cię okaleczyć!

Na twarzy Nnanjiego odmalowało się zdumienie.

–Nie! A może właśnie tak. I dobrze! Oto prawdziwa zachęta dla niego!

Rzucił kapłanowi złośliwy uśmiech i pomaszerował w stronę nadbudówki rufowej. Chwilę później wyszedł z niej bez pasów i miecza.

Na odgłos kroków Tomiyano uniósł wzrok. Zobaczywszy Czwartego, usiadł na piętach, przybrał groźną minę i sięgnął po nóż. Gdy spostrzegł, że szermierz jest bez broni, w jego oczach błysnęło zaskoczenie.

Całe długie życie Honakura spędził na analizowaniu ludzkich reakcji i lepiej niż ktokolwiek potrafił je interpretować. Kiedy Nnanji przedstawił swoją prośbę, na policzkach Tomiyano wykwitł ciemny rumieniec. Po chwili gniew zmienił się w niedowierzanie. Czwarty wskazał na luk. Jego twarz wyrażała nadzieję i szczerą intencję. Kapłan stwierdził, że propozycja zaczyna się podobać żeglarzowi. Gdy kapitan wstał i ruszył do nadbudówki dziobowej, młody szermierz triumfująco uśmiechnął się do Honakury.

Starzec usadowił się na wiadrze z piaskiem i przygotował na widowisko, choć niepokój go nie opuszczał. Napięcie wśród załogi było zbyt duże, a wspomnienie walki między Shonsu a Tomiyano zbyt żywe, by ryzykować pogorszenie atmosfery na statku i rozgniewanie bogów. Rzeczy mogły przybrać zły obrót. Honakura żałował, że nie wie, co robić, i nie ma silniejszej wiary.

Tomiyano długo nie wracał. Było całkiem prawdopodobne, że matka schowała broń. Gdy wreszcie wyszedł z nadbudówki, miał ze sobą florety i maski. Szczęk stali rozbrzmiał na cichym statku jak dzwon alarmowy i wywołał gwałtowny odzew. Chłopcy błyskawicznie opuścili się po linach, grupka szyjących kobiet zerwała się z miejsc, spod pokładu wyskoczyli ludzie, z wrzaskiem przybiegła Brota. Nerwy miała zszargane po wielu ciężkich dniach.

–Co wyprawiasz, do diabła?

Piąta, niczym wieloryb wynurzający się na powierzchnię, rozepchnęła tłumek tarasujący schody. Szczęk broni ucichł. Kapitan zdjął maskę i spojrzał na gapiów, a potem na matkę.

–Uczę szermierza fechtunku – powiedział. – Oczywiście, jeśli zejdziecie z drogi i zrobicie nam miejsce.

Włożył maskę i przyjął pozycję szermierczą.

Brota wyrzuciła z siebie siarczyste przekleństwo. Była bliska rozpętania kłótni, ale po chwili cofnęła się w tłum i zaczęła obserwować lekcję, w milczeniu wyłamując palce.

Honakura nie znał się na fechtowaniu i nic go ono nie obchodziło, ale przyglądał się widzom. Z początku kobiety wyglądały na zaniepokojone, natomiast mężczyźni cieszyli się, że kapitan da Czwartemu nauczkę, mszcząc się za upokorzenie, którego doznał od Shonsu.

Pojedynek był bardzo statyczny. Mężczyźni nie ustępowali pola, lewe stopy

trzymali wciąż w tym samym miejscu, prawe ręce uniesione. Nnanji od czasu do czasu robił wykrok prawą nogą, tupiąc ciężkim butem po deskach, i cofał się do poprzedniej pozycji. Bosa stopa kapitana poruszała się w cichym kontrapunkcie. Florety pobrzękiwały. Walczący tkwili w jednym miejscu pokładu. Zdziwieni żeglarze zaczęli unosić brwi i wymieniać spojrzenia. Uśmiechy przerodziły się w krzywe miny. Na twarzy Thany, uważnie obserwującej lekcję, pojawił się złośliwy wyraz. Nikt nie zgłaszał trafień. Z wolna ruchy stawały się coraz szybsze, odgłosy walki donośniejsze. Raptem kapitan zrobił krok do tyłu zamiast do przodu, a Nnanji podążył za nim. Patrzący wydali pomruk zdziwieniem. Tomiyano znowu musiał się cofnąć i tym razem nie utrzymał pozycji. Czwarty napierał na niego tak jak wcześniej Shonsu. Gapie się odsunęli. Walczący minęli luk, dotarli do nadbudówki dziobowej i zawrócili w stronę głównego masztu.

–Jeden! – krzyknął Nnanji.

Trzeci zerwał maskę i cisnął ją na deski. Miał czerwoną twarz, z trudem łapał powietrze i najwyraźniej był wściekły. Spiorunował szermierza wzrokiem.

Czwartemu również brakowało tchu, ale szeroki uśmiech mówił więcej niż twarze wszystkich obecnych razem wziętych.

–Przepraszam! – wysapał. – Nie zamierzałem pójść tak ostro.

Tomiyano przyciskał rękę do nie wygojonych, różnobarwnych żeber. Gdy ją opuścił, na palcach miał krew. Thana wydała dziwny odgłos, jakby tłumiała chichot. Kapitan przeniósł na nią spojrzenie, a potem wyminął Nnanjiego i pomaszerował do nadbudówki dziobowej. Ludzie rozstępowali się przed nim w milczeniu. Czwarty popatrzył na krąg nieprzyjaznych twarzy.

–Nie chciałem – powiedział.

Żeglarze odwrócili się od niego. Nnanji wzruszył ramionami, położył maskę i floret na pokrywie luku i skierował się do nadbudówki rufowej. Widzowie zaczęli się rozchodzić w gniewnej ciszy.

Honakura zsunął się z siedziska i podążył za szermierzem.

Mimo otwartych okiennic w kajucie było duszno i gorąco. Shonsu leżał w kącie, wymizerowany i zlany potem. Oddychał z trudem. Z zaognionej rany sączyła się ropa. Jja zasnęła na gołej podłodze u jego boku, wyczerpana czuwaniem.

Nnanji stał przy oknie i wycierał się ręcznikiem. Włosy, z których zdjął zapinkę, przypominały czerwoną szczotkę do mycia podłogi. Wciąż jeszcze sapał, ale uśmiechał się szeroko. Bez kucyka i pasów wyglądał zaskakująco młodo i niewinnie.

–Dałbyś radę go pokonać? – zapytał Honakura.

Chłopak skinął głową.

–Zwiódł mnie.

–On ciebie?

–Tak. Jest bardzo szybki i ma dobre nawyki, ale teraz wiem, że... – wziął kilka głębokich oddechów – brakuje mu pewnych szermierczych umiejętności. Nie zdawałem sobie z tego sprawy.

–Próbował cię zranić?

Nnanji nie zdołał pohamować radości.

–Z początku. Ale ja naprawdę nie zamierzałem... go tak trafić. To się po prostu stało w ferworze walki.

Shonsu powiedział kiedyś, że pamięć Nnanjiego pracuje również w czasie fechtunku. Czwarty nigdy niczego nie zapominał. Tak więc zyskał teraz przewagę nad kapitanem. Znał wszystkie jego sztuczki.

–Raczej nie rozwiłoś niepokoju załogi, adepcie.

Nnanji przewiesił ręcznik przez ramię i palcami zaczesał włosy do tyłu, żeby spiąć je zapinką. Z jego twarzy zniknął młodzieńczy uśmiech.

–Istotnie. – Zmarszczył brwi. – To zmienia sytuację, prawda? Nie mogę dać mu miecza, skoro grozi mu przegrana?

Rzucił Honakurze dziwne, nowe spojrzenie. Spojrzenie Shonsu. Potem wskazał na dębowe skrzynie.

–Usiądź, panie.

Ton również przejął od mentora. Honakura usiadł i czekał, skrywając podniecenie. Nnanji odrzucił ręcznik i zamknął okiennice od strony rufy. Następnie schylił się po pasy i siódmy miecz.

–Czy w ciągu lat spędzonych w świątyni słyszałeś, lordzie Honakuro, o jakimkolwiek usprawiedliwieniu dla cywili zabijających szermierzy?

Aha! Więc o to chodziło?

–Nie, adepcie. Też nad tym się zastanawiałem. Lecz nie. Nie słyszałem o żadnym. Nnanji w zamyśleniu potarł brodę.

–Jedno nie wystarczy. Potrzeba dwóch. Myślę, że je znalazłem, ale nie jestem pewien słów. Potrzebuję twojej pomocy, panie.

Na długo przed zachodem słońca wiatr ustał zupełnie. Szafir zarzucił kotwicę w połowie Rzeki. Kolację podano wcześniej, a porcje były skromniejsze niż zwykle. Przebąkiwano żartem o śmierci głodowej, jeśli cisza potrwa dłużej. Czarny humor. W tych dniach na statku dominowały ponure nastroje.

Brota dostrzegła w ciemności maleńkie promyki. Po raz pierwszy stwierdziła, że Shonsu wygląda lepiej. Nic jednak nie powiedziała, nie chcąc rozbudzać fałszywych nadziei.

Głupota Tomiyano, który stoczył pojedynek z szermierzem, tylko pogorszyła atmosferę panującą na Szafirze. Kapitan zamierzał spuścić przeciwnikowi lanie, ale szybko stracił pewność siebie. Od tego momentu Nnanji parował każdy jego cios i zmuszał do niezliczonych skomplikowanych manewrów. Brota oczywiście rozpoznała techniki Shonsu. Jej syn zapewne też, ale nie nadążał z ich kontrowaniem. W prawdziwej walce prawdopodobnie byłby lepszy, bo sztuczki techniczne nie są w niej najważniejsze. Nnanji trenował Thanę i Matarro, uczniów Tomiyano, oraz obserwował jego walkę z Shonsu, co dało mu przewagę nad żeglarzem. Nawet bardzo utalentowany amator nie powinien mierzyć się z zawodowcem.

Załoga burzyła się bardziej niż kiedykolwiek. Napomykano o uwięzieniu Czwartego w kabinie. Brota nie słuchała podszeptów, bo wiedziała, że szermierz stawilby opór. Po raz pierwszy od śmierci Tomminoliynego kwestionowano jej przywództwo. W powietrzu wisiała groźba buntu.

Od czasu pojedynku Nnanji siedział w nadbudówce rufowej. Albo wykazywał się zadziwiającym taktem, albo stary kapłan wziął sprawy w swoje ręce. Rudzielec wyszedł na pokład tylko raz, kiedy Tomiyano wrócił po narzędzia do skrobania farby. Zaproponował wtedy, że mu pomoże. Żeglarz odrzucił ofertę pokojową, miotając przekleństwa. Statek był za mały, żeby długo udawało się trzymać ich z dala od siebie.

Tak więc Brota opuściła miejsce, gdzie zwykle jadła posiłki, usadowiła się na pokrywie luku dziobowego, obok naburmuszonego syna. Nie podobało się jej tu, bo szalupy ratunkowe zasłaniały widok na Rzekę, ale przynajmniej miała oko na Tomiyano i nadbudówkę rufową. Reszta żeglarzy rozsiadła się z jedzeniem po całym pokładzie. Niewiele rozmawiano. Panowało gniewne milczenie i zaduma,

W pewnym momencie zjawiała się Jja. Nałożyła na talerz parę kawałków chleba, uśmiechnęła się słabo, gdy ją zagadnięto, i pospieszyła do swojego pana. Katanji, zawsze wrażliwy na nastroje, schował się w najdalszym kącie. Sędziwy kapłan wziął kromkę chleba z odrobiną sera i podreptał na drugą pokrywę luku. Usiadł naprzeciwko Broty i Tomiyano. Był to dziwny wybór. Holiyi musiał się przesunąć, żeby zrobić Honakurze miejsce. Czyżby starzec też wolał nie spuszczać kapitana z oczu?

Tylko Nnanji nie brał udziału w posiłku, choć zwykle był pierwszy do jedzenia. Nagle rozległ się stuk żołnierskich butów...

Brota straciła zainteresowanie talerzem. Młody szermierz nie przyszedł po kolację. Na jego twarzy malowało się napięcie. Zatrzymał się przy maszcie.

–Kapitanie Tomiyano?

Ręka żeglarza powędrowała do sztyletu. Brota przygotowała się, żeby powstrzymać syna.

–Czego?

–Winien ci jestem przeprosiny – wykrztusił Czwarty.

Niespodzianka! Całkowite zaskoczenie! Szermierz wyrażający skruchę był zjawiskiem rzadszym niż upierzona ryba.

Tomiyano przesunął dłonią po nowym draśnięciu na klatce piersiowej. W czasie pojedynku został zerwany świeży strup. Normalna rzecz.

–Przyjmuję, że to był wypadek – odburknął.

–Nie, żeglarzu. – Cokolwiek Nnanji zamierzał powiedzieć, kosztowało go to dużo wysiłku. – Przepraszam, że wprowadziłem cię w błąd, kiedy w zeszłym tygodniu nowicjusz Matarro zapytał mnie, co będzie, jeśli lord Shonsu umrze.

Chwała Bogini!

–Powiedziałem, że będę musiał go pomścić. Myliłem się.

Ulga! Patrzący zaczęli się uśmiechać.

Nnanji wziął głęboki oddech. Pod skórą wyraźnie zarysowały mu się żebra.

–Przysięga, którą złożyliśmy, jest bardzo szczególna, kapitanie. Oczywiście, on nie umrze, ale tak czy inaczej źle ją zinterpretowałem. – Jeszcze głębszy wdech. – Gdyby nawet lord Shonsu umarł, nie byłaby to twoja wina.

Tomiyano zrobił podejrzliwą minę. Szukał pułapek.

–To dobrze. Ale dlaczego tak uważasz?

–Wyznaczył cię na stróża porządku. Potem kazał ci rzucić miecz, ale użył niewłaściwych słów. Miałeś prawo... obowiązek spełnić jego poprzedni rozkaz. Szermierz, który daje cywilowi tego rodzaju uprawnienia, jest odpowiedzialny za wszystkie jego działania.

–Twierdzisz, że Shonsu sam się za... zranił?

Nnanji zacisnął pięści.

–Tak, z punktu widzenia prawa.

Tomiyano ryknął pogardliwym śmiechem.

–Naprawdę świetnie! Więc nie mam czego się obawiać? Mogę spać spokojnie? Nie zasadzisz się na mnie z mieczem?

–Tomo!

Brota miała ochotę udusić syna.

–To oznacza, że nie ciąży na mnie obowiązek zemsty za to, co przydarzyło się Shonsu. – Nnanji rzucił Trzeciemu groźne spojrzenie. – Co nie znaczy, że nie mogę sam poczuć się obrażony.

Żeglarz nie zdążył odpowiedzieć, bo uprzedziła go matka.

–To dobra nowina, adeptcie. Ulżyło nam. Może zjesz teraz z nami wieczorny posiłek? Tomo, co powiesz na wino dla uczczenia okazji?

Thana podbiegła do Nnanjiego i odcisnęła buziaka na jego policzku. Rumieńce zbladły, ale Czwarty nie spojrzał na dziewczynę ani się nie uśmiechnął. Honakura uważnie obserwował scenę. Wiedział, że sprawa nie jest zakończona, choć wszyscy

odetchnęli z ulgą i zaczęli rozmawiać.

–To dziwny przypadek, kapitanie – powiedział Nnanji głośno. Wszyscy umilkli. – Jeszcze się nie zdarzyło, żeby cywil zabił szermierza i uniknął kary.

Thana się odsunęła. Kapitan znieruchomiał. Nnanji spojrzał na Brotę i przygryzł wargę.

–Gdzie leży Yok, pani? – zapytał.

Kobieta ścisnęła Tomiyano za nadgarstek.

–Dziesięć dni od Hool. A o co chodzi?

–Nie odwiedziliście ponownie Yok?

–Od kiedy?

–Od śmierci twojego syna.

Kobieta zerknęła na starca. On wiedział, co się szykuje. To nie była niezręczność porywczego i aroganckiego młodzieńca.

–Nie byliśmy tam później.

Nnanjiemu przez chwilę brakowało słów.

–Powiedzcie mi prawdę! – wykrzyknął w końcu. Tomiyano uwolnił rękę z uścisku matki i strącił talerz z kolan. Makaron, kielbasa i marchewka rozsypały się u stóp Czwartego.

–Lepiej, żebyś nie wiedział, chłopcze!

–Muszę wiedzieć! Nie mogę cię oskarżyć. Na pokładzie nie ma sędziego.

–Ale będzie w Dri.

–Więc nie pozwolicie mi dotrzeć do Dri.

Zapadła grobowa cisza. Szermierz i żeglarz mierzyli się wzrokiem. Tomiyano był czerwony z gniewu, a Nnanji blady i ponury. Brota spojrzała na kapłana, ale jego twarz pozostała nieprzenikniona.

–Jak chcesz – wycedził kapitan przez zęby. – Thana? Powiedz swojemu wścibskiemu przyjacielowi, co zrobiłaś w Yok.

Druga oparła się plecami o szalupę ratunkową, wyraźnie wstrząśnięta.

–Matko!

Brota wzruszyła ramionami. Nie rozumiała, o co chodzi w tej grze, ale było za późno, żeby ją przerwać i nie dopuścić do odsłonięcia kart.

–Opowiedz mu.

–Ale, matko...

–Opowiedz!

–Byłam wtedy Pierwszą – wyszeptała Thana. – Zeszłam na brzeg z mieczem. Szczury lądowe nie lubią dziewczyn noszących broń.

Nnanji odwrócił się do niej z czujnym wyrazem twarzy. Ręka Tomiyano powędrowała ukradkiem do sztyletu, ale Brota znowu chwyciła go za nadgarstek.

–Było ich czterech. – Thana zaczęła mówić szybciej. – Czwarty, dwóch Trzecich i Pierwszy. Adept rzucił mi wyzwanie...

–Ty zrobiłaś gest poddania – dokończył Nnanji.

Dziewczyna skinęła głową.

–Wtedy kazał mi się rozebrać. Znajdowaliśmy się za jakimiś skrzyniami leżącymi

na nabrzeżu.

Nnanji skrzywił usta.

–Co na to pozostali?

–Śmiali się i robili żarty. Wyminęłam ich i wróciłam biegiem na statek. Ruszyli za mną.

Czwarty przeniósł wzrok na kapitana. W oczach miał żądzę mordy.

–Zabiłeś wszystkich?

Nastąpiła długa chwila ciszy.

–Tak, ale to nie wróciło życia mojemu bratu. Ani Lonkaro. A Brokaro umarł tydzień później.

Nnanji uniósł rękę. Tomiyano napiął mięśnie, ale szermierz tylko otarł pot z czoła.

–I co, adeptie? – przerwała milczenie Brota. – Teraz już wiesz. Jesteśmy zabójcami szermierzy. Wtedy nie było stróża prawa.

–Nic by wam nie pomógł. Szermierzom nie wolno mieszać się w sprawy honorowe. Jeśli Czwarty prawidłowo rzucił wyzwanie, a Thana się poddała, to była sprawa honorowa.

–Też mi honor! – prychnął Tomiyano. – Według prawa, tak. Składając hołd poddańczy, Thana przegrała pojedynek. Miała obowiązek zrobić to, czego od niej domagał się Czwarty.

Oligarro, Maloli i Holiyi wstali z miejsc i wolnym krokiem podeszli do wiader z piaskiem. Nnanji został sam na środku pokładu, jak jelen otoczony przez stado wilków.

–Nawet coś takiego, szermierzu?

Adept skinął głową.

–Zwycięzca ma prawo zażyczyć sobie dowolnej rzeczy, a przegrany może odmówić, żeby uratować honor.

–Ale wtedy może zginąć?

–Wtedy musi zginąć. Oczywiście, tamci zachowali się haniebnie! Czwarty nie powinien wyzywać Pierwszego. Ani stawiać nikczemnych żądań. Ja ostrzegłbym go, że rzucę mu później wyzwanie. Lecz on postępował legalnie. Według prawa jesteście zabójcami.

–Więc nas zadenuncjujesz, kiedy dotrzemy do Dri?

Nnanji głośno przełknął ślinę i pokręcił głową.

–Dlaczego? – W głosie kapitana brzmiało niedowierzanie.

–Bo już nigdy nie wróciliście do Yok. Bogini mogła was tam pchnąć albo nie pozwolić wam odpłynąć.

Zapadła cisza. Błysnął promyk nadziei. Milczenie przerwał starzec.

–Normalnie takie rzeczy nie stanowią żadnej obrony, pani. Jak wyjaśniłem adeptowi Nnanjiemu, kiedy rozważaliśmy podobny, ale hipotetyczny przypadek, bogowie w każdej chwili mogą pokarać grzesznika nagłą śmiercią, więc braku boskiej interwencji nie należy interpretować jako uniewinnienia.

Jeśli ktoś jeszcze miał wątpliwości, że bezimienny jest kapłanem, ta przemowa je rozwiała.

–W tym jednak wypadku Bogini wami pokierowała – wtrącił Nnanji. – Sprowadziła was na tamtą przystań. Przebyliście bardzo długą drogę. To niezwykła demonstracja Jej mocy. Bogini sama was osądziła. Waszą pokutą jest pomoc dla lorda Shonsu. Żaden szermierz ani kapłan nie ma prawa sprzeciwić się Jej woli. Podobna rzecz przydarzyła się nam w Hann. Bogini ogłosiła wyrok i żaden ludzki sąd nie może go zmienić.

–Wierzysz w to, starcze? – zapytała Brota.

To on musiał stać za tym wszystkim. Żaden szermierz nie rozumował w taki sposób, a z pewnością nie Nnanji. Honakura odgadł, o czym myśli kobieta.

–Zgadzam się z argumentami adepta – oświadczył i uśmiechnął się bezzębnymi ustami.

–Nie wierzę im! – Tomiyano zerwał się na równe nogi. – I na pewno im nie ufam! Nnanji poczerwieniał.

–Złożę przysięgę, żeglarzu, ale będę musiał wyciągnąć miecz.

Kapitan zawahał się.

–Dobrze.

Bez pośpiechu, unikając gwałtownych ruchów, szermierz obnażył lśniący chioxin i uniósł go jak do przysięgi. Ostrze błysnęło czerwienią w promieniach zachodzącego słońca.

–Ja, Nnanji, szermierz czwartej rangi, zaprzysiężony brat Shonsu Siódmego, uroczyście przysięgam, że wszyscy członkowie załogi *Szafira* są oczyszczeni z zarzutu popełnienia przestępstwa w związku ze śmiercią czterech szermierzy w Yok. Przysięgam na mój honor i w imię Bogini.

Ze świstem wsunął siódmy miecz do pochwy. Zapanowała konsternacja.

–A twój zwierzchnik? – spytał Tomiyano. – Jeśli odzyska zdrowie...

Nnanji uśmiechnął się blado. Sprawiał wrażenie bardziej zdenerwowanego niż do tej pory.

–Złożyliśmy sobie czwartą przysięgę szermierczą, kapitanie. Moje zobowiązania są zobowiązaniami lorda Shonsu. Żaden Siódmy nie może zmienić jego decyzji, co najwyżej kapłan, ale nie znajdzie się nikt, kto wykonałby jego wyrok. Nie grozi wam żadne niebezpieczeństwo.

–Jesteś Czwartym! Myślisz, że twoją przysięgę będą honorować wszyscy Siódmie na Świecie?

Twarz Nnanjiego rozjaśnił szeroki uśmiech, bardzo podobny do młodzieńczego, bezczelnego uśmieszku jego młodszego brata.

–Ostrzegałem Shonsu, że bierze na siebie wielką odpowiedzialność. Tak! Wszystkich Siódmych. A co za tym idzie, wszystkich szermierzy na Świecie. Na zawsze. Nawet jeśli się mylę, możemy jedynie powierzyć was Bogini.

–Starcze? – odezwała się Brota. Honakura pokiwał łysą głową.

–Tak, pani.

Piąta radzi się żebraka?

W tym momencie Thana podbiegła do Nnanjiego i zarzuciła mu ręce na szyję. Tym razem młodzieniec się roześmiał, przytulił dziewczynę i odwzajemnił pocałunek.

–Cóż... – zaczął Tomiyano i spojrział na matkę.

Brota wstała. Wszyscy na nią patrzyli. Kobieta miała zbyt ściśnięte gardło, żeby coś powiedzieć, więc tylko się uśmiechnęła i skinęła głową.

Skończył się strach i napięcie. Na pokładzie rozbrzmiały okrzyki radości. Żeglarze zrywali się z miejsc, żony obejmowały mężów, dzieci krzyczały podniecone. Katanji leżał na plecach, a Diwa i Mei jednocześnie próbowały go pocałować. Czwarty nadal tulił do siebie Thanę i zasypywał ją całusami.

–Nnanji! Nnanji!

Jja przepchnęła się przez tłum. Zarumieniony szermierz odsunął Thanę tak gwałtownie, że dziewczyna omal nie upadła.

–Nnanji! – Niewolnica chwyciła go za ramię. W oczach miała łzy. – Obudził się. Mówi, że jest głodny.

Shonsu zdrowiał, handel szedł dobrze, *Szafir* sunął po Rzece przy pięknej letniej pogodzie, każdy dzień przynosił nowe widoki do podziwiania. Szermierze okazali się nie tacy źli. Jonaszowie przynieśli zysk.

Statek dopłynął do Dri, miasta blasku słonecznego, świetlistej wody i opalizującej mgiełki. Gondole i małe galery śmigały po zatłoczonych kanałach. Rozległe place były połączone łukowymi mostami. Bładożółte kopuły i alabastrowe wieże zlewały się z niebem. Powietrze przesycone zapachem kwiatów i egzotycznych przypraw wibrowało od dźwięków starych pieśni śpiewanych przez gondolierów. Bogato zdobione statki płynęły wolno między budynkami o marmurowych fasadach, pod nieruchomym, surowym wzrokiem posągów.

Urzednicy okazali się najgorsi ze wszystkich, jakich Brota w życiu spotkała. Podpłynęli do *Szafira* łodziami, jakby nie mogli się doczekać łupu. Zabrali jej złoto i skierowali do miejsca postoju przy jednej z mniejszych handlowych wysepek.

Shonsu nadal był bardzo słaby. Nawet Tomiyano bez przekonania sugerował, żeby wysadzić go na brzeg. Nnanji nie miał ochoty rozstawać się z siódmym mieczem ani nosić go na plecach, kusząc los. Tak więc szermierze zostali na pokładzie, a żeglarze ruszyli do swoich zajęć.

Brota bez trudu sprzedawała meble, biorąc za nie godziwą cenę. Osiągnęła niezły zysk, choć pazerni urzednicy zdarli z niej słone myto.

–Dywany – powiedział Tomiyano i wskazał na najbliższy skład.

Pomaszerowali oboje na drugą stronę ulicy. W magazynie zaczęli oglądać, macać, targować się i namyślać. Właściciel okazał się trudnym przeciwnikiem. Twierdził, że może sprzedawać towar tylko drugiemu kupcowi. Oczywiście chodziło mu o zarobek krewnego występującego jako pośrednik. Kolejna opłata. Tym razem Brota była ostrożniejsza niż z wyrobami mosiężnymi. W Ki czy Hool wiedziała, co kupować, co sprzedawać, i ile warte są towary. W nowym mieście handel bardziej przypominał hazard, stąd nerwowość Piątej. W końcu jednak podjęła decyzję. Wymieniono uścisk dłoni. Niewolnicy zaczęli nosić dywany i układać przy statku, bo jeszcze jeden urzednik musiał je sprawdzić przed załadunkiem.

Brota wyszła z synem na hałaśliwą i ruchliwą ulicę. Stanęli w słońcu i zaczęli na siebie burczeć – niepewni, czy dobrze postąpili. Z jednej strony przygrywała grupka ulicznych muzyków, z drugiej straganiarz głośno zachwalał kwiaty. Piesi tłoczyli się i przepychali, wozy turkotały.

Brocie wydawało się, że coś przeoczyła. Nie podobał się jej interes z dywanami, choć już dobiła targu i nie mogła wycofać się z transakcji.

–Zostanie nam jeszcze trochę wolnego miejsca – stwierdził Tomiyano, również niezadowolony.

–Pani? – usłyszeli czyjś głos.

Kobieta odwróciła się zniecierpliwiona i chciała spiorunować intruza wzrokiem, ale ujrzała przed sobą niewolnika. Był bardzo młody i tak chudy, że odznaczały mu się wszystkie żebra. Miał śniadą skórę, czarne kręcone włosy i duże błyszczące oczy. Jedyne jego ubranie stanowił kawałek czarnego materiału, którym był owinięty wokół

bioder.

Brota cofnęła się.

–Katanji! Na wszystkich bogów, chłopcze! Postradałeś rozum!

Pierwszy namalował sobie na twarzy niewolniczą kreskę, która maskowała tatuaż na czole. Znak miecza można by dostrzec jedynie z bliskiej odległości, a kto z bliska przygląda się niewolnikom?

Tomiyano chwycił Katanjiego za ramię.

–To przestępstwo, chłopcze – syknął. – Jeśli ktoś cię nakryje, zostaniesz niewolnikiem do końca życia, a ten znak wypalą ci żelazem. Wracaj szybko na statek!

Katanji uwolnił rękę.

–Wszystko w porządku. Ukryłem się na tyłach składu, a tam było ciemno.

Matka i syn wymienili spojrzenia, a potem oboje skierowali wzrok na Pierwszego.

–Co tam robiłeś? – zapytała Brota.

–Oglądałem dywany. – Pokazał ojцовski znak na powiece. – Znam się na dywanach! Zobaczyłem, że tu wchodzić, więc przeprowadziłem mały zwiad. Niewolnicy dużo wiedzą, a nie obchodzą ich zyski właścicieli, więc mówią prawdę... drugiemu niewolnikowi.

Miał trochę racji.

–I czego się dowiedziałeś? Ciekawość Broty wyraźnie wzrosła.

–Jedwabne uważane się za najlepsze, prawda? Te rzeczywiście są doskonałe!

–Niektóre. Trzeba jednak kupić dziesięć wełnianych na jeden jedwabny. Takie są przepisy. Inni handlarze mówili to samo. Chłopiec wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–Przepis dotyczy tylko handlarzy! Mieszkańcy kupują normalnie. Szermierze też!

–Był tak podniecony, że podskakiwał. – Widzieliście ten ze złotymi syrenami? Cudo! Jedyny, który mieli w tym składzie, bo miejscowi wykupują wszystkie. Wiem, gdzie pójść i jakie są ceny.

Brota zerknęła na syna, Tomiyano spojrzał na matkę. Szmugiel?

–Wełniane są grube – powiedziała kobieta. – Ale nawet na gondolę można by załadować sporo jedwabnych.

Żeglarz w zamyśleniu pokiwał głową.

–Trzeba by przekupić gondoliera. Ryzykowałby łodzią. Albo głową. Lecz nikt nie skonfiskuje statku z Shonsu na pokładzie!

–Zróbmy to! – postanowiła Brota. – Tomo, dopilnuj załadunku. A ty, nowicjuszu?

–Zobaczymy się na *Szafirze*, pani.

Zniknął jak bańka mydlana.

Tomiyano popędził na statek, wymijając ludzi i wozy. Kiedy Brota dotarła do trapu, syn rozmawiał z urzędnikiem, ale skinął na nią i powiedział cicho:

–Myślałem, że smarkacz zostawił otwarty bulaj, ale na szczęście nie.

Tego rodzaju niedbalstwo traktowano niemal jak zbrodnię. Gdy statek cumował w porcie, przez otwarte bulaje mogły dostać się na pokład szczury, czworonożne albo dwunożne. Brota rozejrzała się, ale nie dostrzegła Katanjiego na zatłoczonym nabrzeżu, i nic dziwnego, Tymczasem urzędnik gorliwie trząsał liczydłami. Wyraźnie czeka na łapówkę, pomyślała kobieta z rezygnacją.

W kabinie było gorąco i duszno. Siedmiokroć przeklęty urzędnik portowy pozbawił Brotę całego zapasu gotówki. Pięta zaryglowała drzwi, uklękała i odsunęła deskę w podłodze. Z tego tajnego schowka, a było ich wiele, korzystała najczęściej. Rzuciła okiem na skarb. Ile jedwabnych dywanów zmieści się w gondoli? Niewiele, ale zawsze trochę. Ładownia Szafira była już wypełniona wełnianymi kilimami. Chłopak miał rację. Tylko jedwabne przynosiły zysk. Gdy nie zna się dobrze rynku zbytu, trzeba postawić na jakość. Pierwszy był urodzonym handlarzem.

Brota sięgnęła po mały skórzany woreczek z setką sztuk złota. Była pewna, że w gondoli zmieści się towaru za najwyżej połowę tej sumy. Przypasowała miecz, uczesała włosy i wróciła na pokład.

Gdy zbliżyła się do nadbudówki rufowej, usłyszała równomierny stuk. Ktoś korzystał z okazji, że statek się nie kołysze, i ćwiczył rzucanie nożem. Była zaskoczona, kiedy zobaczyła, że to Nnanji. Czwarty siedział na jednej ze skrzyń, a obok niego leżało kilkanaście noży. Sądząc po tarczy, radził sobie bardzo dobrze. Uśmiechnął się na widok jej miny.

–Są szybsze od mieczy! – wyjaśnił. Był wyraźnie dumny z wrodzonego talentu.

–Myślałam, że kodeks traktuje posługiwanie się nożem jako jedno z największych wykroczeń, adeptcie? Czyżbym przeoczyła nową sutrę?

–To mój pomysł, pani.

Shonsu siedział oparty o stos poduszek. Nadal był blady i wychudzony, ale z każdym dniem nabierał sił.

–Wiesz, co sutry mówią o czarnoksiężnikach?

Gdyby się przyznała, ile zna sutr, adept Nnanji natychmiast by osiwił.

–Nie mogę powiedzieć, żebym się kiedykolwiek nad tym zastanawiała.

–Nic! Oni nie są szermierzami, więc nie stosują się do nich zasady kodeksu. Są uzbrojonymi cywilami, co samo w sobie jest rzeczą karygodną, zatem wszystko jest dozwolone.

–A noże?

Szczur wodny miał prawo poczuć się niepewnie na myśl o szermierzach miotających nożami. Albo co gorsza ukrywających je w butach. Tę myśl nasunął Brocie widok Jji, która siedziała cicho w kącie i łątała but Shonsu, a obok niej stał but Nnanjiego.

Szermierz wzruszył ramionami. Wyglądał na zmęczonego. U jego boku klęczała Thana. Odkąd ranny odzyskał przytomność i mógł docenić jej wysiłki, odgrywała rolę troskliwej pielęgniarki. Brota uważała, że córka wskóra u Shonsu nie więcej niż Nnanji u niej, ale Siódmy był wart starań.

–Kiedy natknąłem się w Aus na czarnoksiężników, wyraźnie starali się zachować między nami pewną odległość. Zastanawiałem się dlaczego. Czy muszą mieć czas na wypowiedzenie zaklęcia? A może czar nie działa od razu? Z licznych opowieści wynika, że jedynym skutecznym atakiem jest szybkość. Stąd noże!

Mówił tak, jakby się bronił.

–Nie będę się spierać, panie! Thano, chcę, żebyś zeszła ze mną na brzeg.

Dziewczyna spojrzała z troską na Shonsu.

–Obejdiesz się beze mnie przez chwilę, panie?

–Chyba dam sobie radę – odparł szermierz uprzejmie.

Thana poklepała go po ręce, wstała bez pośpiechu, prezentując długie smukłe nogi, i kocim krokiem ruszyła do drzwi. Jej przepaski stały się ostatnio nieprzyzwoicie skąpe; były raczej jak wstążki. Brota poczuła intensywny zapach piżma i fiołków. Musi wyjaśnić córce, co to znaczy umiar.

Łup!

Nnanji trafił w sam środek deski. Uśmiechnął się z zadowoleniem i sięgnął po następny nóż.

Jja wstała i podeszła do swojego właściciela. Powitał ją uśmiech, który mówił więcej niż tuzin sutr. Shonsu zerknął na Brotę.

–Próbowałem zrozumieć, co wydarzyło się w Wal. Każda z wersji, twoja, żeglarza Oligarro, Nnanjiego i kapitana, jest inna. Piorun. Ty, pani, twierdziłaś, że urzędnik zniknął w smudze dymu, ale nie widziałaś błysku. Oligarro utrzymuje, że mężczyzna spadł z trapu i że był błysk. Nnanji nic nie dostrzegł...

Już trzy razy opowiadała mu tę historię.

–A co mówi nowicjusz Katanji, panie?

Shonsu i Nnanji wymienili zdziwione spojrzenia.

–Nie wiedziałem, że tu jest.

Na demony! Właśnie straciła przewodnika do źródła nielegalnych dywanów.

–Tak! Był tutaj, panie.

Nnanji zerwał się ze skrzyni i ruszył do drzwi. Brota poczłapała za nim. Katanji stał przy trapie dziobowym. Miał na sobie kilt, buty i pasy z mieczem. Jak zdołał...

–Muszę zamienić z tobą słowo, protegowany! – oznajmił złowieszczo Czwarty.

–Oczywiście, mentorze.

Jedynym śladem niewolniczego przebrania była tłusta smuga na nosie. Tamtej nocy w Wal też miał brudną twarz.

–Pytałeś panią Brotę o tę sutrę?

Nnanji spojrział na kobietę z niepewnym uśmiechem.

–Możesz mi objaśnić tysiąc czterdziestą czwartą, pani?

Na szczęście każdy Piąty musiał przyswoić tylko dziewięćset osiemdziesiąt jeden sutr.

–Nie znam jej, adeptcie.

–Lord Shonsu mi ją wyrecytował, ale powiedział, że też jej nie rozumie. Jestem pewien, że mnie zwodzi. – Jego oczy były zamglone. – “O braku śladów stóp: Lepiej dać tępy miecz niż sutrę tym, którym nie można pomóc”.

Brota wzruszyła ramionami. Bajdurzenie szczurów lądowych! Jak odciągnąć Katanjiego albo chociaż mu coś szepnąć?

–Bez sensu, prawda?

Nnanji pokiwał głową w zamyśleniu.

–Te słowa mogą oznaczać, że lepiej udzielić jakiegokolwiek pomocy, choćby najmniejszej, zamiast tylko dawać rady.

–Co w takim razie mają do rzeczy ślady stóp?

–Nie można zdobyć sławy ani zaszczytów?

–Istnieje też drugie znaczenie, więc możesz wybrać, które chcesz – odezwał się Katanji.

–Jakie? – zapytał brat.

Z nadbudówki dziobowej wyszła Thana w najlepszym satynowym stroju i żółtych sandałach. Na plecach miała miecz. Wzrok Nnanjiego powędrował w jej kierunku.

–Piraci nie zostawiają śladów stóp – powiedział Katanji z namysłem. – W przeciwieństwie do lądowych zbójców. A “tępy miecz” może oznaczać... floret? Wolni nie mogą pomagać żeglarzom...

–Właśnie! – wykrzyknął Nnanji. – Masz rację! To znaczy, że można ich uczyć fechtowania! Dzięki, smarkaczu!

Nnanji popędził do nadbudówki rufowej. Całkiem zapomniał o czarnoksiężnikach. Katanji obserwował go przez chwilę, z politowaniem kiwając głową. Uśmiechnął się do Broty.

–Wynośmy się stąd, do diabła!

Brota wybrała największą gondolę, ale łódź mocno się zanurzyła pod jej ciężarem. Kobieta wybrała miejsce na wprost gondoliera, chudego, ogorzałego mężczyzny o szerokich barach. Był w odpowiednim wieku, żeby mieć dużo gąb do wykarmienia. Thana i chłopiec stali naprzeciwko Broty.

Gondolier odśpiewał krótkie powitanie przeznaczone specjalnie dla turystów i odepchnął łódź od nabrzeża.

–Dokąd płyniemy, pani? – zapytał.

–Do miasta na zakupy. Potem przewieziemy je na statek.

–Dywany – stwierdził mężczyzna i przybrał kamienny wyraz twarzy.

Druga wydatnie pomogła w negocjacjach. Odchyliła się do tyłu i posłała gondolierowi kilka zalotnych uśmiechów. Pozwoliła mu zerknąć za dekolt. W rodzinie wszyscy byli przekonani, że Thana zawsze dopnie swego. Spocony mężczyzna zgodził się na mniejszą łapówkę niż ta, której zażądał urzędnik portowy.

–Dokąd? – powtórzył pytanie.

–Dokąd, nowicjuszu? – zapytała Brota. Gdy handlarz dywanów ujrzy stroje szermierzy, pomyśli, że chodzi o wyposażenie koszar.

Katanji oderwał wzrok od majestatycznych statków, wdzięcznych galeonów, szybkich małych łodzi. Uśmiechnął się anielsko.

–Jaki będzie mój udział?

Przez kilka minut gondola sunęła w ciszy, którą zakłócały jedynie dźwięki muzyki i hałasy portowe.

–A jaki planowałeś?

Brota uważała, że pięć srebrników w zupełności wystarczy.

–Wybiorę sobie towar, a ty, pani, przetransportujesz go za darmo na *Szafir*. – Po chwili dodał z poważną miną. – I obiecasz, że nic nie powiesz Nnanjiemu. On twierdzi, że handel nie jest godnym zajęciem dla szermierza.

Thana zaczęła chichotać. Brota nie wiedziała, czy ma być wściekła na siebie czy rozbawiona.

**–Na Szafirze nikt nie prowadzi własnych interesów – oświadczyła groźnie. –
Każdy członek załogi ma swój udział i wie, że może go zabrać, jeśli postanowi nas opuścić.**

–Z całym szacunkiem, pani, nie jestem członkiem załogi – odparł Katanji. W jego postawie nie było śladu respektu.

Piąta ustąpiła z krzywym uśmiechem, świadoma, że Thana z rozkoszą opowie całą historię reszcie rodziny.

–Tak. Jesteś człowiekiem Bogini, prawda? Dobrze, umowa stoi. Ale ty też nie mów nikomu. Ani ty, Thano!

Katanji pochylił się do przodu i wyciągnął ręce, żeby przypieczętować umowę, co jeszcze bardziej ubawiło Brotę. Następnie powiedział gondolierowi, żeby płynął do Kanału Siedmiu Świątyń, a sam wrócił do obserwowania portu.

Nagle kobieta przypomniała sobie, że Pierwszy ma w sakiewce co najmniej piętnaście sztuk złota. Kiedy powiedział “towar”, uznała, że chodzi o jeden dywan. Chyba by się nie ośmielił?

–Ile zamierzasz wydać, handlarzu? – spytała Thana, uprzedzając matkę.

Katanji rzucił jej szeroki uśmiech.

–Sześćdziesiąt cztery sztuki złota.

Księga czwarta: Jak szermierz zebrał armię

1

Następne miasto również leżało na prawym brzegu, w krainie szermierzy. Bóg Wiatru apatycznie wykonywał swoje obowiązki. Kiedy wreszcie pewnego gorącego i spokojnego popołudnia ukazało się Casr, Wallie na tyle odzyskał siły, że mógł wyjść z kajuty. W samym kilcie położył się na pokrywie luku i wygrzewał w słońcu jak milioner na prywatnym jachcie. Deski były ciepłe, żagle przestaniały pól nieba.

Obok szermierza leżały kule zrobione przez żeglarza Holiyi. Z drugiej strony siedziała Jja, ubrana w dwie żeglarskie przepaski. Oczywiście były czarne, ale jej ciało pozostawało odsłonięte w sposób, który Wallie uznał za niebezpiecznie prowokacyjny. Od czasu do czasu głąskał niewolnicę po ręce albo ona ścisnęła jego dłoń, a potem uśmiechali się do siebie w milczącym porozumieniu. Thana, dzięki Najwyższej, ostatnio zniechęciła się do umizgów. Nie było jej nigdzie w pobliżu.

Świat przesuwał się za burtą w niespiesznym przedindustrialnym tempie. Wallie pomyślał, że jest to bardzo pokojowa wyprawa wojenna. Dostał czas na rekonwalescencję i z każdym dniem czuł się lepiej. Pobożni mogli uznać jego wyzdrowienie za cud.

Żeglarze krzatali się wokół codziennych spraw. Zajmowali się statkiem, dziećmi, naprawą ubrań, szykowaniem jedzenia. Spojrzenia, które posyłali w jego kierunku, były w najlepszym razie przyjazne, w najgorszym uprzejme albo pełne respektu, co zakrawało na kolejny cud. Poprzednia wrogość ustąpiła miejsca niechętniej akceptacji. Brota nawet znalazła kabiny dla pasażerów, ścieśniając młodych i opróżniając składzik.

Z rufy dobiegał brzęk stali. Nnanji trenował Matę. Odkąd mentor zdradził mu ostatnią tajemniczą sutrę, życie na statku zmieniło się dla niego z piekła nudy w niebo codziennego fechtunku od rana do nocy. Już nie musiał się ograniczać do szkolenia Thany, Katanjiego i Matarro. Żeglarze chętnie skorzystali z możliwości nauki. Na Rzece umiejętność walki była nieodzowna.

Raptem na zamyślonego szermierza padł cień. Wallie otworzył oczy i ujrzał nad sobą ponurą twarz Tomiyano niczym ciemną chmurę na niebie. Usiadł.

–Widać Cars... panie. – Trzeci już nie myślał o morderstwie, kiedy patrzył na Shonsu, ale też nie czuł braterskiej miłości. – Zastanawiałem się, czy tam nie dałoby się zwerbować szermierzy?

Najwyraźniej był przygotowany na negatywną odpowiedź.

Siódmy pokręcił głową, ale uśmiechnął się, odsunął kule i wskazał na luk.

–Jeszcze nie, kapitanie. Usiądź jednak, to porozmawiamy.

Tomiyano wzruszył ramionami i przycupnął na krawędzi, jakby nie zamierzał długo zostać. Siniaki już zniknęły, zadrapania się wygoiły, oparzenie na twarzy pokryło się świeżą tkanką. Mężczyzna dumny ze statku, teraz zawłaszczanego przez bogów, dumny z ciała i sprawności, a teraz przyćmiony przez Shonsu, dumny ze swojej niezależności...

–Jeszcze jestem za słaby, żeby wrócić do obowiązków – powiedział Wallie. – Lecz pewnego dnia, kapitanie, odzyskasz statek. Pewnego dnia przepędzę czarnoksiężników. Wtedy obaj będziemy wolnymi ludźmi. I może, kiedy nadejdzie ten dzień, ty i ja spotkamy się w jakimś barze i zaprowadzimy nowe porządki. Albo wyrównamy ze sobą rachunki. Zniszczymy trochę mebli, a na koniec rozniesiemy całe nabrzeże. Przejdziemy do legendy. Postaramy się o kaca, który nasuwa człowiekowi myśli samobójcze? Awantury, grabież i...

Tomiyano oparł dłonie o pokrywę, jakby chciał wstać. Jego twarz pozostała bez wyrazu.

–Jeszcze coś, panie?

Wallie westchnął. Złe podejście.

–Tak. Zdaje się, że Sen leży na lewym brzegu. Następne miasto szermierzy to Tau. Tydzień drogi stąd, prawda?

–Jeśli trafi się porządny wiatr.

–Do tego czasu powinienem odzyskać siły.

–Wysiądziecie w Tau?

Trzeci w napięciu czekał na odpowiedź.

–Gdy tylko wrócę do zdrowia i dotrzemy do miasta, gdzie są dobrzy szermierze, umowa wygaśnie, kapitanie. Wysiądziemy na brzeg. Czy to uczciwe rozwiązanie?

Żeglarz był jednocześnie handlarzem.

–Co to znaczy “dобрzy szermierze”?

–Paru Trzecich? Oczywiście, nieźle wyszkolonych. Tak, na początek dwóch Trzecich wystarczy. Przynajmniej strzegliby moich pleców.

Tomiyano pokiwał głową i zrobił ruch, jakby zamierzał odejść.

–Zostań, jeśli masz chwilę czasu – poprosił Wallie. – Może będziesz umiał mi pomóc.

Żeglarz usiadł wygodniej. Jego twarz niczego nie zdradzała. W tym momencie z rufy dobiegł wybuch radości. Najgłośniej śmiał się Nnanji. Trzeci spojrzał w tamtym kierunku i zmrużył oczy.

–Oto cud – powiedział Wallie cicho.

–Cud?

–Nnanji. Niewielu ludzi potrafi tak jak on przewyciężyć uprzedzenia, kapitanie. Tomiyano się nachmurzył.

–Uprzedzenia? Czyli opinie nie oparte na doświadczeniu, tak?

–Albo na niewłaściwych doświadczeniach. – Walliemu trudno było zachować cierpliwość przy żeglarzu. – Pomyśl, ile lat spędził w towarzystwie samych szermierzy. Nic dziwnego, że traktował cywili z pogardą. Tak go wychowano. Nauczono go również, że zabójstwo jest karygodnym czynem, niewybaczalną zbrodnią...

–Nie zgadzasz się z przysięgą, którą złożył?

–Ależ nie. Mam na myśli to, że wzniosł się ponad przekonania, które mu wpojono. Niewielu ludzi jest do tego zdolnych, kapitanie. Starzec zarzeka się, że nie odegrał żadnej roli w przemianie Czwartego. Chłopak sam do wszystkiego doszedł. Kiedy

wsiedliśmy na *Szafir*, Nnanji uważał, że ty i twoja rodzina powinniście być dumni, mogąc służyć szermierzowi. Teraz traktuje i was jak przyjaciół i sojuszników. To dopiero zmiana nastawienia, co?

–Pewna poprawa.

–A ty? Wierzyłeś, że wszyscy szermierze są mordercami i gwałcicielami. Co z twoimi uprzedzeniami, kapitanie Tomiyano?

Kapitan poczerwieniał.

–Moje opinie są oparte na doświadczeniu.

–Ale na niewłaściwym.

–Przyznaję, że się myliłem, ale tylko w twoim wypadku.

Wallie wzruszył ramionami. Większość szermierzy dobyłaby miecza, słysząc tę uwagę. Jednak kapitan statku powinien docenić talenty przywódcze Nnanjiego. Nawet mentor nie podejrzewał ich u beztroskiego młodzieńca o szerokim uśmiechu. Myślał o nim jako o wypróbowanym towarzyszu i podręcznej bibliotece. Nasuwało się więc jedno pytanie: Jaką rolę miał Nnanji odegrać w wyprawie Shonsu?

–Jaki problem chcesz omówić? – zapytał Tomiyano, wracając do rzeczy.

–W pewnym sensie moim problemem jest to, że nie wiem, jaki jest mój problem. Bóg powiedział mi o misji, ale nie wyjaśnił, na czym ona polega. Dał również zagadkę.

Trzy statki wytatuowane na czole żeglarza dotknęły linii kasztanowych włosów. Rozdrażnienie przerodziło się w ciekawość.

–Zagadkę, panie?

–Tak. Oto część, która dotyczy ciebie:

Kiedy potężny zostanie upokorzony,

Armia zebrana, koło zatoczone,

Lekcja przyswojona.

–Szermierza mojej rangi można uznać za potężnego, a upokorzenie jest łagodnym opisem tego, co przydarzyło mi się w Aus. Najwyraźniej zaintrygowany Tomiyano podrapał się po głowie.

–Skąd weźmiesz armię?

Nie rozwinął pytania: Jak lord Shonsu zbierze armię po tym, co zrobił w Aus? Jeśli relacje go wyprzedzą, w najlepszym wypadku spotka się z odmową, w najgorszym z oskarżeniem. Jeśli prawda wyjdzie na jaw po tym, jak Shonsu zwerbuję szermierzy, wybuchnie bunt. Umowa z Brotą przewidywała transport do najbliższego miasta, w którym Siódmy będzie mógł zebrać szermierzy, ale czy w tej, sytuacji kiedykolwiek mu się to uda?

Może dlatego Honakura sugerował, że armią, o której mowa w zagadce, może być załoga *Szafira*. Jej członkowie dobrze radzili sobie z bronią, jeszcze zanim Nnanji rozpoczął lekcje, a dzięki nim szybko nabierali ogłady i wszechstronności, których im wcześniej brakowało. Mimo wszystko Wallie nie mógł uwierzyć, że z kilkoma miastami czarnoksiężników ma walczyć z pomocą garstki amatorów, z których połowa to kobiety. Nie zamierzał jednak podzielić się tą myślą z Tomiyano. Żeglarze z *Szafira* nie byli żołnierzami. Wojna ich nie pociągała, a umowa nie wspominała o demonach ognia.

–Nie wiem, jak zbiera się armię – powiedział Wallie. – Jestem pewien, że słowa o przyswajaniu lekcji dotyczą czarnoksiężników. Musi istnieć jakiś sposób, żeby ich pokonać. Chciałem cię jednak zapytać o ten fragment z kołem.

–Jakim kołem?

–Tym, które zataczamy! – Wallie roześmiał się na widok zdumionej miny żeglarza. – Do tej pory wiemy o czterech miastach szermierzy na prawym brzegu: Ki San, Dii, Casr i Tau.

–Jesteśmy handlarzami, Shonsu, a nie podróżnikami. Handlarze kursują w tę i z powrotem, zwykle między dwoma miastami, czasami trzema albo czterema. Jeśli Bogini nie pozwoli nam wrócić do Hool, chętnie zostaniemy tutaj. Zbadamy rynek. W Ki San i Dri poszło nam nieźle. Przyznaję, że odpowiada mi tutejszy klimat, choć podobno zimy są surowe. Nie planowaliśmy płynąć do Tau, ale chyba musimy znaleźć ci paru szermierzy. Jeśli nie uda się w Tau, zawieziemy was z powrotem do Casr. Albo do Ki San. Do tej pory staniesz na nogach.

Wallie miał nadzieję, że Tomiyano okaże się bardziej dociekliwy. Żeglarz powinien lepiej znać się na geografii niż Honakura i Katanji. Najwyraźniej jednak nie był ciekawy Świata. Brota również wykazywała brak zainteresowania.

–Wiemy, że na lewym brzegu są następujące miasta czarnoksiężników: Aus, Wal, Sen i jeszcze jedno w górze Rzeki.

–Jakie?

–Ov.

–Ale... – Trzeci popatrzył na szermierza wilkiem. – Stamtąd przybyliście, kiedy was spotkaliśmy? To było wiele tygodni temu, Shonsu!

Dla żeglarza istniały tylko dwa kierunki: w górę i w dół Rzeki. Odległości mierzyło się w dniach. Wallie zaczął rysować na pokrywie niewidzialne mapy i cierpliwie wyjaśniać, że Rzeka robi pętlę – płynie na północ od Ov, potem na zachód, omija albo przebija się przez góry i dalej toczy wody na południe do Aus. Czarna Kraina ciągnąca się w górę Rzeki od Ov to ta sama Czarna Kraina, która leży w dół Rzeki od Aus. To właśnie był boski krąg, który należało zatoczyć.

Wallie rozwiązał łamigłówkę podczas rekonwalescencji, ale nie zaskoczył towarzyszy. Honakura powiedział, że olśniło go na przełęczu, kiedy Siódmy wskazał na srebrną wstęgę i stwierdził, że Rzeka musi płynąć na południe. Nnanjiego prawdopodobnie oświecił Katanji.

Żeglarz w końcu uległ logice rozumowania. Skinął głową. Szafir pokonywał teraz zachodnią część pętli, sunąc w górę Rzeki. Góry RegiVul, które leżały na północnym wschodzie od Aus, tutaj majaczyły na wschodzie i południu. W Ov znajdowały się na północnym zachodzie.

–Oczekujesz, że zawieziemy was z powrotem do Ov, Shonsu? – zapytał Tomiyano gniewnie.

–Muszę wrócić do Ov, kapitanie, żeby zatoczyć krąg. Nie wiem, czy chodzi o samo miasto, czy posiadłość, z której wyruszyliśmy. Nie wiem też, czy mamy dostać się tam na pokładzie Szafira czy nie. Dobrze byłoby, gdybyś wypytał w Casr paru żeglarzy. Jak jeszcze daleko do Ov? Ile miast przejęli czarnoksiężnicy? Starzec

twierdzi, że zna odpowiedź, ale według mnie tylko zgaduje.

Oczywiście siedem. "Musi ich być siedem", stwierdził Honakura.

Wallie nie sprzeczał się ze starym kapłanem, bo zdążył nabrać szacunku dla jego przesądów.

W tym momencie rozległo się dudnienie butów o stare wypolerowane deski. Spocony i uśmiechnięty Nnanji stanął przy luku. Na razie zakończył lekcje fechtunku. Miasto Casr było coraz bliżej.

–Zostaniesz na pokładzie, panie bracie? – spytał.

–Tak.

Wallie po raz kolejny dostrzegł subtelne oznaki zmiany, która zaszła w Czwartym. Chwila zastanowienia, nim się odezwał, słuchanie, co inni mają do powiedzenia, kalkulacja ukryta pod zwykłą wesołością, skrywana duma z własnych umiejętności. Wykłady mentora o używaniu rozumu i odpowiedzialności szybko zastąpiła praktyka, która dla młodzieńca w wieku Nnanjiego nie mogła się skończyć bez kilku blizn. Na zewnątrz chłopak pozostawał niepoprawnym idealistą i nieokiełznanym raptusem, ale coś się w nim przebudziło. Ślepy kult bohatera ustąpił miejsca zwykłemu szacunkowi. Nnanji niczego nie zapominał.

–Tak, ale ty mógłbyś przeprowadzić mały zwiad – powiedział Wallie. – Odwiedziłbyś garnizon w Casr i porozmawiał z dowódcą.

Najwyraźniej Czwarty już rozważał tę możliwość. Uśmiech zniknął z jego twarzy

–Myślę, że nie byłoby to rozsądne. Zapytaj mnie, kto jest i moim mentorem i jaką ma rangę. Jeśli dowódca usłyszy, że IM mieście jest Siódmy, z pewnością zjawi się z wizytą.

Wallie miał ochotę zasugerować, żeby Nnanji skłamał, ale oczywiście tego nie zrobił. Mając świeżo w pamięci przekupnego Hardduju z Hann oraz incydent ze sprzedażą Krówki w Ki San, Nnanji z pewnością żywił silną nieufność do dowódców.

–Dowiedziałbyś się czegoś o czarnoksiężnikach.

–Nadal uważam, że to niedobry pomysł... bracie. Jeszcze nie odzyskałeś zdrowia. Mentor westchnął.

–Jak chcesz, ale przysięga, którą złożyliśmy, to przysięga braterstwa.

–Tak?

–Nie macierzyństwa.

Nnanji uśmiechnął się szeroko i wskazał ręką na nadbudówkę rufową.

–Wracaj do kajuty, Shonsu!

–Przypuśćmy, że poześlujemy do Ov, panie? – odezwał się Tomiyano, który widać nadal dumał nad boską zagadką. – Dlaczego akurat do Ov?

–Kapitanie, niech mnie licho, jeśli wiem. Może coś przegapiłem?

Za Casr pogoda się załamała, jakby na znak, że lato dobiega końca. W deszczu i mgle dotarli do Sen. Żeglarze ochrzcili je Czarnym Sen. Nazwa doskonale do niego pasowała; czarne bazaltowe mury i czarne dachy posępnych budynków lśniły w wilgotnym powietrzu. Miasto wciśnięte między dwa urwiska i Rzekę pięło się w górę. Wąskie i zatłoczone ulice między pięcio- i sześciopiętrowymi domami wyglądały jak mroczne wąwozy. Nabrzeże też było czarne, a wieża czarnoksiężników nie bardziej przytłaczająca i groźna niż reszta Sen. Piesi snuli się w deszczu przygarbieni i ponurzy.

Katanji obserwował port przez bulaj w kabinie Diwy. Do tej pory nie wezwano go do nadbudówki rufowej, w której ukryli się Shonsu i Nnanji na czas postoju Szafira. Chłopak wiedział, że Nnanji już po niego nie przyjdzie, bo statek zbliżał się do nabrzeża, ale zawsze mogli wysłać Jję.

Diwa niecierpliwiła się u jego boku. Pierwszy wcześniej przygotował sobie niewolniczą przepaskę biodrową oraz mieszaninę sadzy z lampy i gęsiego łoju. Matarro wyjaśnił, że używa się jej do smarowania kabestanu. Nie wiedział jednak, że Katanji ukradł trochę smaru i znalazł dla niego inne zastosowanie.

Gdy Shonsu dowiedział się, że Katanji zszedł w Wal na brzeg, zbeształ go porządnie, ale był zadowolony, gdy otrzymał relację naocznego świadka. Okazało się, że urzędnik portowy spadł z trapu, kiedy poraził go piorun, ale nie zmienił się w smużkę dymu, jak twierdziła Brota. Na brzegu stało dwóch czarnoksiężników...

Mężczyzna był martwy albo nieprzytomny...

Zabrali mu sakiewkę i wepchnęli go do Rzeki...

Shonsu podziękował za informację, ale nadal się pieklił, że Katanji nie posłuchał rozkazów, co nie było prawdą. Gdy opuszczali Aus, przykazano mu, żeby nie schodził na brzeg, jeśli *Szafir* jeszcze kiedyś zawinie do tego portu. Nie wymieniono innych miast czarnoksiężników. Nnanji to potwierdził i zacytował słowa Siódmego.

–Dobrze! – powiedział Shonsu, ciskając z oczu błyskawice. – Ale w żadnym porcie opanowanym przez czarnoksiężników nawet nie postawisz nogi na trapie! Jasne?

Całkowicie jasne. Katanji w przebraniu niewolnika i tak wchodził i wychodził bulajami. Dyplomatycznie nie wspomniał, że w Wal, zaraz następnego dnia po reprimendzie, też zszedł na brzeg i przez wiele godzin włóczył się po mieście.

W Sen Shonsu poprosił Brotę, żeby zebrała trochę informacji. Żeglarze i jeden stary kapłan... Czego oni mogli się dowiedzieć? Co mogli odkryć szermierze, wyglądając przez okna nadbudówki? Mądrość była sprawą Katanjiego. Tak powiedział bóg.

Bystry Honakura zwęszył, co knuje Pierwszy, i parę razy zwodził Shonsu, gdy rozmowa zbaczała na niebezpieczne tory. Lecz nawet on zapowiedział, że to będzie ostatni wypad.

–Potem musisz im wyznać prawdę, nowicjuszu. Wtedy oni cię powstrzymają, ale warto jeszcze raz spróbować.

Nabrzeże rosło w oczach. Gdyby statek zmienił kurs, Katanji musiałby przeskoczyć do kabiny, którą dzielił z Matarro.

–Już pora! – stwierdził.

Zdjął swoją przepaskę i przewiązał biodra czarną.

Dziewczyna, dobrze przez niego wyszkolona, trzymała lustro, które pożyczyła z kajuty rodziców. Katanji sięgnął po naczynie ze I smarem i szpatułkę.

–Trzymaj nieruchomo! Diwie drżały ręce.

–Och, Katanji! To takie niebezpieczne!

–Już ci mówiłem! Jestem szermierzem. Niebezpieczeństwo to część mojego zawodu. Kobieta szermierza musi być nie tylko piękna, ale i dzielna. Ty jesteś piękna.

Dziewczyna natychmiast zapomniała o lęku i spłonila się. Katanji obdarzył ją uśmiechem i skupił się na makijażu.

–Tylko uczciwi zasługują na dzielnych, tak mówi Nnanji.

Diwa jęknęła. Była ładnym stworzeniem. Jeszcze parę lat i zrobi się obrzydliwie tłusta jak jej ciotka Brota, ale na razie wyglądała po prostu bardzo apetycznie.

–Zrobione!

Dobrze mieć dziewczynę, na którą można patrzeć z góry. Mei była dla niego za wysoka.

–Nie mogę cię teraz pocałować, ale zrobię to w nocy. Diwa przylgnęła policzkiem do jego szyi.

–Bądź ostrożny, ukochany. Nie zniosłabym, gdyby coś ci się stało.

Statek łagodnie uderzył w odbijacze. Katanji objął dziewczynę i z zaskoczeniem stwierdził w myślach, że trudno mu ją opuścić.

–Nic mi się nie stanie. Głowa do góry. I przyjdź tu szybko, kiedy dam znak.

Uchylił okienko. Właśnie rzucono cumy. Tuż przy burcie statku leżała góra pakunków. Doskonale. Katanji szerzej otworzył bulaj i wyśliznął się na zimne, mokre nabrzeże.

Z powodu deszczu, na ulicach było mało ludzi. Wszyscy przemykali ze spuszczonej głowami, nie rozglądając się, co bardzo odpowiadało Katanjiemu. On również się skulił i ruszył przed siebie powłóczącym krokiem niewolnika. Nareszcie mógł położyć na bosaka. Zrzucił buty, gdy tylko Nnanji nie patrzył, ale zwykle na krótko. W cienkiej przepasce biodrowej, znacznie wygodniejszej od kiltu, znowu czuł się jak dziecko biegające nago w słońcu. Nie musiał maszerować z dumnie uniesioną głową. Mimo wrzasków mentora wciąż nie uważał się za szermierza.

Skręcił w jedną z wąskich uliczek. Było dostatecznie ciemno, żeby nikt nie dostrzegł, że jest coś w nie porządku z jego niewolniczą kreską. Musiał zebrać mnóstwo informacji, żeby o wypad się opłacił.

Zachichotał na myśl o Nnanjim. Brat zacznie na niego wrzeszczeć jak ciotka Gruza, a kucyk stanie mu dęba. Shonsu też go zruca, ale w głębi duszy będzie zadowolony. Wielkolud lubił dużo wiedzieć, podobnie jak Katanji. Niewielu było takich ludzi. Cóż, dzisiaj Siódmy dowie się wielu nowych rzeczy. Będzie z aprobatą kiwał głową i powtarzał: “Dobra robota, nowicjuszu”. Potem nawet Nnanji nie odważy się za bardzo na niego krzyczeć.

Na końcu drugiej uliczki Katanji dostrzegł wieżę i ruszył w jej stronę.

Dotarłszy do rozległego placu, schował się w bramie. Podobnie jak w Wal i Aus

zakapturzeni wyburzyli domy, zostawiając dużo wolnej przestrzeni wokół wieży. W Aus obserwował identyczną, z tej samej odległości co tutaj, ale w Wal doszedł do samej budowli i wykonał trochę szpiegowskiej roboty zalecanej przez sutry. Teraz mógłby zrobić to samo, ale wieża niczym nie różniła się od innych: potężne wrota, przed którymi rozładowywano wozy, obok mniejsze drzwi, żadnych otworów przez co najmniej trzy kondygnacje od ziemi, a wyżej trzynaście rzędów okien. Tyle schodów do wspinania! Czarnoksiężnicy pewnie mieli odpowiednią sutrę.

Katanji przeciął plac, licząc kroki. Następnie zrobił rundę po sąsiednich uliczkach i wyszedł z drugiej strony budowli. Tak jak się spodziewał, każdy bok mierzył dwadzieścia dwa kroki. Drzwi też były takie same: ciężkie, drewniane, ze ślimacznicami i ptasimi piórami z brązu, a przed nimi dół przykryty brązową kratą. Ciekawe po co? Taki płytki? Krata nie miała zawiasów, więc nie chodziło o pułapkę.

Dużo brązu. To kosztowne! I ptaki. Wokół innych wież też chodziły ptaki albo podfruwały niezdarnie, umykając mu z drogi. Czy miały coś wspólnego ze znakami ojcowskimi? Katanji stał na rogu i zastanawiał się, co dalej, gdy małe drzwi się otworzyły. Wyszedł przez nie czarnoksiężnik drugiej rangi z koszem i zaczął rozrzucać karmę.

Katanjiemu przyszło do głowy, że ptaki są czarnoksiężnikami w przebraniu. A gdyby jednego złapał? Gdyby ptak zmienił się z powrotem w czarnoksiężnika, czy pióra zamieniłyby się w szatę, czy też człowiek byłby nagi? A może to więźniowie zamienieni przez czarnoksiężników, mający nadzieję, że znowu staną się ludźmi? Nowicjusz zadrżał.

Chwilę później zjawił się chłopiec, pchając wózek, na którego bokach widniały namalowane ryby. Drugi otworzył mu mniejsze drzwi i przybysz zaczął wnosić do środka skrzynki. Katanji wyszedł z za węgła i ruszył przez plac leniwym krokiem niewolnika, któremu kazano biec. Mijając skrzynki, rzucił na nie okiem. Ośmiornice?

Doszedł do wniosku, że na razie wystarczy, i zawrócił do miasta, rozkoszując się znajomymi woniami, zapachem ludzi i odorem końskiego łajna. Życie na statku szybko się nudziło człowiekowi z miasta.

Katanji skierował się ku nabrzeżu. Dwaj handlarze wchodzili właśnie po trapie, żeby potargować się z Brotą. W porządku. Miał jeszcze parę godzin.

Wszedł w zaułki, szukając niewolniczej kryjówki. W dzieciństwie często włóczył się z Kana i Jio. Co oni teraz robią? Kana pewnie wstąpił do cechu foluszników, a Jio został sprzedawcą tekstyliów jak jego ojciec.

Wszyscy trzej bardzo dużo się nauczyli, słuchając niewolników. Czasami rysowali sobie na twarzach niewolnicze kreski, choć oblatywał ich strach. Kiedy naznaczono go jako szermierza, sądził, że wyprawy na miasto się skończyły. Później stwierdził, że niewolniczy pasek dobrze zakrywa pojedynczy znak miecza, i pokusa okazała się zbyt silna. W Wal zszedł na brzeg w czasie burzy i zebrał dużo informacji, siedząc pod wozem. Dwie sztuki złota... Dzięki niemu Brota zarobiła co najmniej dwieście.

Widać Bogini pochwałała to, co robił, więc następnego dnia znowu ruszył na włóczęgę po Wal.

Niewolnicy wszędzie są tacy sami. Katanji bez trudu znalazł głęboką niszę między

domami. Pod drewnianymi schodami, które prowadziły w górę, zobaczył leżących w ciemności, smrodzie i brudzie trzech niewolników – pilnie uchylali się od pracy.

Powitali go chrząknięciami. Nowicjusz wyszukał sobie miejsce, gdzie nie było łajna, i usiadł, kuląc się przed chłodem. Przez chwilę słuchał rozmowy, kapania deszczu i brzęczenia much. Jak za dawnych czasów.

Rozmawiano oczywiście o kobietach. Niewolnicy przechwalali się, czego żądały od nich właścicielki pod nieobecność mężów. Oczywiście nie wierzyli sobie nawzajem. Doskonale wiedzieli, że marzą na jawie. Katanji pomyślał o Diwie. Maloli by go zabił, gdyby odkrył, co się przydarzyło jego ukochanej, niewinnej córeczce, i jak bardzo jej się to podobało.

Tylko kto by go uświadomił? Matarro znał prawdę. Obudził się co najmniej raz, gdy jego współlokator wracał do kajuty o świcie. Prawdę mówiąc, Katanji trochę wtedy przesadził, nadeptując mu na palce. Później Matarro próbował nastraszyć przyjaciela, że to Brota zastawiła na niego pułapkę. Uważała, że z nowicjusza będzie dobry szczur wodny. Katanji nie uwierzył. Chociaż... Na łądzie nie można w ten sposób usidlić szermierza, ale Rzeczni Ludzie mieli inne obyczaje. Z pewnością byłoby dużo zamieszania. Na szczęście Matarro nie wygadał się. Dobry chłopak, mimo że naiwny, jak to żeglarz.

Katanji bardzo delikatnie włączył się do rozmowy. Jest nowy w mieście. O co chodzi z tymi czarnoksiężnikami? Ilu ich jest? Co robią? Czy potrafią uczynić niewolnika wolnym człowiekiem?

–Sprzedadzą ci magiczny wywar – powiedział jeden z mężczyzn. Jego kolega parsknął śmiechem. Razem pracowali. – Co w tym zabawnego? – spytał trzeci, niewiele starszy od Katanjiego.

–Wiesz, z czego robią te wywary? Z końskich szczyń.

Trzeci powiedział, że z łajna.

–Nasz właściciel ma stajnię. Zbiera końskie siki, a czarnoksiężnicy kupują je od niego.

–A właśnie, że z łajna.

–Sam jesteś łajno! – burknął pierwszy. – Ale przejdź się koło tej ich wieży, a poczujesz. Cuchnie jak w stajni, a tam nie ma koni.

–Kiedyś należałem do garbarza – wtrącił Katanji. – Tam to dopiero był smród!

–Tu nie ma żadnych. Czarnoksiężnicy wypędzili wszystkich z miasta.

Znowu! Tak samo jak w Wal. Co czarnoksiężnicy mieli przeciwko garbarzom?

–A co z farbiarzami?

–Ich też. Dlaczego pytasz?

Najstarszy niewolnik zrobił się podejrzliwy. Zbyt wiele pytań.

W Aus i Wal również nie było farbiarzy. Shonsu spodoba się ta informacja.

–Słyszałem o tym, ale nie uwierzyłem – odparł Katanji. – A co z piorunami? To prawda?

–Tak. Dużo hałasu, dymu i ognia. Widziałem na własne oczy.

–Nie ma dużego huku – zaprotestował drugi. – Ja też widziałem. Tylko silny błysk. Zaczęli się spierać. Pierwszy niewolnik opowiedział, że kiedyś szedł ulicą, a z

jakiegoś budynku wyskoczył szaleniec, niewolnik wymachujący zakrwawioną siekierą. Zarąbał trzy osoby w domu i kolejne dwie na ulicy. Wtem pojawiła się przed nim smarkula, Druga. Wielki huk, dym, martwy niewolnik.

Nawet Drudzy potrafili rzucać czary? Shonsu nie będzie zachwycony.

To wszystko nic, jak oświadczył drugi. Widział szermierzy zabitych przez piorun. Pozostali wyśmiali go, więc wdał się w szczegóły. Parę lat temu, w ciemną noc, gdy chmury przesłoniły Boga Snów, wracał późno od kobiety i poszedł na skróty przez plac. Raptem ujrzał trzech szermierzy: kucyki, miecze, kilty. Pewnie zsiadli ze statku. Nieśli tobołki. Schował się w zaułku, żeby popatrzeć, bo w Sen od lat nie było szermierzy. Rozpoznał, że niosą wiązki chrustu. Domyślił się, że zamierzają podłożyć ogień pod drzwi wieży. Pomyślał, że są kompletnie pijani.

Zatrzymali się przy kracie i położyli wiązki na ziemi. W górzsi| chyba otworzyło się jakieś okno. Gdy szermierze podeszli drzwi, niewolnik dostrzegł jasny błysk i usłyszał krzyki. Nie było dużego huku, tylko odgłos, jakby pękała szyba. Może za głoi*| ny na szkło, ale na pewno nie grzmot.

Dwaj szermierze zawrócili. Jeden podtrzymywał kolegę. Trzeci został pod wieżą, martwy.

–Ugotowany. Przebiegli tuż obok mnie, więc od rannego poczułem smród przypalonego mięsa. Obejrzyjcie sobie drzwi wieży! Do dzisiaj widać ślady po osmaleniu.

Dwa rodzaje piorunów? A może demon?

Najbliżej siedzący mężczyzna otoczył ramieniem Katanjiego.

–Ładny z ciebie dzieciak – stwierdził.

–Nie!

Nowicjusz próbował się uwolnić.

–To niezłe, jeśli nie możesz mieć czegoś innego – powiedział niewolnik bez przekonania. – Spróbuj!

–Nie – zaprotestował Pierwszy, ale nie śmiał krzyknąć głośniej.

–Puść go – wtrącił najmłodszy. – Ja to zrobię z tobą.

Katanji uciekł.

Gdy dotarł do Szafira, właśnie rozładowywano towar, więc stwierdził, że ma jeszcze dużo czasu. Musiał zdobyć więcej informacji. Wrócił na plac. Deszcz padał mocniej, ciemne chmury wisiały nisko. Przy dużych wrotach czekała grupka dziesięciu albo jedenastu niewolników. Katanji pokręcił się trochę, obserwując teren. Był coraz bardziej sfrustrowany.

Raptem za plecami usłyszał turkot. W stronę wieży jechał duży wóz zaprzężony w cztery konie. Spoza miasta? Może nawet z Vul? Shonsu by wiedział. Ładunek przykryto skórzaną płachtą. Za pojazdem szli niewolnicy. Dwie grupy niewolników? Mógł przyłączyć się do którejś. Jedni myśleliby, że należy do drugich. Katanji bez wahania ruszył przez plac, nim zdążył się rozmyślić.

W połowie drogi ogarnął go strach. Co on wyprawia, w imię wszystkich bogów? Chyba postradał rozum. Ale było już za późno, żeby się wycofać. Gdyby spróbował uciec, niewolnicy podnieśliby krzyk i całe miasto rzuciłoby się w pościg. Bogini,

ratuj!

Wielka brama stała otworem. Woźnica wjechał na kratę i stał na wprost drzwi rozładunkowych. Pojawili się trzej czarnoksiężnicy, Trzeci i dwóch Pierwszych. Zdjęli skórzaną płachtę, Niewolnicy zaczęli dźwigać przywieziony towar. Na Katanjiego nikt nie zwracał uwagi.

Musi powiedzieć Shonsu, że mury są grube na długość ramienia. W takich nie da się wybić otworów.

W tym momencie ugięły się pod nim nogi. Na plecy zarzucono mu worek. Katanji ruszył chwiejnym krokiem do wieży.

Co go opętało? Usłyszą bicie jego serca! I kolana, które grzechotały jak kastaniety z powodu strachu albo obciążenia.

Powietrze cuchnęło końmi. Fúj!

W środku było ciemno. Duże pomieszczenie miało sufit na wysokości pierwszego rzędu okien i zajmowało chyba połowę szerokości wieży. Sklepienie podtrzymywały masywne belki. Pod lewą ścianą stały kosze, niektóre otwarte. W środku znajdowały się zioła. Widok po prawej stronie zasłaniał Katanjiemu worek.

Szermierz szpiegujący w wieży czarnoksiężników. Co mu zrobią, jeśli go przyłapią?

Niewolnik idący z przodu wszedł do czegoś w rodzaju dużego schowka, rzucił worek na stos i wyszedł. Katanji zrobił to samo, z ulgą pozbywając się brzemienia. Przy wejściu stali dwaj czarnoksiężnicy: Czwarty w pomarańczowej szacie i Drugi w żółtej, jaśniejszej w mroku.

Katanji masował plecy, ale pamiętał, żeby trzymać głowę opuszczoną. Ciężkie diabelstwo! Gdy mijał czarnoksiężników, jeden z nich klepnął go w ramię.

Szafir zbliżał się do nabrzeża w Sen. Honakura siedział na dębowej skrzyni, jak czarna sowa, Nnanji stał przy oknie i niecierpliwiał się, a Wallie rzucał nożami do celu. Do nadbudówki rufowej przyczłapała Brota w obszernej skórzanej pelerynie koloru marzanny. Wyglądała w niej na jeszcze większą i groźniejszą niż zwykle. Woda skapująca z okrycia tworzyła kałuże wokół stóp kobiety, ściekała z kucyka, lśniła na pulchnej brązowej twarzy i siwych brwiach.

–Nie podoba mi się to miejsce – burknęła Piąta. – Czego zamierzasz dowiedzieć się tutaj, panie?

–Nie wiem.

–Handlarze będą chcieli schronić się przed deszczem!

Wallie o tym nie pomyślał. Z żadnego innego miejsca na statku nie mógł zobaczyć tyle, co z nadbudówki. Bulaje w kajutach znajdowały się na poziomie nabrzeża albo niżej.

–Może rozwiesić zasłonę? Tak. Widziałem suszące się tu pranie. Brota przewróciła oczami na myśl o szermierzach ukrywających się za bielizną, ale wyszła, żeby wszystko zorganizować.

–Gdzie jest nasza maskotka? – zapytał Wallie. – Może powinniśmy mieć go na oku.

Nnanji pokiwał głową i ruszył do drzwi, ale w tym momencie odezwał się Honakura.

–Lordzie Shonsu? Jaką według ciebie niezwykłą rzecz zrobił czarnoksiężnik, który wszedł na pokład w Wal? A ty jak uważasz, adeptcie?

–Zabił człowieka, strzepując palcami – powiedział Siódmy.

–Nie zabił mnie następnego! – Nnanji wyszczerzył się, zadowolony z własnego dowcipu.

Stary kapłan wzruszył ramionami.

–Spodziewaliśmy się czegoś takiego. Lecz ty nie próbowałeś wyciągnąć miecza, adeptcie. W przeciwieństwie do nieżyjącego szermierza, Kandoru. Nie. Nie o to chodzi.

–Powiedz nam.

–Zaproponował, że rzuci czar pomyślności na ładunek!

Jakie błyskotliwe myśli rodziły się pod tą łysą czaszką?

–Musiał wiedzieć o ogniu – stwierdził Wallie.

–Właśnie! Zupełnie jak z tym ptakiem, którego wcześniej wyczarowali dla kapitana, prawda?

–Czyżby?

Honakura nachmurzył się, zirytowany tępotą szermierzy.

–Kiedy łapiesz niebezpiecznego jeńca, lordzie Shonsu, chwalisz się swoją szermierczą sztuką? Rzucasz jabłka w powietrze i przecinasz je w locie?

–Popisywali się?

–Jak mali chłopcy! Dlaczego?

Honakura poczynił dziwne, ale ważne spostrzeżenie. Znał się na Ludziach.

–Katanji mówi, że czarnoksiężnik był pękaty. Ta uwaga bardziej mnie interesuje – powiedział Wallie.

–Pękaty?

–Tak. Ich szaty są uszyte z bardzo ciężkiego i sztywnego materiału, ale tej nocy wiał silny wiatr i Katanji dostrzegł, że tamten człowiek był obwiązany pakunkami albo miał wielkie kieszenie. Bystry mały szelma. Co mi przypomina, Nnanji...

Honakura uśmiechnął się kpiąco.

–Nie tylko do obserwacji ma talent.

–Co masz na myśli? Przykazano mu...

Starzec ostrzegawczym gestem przyłożył palec do ust. Do nadbudówki weszła Brota z Matą. Obie rozpięły sznurek przez całą długość kajuty i rozwiesiły na nim mokre prześcieradła. Nnanji przesunął skrzynie na jedną stronę. Piąta zapewniła, że będą stąd mieli widok na port. Kamuflaż wydawał się jednak mało wiarygodny, bo kto suszy pranie w tak dżdżysty dzień. Wallie zastanawiał się, czy czarnoksiężnicy widzą przez materiał... albo przez drewno.

Nadbudówka rufowa zaczęła wypełniać się przemoczonymi żeglarzami. Dzieci miały atrakcję w postaci peleryn. Ich zabawa i niewinny śmiech mogły doskonale służyć odwróceniu uwagi klientów.

Gdy *Szafir* przycumował do nabrzeża, Wallie przypomniał sobie o Katanjim. Było jednak za późno, żeby posłać Nnanjiego po brata. Kapłan celowo odwrócił ich uwagę od chłopca, zresztą nie po raz pierwszy. Nowicjusz musiał coś knuć, a Honakura go krył. Ponieważ Katanjiemu zabroniono schodzenia na brzeg w portach czarnoksiężników, nie mógł za dużo nabroić. Wallie przestał o nim myśleć.

Tomiyano oświadczył, że skoro w Wal czarnoksiężnicy przełknęli obecność Czwartego na statku, on nie zamierza się ukrywać ani pozbywać sztyletu. Jja wymyśliła dzieciom zabawy, dzięki czemu żeglarze mogli skupić się na interesach.

Urzędnik portowy okazał się staruszką pokręconą przez artretyzm. Kobieta nie zwróciła uwagi na bliźnę kapitana, wymamrotała szybko, że szermierzom nie wolno schodzić na brzeg, przyjęła dwie sztuki złota i pokuśtykała na brzeg. Wallie doszedł do wniosku, że urzędniczka prawdopodobnie boi się zwierzchników.

Czarnoksiężnikom udało się więc wyplenić korupcję. W portach na prawym brzegu szermierze nie umieli albo nie chcieli rozwiązać problemu i łapówki przetrwały w tradycyjnej formie. Dla nich największym przestępstwem były różne odmiany przemocy. Wallie nie potrafił sobie wyobrazić, że szermierz w rodzaju Nnanjiego próbuje zrozumieć zawiłości defraudacji. Czarnoksiężnikom zależało na rozwoju handlu. Szermierzy ta kwestia nie obchodziła. Wallie, jako bardzo nietypowy szermierz, doceniał porządki zaprowadzone przez magów. Przypomniał sobie słowa półboga: "Nie myślisz jak Shonsu, i to mnie cieszy".

Nad jednym z trapów rozpięto prowizoryczny daszek i Brota usadowiła się pod nim na krzeselku. Na nabrzeżu wyłożono próbki towarów. Stara Lina zeszła po drugim trapie, żeby obejrzeć produkty oferowane przez domokrażców. Deszcz padał bez przerwy.

Wallie był znudzony i sfrustrowany. Te cholerne znaki na czole! Jak mógł w tej

sytuacji prowadzić wojnę? Nic dziwnego, że wróg z łatwością przeniknął do miast szermierzy, skoro potrafił stać się niewidzialny albo dowolnie zmieniać tatuaże. To nieuczciwe! Rozdrażniony, miał ochotę krzyknąć na dzieci, żeby się uciszyły.

Wkrótce Brota przyprowadziła dwóch kupców i podbiła cenę ze stu pięćdziesięciu do dwustu czterdziestu pięciu sztuk złota. Pasażerowie z rozbawieniem przysłuchiwali się targom, ukryci za rozwieszonym praniem. W końcu handlarze poszli dopilnować wyładunku koszy i wyrobów skórzanych.

Potem zjawił się Holiyi. Był najmłodszym z dorosłych żeglarzy, jeszcze chudszy niż Nnanji, a do tego notorycznym milczkiem. Był dość miły, ale czasem przez cały dzień nie raczył powiedzieć choćby jednego słowa.

–Ki San, Dri, Casr, Tau, Wo, Shan i Gi – wyrecytował. – Aus, Wal, Sen, Cha, Gór, Amb i Ov!

Uśmiechnął się, odwrócił na pięcie i wyszedł z kajuty. Jak na niego była to prawdziwa oracja i popis wytrenowanej pamięci, charakterystycznej dla niepiśmiennych ludów.

Tomiyano zapewne kazał mu wypytać o geografię i żeglarz spełnił polecenie. Honakura miał rację. Po siedem miast na każdym brzegu. Siedem wolnych miast na zewnętrznej pętli Rzeki i siedem opanowanych przez czarnoksiężników na wewnętrznej? Widać przesady sprawdzały się na Świecie. Po raz kolejny Wallie żałował, że nie może pisać. Nawet gdyby naszkicował mapę, powiedzmy węgielkiem, nie mógłby umieścić na niej żadnych nazw. Poprosił Nnanjiego, żeby mu powtórzył listę miast, a sam próbował nakreślić w myślach bieg Rzeki: na północ od Czarnej Krainy w pobliżu Ov zakreśla szeroki łuk w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara – wokół Vul? – i wraca na południe do Czarnej Krainy przy Aus. Jedyną wyrwę w pętli kreślonej przez Rzekę stanowił skrawek lądu między Aus i Ov, który kiedyś pokonali.

Wallie nadal dumał nad swoją mapą, gdy po trapie weszła dziwna procesja. Ruch w interesie nie słabł. Przy odrobinie szczęścia *Szafir* mógł wkrótce opuścić to nieprzyjemne miejsce.

Za Czwartym w średnim wieku podążali dwaj mężczyźni w brązowych szatach, prawdopodobnie kapłani, bo przedstawiciele innych zawodów nosili w tym wieku tylko przepaski biodrowe. Wszyscy trzej mieli skórzane parasole. Na końcu szedł krzepki i przemoczony Trzeci. Włosy kleiły mu się do twarzy. Goście przywitali się z Piątą i weszli do nadbudówki rufowej. Towarzyszyli im Brota i Tomiyano.

Okazało się, że barczysty młodzieniec to kamieniarz. Ojciec przysłał go z Cha po marmur. Trzeci chciał teraz przetransportować zakupiony towar do domu. Skoro *Szafir* kierował się w górę Rzeki...

Wallie był ciekaw, jak poradzą sobie kontrahenci bez pisemnej umowy, rachunków za fracht, banków, listów kredytowych i ochrony policyjnej poza obrębem miast. Nie przychodziły mu do głowy żadne skuteczne zabezpieczenia. Brota mogła kupić marmur, ale musiałyby uwierzyć Trzeciemu na słowo, że jego ojciec weźmie cały transport, lub zdać się na własne umiejętności. Kupcowi groziło natomiast, że towar trafi do konkurencji. Gdyby po prostu powierzył marmur Piątej, statek i jego

właścicielka mogli zniknąć razem z nim bez śladu. Gdyby popłynął razem z nimi, być może stałby się pokarmem dla piranii. Wallie uznał, że tak czy inaczej nie obejdzie się bez ślepego zaufania którejś ze stron. A co z kaprysami Bogini lub komplikacjami wynikającymi ze zmiennej geografii Świata?

Okazało się jednak, że istnieje rozwiązanie. Brota kupiła marmur za sto sześćdziesiąt sztuk złota, gderając, że nie jest wart więcej niż połowę tej sumy. Cieszący się w mieście szacunkiem handlarz, który miał wziąć prowizję, przysiągł, że po dziesięciu dniach odkupi towar za dwieście sztuk złota, jeśli Szafir przywiezie go z powrotem. Tomiyano, jako kapitan, przyrzekł, że zawiezie ładunek do Cha, a Brota, że sprzeda go kamieniarzowi za dwieście sztuk złota.

Bardzo pomysłowe, jak ocenił Wallie. Ryzyko się rozłożyło. Młody mężczyzna prawdopodobnie dostanie kamień za czterdzieści sztuk złota albo nawet mniej, jeśli ojcu uda się wytargować z Piątą lepszą cenę. Brota z kolei miała pewność, że zarobi czterdzieści sztuk złota, jeśli będzie musiała zawrócić. Marmur wyceniono drożej, żeby nie korciło jej zniknięcie wraz z towarem. Walliemu spodobała się kombinacja oraz ceremonie przysięg. Świadcami byli kapłani. Kamieniarz przysięgał na swoje dłuto, Brota na miecz, Tomiyano na statek, a handlarz na złoto.

O ile prostsze byłoby wszystko, gdyby na Świecie wymyślono pismo. Zastanawiał się, dlaczego jeszcze tego nie zrobiono. Czyżby interweniowali bogowie?

Wkrótce zaczęto ładować marmur na Szafir. Teraz Wallie zrozumiał, dlaczego za siedem lub osiem dni żeglowania ustalono taką opłatę. Po raz pierwszy użyto bomu ładunkowego. Wszyscy wstrzymali oddech, gdy wielki kamienny blok zawisł nad statkiem. Jeden błąd i uderzyłby prosto w stępkę, a bezradny, osłabiony szermierz utknąłby w mieście czarnoksiężników. Wallie zaczął mamrotać pod nosem przekleństwa. Niech diabli wezmą Brotę, że ryzykuje w takim miejscu!

Nie pękła jednak żadna lina, nie urwał się żaden z ośmiu bloków, tylko Szafir zanurzył się głębiej. Wóz i świadkowie odjechali. Honakura wrócił ze zwiadów cały mokry od deszczu. Członkowie załogi rozpoczęli przygotowania do wypłynięcia z portu.

Z punktu widzenia Walliego wizyta w Sen była bezcelowa, choć Honakura zapewne dowiedział się paru ciekawych rzeczy.

–Nie będę żałował, że odpływamy – stwierdził szermierz. – To przygnębiające miasto. Nnanji pokiwał głową.

–I obiad się spóźnia.

Z hukiem wciągnięto trapy.

Pod dotykiem czarnoksiężnika Katanji podskoczył jak zając, a z jego ust wyrwał się pisk strachu. Cały oblał się potem. Nie odrywając wzroku od ziemi, próbował powiedzieć: "Adepcie?", ale z gardła wydobył się tylko skrzek. Strach mógł go zdradzić.

–Ten nie ma za dużo mięśni – zauważył Drugi. Co zamierzali z nim zrobić? Ugotować?

–Nie chodzi mi o mięśnie, tylko o wytrzymałość – stwierdził Czwarty grzmiącym głosem.

Tortury? O, Bogini!

Żaden z czarnoksiężników nie odezwał się do niego, więc Katanji stał, drżąc jak osika. Niewolnicy przechodzili obok z workami na plecach. Czwarty klepnął po ramieniu następnego.

–Ty!

Mężczyzna był niewiele starszy od Katanjiego, wyższy, ale równie żylasty. Zareagował jeszcze głośniejszym i bełkotliwym jękiem. Wyraźnie trzęsły się pod nim kolana. Wszyscy niewolnicy bali się czarnoksiężników, więc przerażenie nie zdradziło nowicjusza. Lecz kiedy spojrział na ich twarze...

–I ty! – powiedział Czwarty, wybierając kolejnego. – Chodźcie ze mną.

Zostawiwszy Drugiego, żeby pilnował rozładunku, adept przeszedł obok wielkiego żelaznego pieca z dwoma wrzącymi i cuchnącymi kotłami, stosem drewna opałowego i górą worków. Jeden z nich był otwarty. Wysypywał się z niego węgiel drzewny. Dalej znajdował się długi stół, zastawiony dużymi i małymi garnkami, wielkimi butlami z ciemnozielonego szkła i trzema wielkimi miedzianymi garami, które Shnonsu widział w Aus. Były wyszczerbione i poczerniałe od długiego używania. Prawie nagi młodzieniec, lśniący od potu, zawzięcie dął w miechy przed paleniskiem większym niż w kuźni. Gdy uniósł głowę, Katanji dostrzegł na jego czole wytatuowane ptasie pióro. Los czarnoksiężnika pierwszej rangi okazał się jeszcze mniej zabawny niż los szermierza pierwszej rangi. Chłopak był mniej więcej w wieku Nnanjiego.

Dotarli do brązowych schodów wijących się spiralą przy murze. Pod nimi stała duża drewniana kadź. Gdy Katanji postawił nogę na pierwszym stopniu, woda w kadzi nagle zasyczała i buchnęła parą. Chłopak podskoczył i pisnął ze strachu. Omal nie stracił kontroli nad pęcherzem.

Czarnoksiężnik, który wszedł już na czwarty stopień, parsknął śmiechem. Wyciągnął rękę i powiedział krótkie zaklęcie w języku, którego Pierwszy nie znał.

–Teraz nie stanie ci się krzywda – uspokoił chłopca. – Wchodź na górę!

Katanji ruszył niepewnie po schodach. W kadzi znowu zasyczało, a dwaj niewolnicy idący za nim wydali stłumione okrzyki, równie przerażeni jak on.

Schody zakręciły dwa razy, nim dotarli na następny poziom, a kadź zabulgotała pod nimi pięć razy. Gdy już się wspięli na trzecie piętro, wszyscy sapali.

Czarnoksiężnik ruszył ciemnym korytarzem, minął dwie pary zamkniętych drzwi i wszedł do dużego pomieszczenia. Katanji zobaczył otwór w podłodze, wiszące nad nim liny i wielki drewniany bęben oplatany sznurami, pełen kół i przekładni. W jednej

ze ścian, kamiennej, znajdowało się okno, dwie były drewniane, a czwartą niemal zasłaniały stopy worków. W środku czekało czterech czarnoksiężników: dwóch Pierwszych i dwóch Drugich. Nowicjusz z rosnącym przerażeniem spojrzął na urządzenie podobne do bębna. Tortury?

–Pospieszcie się! Wchodźcie! – rozkazał Czwarty, wskazując na drewnianą konstrukcję.

Katanji nie zrozumiał, ale dwaj niewolnicy chwycili poprzeczkę i wdrapali się na bęben wyposażony w krótkie łopatki. Chłopak poszedł za ich przykładem i urządzenie zaczęło się obracać z donośnym skrzypieniem.

Czwarty wziął skądś bat i ze świstem przeciął powietrze.

–Pracujcie albo obedrę was ze skóry!

Wszyscy trzej natarli na poprzeczkę, mocniej przebierając nogami. Wał poruszał się coraz szybciej i hurgotał głośnie. Katanji stał pośrodku i zerkał na swoje chude ramiona między dwiema parami muskularniejszych, na wielką dziurę w podłodze, na liny. Wkrótce biegł, starając się dotrzymać tempa towarzyszą. Zastanawiał się, czy biegnie ku śmierci. Kiedy zobaczył, że liny idą w górę, a następnie nawijają się na bęben, stwierdził, że to nie jest żadna magia. Niewolnicy napędzali go własnymi mięśniami. Robota była straszna.

Gdy znowu trzasnął bat, Katanji nagle uświadomił sobie, że w przeciwieństwie do prawie wszystkich niewolników nie ma blizn na plecach. Czy ten fakt nie zastanowił czarnoksiężników? Może będzie ich korciło, żeby mu zrobić parę szram, dla samej zasady?

Szybciej i szybciej. Nowicjusz z trudem łapał oddech, twarz i szyja ociekały mu potem, serce waliło jak młot, w ustach zaschło. Pozostali dwaj mężczyźni też dyszeli, choć obaj byli od niego potężniejsi. Wkrótce w otworze pojawił się stos worków. Czwarty pociągnął za rączkę i bęben zatrzymał się, a trzej nieszczęśnicy omal nie przelecieli nad poprzeczką. Czarnoksiężnicy wybuchnęli śmiechem, jakby na taki widok czekali.

Niewolnicy wytarli twarze. Katanji powstrzymał się w samą porę. W tym pomieszczeniu było jaśniej niż na dole. Gdyby ktoś spojrzął uważniej na jego niewolniczą kreskę... A jeśli tłuszcz i sadza spłynęły razem z potem? Katanji trzymał głowę opuszczoną, ręce na poręczach i odpoczywał. Bał się, że zaraz mu pęknie serce. Jego towarzysze również dyszeli ciężko. Młodszy czarnoksiężnicy ostrożnie układali worki w stos. Choć na pozór wszystkie wyglądały tak samo, czymś jednak się różniły, bo kładziono je w różnych miejscach wzdłuż ściany.

–Gotowe! – krzyknął Czwarty.

Zwolnił blokadę i wał przesunął się pod stopami Katanjiego. Niewolnicy zaczęli dreptać w miejscu. Opuszczenie platformy wymagało prawie tyle samo trudu co jej podniesienie. Pierwszy usłyszał, że na dole ładują na nią następne worki. Ze zgrozą przypomniał sobie wielki wóz załadowany po brzegi.

Pomyślał o *Szafirze*. Co zrobi, jeśli statek odpłynie bez niego? Świsnął bat i mordęga zaczęła się od nowa...

Cykl powtórzył się dwadzieścia razy. Katanji drżał z wyczerpania. Nie obchodziło

go już, czy ktoś odkryje jego tożsamość, byle tylko pozwolono mu gdzie się położyć. W ustach miał smak błota, serce łomotało. Czasami w pomieszczeniu robiło się ciemno. Wtedy wiedział, że jest bliski omdlenia. Gdyby upadł, zobaczyliby jego twarz.

Adept często strzelał z bata, ale go nie używał, mimo że wciągnięcie ostatnich ładunków trwało za każdym razem dłużej. Jeden z juniorów zaproponował, że pójdzie po świeżą siłę roboczą, ale Czwarty odparł, że nie warto, bo już prawie skończyli.

Idąc korytarzem, Pierwszy włókł się na końcu. Ledwo szedł. Nogi miał jak z ciasta. Dwie pary drzwi były teraz otwarte. Przechodząc obok nich, Katanji zwolnił i zerknął do środka. W pierwszym pokoju siedziała przy stole Druga. Obracała szybko talerzem. Chyba rzucała czar. Sprawiała wrażenie znudzonej. Wyglądała na jakieś dwadzieścia pięć lat, była całkiem ładna, ale mimo żółtej szaty miała na czole nie dwa tylko trzy znaki. I to nie ptasie pióra! Katanji nie wiedział co, ale z całą pewnością nie pióra.

W drugim pokoju nie zobaczył nikogo, tylko parę krzeseł i stołów. Na jednym z nich stały srebrne naczynia z wysokimi piórami w środku. Musiały mieć coś wspólnego z tatuażami. Półki ciągnące się wzdłuż ściany były zastawione setkami brązowych pudełek różnych kształtów, zrobionych najpewniej ze skóry.

Gdy dotarli do schodów, Katanji chwycił się kurczowo poręczy, bo nogi ugiwały się pod nim coraz bardziej. Płyn w kadzi syczał i bulgotał, ale tym razem chłopiec się nie przestraszył. Próbował dojrzeć więcej szczegółów, choć w ogromnym pomieszczeniu zajmującym chyba pół wieży panował mrok. W długiej ścianie znajdowały się dwa okna, a w dwóch krótkich po jednym. Przez całą długość sali biegły stojaki oraz półki z butelkami i pakunkami. Jak można było zapamiętać, co jest w którym? Pierwszy nadal dał w miechy. Inny nowicjusz mieszał coś w moździerzu dużym jak wanna.

Na zbadanie wszystkiego Katanji potrzebował więcej czasu, ale nie odważył się zatrzymać. Ze zmęczenia mózg odmawiał mu posłuszeństwa. Przez szarą mgłę chłopiec dostrzegł w głębi pomieszczenia miedziany wąż, znacznie większy od tych, które niedawno widział, kamień szlifierski oraz mniejszą wersję znajomego kieratu, a przy drzwiach złotą kulę na kolumnie, dostatecznie dużą, żeby mógł w niej stanąć człowiek, gdyby była pusta w środku. Magiczny przedmiot czy posąg Boga Słońca? Obok wiły się jakieś rury, wisiały liny, stało parę stołów zawalonych rupieciami i leżały dwa stosy worków. Chwilę później Katanji wyszedł na rampę. Wóz już odjechał. Przy bramie czekali niewolnicy.

Znalazł się w pułapce! Przystanął i rozmyślał gorączkowo. Jego dwaj spoceni towarzysze skierowali się, kulejąc, do dwóch różnych grup. Do której powinien dołączyć? Czarnoksiężnicy chcieli zamknąć bramę. Katanji udał, że coś wpadło mu do oka.

Stanął na kracie z brązu i zawahał się. Tymczasem szefowie policzyli, że grupy są w komplecie i dali znak do wymarszu, nie zwracając uwagi na chłopca. Katanji ruszył z westchnieniem ulgi za jedną z nich. Wrota zatrzasnęły się z głośnym hukiem. Deszcz rozkosznie chłodził rozpaloną skórę. Nowicjusz został w tyle za niewolnikami,

potem schował się za tęgą matroną trzeciej rangi, jakby była jego właścicielką. W ten sposób dotarli do pierwszych budynków. Dalej chłopiec poszedł sam. Drżał z zimna.

Szafir pewnie już odpłynął, a jego nieobecności mogli na pokładzie jeszcze długo nie zauważyć. Był szermierzem uwięzionym w mieście czarnoksiężników. Musiałby chyba pójść do świątyni...

–Katanji?

Chłopak aż podskoczył.

–Dobrze się czujesz? – zapytała z troską stara Lae o pomarszczoną macierzyńskiej twarzy. Katanji z trudem opanował szczękanie zębów.

–Tak, w porządku. Właśnie wracałem.

Opuścił głowę jak przystało na niewolnika. Piekły go oczy. Kobieta zrobiła zagniewaną minę.

–Shonsu i twój brat wychodzą z siebie. O mały włos tu nie zostałeś! Zgadłam, że będziesz się kręcił w pobliżu wieży. Chodź!

Katanji ruszył obok Lae, ale przypomniał sobie, że jest niewolnikiem, więc zwołnił kroku. Kobieta kilka razy odwracała głowę.

–Wyglądasz, jakbyś miał ciężki dzień – powiedziała łagodniejszym tonem.

Chłopakowi udało się uśmiechnąć. Czuł się trochę lepiej.

–Byłem w wieży.

Lae stanęła jak wryta, tak że przechodnie musieli ich omijać. Ulica była wąska.

–O, bogowie! Chłopcze, masz więcej odwagi i mniej rozumu niż twój brat! Nie sądziłam, że taka rzecz jest możliwa.

Uważał, że ma więcej rozumu, ale tego nie powiedział. Zgadzał się co do odwagi.

–O, to nie było trudne. I bardzo interesujące. Zobaczyłem wiele rzeczy...

Katanji przygryzł wargi, żeby nie zacząć się śmiać i paplać.

–Wejść może było łatwo, ale że się wydostałeś! Wyglądasz marnie. Chodźmy.

Dotarli do ulicy biegnącej wzdłuż nabrzeża. Dwóch patrolujących czarnoksiężników nawet na nich nie spojrzęło. Lae znowu przystanęła i obejrzała nowicjusza od stóp do głów.

–Zaprowadzę cię na pokład, weźmiesz prysznic, a potem będziesz spał w mojej kabinie. Shonsu i Nnanji nie opuszczą nadbudówki, póki nie wypłyniemy z portu, a później dopilnuję, żeby trzymali się od ciebie z daleka.

–Dzięki.

Brota uważała się za panią statku, ale z kłopotami wszyscy szli do Lae. Katanji marzył o tym, by się wyspać, ale nie był pewien, czy żeglarka zdoła powstrzymać wściekłego Shonsu. Wchodząc na pokład, dostrzegł zarówno uśmiechy, jak i mordercze spojrzenia, ale Lae pilnowała go niczym kwoka. Stała przed drzwiami, kiedy brał prysznic. Gdy pompował wodę, mięśnie odmawiały mu posłuszeństwa. Drżał coraz bardziej. Niech to diabli! Kobieta podała mu kilt. Nowicjusz ruszył za nią do kabiny, słaniając się ze zmęczenia.

Kabina była niewielka jak wszystkie na statku, ze zrolowanym pościeleniem i skrzynią, ale na podłodze leżał mały dywanik, na koi haftowana kapa, a przy bulaju wisiały jasne zasłonki. Pachniało w niej lawendą jak w szafie jego matki. Katanji

rozwinął pościel i wyciągnął się ostrożnie.

–Potrzebujesz jeszcze czegoś, nowicjuszu? Chcesz jeść?

–Wody, żeglarzu Lae. I dziękuję za wszystko.

Kobieta uśmiechnęła się z przymusem.

–Dopilnuję, żeby nikt ci nie przeszkadzał.

Chłopiec myślał, że zaśnie od razu, ale leżał i trząsał się z zimna. Zdjął kilt i naciągnął na siebie koc, niewiele to jednak pomogło. Doszedł do wniosku, że się przeziębził. Powinien chyba odmówić jakieś modlitwy. W tym momencie otworzyły się drzwi. Wodę przyniosła mu Diwa.

Gdy odstawił kubek, spróbowała położyć się obok niego na koi. Katanji przełknął ślinę.

–Nie! Będą cię szukać!

Dziewczyna zachichotała.

–Nie martw się. Wiedzą o nas. Ooo! Jesteś zimny jak ryba!

Lae powiedziała, że to pomoże.

Pomogło. Jeszcze jak. Diwa go objęła. Katanji podbródkiem zsunął jej chustę i wtulił głowę między piersi. Były duże, miękkie, ciepłe i pachniały świeżym chlebem. Rozczulony chłopak zmoczył je łzami. Miał nadzieję, że dziewczyna tego nie zauważyła.

W końcu przestał drżeć. Zrobiło mu się cieplej. Pomyślał, że powinien zachować się teraz jak mężczyzna, bo to może być jego ostatnia okazja, ale zasnął w mgnieniu oka...

Oczywiście to Diwa zatrzymała *Szafir*. Wściekła Brota wepchnęła ją, pochlipującą i roztrzęsioną, do nadbudówki rufowej, żeby powiedziała szermierzom, gdzie jest Katanji. Tomiyano stał za nią, czerwony ze złości. Pozostali tłoczyli się z tyłu. Kajuta wypełniła się zagniewanymi ludźmi. Zdjęto mokre pranie, żeby zrobić więcej miejsca. Słychać było podniesione głosy.

Statek po raz trzeci zawinął do portu czarnoksiężników. Po raz czwarty narażono żeglarzy na niebezpieczeństwo, stąd ich przerażenie i wściekłość. Wallie niepokoił się o Katanjiego. Nnanji był zgorszony, że szermierz udaje niewolnika i okrywa się hańbą. Maloli, krępy, silnie zbudowany mężczyzna o rumianej twarzy, płonął z oburzenia. Tylko kojący wpływ żony powstrzymał go od wypowiedzenia słów, które Czwarty uznałby za obrazę. Lecz nawet spokojna Fala miała zaciśnięte usta i rozgoryczoną minę. Katanji skompromitował ich córkę. Wszyscy się przekrzykiwali.

–Cisza! – ryknął Wallie.

Harmider ucichł.

–Później porozmawiamy o winie i hańbie. Teraz was proszę, żebyście wysłali ludzi na poszukiwanie. Jeśli chłopak został schwytany, musimy być gotowi do opuszczenia portu.

–Jeśli go złapano, diabły przybędą tu lada minuta!

–To prawda, ale pamiętacie czarnoksiężników z przystani koło Ov? Nie powstrzymali nas przed odpłynięciem, więc ich moc nie obejmuje Rzeki. Jeśli Katanji jest w niewoli, proponuję siebie na wymianę...

–Siódmy za Pierwszego? – krzyknął Nnanji.

–To moja wina. Uspokój się, bracie, proszę. Pani?

Gdyby chodziło o innego pasażera, Brota kazałaby podnieść żagle. Nowicjusz miał urok. Wszyscy go lubili. Gdy żeglarze trochę się uspokoili, przypomnieli sobie historie o czarnoksiężnikach i torturach. Brota niechętnie zgodziła się, żeby zostali i poszukali Katanjiego. Ci, którzy nie zdążą na statek, mieli spotkać się o północy w świątyni i czekać na szalupę.

Członkowie załogi wyruszyli na miasto.

Wallie czuł się źle. Skoro nie dawał sobie rady z jednym nowicjuszem, jak mógł poprowadzić armię?

–Mówiłem mu, żeby nie schodził na brzeg!

–Powiedziałeś, żeby się nie ważył postawić nogi na trapie! – warknął Nnanji. – Przebranie! Niewolnik!

–Sam dałem przykład – stwierdził Wallie.

–Przynajmniej nic nie majstrowałeś przy znakach. Znaki cechowe były dla Ludzi świętością.

Rozmowę przerwali im żeglarze, którzy schronili się przed deszczem.

Wydawało się, że czas stanął w miejscu. Przybył urzędnik portowy i spytał, dlaczego jeszcze nie odpłynęli, skoro dobili targu. Potrzebne było miejsce postojowe. Brota opowiedziała bajeczkę o zatruciu pokarmowym i wyprawie po uzdrowicieli.

Rozpadało się na dobre.

Wallie nie mógł znaleźć sobie miejsca.

Ile czasu zajmie czarnoksiężnikom wydobyć prawdę z młodego nowicjusza?

I co się wtedy stanie? Narażono załogę Szafira na niebezpieczeństwo dla nikłej szansy uratowania jednego żółtodzioba. Zwykła kalkulacja podpowiadała, żeby statek odpłynął, póki to możliwe. Dobry generał podjąłby taką właśnie decyzję. Wallie umiał liczyć, ale nie potrafił działać.

Mała Fia wpadła do nadbudówki, krzycząc, że idą Lae i Katanji, Wallie westchnął z ulgą i odmówił cichą modlitwę do Bogini i Małego.

–Obedrę go ze skóry! – mruknął Nnanji, ale oczy mu błyszczały z radości.

Kilka minut później Katanji wszedł po trapie jak zbity pies i ruszył za Lae do jej kabiny. Żeglarze popędzili na stanowiska, a szermierze nareszcie zostali sami. Wallie oskarżycielsko wskazał palcem na Honakurę, który siedział na skrzyni i uśmiechał się błogo.

–Wiedziałaś, że on coś knuje!

Starzec kiwnął głową, zadowolony z siebie.

–Pozwoliłeś mu tak ryzykować...

–Ryzykować?! – wykrzyknął Nnanji. – Taki jest jego zawód! Ale pogwałcenie prawa to... rzecz karygodna!

–Czyżby? – Honakura uniósł brwi. – Przepisy są niejasne, nie to co sutry, adeptcie. Jakie konkretnie prawo Sen złamał twój protegowany?

–Ja...

–O? Nie wiesz? – Kapłan uśmiechnął się drwiąco.

Nnanji poczerwieniał z wściekłości.

–Wszystkie prawa zabraniają przerabiania w jakikolwiek sposób znaków cechowych!

–Katanji nie przerobił swojego. Namalował na nim pasek, który się zmyje.

–Więc przestępstwem jest zmiana zawodu!

–Niewolnictwo to nie zawód.

Mimo kiepskiego nastroju Siódmy docenił humorystyczne aspekty rozmowy. Stary kapłan próbował zapędzić Nnanjiego w kozi róg. On sam nie widział nic złego w przebierankach. Z boskiej zagadki wynikało, że Katanji mógł zdobyć cenne informacje, więc wszystkie chwytły były dozwolone. Walliemu zaświtała nadzieja.

–Zmiana rangi zawsze jest wykroczeniem! – upierał się Czwarty.

–Nie zgadzam się. Wszystkie znane mi prawa zakazują samowolnego podnoszenia rangi. Twój brat ją obniżył.

Adept coś wymamrotał w odpowiedzi.

–Czy Katanji to zrozumiał, starcze? – zapytał Wallie.

–Może nie od razu – przyznał Honakura. – Ale wszystko mu wyjaśniłem.

–Namąciłeś w głowie mojemu protegowanemu, ty...

–Spokojnie, Nnanji! – powiedział mentor. – Kapłan ma dobre argumenty. Nie wydaje się, żeby doszło do naruszenia prawa. Kto tworzyłby przepis zabraniający szermierzowi noszenia niewolniczego paska na twarzy? Martwi mnie natomiast...

–Honor!

Drzwi się otworzyły i do nadbudówki wszedł młody Matarro. Oczywiście miał wielkie jak odplywniki Szafira.

–Poszedł do wieży, panie!

–Co zrobił?

–Był w wieży czarnoksiężników! Lae mówi, że widział różne rzeczy!

Nowicjusz Matarro wrócił do swoich obowiązków. Statek wypłynął z portu.

“Musisz od drugiego wziąć mądrość”. Wallie spojrzał na Nnanjiego. Czwarty wyglądał na poruszonego.

–Adepcie, gratuluję protegowanego o niezwyklej odwadze!

Szermierz nie mógł powiedzieć koledze większego komplementu. Przedstawiciele tego zawodu uważali bowiem, że odwagi i honoru można nauczyć, wyłącznie świecąc przykładem.

Nnanji kilka razy otworzył i zaniknął usta. W końcu jednak zwyciężyła wierność zasadom, i gniew.

–Czy odwaga usprawiedliwia hańbę, panie bracie?

–Nie widzę żadnej hańby! Katanji nie może na razie służyć Bogini mieczem.

Próbuje wypełniać jej cele najlepiej, jak potrafi. Jestem zaskoczony poświęceniem nowicjusza. Podziwiani jego heroizm.

Adept wziął kilka głębokich oddechów i uśmiechnął się niepewnie.

–Cóż, odważny z niego szczeniak...

–Stara się być godzien swojego mentora.

Nnanji poczerwieniał, bąknął coś pod nosem i odwrócił się. Wallie i Honakura wymienili uśmiechy.

Teraz przyszła pora naprawić szkody. Stosunki z załogą znowu uległy pogorszeniu.

–Poinstruowałeś nowicjusza, żeby trzymał się z dala od dziewcząt, protegowany?

– spytał Wallie.

Nnanji obejrzał się na mentora zaskoczony.

–Tak! Ale oczywiście...

Wzruszył ramionami.

–Co oczywiście?

Czwarty uśmiechnął się złośliwie.

–Wiedział, że nie mówię poważnie. Żaden szermierz nie potraktowałby serio takiego rozkazu, panie bracie!

–A ja owszem!

Nnanji zrobił zdziwioną minę.

–Dlaczego? Dla szermierza to honor...

–Żeglarze mogą sądzić inaczej!

–A nie powinni!

Bogowie, dajcie mi siłę! Adeptowi jakimś cudem udawało się łączyć purytańskie zasady z moralnością łotrzyka.

–Mówiłem ci, że nie jesteśmy wolnymi szermierzami. Nawet gdybyśmy byli...

Drzwi znowu się otworzyły. Tym razem stanął w nich kapitan. Z wyciągniętą ręką

podszedł do Nnanjiego. Tomiyano uśmiechnięty?

–Na pewno jesteś dumny z brata, adeptcie! Był w więzy!

Czwarty niepewnie uściśnął podaną dłoń i przybrał skromny wyraz twarzy.

–Spełnił obowiązek, żeglarzu.

–Może tak, ale to wymagało bardzo dużej odwagi...

Wieść o wyczynie Katanjiego rozniosła się po statku lotem błyskawicy. Ponieważ bohater był niedostępny, żeglarze przybiegli do nadbudówki rufowej, żeby złożyć gratulacje Nnanjiemu. Czwarty pęczniał z dumy jak garłacz. Wallie i Honakura uśmiechali się do siebie porozumiewawczo.

Gdy zjawił się Maloli, atmosfera w kajucie nagle zgęstniała.

–Adeptcie, przepraszam za wszystko, co wcześniej powiedziałem – wykrztusił żeglarz. – Wszyscy jesteśmy dumni z twojego brata. Cieszymy się, że Diwa... mogła mu pomóc. To odważny chłopak... i człowiek honoru!

–Oczywiście!

Nnanji rzucił Walliemu spojrzenie, które miało mówić: “A nie mówiłem!”.

–Ma dobry wpływ na Diwę – odezwała się Fala. – Teraz rozumiemy, dlaczego był w jej kabinie, i cieszymy się, że nasza córka mu pomogła.

Czwarty z trudem zachował powagę.

–Katanji wie, jak szermierz powinien traktować damę.

–Naturalnie – bąknęła Fala niepewnie i oblała się rumieńcem.

Wallie poddał się. Zrozumiał, że jest tu obcy. Podejrzewał, że wszyscy wiedzą, o co chodzi, ale kto odważyłby się teraz cokolwiek zarzucić nowicjuszowi.

Pod wieczór deszcz ustał. Katanji przyszedł na wspólną kolację. Nadal się trząsał i był tak zesztywniały, że ledwo mógł chodzić, ale świetnie zagrał Bohatera Roku. Wallie i Nnanji dostali kapitańską zgodę na wyciągnięcie mieczy na pokładzie i oddali Pierwszemu salut. Chłopak uśmiechnął się szeroko i otoczył ramieniem Diwę.

Lecz szkoda się stała. Brota oświadczyła, że Tau to koniec podróży. Szafir popłynie do Cha, żeby dostarczyć marmur, ale dalej już nie. Jeśli lord Shonsu nie zwerbuje szermierzy w Tau, zostanie odwieziony z powrotem do Casr. Rodzina zajmie się handlem jak do tej pory, prawdopodobnie na trasie Dri-Casr. Obowiązki wobec Bogini wypełniła. Oczywiście czas miał pokazać, czy Najwyższa zgadza się z tą opinią.

Wróciła ładna pogoda. Rzeka płynęła teraz ze wschodu. Góry RegiVul leżały na południu. Przez kilka dni Wallie i Honakura wyciągali informacje od Katanjiego, jakby obierali cebulę warstwa po warstwie. Nnanji siedział obok nich i magazynował dane w pamięci.

Nowicjusz starał się, jak mógł. Nie można było odmówić mu daru obserwacji. Mimo wielkiego napięcia i strachu pilnie rozglądał się wokół siebie. Lecz wszystko, co ujrzał, musiało zostać przefiltrowane najpierw przez jego, a potem Siódmego doświadczenia, żeby dało się wyrazić słowami. Gdzieś po drodze fakty zmieniły się w domysły.

Dowiedzieli się jednak najważniejszego: że czarnoksiężników można oszukać. A złote kule? Pióra w srebrnych pojemnikach? Czemu służyła cała zwariowana

działalność w wieży? Co ucierano w mózdzierzu. Przynętę na demony? Co bulgotało w kadzi? Ile istniało rodzajów piorunów i dlaczego demony ognia wezwano tylko w Ov? Jakże Wallie żałował, że Katanji nie mógł zabrać kamery na niebezpieczną wyprawę do siedziby wroga!

Co czarnoksiężnicy mieli przeciwko farbiarzom i garbarzom? Do jakiego stopnia ich działania były skuteczne? Niektóre rzeczy musiały być bezsensowne i nielogiczne jak czarna magia, średniowieczna alchemia albo upodobanie Honakury do liczby siedem. Im więcej Wallie się dowiadywał, tym mniej wszystko miało dla niego sensu. Jego frustracja rosła z każdym dniem.

Szafir w końcu dopłynął do Tau.

Pewnego ranka Siódmy wziął floret i rzucił wyzwanie protegowanemu, choć jeszcze utykał. Gdy punktacja wyniosła dwadzieści jeden do zera, spocony rudzielec musiał przyznać, że Shonsu wrócił do zdrowia i już nie trzeba mu matkować.

–A ja, panie bracie? – zapytał, patrząc bacznie na mentora.

–Dobrze sobie radzisz.

–Piąty?

–Bardzo blisko. Z pewnością warto spróbować.

Bóg Słońca w całym splendorze nie mógłby rozbłysnąć jaśniejszym blaskiem. W małej armii lorda Shonsu nie potrzeba było Szóstego, więc gdyby adept Nnanji został mistrzem Nnanjim, stałby się zastępcą dowódcy.

Dobrze było znaleźć się na łądzie po tylu tygodniach żeglugi, kuśtykać po wąskich, zatłoczonych ulicach z chioxinem na plecach, przyglądać się ludziom i budynkom. Cywile schodzili Siódmemu z drogi. Samo Tau okazało się przyjemną niespodzianką.

Każde miasto leżące nad Rzeką było inne. Tau bardziej przypominało miasteczko, w którym odbywają się jarmarki. Gdy *Szafir* dobijał do portu, Wallie odniósł dziwne wrażenie, że już kiedyś je widział: strzechy, ciemne dębowe belki na frontach domów, ściany w kolorze ziemi. W pierwszej chwili określił ten styl jako średniowieczny europejski, ale kiedy ruszył alejką, która uchodziła za główną ulicę, zwrócił uwagę na poczerniałe belki starych domów i wyblakłe tynki.

Tau wyglądało jak gotowa scenografia do filmu o wesołej Anglii z czasów Tudorów. Górne piętra wystawały nad ulicę, zacinając brudne kocie łby, a pas błękitnego nieba był obramowany okapami. Butelkowe szkło w rombowych oknach odcinało światło dzienne i rzucało na patrzącego wielobarwne refleksy. Na szyldach widniały rysunki towarów. Co prawda przepaski biodrowe i kolorowe szaty stanowiły pewien dysonans, ale zafascynowany Wallie miał wrażenie, że przeniósł się do szekspirowskiego Londynu. Zastanawiał się, czy w mieście jest teatr i kto tworzy sztuki.

Brota uroczyście obiecała, że nie odpłynie bez Siódmego. Wallie szukał szermierzy, ale czuł się jak więzień na przepustce albo jak dziecko na targu. W pewnym momencie, gdy mimo rangi utknął w ciżbie, odwrócił się do Nnanjiego, uśmiechnął i oznajmił:

–Podoba mi się to miasto!

Czwarty zmarszczył nos.

–Też coś!

Główna ulica była tak wąska, że najmniejsza przeszkoda tamowała ruch. Dopiero teraz Wallie dostrzegł przyczynę zatoru. Fura z jabłkami zaczepiła kołem o ręczny wózek wyładowany lśniącymi niebieskimi płytkami. Zderzenie spowodowało, że czerwone owoce posypały się w błoto. Zerkając ponad głowami, Wallie dostrzegł chłopców kradnących jabłka, podczas gdy furman kłócił się z właścicielem wózka. Aluzje do przodków, rady i wyzwiska stawały się coraz bardziej obelżywe. Sprzeczka w każdej chwili mogła przerodzić się w bójkę. Ludzie, którzy mieli pilne sprawy do załatwienia, tracili cierpliwość i złorzeczając, próbowali łokciami utorować sobie drogę.

Na skraju tłumu widać było rękojeść miecza podskakującą jak korek na wodzie, ale nikt nie zwracał uwagi na szermierza, który usiłował interweniować. Wallie doszedł do wniosku, że czas przystąpić do działania.

Skoro nie pomogła ranga, zaczął przepychać się przez ścisk. Dotarłszy do centrum zbiegowiska, położył ciężką dłoń na ramieniu właściciela płytek. Mężczyzna obejrzał się ze złością i na jego twarzy odmalował się respekt. Właściciel jabłek przerwał tyradę na temat rodowodu adwersarza do czwartego pokolenia wstecz. Obaj z wyraźną ulgą czekali na polecenia. Wallie rozkazał furmanowi i potężnemu niewolnikowi unieść jeden koniec ręcznego wózka, a sam chwycił za drugi. Właściciel

plytek nasadził koło na oś. W tym czasie Nnanji kierował ruchem. Wkrótce ludzie się rozeszli, rzucając na koniec kilka rubasznych komentarzy.

Miejscowy szermierz okazał się bardzo młodym Drugim, niewiele starszym ani większym od Katanjiego. Nic dziwnego, że nie udało mu się przywrócić porządku. Błady i przestraszony, wlepił wzrok w gościa. Drżącą ręką sięgnął po miecz.

–Zostaw! – powstrzymał go Wallie.

Drugi wykonał cywilny salut i przedstawił się jako uczeń Allajuiy. Siódmy mu odpowiedział, ale nie tracił czasu na dalsze prezentacje.

–Chcę złożyć wizytę dowódcy – oznajmił. – Wskaż mi drogę do koszar.

Coraz bardziej zdenerwowany Allajuiy wskazał najbliższe drzwi. Wisiał nad nimi brązowy miecz i wielki but. Powinni byli zauważyć je wcześniej.

–Gdzie w takim razie jest dowódca?

–On... jest tutaj, panie.

Wallie zerknął na Nnanjiego. Czwarty zrobił zdziwioną i podejrzliwą minę. Gdy przybysze skierowali się do drzwi, uczeń Allajuiy wziął nogi za pas, nie czekając na formalne pozwolenie.

Warsztat był mały i zagracony. Belki sufitowe znajdowały się wyjątkowo nisko. Pod oknem siedział Piąty i dwaj Drudzy. Wszyscy trzymali na kolanach szewskie kopyta i zapamiętałe tłukli w nie młotkami. Podłogę wokół nich zaścielały kawałki skóry. W powietrzu unosił się jej ostry zapach.

Mężczyzna w czerwonej szacie zerwał się ze stołka i rzucił do witania gości. Na jego twarzy malował się taki sam lęk jak wcześniej u młodego szermierza. Mocno zbudowany i prawie łysy Piąty miał około czterdziestki, barki zapaśnika, na czole starą bliznę i kalafiorowate uszy. Łatanie obuwia musiało być w Tau niebezpiecznym zajęciem. Wallie odwzajemnił salut.

–Szukam dowódcy.

Szewc nie wyglądał na zachwyconego.

–Jest nim mój ojciec. Będzie zaszczycony, mogąc cię przywitać, panie. Zechcesz chwilę poczekać?

Mężczyzna pospieszył na zaplecze. Dwaj juniorzy wybiegli za nim. Na kpiący uśmiech mentora Nnanji odpowiedział nachmurzonym spojrzeniem.

–Coś mi mówi, że nie zwerbuję wielu szermierzy w Tau – powiedział Wallie. – Z twojej strony nie grozi im oskarżenie, bracie, ale oni tego nie wiedzą. Masz okazję do przeprowadzenia małego śledztwa!

Czwarty skinął głową.

Minęło trochę czasu, nim wrócił szewc. Zjawił się sam, przebrany w czystą szatę, odpowiednią raczej dla starca. Brwi Nnanjiego ściągnęły się jeszcze bardziej.

–Mój ojciec przyjdzie niebawem, panie. Jest stary i rankami trochę powolny...

–Nam się nie spieszy – uspokoił go Wallie. – Tymczasem pozwól, że przedstawię ci mojego protegowanego i zaprzysiężonego brata, adepta Nnanjiego. Będzie miał do was kilka pytań.

Niepokój przerodził się w wyraźny strach. Ręce mężczyzny drżały, kiedy odpowiadał na salut Czwartego. Ten od razu przystąpił do śledztwa.

–Wymień mi imiona i rangi szermierzy garnizonu, mistrzu.

–Mój ojciec, Koniarru Piąty, jest dowódcą. Jego zastępcą jest Kionijuiy Czwarty...

Milczenie.

–I?

–Dwóch Trzecich, adeptcie.

W oczach Nnanjiego pojawił się drapieżny błysk.

–Czy to przypadkiem twój siostrzeńcy?

–Tak, adeptcie.

–A gdzie jest...

W tym momencie młoda kobieta wprowadziła dowódcę. Piąty liczył sobie co najmniej osiemdziesiąt lat, był przygarbiony, pomarszczony, bezzębny i zgrzybiały. Patrzył przed siebie bezmyślnym wzrokiem. Rozpromienił się na widok gości i próbował obnażyć miecz do salut. Dokonał tej sztuki z pomocą syna, ale ten zaraz odebrał ojcu broń i dla bezpieczeństwa schował ją do pochwy. Wallie musiał zgiąć się wpół, żeby odzwajemnić pozdrowienie.

–W czym mogę być pomocny waszej lordowskiej mości? – spytał dowódca drżącym głosem. – Większością spraw zajmuje się teraz Konijuyi. Gdzie on się podziewa?

–Chwilowo go nie ma, ojcze! – krzyknął szewc.

–Dokąd poszedł?

–Niedługo wróci.

–Wcale nie! Pamiętam, że pojechał do Casr, prawda? – Mistrz Koniarru ukazał dziąsła w triumfalnym uśmiechu. – Do zamku!

Syn przewrócił oczami.

–Tak, ojcze.

–Zamek?!!! – ryknął Nnanji. – W Casr jest zamek? Kto jest kasztelanem?

–E?

Starzec przyłożył stuloną dłoń do ucha.

–Kasztelanem? Shonsu Siódmy.

Szewc był bliski załamania.

–Nie, ojcze, to jest lord Shonsu.

Nie zauważył spojrzeń, które wymienili Siódmy i jego protegowany. Wallie nie musiał pytać o szczegóły, gdyż przejął wspomnienia Shonsu związane z profesją. Zamek był czymś w rodzaju niezależnych koszar, w których wolni szermierze mogli znaleźć odpoczynek, wikt, nowiny i towarzystwo. Tam należało spróbować werbunku i uczynić z zamku kwaterę główną do wojny z czarnoksiężnikami.

A co z Shonsu? Shonsu, który zawiódł haniebnie? Czarnoksiężnik z Aus powiedział: "...kiedy wrócisz do gniazda".

–Jestem pewien, że Shonsu – upierał się starzec. – Zapytam Kioy. On będzie wiedział. – Podreptał ku drzwiom, wołając: -Kionijuiy!

Kobieta, która ze smutkiem obserwowała scenę, wyszła za dowódcę. Szermierze milczeli, zdjęci litością. Szewc wymamrotał coś o jednym ze złych dni ojca.

Wallie skrzyżował ramiona i czekał. Nie musiał wydawać Nnanjiemu rozkazu, żeby

kontynuował. Nic teraz nie powstrzymałoby Czwartego od dalszych pytań.

–Więc twój brat jest jedynym wyszkolonym szermierzem w Tau?

–Tak, adeptcie.

–Ale pojechał do Casr?

–Tak, adeptcie.

–Po co? Po promocję?

–Miał nadzieję... Tak, adeptcie. Powinien wrócić...

–Zdejmij szatę!

Mężczyzna był starszy, potężniejszy i wyższy rangą, ale cywile nie dyskutowali z szermierzami. W milczeniu rozwiązał szatę i opuścił ją do pasa.

–Włóż ją z powrotem. Ilu masz jeszcze braci?

–Pięciu, adeptcie.

–Zawody?

–Rzeźnik, piekarz...

–Czy wszyscy mają blizny od floretów?

Szewc z nieszczęśliwą miną pokiwał głową. Szermierz mający do ćwiczeń z fechtunku tylko dwóch Drugich raczej nie mógł spodziewać się promocji na Piątego. Właściwym miejscem do starania się o awans był zamek.

–Tak więc twój brat wyjechał, żeby przyspieszyć karierę, i zostawił miasto nie strzeżone?

–Na stróżów porządku można powoływać Drugich...

–Uczeń nie ma dostatecznego autorytetu! – Nnanji aż gotował się z wściekłości, lecz zastanawiał się przez chwilę nad decyzją, odruchowo pocierając brodę. – Jestem gotowy do podjęcia odpowiednich kroków, mentorze.

Szewc wyglądał, jakby zaraz miał zemdleć.

Wallie musiał postanowić, co dalej. Możliwe, że stanął wobec kolejnej boskiej próby. Sprawa tym razem wydawała się oczywista. Jeden szermierz zwykle wystarczał, żeby utrzymać porządek w małym Tau. Kiedy w dni świąteczne Koniarru potrzebował wsparcia, wzywał do pomocy synów. Starsi miasta zapewne pochwalali takie rozwiązanie, bo nie musieli płacić dodatkowych żołdów. Nie byli więc bez winy. Jednak starzec rażąco naruszył kodeks, ucząc synów posługiwania się mieczem. Piekarze i rzeźnicy to nie żeglarze.

Mimo to Shonsu nie miał prawa rozpatrywać oskarżenia wniesionego przez zaprzysiężonego brata, a kapłani nie mogli sądzić za pogwałcenie sutr szermierzy. Co innego Brota.

Wallie potrzebował czasu do namysłu. Gdyby zezwolił na proces, pozbawiłby Tau wszelkiej ochrony. Szewc był lepszy niż nikt. Nawet taki, który zignorował zamieszanie przed swoim warsztatem i groźbę rozruchów w mieście.

–Jakich kar byś zażądał?

–Śmierci, a czegożby innego? – warknął Nnanji.

Szewc jęknął.

–To lekka przesada, nie sądzisz?

Czwarty się zjeżył.

–Nie mam żadnych wątpliwości, panie bracie!

Wallie zadał niewłaściwe pytanie.

–Jaki wyrok byś wydał, gdybyś był sędzią?

Jako prokurator Nnanji zawsze domagałby się kary śmierci.

–Hmm. Starzec niewiele rozumie, prawda? Ma pomieszane w głowie... Może obciąć mu kucyk i złamać miecz, a cywilom prawą rękę?

Piąty zadrzał.

–Wtedy oni i ich dzieci umarliby z głodu – zauważył Wallie.

Adept zasępił się.

–Jaką karę ty byś proponował, mentorze?

–Myślę, że chłosta wystarczy. Głównym winowajcą jest ich ojciec.

Po chwili namysłu Czwarty skinął głową.

–Masz rację. Porządna chłosta, publiczna.

Wielkie nieba! Rudzielec zmiękł!

–A adept Kionijui... czy też mistrz Kionijui, jeśli dostanie promocję?

Oczy Nnanjiego rozbłysły. Wyzwanie!

–Może jeszcze będzie w Casr, gdy tam dotrzemy? Albo tutaj, kiedy w następnym tygodniu wrócimy z Cha?

–Tak czy inaczej, on należy do ciebie.

–Dziękuję, bracie!

Wallie opanował dreszcz i spojrzał na roztrzęsionego szewca.

–Adepta Nnanjiego i mnie wzywają pilne sprawy. Tym razem nie możemy zostać, żeby wymierzyć sprawiedliwość, ale jeszcze wrócimy. Ostrzeż swoich braci.

Zamierzam powiadomić Casr, że Tau potrzebuje szermierzy.

Najwyraźniej zdumiony odroczeniem wyroku Piąty otarł pot z czoła.

Zadziwiająco, że starcowi, a później jego synowi, tak długo udawało się ukrywać nepotyzm. Może pomogła im bliskość zamku. Wszystkich wolnych szermierzy, którzy przypadkiem trafiali do miasta, kierowano do Casr. Teraz cała rodzina powinna opuścić Tau, jeśli miała choć trochę rozsądku.

Szermierze wyszli na ruchliwą ulicę. Wallie stał przez chwilę oparty plecami o mur i dumał. Nie był zadowolony z rozwiązania. Jeśli wszyscy bracia Kionijuiyego uciekną, miasto zostanie bez ochrony przez co najmniej kilka dni.

–Idziemy do świątyni? – zapytał Nnanji.

–Ty pójdiesz po odprowadzeniu mnie na statek. Masz. Wręczył adeptowi parę złotych monet. Uważał, że tylko kapłanom można ufać jako posłańcom. Czwarty pytająco uniósł brwi.

–Poślij wiadomość do zamku. Przy okazji zapytaj, czy znają imię kasztelana. Ja przecież tego nie zrobię.

Może stary dowódca się mylił. A może nie.

Jeśli Shonsu był kasztelanem zamku w Casr, wieść o jego hańbie w Aus pewnie już tam dotarła, przywieziona przez żeglarzy. Kiedy Szafir zawinął do portu, Wallie próbował nakłonić adepta, żeby złożył wizytę w garnizonie. Usilnie szukał jakiegoś wyjścia z sytuacji. Co teraz: wrócić do Casr czy płynąć do Ov, żeby zamknąć krąg?

–To dopiero kłopot. – Wallie popatrzył na pseudoangielskie domy i tłumy ludzi, omijających go szerokim łukiem. – Może powinienem tu zostać i przejąć władzę! Ładne miasteczko.

–Żartujesz!

–Niezupełnie. Co planujesz po zakończeniu misji? Ożenić się z Thaną i zostać szczurem wodnym?

–Thana jest wspaniała, ale... ja... szczurem wodnym? – Nnanji wzruszył ramionami. – A może Siódmym?

–Zapewne, z czasem. Co więc będziesz robił?

–Będę wolnym szermierzem. Uczciwym i wiernym przysięgom. – Nnanji był wyraźnie zaskoczony filozoficzną rozmową. – A ty?

–Chcę zobaczyć Świat. W końcu jednak pewnie osiądę w jakimś spokojnym miasteczku, takim jak to, i zostanę dowódcą. – Wallie zaśmiał się, rozbawiony tą myślą. – Wychowam siedmiu synów jak stary Koniarru. I siedem córek, jeśli Jja zechce!

Protegowany spojrział na niego z niedowierzaniem.

–Dowódcą? Dlaczego nie królem?

–Trzeba przelać zbyt wiele krwi, żeby zdobyć tron, a potem za dużo harować. Ale Tau mi się podoba.

–Jeśli tego właśnie pragniesz, panie bracie, Bogini z pewnością ci to da – powiedział Nnanji z przekonaniem, a po chwili dodał, marszcząc nos: – Ja spróbuję zasłużyć na coś lepszego.

Wallie miał obawy, że żeglarze będą się spieszyć z odpłynięciem, ale Brota stwierdziła, że Tau jest źródłem doskonałych skór. Pamiętała też, że z miast czarnoksiężników wypędzono garbarzy. Choć *Szafir* wiozł ciężki marmur, ładownie nie były pełne. Tak więc po powrocie szermierze zobaczyli, że po trapie biegają zasapani niewolnicy, nosząc worki z butami, duże objętościowo, ale dosyć lekkie. Na całym statku cuchnęło jak w warsztacie szewskim.

Brota i Tomiyano z ponurymi minami przyjęli wieść, że lord Shonsu nie zdołał zwerbować pomocników, ale nie wyglądali na zaskoczonych. Nnanji wyruszył do świątyni, a Wallie odszukał Honakurę, żeby się go poradzić.

Dni były już coraz krótsze, a pogoda była niepewna. Pod wieczór nadciągnęła burza. *Szafir* miotał się na kotwicy pośrodku Rzeki. Jego kadłub był niepokojąco mocno zanurzony. Deszcz siekł pokład, woda chlustała z odpływników. Zimna, wilgotna ciemność wkradła się do nadbudówki rufowej, nim skończono kolację.

Wallie siedział pogrążony w myślach. Kapłani obiecali Nnanjiemu, że przekażą wiadomość do zamku. Powiedzieli, że kasztelanem rzeczywiście był niedawno lord Shonsu, ale zastąpił go ktoś nowy. Nie znali jego imienia. Kasztelanowie często się zmieniali.

Co robić? Wrócić do Casr czy płynąć dalej do Ov? W Casr na pewno znalazłby szermierzy, lecz groziło mu oskarżenie o tchórzostwo. Z boskiej zagadki wynikało, że celem podróży jest Ov, ale dlaczego? Tuląc do siebie Jję, Siódmy poinformował obecnych, że w Casr jest zamek.

–Wiem, ale nie sądziłem, że to ważne – powiedział Holiyi, przerywając dwudniowe milczenie.

–W takim razie musi chodzić o Casr – stwierdziła Brota. – Trzy dni do Cha, potem z powrotem do Casr!

Następne miasto zawsze miało się ukazać po trzech dniach podróży, ale w praktyce podróż zwykle trwała dłużej.

Pomruki dobiegające z mroku świadczyły, że rodzina zgadza się z Brotą. Rzeczni ludzie już nie odnosili się do Jonaszów z taką niechęcią jak na początku, ale nie chcieli brać udziału w boskich misjach. Uważali, że zrobili swoje i powinni teraz zająć się własnymi sprawami.

–Co powiedziałby kapłan, gdyby tu jakiś był, starcze? – zapytał Wallie.

–Skąd mam wiedzieć? – oburzył się Honakura. Jego słowa skwitowało kilka chichotów. – Zgadzam się, że sygnały są sprzeczne, panie. Musisz się modlić o wskazówkę.

Modlitwa rzeczywiście mogła pomóc, ale Wallie postanowił, że spróbuje pokrzepić w obecnych ducha.

–Nnanji, zaśpiewaj nam pieśń o Chioxinie.

–Nie, jakąś romantyczną! – poprosiła jedna z kobiet, chyba Mata.

–Nie znam żadnych romansów – oświadczył Nnanji. – Nie pozwalano ich śpiewać w koszarach.

Po chwili w mroku rozbrzmiał jego tenor:

*Śpiewam o broni i o tym, który wykuł
Najlepsze miecze na Świecie,
O tym, jak zapłacono cenę życia,
A siedem lat kupił sobie Chioxin.*

Mandolina Oligarro podjęła melodię. Jeśli Nnanji naśladował jakiegoś minstrela, nie wychodziło mu to najlepiej. Zebrani nigdy nie słyszeli tej ballady. Wkrótce jednak zrozumieli, dlaczego właśnie ona została wybrana. Bitwy, bohaterowie, złoczyńcy, bestie, krew i honor, sześć mieczy, sześć heraldycznych bestii trzymających sześć klejnotów, legendarni wojownicy... Zapadła cisza.

–Śpiewaj dalej! – ponaglił Matarro niecierpliwie.

–Zapomniałeś słów? – spytał Tomiyano ironicznie.

–Znam jeszcze tylko jedną zwrotkę – odparł Nnanji.

*Gryf przycupnął na rękojęści
W białym srebrze i niebieskim szafirze,
Z rubinowym okiem, złoconymi pazurami.
I stalowym ostrzem o barwie gwiazd.*

*Mistrz wykuł siódmy miecz,
Który przyćmił wszystkie inne.*

Zapadła cisza.

–To nie może być koniec – zaprotestowała Diwa.

–Tak, ale nie znam dalszego ciągu. Chioxin umarł. A jeszcze przedtem siódmy miecz podarował Bogini.

Nikt nie widział go przez siedemset lat.

W kajucie było ciemno jak w kopalni węgla. Boga Snów przesłoniły chmury, okiennice zamknięto dla ochrony przed wiatrem.

–A Ona go dała Shonsu? – zapytał Matarro z przejęciem.

–Tak. Jest tutaj, w tym pomieszczeniu. Saga jeszcze nie ma końca. Najważniejsze dopiero się wydarzy. A wy bierzecie w tym udział.

–Ooo! – zakrzyknęli młodzi.

Okrzykowi towarzyszyły pomruki dorosłych.

–Ja nie chcę brać w niczym udziału! – oświadczył Tomiyano. – Inie chcę tego przeklętego miecza na moim statku!

–Tomo! – zawołała Btota z naganą, ale parę osób poparto kapitana.

–Żadnych szermierzy! Kto ich potrzebuje?

Niezręczną ciszę, która zapadła po tych słowach, przerwał huk, jakby ciśnięto beczką o drzwi. Na schodach zadudniły kroki.

Tomiyano zapomniał wystawić na noc wartę. *Szafir* został napadnięty.

W nadbudówce rufowej wybuchła panika. Wallie, który siedział tuż pod oknem, wstał i pchnął okiennicę. Spojrzał w górę, odchylając się do tyłu. Na tle prawie czarnego nieba rysowało się nadburcie. Gdyby stanął na palcach, dosięgnąłby poręczy... Wtem nad relingiem zamajaczyła ciemna plama. Błysnęło ostrze. Wallie chwycił za framugę i zawisł nad wodą. Stał ze świstem przecięła powietrze w miejscu, gdzie przed sekundą znajdowała się jego głowa. Chwilę później wśliznął się z powrotem do kajuty. Plan numer dwa...

–Tutaj – szepnął Nnanji u jego boku.

–Mężczyźni na środek, pozostali pod ściany – rozkazał Wallie.

Harmider ucichł. Tylko jedno z dzieci pochlipywało.

Wszystkie okiennice były teraz otwarte. Sączyła się przez nie nikła szarość.

Chmury przesłaniały Boga Snów, ale deszcz ustał. Z pokładu dobiegał tupot nóg.

–Tomiyano? Holiyi?

–Jestem.

–Jestem.

–Ja podniosę Nnanjiego, a wy dwaj chwycicie mnie za pasy. Potem pójdę za nim, ale reszta zostanie. Sprawę wezmą w swoje ręce zawodowcy. Nnanji, puszczonej twoją prawą kostkę, kiedy będziesz na górze. Lepiej trzymaj nóż w pogotowiu. Chodźmy.

Zaprowadził ich do okna od strony rufy

Do kajuty wrócił spokój. Rzeczni Ludzie okazali się twardzi. Nnanji stanął tyłem do okna. Jego oczy zdawały się jarzyć własnym blaskiem. Wallie przykucnął, nie zważając na nie wygojoną jeszcze ranę, i chwycił Czwartego za kostki. Żeglarze trzymali go za pasy.

–Gotowy?

Usłyszał chichot protegowanego.

Gotowy!

Jednym płynnym ruchem Wallie wyprostował się i uniół ramiona, windując Czwartego ku niebu. Nie było jednak czasu na podziwianie wyczynu.

Na górze czekali piraci. Nagle zmaterializował się nad nimi szermierz. Rzucił nożem w najbliższego wroga i dobył miecza. Drugi napastnik skoczył na niego, ale Nnanji odparował cios. Pirat zatoczył się na baksztag i krzyknął. Jego broń o cal minęła Walliego i sekundę później wpadła do wody z głośnym pluskiem. Nnanji zachwiał się niebezpiecznie, gdy mentor puścił jego kostkę, sparował jeszcze raz, postawił prawą stopę na relingu, chwycił się liny, udaremnił następny atak, ciął i zeskoczył na pokład.

Tymczasem Wallie wygramolił się przez okno nadbudówki i dał susa przez poręcz. Reki znalazły się w zamkniętym basenie. W tym momencie można było uznać, że piraci przegrali walkę.

Czerń nocy rozświetlał jedynie nikły blask Boga Snów, który od czasu do czasu pojawiał się w przerwach między srebrnymi chmurami. Rany, śmierć, brak litości, żadnych honorowych pojedynków obwieszczonych przez heroldów, żadnego przestrzegania zasady walki równego z równym. Shonsu wydał okrzyk wojenny:

–Siedem! Siedem!

Usłyszał śmiech Nnanjiego.

–Cztery! Cztery!

Wallie zaatakował kolejną ciemną zjawę z błyszczącymi oczami. Poczuł, że ostrze przeszywa ciało i trafia na kość. Usłyszał wrzask bólu i przekleństwo. Napastnik z hukiem runął na deski.

–Siedem!

–Cztery!

Ledwo widział przeciwników, ale oni byli w gorszej sytuacji. Nadzwyczajne umiejętności, znajomość pokładu, pewność, że ma przed sobą wrogów, a nie przyjaciół, oraz sama postura i siła czyniły go niepokonanym. Najlepszego wojownika na Świecie wspomagał protegowany, prawie Szósty. To nie była walka, tylko rzeź. Piraci mieli przewagę liczebną, ale szermierze przewyższali ich klasą.

–Cztery!

–Siedem!

–Trzy! – wrzasnął jakiś głos.

Zaraz po nim rozległo się charczenie i ostry śmiech Nnanjiego. Piraci cofnęli się. Przez chwilę krąg uzbrojonych mężczyzn stał naprzeciwko dwóch szermierzy, a między nimi leżało pięć ciał. Jeden z rannych krzyczał.

–No chodźcie! – prowokował Nnanji.

Ruszyli. Co najmniej sześciu. Popełnili błąd. Zaczęli przeszkadzać sobie nawzajem, potykać się o trupy, natomiast mentor i protegowany stali plecami do relingu. Wypad. Przekleństwo. Pchnięcie. Wrzask.

–Siedem!

–Cztery!

Nagle piraci rzucili się do ucieczki, a szermierze popędzili za nimi jak lwy za chrześcijanami. Jakaś dłoń chwyciła Walliego za kostkę. Siódmy zachwiał się, ciął mieczem i pobiegł dalej. Walcząc, utorował sobie drogę w dół po schodach. Wtem blask pierścienia oświetlił ludzi wdrapujących się na reling.

–Stój! – wy sapał Wallie. – Niech uciekają. Wiatr owiewający spoconą skórę był zimny jak śmierć. Nnanji zatrzymał się i otarł twarz ramieniem.

–Niezła zabawa – powiedział. – Kłopot w naszym zawodzie polega na tym, bracie, że jest za dużo ćwiczeń, a za mało akcji.

W tym momencie drzwi nadbudówki zamknęły się z trzaskiem. Piraci opuścili pokład, ale na dole czekali inni. Wallie ruszył przed siebie, uważnie sprawdzając, czy za szalupami nie ma zasadzek. Wychylił się przez poręcz i zobaczył kilka łodzi.

–Zaczekajcie na rannych! – krzyknął.

Odpowiedział mu chór przekleństw.

–Jestem szermierzem siódmej rangi. Przysięgam na swój miecz, że nie będzie żadnych podstępów. Oddamy wam rannych. Ilu ludzi się schowało?

Okrzyki były pomieszane i niezrozumiałe. Szermierz kopnął w drzwi nadbudówki dziobowej.

–Słyszycie mnie?

Cisza.

Wallie pchnął drzwi i odskoczył w bok. Miał przed sobą całkowitą ciemność. Nie potrzebował wiedzy Shonsu, by zdawać sobie sprawę, że na tle nieba stanowi doskonały cel.

Powtórzył obietnicę, że jeśli napastnicy wyjdą, będą mogli spokojnie odpłynąć. Jedynymi dźwiękami była stłumiona wrzawa dobiegająca z nadbudówki rufowej, jęki rannych i pluskanie wody o kadłub.

–Weźmiemy was głodem!

Żadnej reakcji.

–Powiedziałem, że możecie odpłynąć. Ale pod warunkiem, że sami wyjdziecie.

Cisza.

–Jestem szermierzem! – ryknął Wallie. Usłyszał desperację w swoim głosie. Miał nadzieję, że piraci również. – Za minutę zjawią się tu żeglarze. Pospieszcie się!

–Z mieczami? – zapytał jakiś głos ze środka.

–Tak. Przrzekam.

Nnanji zamruczał gniewnie.

–Uważaj na łodzie! – warknął mentor.

–Idę! – zawołał kobiecy głos.

Ciemna postać puściła się biegiem w stronę burty. Nnanji chwycił ją za ramię wolną ręką.

–Ile was jeszcze jest?

–Czworo.

W tym momencie nadbiegli członkowie załogi; ktoś wydostał się przez okno i odblokował drzwi rufówki. Wallie musiał stawić czoło nowemu zagrożeniu, obronić wrogów przed swoimi przyjaciółmi. Tomiyano zaatakowałby napastników sztyletem, gdyby Nnanji go nie powstrzymał. Kapitan szalał z wściekłości i krzyczał, że piraci powinni umrzeć.

W końcu Wallie złapał go za nadgarstek i ryknął:

–Są żeglarzami! Połowa z nich to kobiety. W łodziach siedzą dzieci! Jak twój dziadek zdobył *Szafir*?

Cios okazał się celny. Trzeci umilkł. Ostatni piraci wskoczyli do łodzi. W tym momencie zza rufy dobiegł głośny plusk. Wallie popędził w tamtą stronę, mając nadzieję, że wyrzucony nieszczęśnik był martwy. Niewiele brakowało, a musiałby użyć miecza, żeby obronić trzech rannych przed żeglarzami. Oprócz ognia Rzeczni Ludzie najbardziej nienawidzili piratów.

Rannych opatrzone i wsadzono do ostatniej łodzi. Zmęczony Wallie oparł się o reling. Na ramieniu i piersi zasychała mu krew. Czuł tępe pulsowanie w nodze. Patrząc, jak oddalała się mała żałosna flotylla, i gardził barbarzyńskim Światem. Bez przerwy trwała tu nie kończąca się, okrutna gra. Gdyby atak się powiodł, rano *Szafir* nadal byłby statkiem handlowym, ale miałby nowego właściciela. Brota i jej rodzina stałoby się pokarmem dla ryb, chyba że darowano by im życie. W takim wypadku to oni siedzieliby teraz w łodziach, z mieczami lub bez, bezdomni rzeczni włóczędzy i potencjalni piraci.

Rozpaloną twarz chłodził wiatr. Chmury odsłoniły Boga Snów. Zrobiło się jaśniej.

–Myślę, że załatwiłem czterech i raniłem jednego – powiedział Nnanji. – W takim razie ty masz trzech zabitych i dwóch rannych, zgadza się?

–Nie liczyłem.

Z ciemności wybiegła Thana i zarzuciła Nnanjiemu ramiona na szyję. Walliego chwyciła w objęcia szlochająca Brota. Klepano go po plecach, ściskano dłoń, śmiano się i wiwatowano. W osłupienie wprawił go Tomiyano. Uściskał Siódmego i burkliwie przeprosił za wszystko. Szermierze byli bohaterami.

W końcu Wallie wymknął się z tłumu, wszedł po schodach do nadbudówki na dziobie i oparł się o kabestan. Dopiero wtedy zaczął drżeć. Tam znalazła go Jja. Otoczyła ukochanego ramieniem.

–Co się stało? Jesteś ranny? Mężczyzna trząsał się coraz bardziej.

–Nie.

Stoczył zwykłą rzeczną potyczkę, a miał jeszcze odebrać czarnoksiężnikom siedem miast. Ile krwi? Ilu zabitych?

–Wykonałeś swój obowiązek, kochany – szepnęła Jja, wyczuwając jego nastrój. – Spełniłeś wolę bogów.

–Ale nie muszę być zadowolony, prawda?

W czasie bitwy na świętej wyspie dopuścił do głosu krwiożerczość Shonsu. Tym razem Wallie panował nad sytuacją i wcale mu się to nie podobało.

–Prawda, ale trzeba było to zrobić. Oni są twoimi przyjaciółmi, przyjaciółmi Walliego.

Bardzo rzadko tak do niego mówiła. Tylko kiedy się kochali. Wallie uściskał mocno niewolnicę i ukrył twarz w jej włosach.

Tak, teraz zostaną przyjaciółmi. Na głównym pokładzie toczyło się przyjęcie. Ktoś wylał wino na głowę Nnanjiego.

Deszcz zaczął kapać Walliemu na plecy, przyprawiając go o jeszcze silniejsze dreszcze. Żeglarze wołali, żeby przyszedł i napił się z nimi.

Piraci zginęli, żeby mogło się spełnić boskie polecenie. Siódmy zdobył armię. Morderca!

Księga piąta: Jak miecz uratował szermierza

1

Następnego ranka, gdy Nnanji uczył fechtunku Matarro, Tomiyano podszedł do Shonsu z kwaśnym uśmiechem na twarzy, Przyniósł dwa florety. Ta deklaracja poddaństwa tylko potwierdziła domysły Walliego. Od tej pory Szafir znajdował się pod jego komendą. Rodzina już wcześniej miewała starcia z piratami, ale nigdy równie groźnych. W dodatku tym razem nie poniosła żadnych strat. Żeglarze przejrzeni na oczy i postanowili współpracować z szermierzami, zwłaszcza że byli im szczerze wdzięczni. Już nie zamierzali straszyć pasażerów wysadzeniem na brzeg. Nawet gburowaty kapitan wyraźnie odtajał.

Dwa dni później, zaznajomiony przez Walliego z kilkoma podstępными sztuczkami oraz niedociągnięciami Nnanjiego, Tomiyano sprawił adeptowi solidne lanie, ku jego wielkiemu zaskoczeniu. Od tej pory ich codzienne pojedynki stały się główną rozrywką na żaglowcu. Wallie z trudem znajdował spokojną chwilę między kolejnymi lekcjami. Poziom fechtunku na *Szafirze* osiągnął zawrotną wysokość.

W Cha nowicjusz Katanji ze zdumieniem odkrył, że przebieranie się za niewolnika jest teraz nie tylko dozwolone, ale wręcz oczekiwane. Wchodzenie do wieży, rozmowa z czarnoksiężnikami i inne tego rodzaju szaleństwa były nadal zabronione, ale chłopak sprawiał wrażenie niezwykle szczerego, gdy obiecywał, że zachowa ostrożność.

W Cha Brota pozbyła się marmuru i obuwia, a kupiła duże beczki wina. *Szafir* kontynuował rejs w górę Rzeki. Góry ciągnęły się od południa aż po południowy zachód.

Pierwszej nocy po opuszczeniu Cha Tomiyano poczęstował wszystkich winem. Kolacja szybko przerodziła się w huczną zabawę.

–To zaczarowane wino! – oznajmił kapitan. – Nie uwierzycie, ile zażądali za nie handlarze, ale dowiedziałem się, że na prawym brzegu jest bardzo poszukiwane.

Wallie domyślił się prawdy, zanim spróbował trunku. Po odstawieniu butelki od ust wszyscy obecni krztusili się i łapali powietrze.

–Co najmniej sześć razy droższe od zwykłego? – zapytał.

Kapitan skinął głową z podejrzliwą miną.

–Prawie osiem razy. Dlaczego pytasz?

Wallie ostrożnie pociągnął łyk. To był prawie czysty spirytus doprawiony winem, ordynarna, mocna brandy.

–Jeśli masz trochę zwykłego wina, kapitanie, jutro je zaczaruję, ale jego ilość zmniejszy się pięciokrotnie.

Roześmiał się na widok sceptycznej miny Trzeciego.

Miedziany kocioł destylacyjny z Ki San leżał zapomniany w kącie rufówki.

Następnego ranka Wallie zaniósł go do kambuza i przedestyłował trochę wina na oczach osłupiałych żeglarzy.

–Proszę. Jeśli osiedlicie się na ładzie, będziecie mogli zostać winiarzami.

Podejrzewam jednak, że czarnoksiężnikom nie spodobałaby się konkurencja, więc nie radzę.

Żeglarze popatrzyli na niego z przesadnym lękiem i oświadczyli, że nie mają takich ambicji.

Było do przewidzenia, że używając kotłów destylacyjnych nie wiadomo do jakich celów, magowie wcześniej czy później wyprodukują alkohol. Walliego bardziej zaintrygowało odkrycie, że na tej umiejętności zbijają majątek. Do listy rzeczy, które chciał wiedzieć, dodał pytanie: Co jeszcze sprzedają czarnoksiężnicy oprócz magicznych wywarów i "zaczarowanego" wina?

Po lewobrzeżnym Cha następnym miastem było Wo leżące na prawym brzegu. Gdy Szafir cumował w porcie, ulicą szła orkiestra, a za nią rozbawieni mieszkańcy. Urzędnik portowy wtoczył się po trapie, a Tomiyano cofnął o krok, kiedy mężczyzna przemówił.

–Witamy w Wo na karnawale!

Brota zatarła pulchne ręce na myśl o ładunku wzmocnionego wina, natomiast WaUiego ogarnęły złe przeczucia.

–Założę się o jutrzejsze czyszczenie latryny, że nie porozmawiamy z dowódcą – szepnął do protegowanego.

Nnanji nie przyjął zakładu. Za bardzo ufał przepowiedniom mentora. W końcu zgodził się na godzinę fechtowania jako pewną wygraną dla obu.

–Idź sprzedawać wino, pani – powiedział Siódmy do Broty. – Wiadomo, co będzie robić reszta z nas. Tak, bracie?

–Tak. Jest karnawał!

Wallie spojrzał na Jję.

–Taniec, wino, śpiew i piękne kobiety w przezroczystych sukniach.

Niewolnica spuściła wzrok.

–Nie umiem tańczyć, najdroższy.

–I maski – dodał Wallie.

Nie pomylił się co do dowódcy. Jedynymi napotkanymi szermierzami okazali się dwaj juniorzy, tak pijani, że nie mogli natrafić dłońmi na rękojeści mieczy. Wściekły Nnanji chciał obciąć im kucyki, ale mentor w porę go odciągnął. Wprawdzie pasażerom już nie groziło wysadzenie na brzeg, ale Siódmemu najwyraźniej nie było dane zwerbować odpowiednich żołnierzy. Miał nadzieję, że chociaż przyswoi lekcję, zanim dotrą do Ov.

Przeliczył się co do pięknych sukien. Mieszkańcy Wo nie mogli sobie pozwolić na takie luksusy. Uczestnicy karnawału mieli na sobie skąpe stroje, ale brak kreacji nadrabiali z nawiązką malowidłami, które służyły jednocześnie jako kostiumy i maski. Na statku szybko znaleziono farby i młodszy członek załogi potworzył pary, żeby nawzajem się udekorować. Nnanji zaoferował usługi Thanie, ale w końcu musiał przystać na Katanjiego.

Wallie i Jja udali się do swojej kabiny. Tam odkryli, że malowanie ciał jest zabawniejsze niż projektowanie sukni, któremu to zajęciu oddawali się kiedyś w świątynnych koszarach. Zepsuli kilka dzieł, nim udało im się skoncentrować na

sztuce.

Tamtej nocy tańczyli na ulicach w blasku ognisk. Grała muzyka, wino lalo się strumieniami. Powietrze chłodziło pomalowaną skórę, rozgrzewaną z kolei szalonymi tarantelami i gorącymi fan-dangami oraz winem z cynamonem i goździkami.

Jja okazała się urodzoną tancerką. Wkrótce uczyła swojego właściciela. Wszyscy hulali do białego rana.

Nnanji miał na sobie cztery odcienie zieleni, a Thana przeobraziła się w złotego elfa z baśniowego lasu. Skacząc nie do taktu, ale z wielkim entuzjazmem, para wygrała maraton taneczny.

Jja jaśniała od srebrnych gwiazd rozsianych na granatowym tle, a Wallie był arlekinem. Oboje dostali główną nagrodę dla najurodziwszej pary karnawału.

W Gor dwaj czarnoksiężnicy zatrzymali Tomiyano na ulicy i wy pytali o bliźnę, statek, pracę i osobiste zwyczaje. Kapitan wrócił na *Szafir* czerwony ze złości i najwyraźniej wystraszony. Obiecał sobie, że w przyszłości będzie ostrożniejszy.

Wallie powoli zdobywał wiedzę na temat czarnoksiężników, ale nadal nie miał pojęcia, jak z nimi walczyć. Usłyszał kolejne historie, w większości zapewne legendy, o błyskawicach i tajemniczych mocach oraz wstrząsające relacje naocznych świadków, którzy widzieli, jak szermierze zaatakowali na łące grupę i czarnoksiężników i przy bezchmurnym niebie zginęli wszyscy od wielkiego pioruna. Ciała były podobno bardzo okaleczone, tak jak w Ov. Czyżby znowu dzieło demonów ognia?

Wieże budziły w ludziach wielki strach. W nocy mieszkańcy trzymali się od nich z daleka, obawiając się dziwnych odgłosów i świateł. Katanji twierdził, że wszystkie budowle są identyczne i przy każdej hoduje się ptaki. Co najmniej w jednej skupowano końską urynę i najlepsze skóry. W innej nowicjusz widział dostawę ośmiornic. Czarnoksiężnicy dobrze zarabiali na wzmacnianiu wina. Sprzedawali wywary na miłość i za opłatą przepowiadali przyszłość. Wydawało się, że jest ich trochę mniej niż szermierzy, których zastąpili, ale czy to było wiadomo, kto jest czarnoksiężnikiem? Mogło ich wielu krążyć w przebraniu. Wallie nie znajdował granic ich mocy ani słabych punktów.

Wzgórza zaczęły przybierać kolory jesieni, a dni pędziły jak jaskółki. Góry przesunęły się na zachód. Załoga i pasażerowie coraz mniej się różnili. Nawet Nnanji czasami zakładał przepaskę biodrową i śmigał z żeglarzami po linach.

Thana nadal uwodziła Shonsu i ignorowała awanse Czwartego. Z początku Wallie uważał, że protegowanym kieruje wyłącznie żądza, ale potem doszedł do wniosku, że jest to młodzieńcze zauroczenie. Thana była chyba pierwszą kobietą, która odtrąciła Nnanjiego, a poza tym stanowiła jedyny na statku obiekt godny zainteresowania. Wytrwałość okazała się jedną z cech, których mentor nie podejrzewał u adepta. Niestety talenty towarzyskie rudzielca pozostały takie jak dawniej, a zaloty odpowiadały jego manierom przy stole: dużo entuzjazmu i mało finezji. Skąd chłopak miał wiedzieć, jak zabiegać o damy? Wallie nie zamierzał jednak udzielać mu żadnych rad, skoro Nnanji był zbyt dumny, żeby o nie prosić.

Zawinęli najpierw do lewobrzeżnego Gor, a potem do Shan na prawym brzegu,

miłego miasteczka garncarzy i mleczarzy. Ładownie *Szafira* wypełniły się wielkimi żółtymi kręgami sera, a załoga żartowała, że Bogini nagradza nawet szczury.

Wallie, pełen obaw, ruszył na poszukiwania dowódcy. Zastanawiał się, jakie nieszczęście sprowadzi jego wizyta na niczego nie podejrzewającą ofiarę. Nie zdziwił się, gdy usłyszał, że dowódca i jego zastępca właśnie polują na kaczki. Po raz pierwszy spotkał paru kompetentnych szermierzy średniej rangi. Niestety wszyscy byli szczęśliwie żonaci i przekroczyli wiek, w którym chętnie szuka się przygód. Wallie nawet nie próbował ich werbować. Nic nie wiedzieli o czarnoksiężnikach ani nie starali się dowiedzieć.

Kolejnym miastem było Amb położone na lewym brzegu. Tam Brota kupiła kilka bel płótna żaglowego i narzędzia: piły, siekiery, łopaty i skrzynki gwoździ. Gdy wniesiono ostatnie towary, na *Szafirze* zjawił się gość: pomarszczony, siwiejący kapłan piątej rangi. Drobnymi kroczkami wszedł po trapie za Honakurą.

Wallie, Nnanji i Tomiyano, którzy nie mogli zejść na ląd w mieście czarnoksiężników, obserwowali ich z nadbudówki rufowej. Nie słyszeli rozmowy, ale widzieli, jak złote monety przeszły z ręki do ręki. Gdy Honakurą zjawił się w kajucie, miał zadowoloną minę.

Usiadł zmęczony na jednej ze skrzyń.

–Ciekawy rozwój sytuacji. Czeka nas misja dobroczynna!

Nie powiedział nic więcej, póki nie wysączył szklanki wina i nie zjadł paru świeżych ciasteczek imbirowych Liny.

Wallie wiedział, że musi cierpliwie poczekać. Kapłan go zaskakiwał. Sprawiał wrażenie, że cieszy się każdą minutą niebezpiecznej podróży, tak niepodobnej do jego dawnego życia w luksusie. W każdym mieście starzec wychodził z żeglarzami na zwiad i przynosił więcej użytecznych informacji niż inni, z wyjątkiem Katanjiego. Miał talent, doświadczenie, a ponadto bezcenne źródło plotek. Byli nim kapłani. Choć nieszczęśliwi z powodu rządów czarnoksiężników, którzy domagali się w świątyniach ołtarzy i modłów do Boga Ognia, ani myśleli wszczynać rewolucję. Nowi panowie dbali, by mieszkańcy byli zadowoleni. Zdaniem Walliego robili to o wiele lepiej niż szermierze.

–Aaa! – westchnął Honakurą z rozkoszą, pokrzepiony winem. – Wiecie, że pani Brota kupiła narzędzia? Akurat wracałem, gdy zobaczyłem świątobliwego, więc mu się przedstawiłem. To mistrz Momingu.

–A co takiego ciekawego jest w mistrzu Momingu? – zapytał Wallie spokojnie.

Nnanji i Tomiyano byli gotowi przystąpić do duszenia starca.

–Przyszedł kupić cały ładunek narzędzi i wynająć statek do ich przewiezienia.

Świątynia wysłała pomoc do Gi, następnego portu na prawym brzegu. Wyjaśniłem, że płyniemy w tamtą stronę, a pani Brota zgodziła się sprzedać swój towar i przetransportować go na miejsce.

–Naprawdę to zrobiła? – burknął Tomiyano.

Honakurą mrugnął okiem.

–Myślę, że zapewniła sobie niewielki zysk, kapitanie. Oczywiście, czcigodny Momingu zamierzał popłynąć i nadzorować podział darów, ale udało mi się go

przekonać, że to nie jest konieczne.

–Dlaczego kapłani z Amb kupują narzędzia i wysyłają je do Gi? – spytał Wallie, tak jak od niego oczekiwano.

–Bo czarnoksiężnicy poinformowali ich o wielkim pożarze! Duża część miasta już uległa zniszczeniu, wielu ludzi zostało bez dachu nad głową. Świątynia wysłała również statki z żywnością i drewnem.

–Miasto płonie?

–Tak. Pożar wybuchł dzisiaj rano.

Obecni spojrzeli po sobie.

–Trzy dni żeglugi do Gi – powiedział Tomiyano.

–Właśnie! – Honakura zatarł ręce i uśmiechnął się do Walliego. – Sprawdzian dla czarnoksiężników, panie!

Wallie pokiwał głową. Magowie w jakiś sposób dowiedzieli o zerwanym moście w górach, ale Gi znajdowało się daleko stąd i leżało w krainie szermierzy. Poza tym nie zaproponowali, że prześlą dary za pomocą magii.

–Bardzo interesując, starcze. Bardzo interesujące!

Choć Brota i Tomiyano byli handlarzami nie bawiącymi się w sentymenty, nie brakowało wiary w Boginię ani współczucia. Wcześniej podnieśli kotwicę, a ponieważ wiatry im sprzyjały, *Szafir* dopłynął do Gi w ciągu dwóch dni.

Na Świecie istniały miasta z drewna i miasta z kamienia. Drewniane Gi leżało w dolinie między dwoma łagodnymi pasmami wzgórz. Powietrze już od paru godzin wypełniał ostry odór spalenizny. Gdy *Szafir* zbliżał się do portu, cała załoga wyległa na pokład i z przerażeniem patrzyła na zniszczenia.

Ujrzeni gigantyczne pogorzelisko, z którego gdzieś sterczały kominy i szkielety kilku świątyń bez dachów. Pojedyncze smugi dymu wskazywały miejsca, gdzie zgliszcza jeszcze się tliły. Wokół niektórych kominów zachowały się osmalone szczątki ścian. Wiatr unosił chmury popiołu i kręcił nimi z pogardą. Od kamiennego nabrzeża aż do wzgórz nie ostał się ani jeden cały budynek. Gdy patrzący ochłonęli ze zgrozy, dostrzegli tłumy zmierzające ku portowi, tysiące bezdomnych, głodnych i poszarpanych jak ich miasto.

Wallie pierwszy znalazł się na brzegu. Nnanji deptał mu po piętach. Zmusili ciżbę do cofnięcia się, żeby statek mógł przycumować. Ludzie byli brudni i oszołomieni. Twarze mieli pokryte sadzą. Przepychali się i krzyczeli. W każdej chwili groził wybuch paniki.

Siódmy obnażył miecz i wymachując nim nad głowami, wezwał szermierzy. W końcu trzech czy czterech przedarło się przez ścisk. Byli równie umorusani i ogłupiali jak cywile. Wallie nie mógł rozpoznać ich rang, a nie miał czasu na oficjalne powitania i saluty. Zaczął wykrzykiwać rozkazy, które natychmiast spełniano. Wkrótce zapanował jaki taki porządek. Groźba paniki zmaląła. Wallie wskoczył na pachołek cumowniczy i oznajmił, że nadpływają statki z żywnością. Poleciał przekazać nowinę dalej i zrobić miejsce na nabrzeżu.

Tego dnia załoga *Szafira* zwijała się jak w ukropie, pomagając ofiarom. Płótno żeglarskie porwano na płachty wielkości namiotu, w mniejsze kawałki materiału

sypano gwoździe. Jedna osoba dostawała narzędzie lub woreczek gwoździ, a kwestię współpracy pozostawiono zainteresowanym. Żeglarze harowali jak niewolnicy portowi, znosząc towar na brzeg. Z Amb i Ov zaczęły przybywać statki z żywnością, drewnem, a nawet bydłem, wysłane przez kapłanów albo kierowane Ręką Bogini. Na nabrzeżu urządzono rzeźnię. Wallie zebrał wszystkich rzecznych szermierzy, stworzył małą armię i zaprowadził porządek. Odszukał miejscowego dowódcę, ale okazało się, że starszy mężczyzna jest pogrążony w żałobie. Siódmy usunął go ze stanowiska i wyznaczył zastępcę. Nikt nie kwestionował jego prawa do wydawania rozkazów. Pod wieczór na równinie stanęły namioty i szałas. Tymczasem *Szafir* pokrył się szarym pyłem i cuchnął spalenizną jak Gi.

Nawet w takiej sytuacji Brota znalazła okazję zrobienia interesu. Kilka magazynów miało na składzie brązowe sztaby z uchwytami na wszystkich rogach. Wiele przetrwało ogień i leżało w stosach pośród zgliszcz. Piąta kupiła cały zapas, niewątpliwie po korzystnej cenie. Nie musiała wynajmować tragarzy. Setki mężczyzn czarnych od sadzy garnęło się do pracy za miedziaka. Wkrótce, złani potem, wyglądali jak zebry.

Wieczorem żeglarze z *Szafira* rozpostarli brudne żagle. Zmęczeni, umorusani i przygnębieni, wypłynęli na otwartą wodę i czyste powietrze. Pożar był gorszy niż piraci.

Wallie stał przy burcie obok równie wyczerpanego Nnanjiego i po raz pierwszy naprawdę cieszył się, że jest szermierzem siódmej rangi. Sama władza go nie pociągała, ale czasami mógł ją wykorzystać do dobrych celów.

Wkrótce zjawiała się Jja, czysta i rozkoszna w czarnym bikini. Bawiło ją, że wygrała losowanie, pokonując w kolejce do prysznic swojego wszechwładnego właściciela. Wychyliła się mocno do przodu, żeby uniknąć pobrudzenia, ściągnęła usta i pocałowała ukochanego. Zaśmiała się i wróciła do pomocy przy dzieciach.

Wallie westchnął i niby od niechcenia rzucił:

–Szkoda, że niewolnice nie mogą nosić klejnotów! Kupiłbym Jji najpiękniejsze na Świecie. Trudno o łatwiejszy sposób uhonorowania kobiety.

Zerknął na towarzysza i dostrzegł rozbawione spojrzenie. Szybko odwrócił głowę. Nnanji przejrzał jego mały podstęp.

–Dziękuję, bracie. Powinienem sam być o tym pomyśleć.

Wallie czuł, że twarz mu płonie pod warstwą sadzy.

–Wybacz, Nnanji. Wciąż traktuję cię jak Drugiego, na którego natknąłem się w świątyni. Zapominam, że od tamtego czasu przebyłeś długą drogę.

–Jeśli ją przebyłem, to tylko dzięki tobie.

Adept wrócił spojrzeniem do zniszczonego Gi. Po policzku, nie do wiary, ciekła mu łza, rzeźbiąc ścieżkę w szarym pyłe.

Bóg Deszczu nie spoczął przez całą noc. Umył olinowanie, ale zostawił po sobie pasiaste żagle i zabłocony pokład. Następnego dnia załoga wzięła się do porządków, śpiewając rzeczne szanty w porannym słońcu.

Wallie stał w rzędzie z żeglarzami i machał szczotką jako pierwszy w historii Świata szermierz siódmej rangi wykonujący takie zadanie. Byłby całkiem szczęśliwy,

gdyby nie pracował obok pewnej smukłej dziewczyny. Ani na chwilę nie mógł zapomnieć o jej kształtnej figurze w szafranowym bikini, wspaniałej urodzie, klasycznym profilu, lśniących czarnych lokach i długich rzęsach, bo Thana w tajemniczy sposób nagle stała się leworęczna i co parę minut trącała go niechcący bokiem albo ramieniem.

–Przepraszam, panie – szeptała.

–Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiadał szermierz.

Wiedział, że dziewczyna robi to celowo i wie, że on reaguje i też wie, że ona wie, i tak dalej. Ciekawe, czy Shonsu lepiej potrafił panować nad instynktami? Raczej nie, ale z pewnością nie przejmował się takimi drobiazgami.

Z dziobówki wyszedł Nnanji i długimi krokami ruszył przez pokład. Za nim truchtał Katanji w pełnym rynsztunku, starając się nadążyć za mentorem. Przynajmniej raz miał niepewną minę. W powietrzu wisiały kłopoty. Czwarty nawet nie zwrócił uwagi na Thanę.

–Byłbym wdzięczny, gdybyś nam towarzyszył, panie bracie. Muszę porozmawiać z panią Brotą.

–Jeśli chwilę wytrzymasz, pójdę po buty.

Lecz adept już maszerował na rufę. Wallie zerknął na Pierwszego. Katanji z udawaną nonszalancją przewrócił oczami. Obaj podążyli za Czwartym.

Brota siedziała za sterem jak wielka czerwona purchawka, a jej księżycowa twarz była całkowicie pozbawiona wyrazu. Wallie nie zdziwił się, gdy ujrzał, że Thana i Honakura pospieszyli za nimi. Oboje lubili przebywać tam, gdzie działo się coś ciekawego. Pięć osób ustawiło się półkręgiem przy ławce sternika.

–Zasłaniacie! – warknęła Piąta.

Nnanji rzucił jej gniewne spojrzenie, ale usiadł tak jak wszyscy. Punkt dla Broty, stwierdził Wallie w myślach. Teraz górowała nad nimi, a siedząc niżej, trudno jest zachować buńczuczną postawę. Wcale nie musiała mieć dobrej widoczności. Szafir płynął w górę niemal pustej Rzeki. Poza kilkoma żaglami rysującymi się na bezchmurnym niebie była tylko niebieska woda, złote jesienne wzgórza i zamglone szczyty daleko na północnym zachodzie.

Chwilę później zjawił się Tomiyano. Oparł się o reling i zmierzył delegację podejrzliwym, a zarazem cynicznym wzrokiem. Brota w karmazynowej szacie wydętej przez wiatr. Mały, zasuszony Honakura w czerni. Piękna Thana w skąnym żółtym stroju. Ciemnowłosa Katanji sprawiający wrażenie bardziej śniadego z powodu lśniący białego kiltu. Pomarańczowy kolor jeszcze podkreślał bladość Nnanjiego, a wzburzenie potęgowało jego zwykłą niezręczność. Tomiyano w brązowej przepasce biodrowej stanowił milczącą publiczność. I wreszcie potężny Shonsu w niebieskim kilcie. Niemał komplet rang. Brakowało tylko zieleni Szóstego. Czyżby zanosilo się na wydarzenie inspirowane przez bogów? Siedem było magiczną liczbą.

Nnanji zerknął na mentora.

–W dniu, kiedy zostałeś ranny, bracie, wziąłem twoje pieniądze na przechowanie. Swoje dałem nowicjuszowi, żeby się nie pomieszały. Czterdzieści trzy złote monety i trochę drobnych. Kiedy sprzedałem Krówkę, dołożyłem mu kolejne dziesięć. Katanji

miał pięć własnych. W Wo poprosiłem go o zwrot trzech monet, a dzisiaj o resztę pieniędzy.

Oczywiście, zamierzał kupić Thanie prezent.

–Pięćdziesiąt trzy twoje i pięć jego to razem pięćdziesiąt osiem – powiedział Wallie, wiedząc, że matematyka nie jest mocną stroną protegowanego. – Minus trzy to pięćdziesiąt. Tyle jest ci winien?

Nnanji z ponurą miną kiwnął głową.

–Tak, tylko że zamiast nich ma to.

Wysypał z sakiewki dużą garść lśniących rubinów, szmaragdów i pereł. Rozległ się pomruk zdumienia. Nnanji pogrzebał palcem w górze kosztowności.

–Trzy sztuki złota i trochę srebrnych – stwierdził, wybrawszy monety.

–Oczywiście, klejnoty są warte więcej niż pięćdziesiąt – zauważył mentor. – Z pewnością nowicjusz zwróci ci pieniądze, gdy tylko dotrzemy do wolnego miasta.

Spojrzenie Czwartego było lodowate.

–Ja chcę wiedzieć, skąd je wziął, bracie. Mówi, że nie ukradł, ale podobno obiecał pani Brocie, że nic nie powie. To właśnie mnie martwi!

–Nigdy wcześniej ich nie widziałam – oświadczyła Brota pospiesznie.

Przesunęła wzrokiem po horyzoncie, jakby szukała punktów orientacyjnych. Nikt nie kwapił się do zabrania głosu. Wallie doszedł do wniosku, że jest to sprawa między Nnanjim a jego bratem, ale był ciekaw, jak Czwarty ją załatwi.

Nie otrzymawszy pomocy od Siódmego, adept wziął głęboki oddech i powiedział:

–Pani, raczysz mi wyjaśnić, jak protegowany może cokolwiek trzymać w tajemnicy przed mentorem? Czy uważasz, że to godne szermierza domagać się od niego zachowania sekretu?

Punkt dla Nnanjiego.

Brota chrząknęła, nie patrząc na szermierza.

–Nie! Lecz nie przypominam sobie, żebym czegoś takiego żądała. O ile pamiętam, było zupełnie inaczej. To ja mu obiecałam, że nic ci nie powiem.

Nnanji rzucił bratu triumfujące spojrzenie. Katanji starał się robić wrażenie małego chłopca zagubionego w świecie dorosłych. Był mniej przekonujący niż kiedyś. Tygodnie spędzone na Rzece sprawiły, że urósł i zmężniał. Wyglądał zdrowiej i miał nawet coś w rodzaju kucyka, co prawda bardziej podobnego do koku.

–Kupiłem parę dywanów, mentorze – powiedział. – Brota mi pomogła.

W tym momencie Thana dostała ataku śmiechu, zagrażającego życiu. Matka spiorunowała ją wzrokiem, ale tylko pogorszyła sprawę.

–Ja opowiem! – wykrztusiła w końcu Druga.

Zrelacjonowała przebieg negocjacji w gondoli i zakupu jedwabnych dywanów. Po chwili Wallie wbijał sobie paznokcie w dłoń, żeby nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

Zaryzykował spojrzenie na starego kapłana. Honakura uniósł brew. Brota przechytrzona przez żółtodzioba? Najprawdziwszy cud!

Katanji kupił w Dri najlepsze dywany za sześćdziesiąt dwie sztuki złota i zapełnił gondolę. Brota nic nie zyskała na transakcji, a wręcz straciła na kosztach transportu i łapówki dla gondoliera, nie mówiąc o ryzyku. Za przemyt władze mogły jej

zarekwirować statek. Wallie wiedział, że Piąta czuła się związana umową, ale rozumiał, co ją powstrzymało przed utopieniem smarkacza.

–Jak je sprzedałeś? – zapytał nowicjusza. Katanji już odzyskał pewność siebie, ale nadal udawał niewiniątko. Jego historyjka okazała się jeszcze lepsza.

W następnym porcie, Casr, chłopak poprosił, żeby wyładowano jego dywany i ułożono na nabrzeżu obok towaru Broty. Doszło do gwałtownej, ale cichej wymiany zdań. Nowicjusz przypomniał, że Piąta zgodziła się na wszystkie jego warunki. Obiecał, że żeglarze nie dowiedzą się o prywatnym handlu, póki Brota będzie trzymać ich z daleka, zwłaszcza Diwę i Matarro. Wallie domyślił się, że kobieta, zafascynowana przedwczesną dojrzałością Pierwszego, miała ochotę zobaczyć go w działaniu. Tak więc Katanji usiadł na stosie dywanów i zajął się jakąś grą planszową.

Kiedy zjawili się handlarze, Brota próbowała sprzedać im swój towar, ale okazało się, że na najlepszym siedzi Katanji. Pozostało jej jedynie odesłać klientów do chłopca. Nowicjusz uprzejmie wyjaśnił, że tylko pilnuje dywanów ojca, który poszedł do miasta. Więc nie można ich kupić? Cóż, tatuś przykazał mu, że może sprzedać wyłącznie całość za sto dwadzieścia sztuk złota. Kiedy przyjdzie właściciel? Katanji wzruszył ramionami i wrócił do gry. Na powiece miał znak ojcowski, więc historyjka wydawała się prawdopodobna.

Nie spieszyło mu się. Statek nie mógł odpłynąć bez Broty, a Brota nie mogła odpłynąć, nie sprzedawszy towaru. Jej szansę były niewielkie, gdy obok piętrzyła się góra doskonałych wyrobów tkackich. Handlarze kręcili się w pobliżu, czekając na powrót właściciela dywanów. Po kilku godzinach jeden ze zniecierpliwionych kupców wypytał Piątą, czy chłopiec jest upoważniony do sprzedania towaru, i dowiedziawszy się, że tak, wręczył mu całą sumę. Gdy Katanji wrócił na pokład, położył planszę z grą na stoliku kobiety...

W tym momencie Wallie parsknął śmiechem, ubawiony tym ostatnim aktem zamierzonej bezczelności. Nnanji spojrzał na niego wilkiem, a potem zerknął na Thanę, która również nie zdołała się opanować. Po policzkach Honakury ciekły łzy. Brota uśmiechała się blado, zbyt urażona, żeby się poddać ogólnej wesołości. Nagle od strony relingu dobiegł głośny ryk. Oburzony Nnanji spiorunował kapitana wzrokiem i przeniósł spojrzenie na brata. Nowicjusz miał rozbijającą minę. Tym razem jednak posunął się za daleko. Mentor nie chciał dostrzec humorystycznej strony wybryku protegowanego. Dla niego była to sprawa honoru.

–No dobrze – powiedział zimno, kiedy wszyscy się uspokoili. – Więc wydałeś sześćdziesiąt dwie... Skąd wzięłeś tyle pieniędzy?

–Ty miałeś dziewiętnaście srebrników, mentorze. Ja dwa...

–To razem tylko jedna sztuka złota. Katanji westchnął.

–Pamiętasz, jak próbowałeś odkupić gar od kapitana, a on nie wziął pieniędzy, tylko je kopnął?

–Ty oczywiście je podniosłeś! – Nnanji zrobił groźną minę. – To są pieniądze lorda Shonsu... a właściwie kapitana.

–Ale on ich nie chciał!

Nawet Wallie miał trudności z obliczeniami, lecz w końcu wspólnie ustalili, że po

sprzedaży dywanów Katanji powinien mieć sto dwadzieścia dwie sztuki złota, z czego pięć należało do Shonsu albo Tomiyano. Potem dowiedzieli się o jeszcze dwóch, które Katanji wytargował od Broty w Wal. Razem sto dwadzieścia cztery.

–Ile to wszystko jest warte? – zapytał Nnanji, patrząc na stos klejnotów. Thana rozgarnęła je ręką.

–Co najmniej pięćset – oceniła.

Brota potwierdziła skinieniem głowy. Czwarty utkwiał wzrok w winowajcy.

–Ile?

Katanji wydał usta.

–Między siedemset a osiemset... Bliżej ośmiuset.

Obecni wymienili spojrzenia.

–Kupiłem trochę kamieni w Casr. Widzicie ten rubin? Dostałem go i jeszcze jeden za sześćdziesiąt, a potem ten drugi sprzedałem w Tau za pięćdziesiąt, ale on był większy. W Wo dokupiłem dwa ametysty i cztery topazy, a sprzedałem je w Shan.

–Skąd znasz się na kamieniach szlachetnych? – zainteresował się Siódmy.

Talenty chłopca wydawały się niezliczone. Adept poczerwieniał.

–Nasz dziadek był złotnikiem. Katanji kręcił się po warsztacie do jego śmierci. Jakies cztery lata temu.

Wallie zrozumiał teraz, skąd pochodziły pieniądze na umieszczenie Nnanjiego w świątynnej gwardii.

–Chciał mnie wziąć na ucznia, panie – dodał Katanji, próbując zmienić temat.

–Jak sto dwadzieścia sztuk złota pomnożyłeś do siedmiuset albo nawet ośmiuset? – spytał brat.

Nowicjusz spojrzał błagalnie na Brotę.

–Pracował dla mnie – powiedziała kobieta.

Po chwili niechętnie wszystko wyjaśniła. Katanji chodził na zwiady nie tylko w miastach czarnoksiężników. W Casr, Tau, Wo i Shan podejmował się szpiegostwa gospodarczego na rzecz Broty. Za każdym razem jego wynagrodzenie rosło, aż ostatnio zażądał dziesięciu sztuk złota za swoje usługi. Piąta płaciła bez targowania, bo znajomość rynku przynosiła jej wymierne korzyści.

Nnanji wyglądał na zdegustowanego. Wallie pogubił się w kalkulacjach.

–Ile pieniędzy miałeś, kiedy dotarliśmy do Gi? – zapytał.

–Jeden rubin, dwa szmaragdy i sto jedenaście złotych monet Zostały trzy monety...

–Resztę klejnotów kupiłeś za sto osiem sztuk złota?

Katanji pokiwał głową z miną winowajcy.

Podaż i popyt. W świecie bez banków najwyższą wartość miała ziemia oraz kamienie szlachetne i złoto. Pogorzelnicy z Gi. uratowali klejnoty, ale potrzebowali gotówki. Nowicjusz od razu zwęszył wielką okazję. Wallie spojrzał na Brotę. Kobieta miała posępną minę. Traciła czas na sztaby z brązu, a tymczasem Katanji robił interes życia.

–To potworne! – stwierdził Nnanji, gdy w prostych słowach wyjaśniono mu istotę transakcji. – Oni głodują! Są bezdomni! Nie masz za grosz współczucia?

Popatrzył z niesmakiem na mentora. Wallie zastanawiał się, czy Nnanji kiedykolwiek odczuwał litość, będąc w wieku brata. Może nie, ale od tamtego czasu zmienił się i dużo nauczył. Katanji miał pozostać taki sam.

–Pewnie żałuje, że nie zostawił sobie dość gotówki, żeby ci oddać – zauważył Wallie. – Wtedy byś się nie dowiedział. Jednak chciwość zwyciężyła.

–Chciałem tak zrobić, panie, póki nie zobaczyłem pereł – wyznał Pierwszy ze skruchą. Wybrał ze stosiku iskrzący się sznur i uniósł go pod światło. – Nie mogłem się oprzeć. Dostałem je za dwadzieścia, a są warte co najmniej dwieście.

Nie, ten chłopak nie znał wyrzutów sumienia.

–Od tej pory, bez mojego pozwolenia nie będziesz włóczył się po mieście w stroju niewolnika! – oświadczył Nnanji. – Jasne?

Nowicjusz posępnie skinął głową. Brota wpatrywała się w horyzont.

–Udawanie niewolnika może być honorowym zajęciem, pod warunkiem, że robi się to dla bogów, a nie dla pieniędzy! Ile dostaniesz za tę kosztowność?

Wziął do ręki broszę ze złota i szmaragdów.

–Jakieś siedemdziesiąt – powiedział Katanji ostrożnie.

–Więc sprzedaj ją i oddaj dług. Jeśli zarobisz więcej, zatrzymaj nadwyżkę.

Oczy chłopca rozbłysły.

Nnanji spojrział niepewnie na resztę skarbu, a potem na Walliego i Honakurę, szukając u nich pomocy. Z ich oczu wyczytał, że sam będzie musiał rozstrzygnąć sprawę.

–Do kogo to wszystko należy?

–Do mnie!

W głosie Katanjiego nie było przekonania.

–Nie! – Nawet siedząc na pokładzie, Czwarty patrzył na brata z góry. – Jako Pierwszy nie możesz niczego posiadać na własność. Jako Drugi również. Gdybyś doglądał mojej krowy, a ona by się ocielila, cielę także należałoby do mnie. Takie jest prawo.

Zerknął na kapłana. Honakura skinął głową. Miał wyraźnie rozbawioną minę.

–Uważam, że te klejnoty są splamione – oświadczył Czwarty. – Trzeba je w pierwszej świątyni ofiarować Najwyższej.

Katanji i Brota wymienili zdeglustowane spojrzenia.

–Chwileczkę – odezwała się Piąta władcym tonem. – Shonsu, widziałeś, jak Katanji fechtuje. Co z niego będzie za szermierz?

–Martwy.

–Nnanji, ty też wiesz, że dzieciak nie ma przyszłości w tym zawodzie. Jest urodzonym handlarzem jak mój najstarszy, Tomiyarro. Może nawet lepszym. Doskonale poradzi sobie na Rzece, nawet jeśli nie zdobędzie więcej znaków.

–Nie jest taki zły, za jakiego próbuje uchodzić – stwierdził Wallie.

Adept łypnął podejrzliwie na brata. Katanji przybrał nieobecny wyraz twarzy.

–Nigdy nie zostanie Trzecim, nawet gdyby żył tysiąc lat – dodał Siódmy. – Nnanji, pani Brota ma rację.

–Pozwólcie, żeby złożył mi przysięgę – zaproponowała kobieta. – Niech zostanie

szczurem wodnym. To jego powołanie. Pewnego dnia poślubi handlarke i kupią sobie własny statek. Tak będzie lepiej, niż gdyby miał zginąć, prawda?

Rzuciła Katanjiemu macierzyński uśmiech, najprawdopodobniej szczery. Nnanji poczerwieniał.

–Szermierz zajmujący się handlem?

–Wyjaśnij łaskawie, co w tym złego? – poprosiła Thana głosem, który ociekał zatrutym miodem. – Matka i ja chciałybyśmy wiedzieć.

Cisza się przedłużała. Czwarty z uwagą oglądał klejnoty, a jego szyja zrobiła się równie czerwona jak policzki. Wallie doszedł do wniosku, że Nnanji przed chwilą sam wykopał sobie grób. Czekał w napięciu, jak adept wybrnie z sytuacji.

–Czy tego właśnie chcesz, protegowany? Zostać wodnym szczurem? Handlarzem?

Katanji zawahał się.

–Myślę, że byłbym lepszym handlarzem niż szermierzem, Nnanji – odparł spokojnie. – Ale wolę zostać z tobą, przynajmniej na kilka lat.

–Cóż, chyba wyjdzie ci to na dobre, skoro zamierzasz być szczurem wodnym – stwierdził Nnanji niechętnie.

–A mój honor, mentorze?

Oczy Pierwszego były bardzo niewinne. Brat przeszył go wzrokiem i starannie dobierając słowa, powiedział:

–Nie jest dobrze, gdy wolny albo garnizonowy szermierz para się handlem, bo dodatkowe zajęcie odciąga go od obowiązków, ale wodny szczur ma zobowiązania tylko wobec własnego statku, więc dla niego handel jest dozwolony. Czy to jasne?

Katanji westchnął.

–Sprytne! Ale co by powiedziała ciotka Gruza?

Cisza... Dźwięk podobny do syczenia ulatującej pary... Wreszcie donośne parsknięcie. Katanji dołączył do mentora i obaj zaśmiewali się z rodzinnego żartu, którego nikt inny nie rozumiał. Obecni patrzyli na nich rozbawieni i zdezorientowani.

Nnanji nie mógł wykrztusić z siebie słowa. Walił pięściami w pokład. Kilka razy ocierał łzy i próbował coś powiedzieć, ale gdy tylko spojrzał na brata, znowu wybuchał histerycznym śmiechem. Kimkolwiek była ciotka Gruza, jej imię miało niezwykłą moc.

Walliego naszała refleksja, że jeszcze niedawno ci dwaj młodzieńcy byli dziećmi. Dzielili wspomnienia i mimo skrajnie różnych charakterów bardzo się lubili.

Wreszcie Nnanji z trudem się opanował.

–W porządku, dzieciaku. Możesz zatrzymać skarb... z wyjątkiem tego. – Sięgnął po naszyjnik z pereł i zwrócił się do Broty. – Pani, przechowasz resztę klejnotów w bezpiecznym miejscu? Jeśli coś mi się stanie, będą należały do Katanjiego.

–Oczywiście, adeptcie.

Czwarty przez chwilę przyglądał się perłom.

–Są najpiękniejsze i dzięki nim prawda wyszła na jaw. Chcę, by nam przypominały, że trzeba być uczciwym. Mimo to niech ich urodę przyćmi jeszcze większe piękno.

Podszedł do Thany, założył jej perły na szyję i odszedł szybkim krokiem.

Dziewczyna głośno wciągnęła powietrze i dotknęła klejnotów. Dwieście sztuk złota? Spojrzała na matkę, na Shonsu, zerwała się i pobiegła za Nnanjim.

–O rany! – mruknął Katanji z najwyższym obrzydzeniem.

–Może zechcesz być świadkiem pieczętowania sakiewki, starcze? – zapytał szermierz.

Honakura zrozumiał aluzję. Zabrał z rufy Katanjiego i jego fortunę. Tomiyano ruszył za nimi. Wallie został sam na sam z Brocą.

–Powinno się udać – stwierdził.

Piąta przez chwilę obserwowała go w milczeniu.

–Jesteś człowiekiem honoru, panie. Bardzo niewielu ludzi dowolnej rangi tak by się zachowało.

–A Nnanji? Wiesz, pani, czasami myślę o nim jak o wielkim jajku, które znalazłem na plaży. Od czasu do czasu odpada kawałek skorupki i wtedy widzę, że coś się wykluwa. Na pewno coś nadzwyczajnego. Kto by pomyślał, że chłopak jest zdolny do takiej przemowy?

–Co sugerujesz, panie?

–Że Thana przegapiła swoją szansę.

Broca pokiwała głową w zamyśleniu.

–Matka nie powinna tego mówić, lordzie Shonsu, ale wątpię, czy ona jest warta adepta.

–Ktoś nadjeżdża! – stwierdził Nnanji i zabił komara, podwyższając wynik do stu.

Pod bezbarwnym niebem na zachodnim horyzoncie ostro rysowały się czarne góry. Słońce zaszło, ale prawdziwa ciemność jeszcze nie zapadła w głębokim cieniu RegiYul. Urwiska i Rzeka tworzyły posępny, monotony i szary krajobraz. Zimny wiatr marszczył wodę, ale nie zniechęcał legionów najbardziej dokuczliwych owadów, z jakimi Wallie kiedykolwiek miał do czynienia.

W południe *Szafir* minął miasto czarnoksiężników, Ov, i skierował się na południowy zachód, lawirując między łachami piasku i mieliznami. Na wysokości majątku Garathondi zakotwiczył pośrodku Rzeki.

Szalupa od co najmniej dwóch godzin stała przywiązana do moła. Obok cumowało kilka starych łodzi rybackich. Wody w Rzece znacznie przybyło od czasu pierwszej wizyty Siódmego. Zdawało się, że byli tu wieki temu!

W tym momencie Wallie usłyszał ponad pluskiem fal odgłosy, które dotarły do uszu Nnanjiego dużo wcześniej: stukot podków, skrzypienie osi, zgrzytanie kół na żwirze. Szalupa zakołysała się lekko.

–W samą porę! – burknął Tomiyano.

Było ich pięcioro: troje szermierzy, łącznie z Thaną, żeglarz i niewolnica, albo sześcioro, jeśli liczyć śpiącego Vixiniego. Holiyiego wysłano na ląd, żeby odszukał Quili.

Posłaniec bardzo długo nie wracał, a czekający mieli powody do obaw. Mrukliwy żeglarz na pewno nie tracił czasu na głupie pogaduszki. Tomiyano zaczął przebąkiwać o okrutnej zemście, jeśli coś złego przydarzyło się jego kuzynowi.

Krąg został zatoczony. Na tym właśnie moła rozpoczęła się misja. Wracając w to miejsce, Wallie spełniał kolejne polecenie. Teraz miał nauczyć się lekcji. Żałował jednak, że nie ma większej wiary w swoje umiejętności. Dręczył go niepokój, że coś przeoczył.

Cholerne końskie muchy! Pacnął się w kark.

U wylotu wąwozu pojawił się wóz zaprzężony w dwa konie. Zsiadły z niego dwie osoby i ruszyły w stronę brzegu. Trzecia podjęła się trudnego zadania zawrócenia pojazdu. Przy wysokim poziomie Rzeki miejsca na manewr było niewiele.

–Zostańcie! – powiedział Wallie.

Wysiadł z szalupy. W wieczornej ciszy jego buty głośno dudniły o pomost, gdy szedł gościom na spotkanie.

Na twarzy Holiyiego malował się zwykły ironiczny grymas, co uspokoiło Walliego. Żeglarzowi towarzyszyła Czwartą w średnim wieku. Koronkowy rąbek pomarańczowej szaty z delikatnego aksamitu zamiatał brudne moła. Kobieta miała siwe wypielęgnowane włosy i pierścionki na palcach. Była zamożną kapłanką.

–Adept Yalia, lordzie Shonsu – mruknął Holiyi.

Po wymianie pozdrowień i uprzejmości Wallie zapytał:

–Mieście kłopoty?

Mężczyzna potrząsnął głową i niedbale wzruszył ramionami.

–Kapłanka Quili ma się dobrze, panie, ale nie mogła przyjechać. Podejmuje

czarnoksiężników – wyjaśniła Yalia i uśmiechnęła się, rozbawiona reakcją Siódmego.

Zachowywała się dość przyjaźnie, ale najwyraźniej uważała

–To nie jest kłopot?

–Nie, póki nie wiedzą, że tu jesteś, panie! A jestem pewna, że się nie dowiedzą.

Wallie skinął na towarzyszy siedzących w łodzi. Mógłby wypytać Holiyiego o szczegóły, ale bał się, że ich wyciągnięcie zajmie mu godzinę. Na molo rozległ się tupot butów i bosych stóp. Yalia została przedstawiona Nnanjiemu, a pozostali jej.

–Jakie piękne dziecko! – zachwyciła się kapłanka.

Vixini, wyrwany ze snu, schował twarz na piersi matki i odmówił konwersacji.

Wallie pomodlił się w duchu o cierpliwość.

–Nie możemy zaproponować ci wygodnego krzesła, adeptko, a powietrze roi się od krwiożerczych bestii, więc może powinniśmy od razu wysłuchać twojej opowieści?

Valia królewskim gestem skinęła głową na znak zgody.

–Mam obecnie zaszczyt służyć w Garathondi, panie. Kapłanka Quili jest moją protegowaną, a jednocześnie moją świecką przełożoną, ale dobrze się nam razem pracuje.

–Chyba nie rozumiem – stwierdził Wallie. – Cieszę się, że Quili dostała promocję na Trzecią, ale co z lady Thondi?

–Jest u Bogini.

–Byłbym hipokrytą, gdybym wyraził żal. Na twarzy kapłanki pojawił się wyraz lekkiej nagany, a zaraz potem łaskawy uśmiech należny Siódmemu.

–Myślę, panie, że ty sam oddałeś ją pod boski sąd. Twoja modlitwa została wysłuchana. Śmierć lady Thondi nie była lekka.

–Proszę o wyjaśnienie!

Valia obrzuciła grupkę przybyszów uważnym spojrzeniem, zadowolona, że ma komu opowiedzieć ciekawą historię.

–Zeszła na molo, żeby wsiąść na rodzinną łódź. Wybierała się do Ov w interesach, niedługo po twoim odjeździe, lordzie Shonsu. Załamała się pod nią przegniła deska i kobieta wpadła do wody.

–O, Bogini! – wyszeptał Wallie.

Po plecach przeszły mu ciarki. Dlaczego czuł się winny?

–Tak! Przed nią szło kilku roślących mężczyzn, a ona nie była ciężką osobą, o ile wiem.

–Piranie ją dopadły?

Kapłanka tylko czekała na to pytanie.

Nie chciały jej. Oczywiście takie rzeczy się zdarzają. Prąd porwał lady Thondi i wciągnął ją pod wodę. Utonęła. Nikt nie mógł jej pomóc.

Kobieta rozkoszowała się reakcją słuchaczy. Nnanji i Tomiyano byli pod wrażeniem. Jja otoczyła ramieniem swojego pana.

–Mogę pokazać wam to miejsce, jeśli chcecie – zaproponowała Yalia.

–Nie, dziękujemy! A jej syn?

–Kilka dni po śmierci matki czcigodny Garathondi miał atak apopleksji. Od tamtej

pory jest sparaliżowany i nie może mówić. Uzdrowiciele nie dają mu nadziei na powrót do zdrowia. Sądzą, że nie pożyje długo.

–To straszne!

Czwarta zrobiła zaskoczoną minę.

–Kwestionujesz sprawiedliwość bogów, panie, choć o nią prosisz?

–Nie chciałem... Opowiedz mi o Quili, pani. Mam nadzieję, że jej wiedzie się lepiej?

–Doskonale. Nigdy nie widziałam szczęśliwszej pary. Walliego koczyło, żeby wprawić w osłupienie świątobliwą osobę, ale zwalczył pokusę.

–Poślubiła Garadooiego?

–Oczywiście! Świetnie do siebie pasują! Prawdziwe gołąbki. Czując, że Jja mocniej go obejmuje, Wallie spojrział w jej uśmiechnięte oczy. Pewnych rzeczy nie trzeba mówić.

–Proszę im przekazać nasze gratulacje.

–Z pewnością to zrobię. A ty, panie? Już doszedłeś do siebie po odniesionej ranie?

–Skąd... o tym wiesz, pani?

Valia uśmiechnęła się tajemniczo i zarazem łaskawie. Owady i wiatr nie dokuczały jej tak jak gościom. Była odpowiednio ubrana.

–Parę tygodni temu czarnoksiężnicy poinformowali budowniczego, że umarłeś. Widziano cię w Aus, a potem w Ki San, ale rannego i bardzo słabego. Uzdrowiciele nie dawali ci nadziei.

Oczywiście, Quili bardzo się ucieszyła, gdy usłyszała, że tu jesteś i że tamte opowieści były przesadzone.

Nie wszystkie. Wallie zerknął na Nnanjiego. Myślał gorączkowo. Macki czarnoksiężników sięgały wszędzie. Mieli agentów w Ki San, chyba że sam uzdrowiciel nie był czarnoksiężnikiem. Postawił jednak złą diagnozę. Może dlatego w Wal dokładnie nie przeszukano Szafira. Uznano Shonsu za zmarłego. Potężni wrogowie też bywali po ludzku omylni.

–Nie wszystkie – powiedział Siódmy. – Czego tu dzisiaj szukają czarnoksiężnicy? Kapłanka roześmiała się.

–Prace nad wieżą postępują bardzo wolno, odkąd budowniczy Garadoo skrócił godziny pracy niewolników. Zakazał również wszelkich fizycznych kar bez jego osobistej zgody.

–Takie decyzje rzeczywiście mogły zaszkodzić wydajności.

–Lecz dochód z samego majątku znacznie ostatnio wzrósł.

Wallie wcale się nie dziwił. W następnej kolejności Garadoo zapewne da swoim niewolnikom mięso. Może już to zrobił. I łóżka.

–A czarnoksiężnicy?

–Czcigodny Rathaxo przyjechał z wizytą – odparła Valia z cynicznym uśmiechem. – Chciał, żeby budowniczy Garadoo wrócił razem z nim do miasta i osobiście przejął nadzór nad budową, tak jak jego ojciec. Doszło do ostrej wymiany zdań. Słyszeć ich było nawet przez zamknięte drzwi.

–Wieża jeszcze nie jest ukończona?

–Sama wieża tak, ale jeszcze trwają roboty na przyległym placu. Oczywiście czcigodnego i jego towarzyszy poproszono, żeby zostali na kolację. Akurat wtedy przybył do osady żeglarz Holiyi. Dzierżawcy przynieśli wieść do dworu, ale były pewne kłopoty z jej przekazaniem w obecności czarnoksiężników. Stąd zwłoka. Ja też brałam udział w kolacji.

–Quili i mnie udało się wymknąć na krótką rozmowę, ale ona na razie nie śmiała opuścić gości. Jeśli chcecie jechać ze mną, musimy trochę poczekać. Jeśli nie, Quili przesyła uściski dla adepta Nnanjiego i dla ciebie, panie.

Czwarty uśmiechnął się szeroko.

–Przekaż jej moje, pani.

–I oczywiście moje – dorzucił Wallie. – Ile osób towarzyszy Szóstemu?

–Dwaj Trzeci.

Puls Walliego nieco przyspieszył.

–Ale budowniczy Garadoo nie wróci z nimi do Ov? Nnanji zeszywniał. Valia pozwoliła sobie na dystygowany śmiech.

–Musieliby rzucić na niego czar. Bardzo silny! Garadoo obiecał, że za parę dni... W tym momencie zreflektowała się i gniewnie zacisnęła usta.

–Do Ov płynie się Rzeką? – zapytał Tomiyano.

–Jest prom – powiedział Nnanji.

–Bardzo się upierali, żeby budowniczy jechał z nimi, panie -wtrąciła kobieta, przestraszona i zła na siebie z powodu nieostrożności. – Próbował ich namówić, żeby zostali na noc. Rodzinna łódź przybędzie rano...

–Ale zaprosiłaś nas do dworu, pani. Wiedziałaś, że sobie pojedą.

–Możliwe.

Wallie nieraz słyszał, jak Honakura trochę mija się z prawdą, choć nie kłamie. Staruszek miał w tej dziedzinie dużo większą wprawę niż nadęta kapłanka.

W gęstniejącym mroku oczy Nnanjiego błyszcząły światłem odbitym od Rzeki. Nie było w nich jednak żądzы krwi. Czwarty uważnie obserwował mentora, ale nie ekscytował się jak kiedyś na myśl o akcji. Wiedział, jak należy zareagować.

–Oto twoja szansa, Shonsu! – Tomiyano zatarł ręce. – Nas pięciu i ich trzech. Nieźle, prawda, zwłaszcza, że mamy przewagę zaskoczenia?

–Nie – powiedział krótko Wallie.

–Co?! Dlaczego? Zabić dwóch, jednego wziąć żywego! Masz szansę się dowiedzieć, co chowają w zanadrzu, człowieku! To okazja zesłana przez bogów! Zwiążemy go i zakneblujemy...

–Nie.

–Dlaczego?! – krzyknął żeglarz. – Co jest złego w tym planie?

–Lord Shonsu to nie szermierz Kandoru – odezwał się Nnanji niezwykle spokojnym tonem.

–A co tamten ma do rzeczy?

Tomiyano, zbity z tropu, spoglądał to na jednego, to na drugiego szermierza.

–Wyciągnął broń na gościa.

Thana była równie zdziwiona jak brat.

–Kapłanka powiedziała, że nie możemy jechać do dworu. Odmówiono nam gościny. Nie jesteśmy gośćmi!

–Ale oni są – stwierdził Nnanji z lekkim uśmiechem.

–Nie ruszymy na czarnoksiężników, adeptko – zapewnił Wallie.

Tomiyano miał rację. Sami bogowie zsyłali im okazję schwytania czarnoksiężnika szóstej rangi. Lecz Yalia niechcący zdradziła gości przed ich wrogami. Wykorzystanie jej błędu byłoby nieuczciwe. Dobre maniery nie pozwalały na toczenie wojny w taki sposób. Szaleństwo! Idiotyzm! Za to twarz Nnanjiego wyrażała aprobatę. Lord Shonsu po raz kolejny okazał się człowiekiem honoru. Ale dlaczego właściwie miał się przejmować tym, co myśli protegowany? Dlaczego krzywy uśmiech Czwartego był mu tak miły? Pokutował za to, co zrobił w Aus? Wariactwo!

Tomiyano prychnął z oburzeniem. Thana tylko pokiwała głową nad szczurami lądowymi.

–Dziękuję, panie – przemówiła Yalia z pokorą, a nie jak wielka dama. – Winę przypisano by Quili... Nie przyjedziecie do dworu?

–Już późno – odparł Wallie. – Powinniśmy wrócić na statek, nim zapadnie noc.

–Jak sobie życzysz, panie. – Kapłanka zawahała się. – Nie zamierzałam wspominać... Powiedziano mi to w zaufaniu, ale nie składałam żadnej przysięgi. Uważam, że mam obowiązek przekazać dalej tę informację. Wkrótce i tak się dowiecie.

Walliego ogarnęły złe przeczucia.

–Tak?

–Zdaje się, że to właśnie jest powodem niecierpliwości czarnoksiężników. – Kobieta najwyraźniej nie potrafiła przejść do rzeczy. – Czcigodny Rathazaxo wyjawiał, że zwołano zjazd.

–Zjazd?! – krzyknął Nnanji. – Gdzie?

Valia drgnęła.

–W Casr, adeptcie.

–Kiedy?

–Wczoraj.

–Czy Bogini go pobłogosławiła?

Czwarta zrobiła krok do tyłu, przestraszona jego gwałtownością.

–Najwyraźniej, adeptcie.

–Przybędą Jej szermierze?

–Tak mówił czcigodny...

Nnanji podszedł do Walliego i chwycił go za ramiona.

–To jest to, bracie! Zastanawiałeś się, jak walczyć z czarnoksiężnikami, i teraz masz odpowiedź! Dlaczego o tym nie pomyśleliśmy?

–Co to jest zjazd, do diabła? – burknął Tomiyano.

–Święta wojna! Potrzeba do niej dwóch Siódmych, szermierza i kapłana. –

Czwarty mówił coraz głośniej, z podniecenia. Zwrócił się do Valii. – A woły? Mieli woły?

Kobieta skinęła głową.

–Po co woły? – zapytał kapitan. – Na pieczeń?

–Nie, nie, nie! – Nnanji prawie tańczył. – Od wieków nie było zjazdu! Do jego ogłoszenia trzeba kapłana i szermierza, którzy wejdą do wody. Woły mają iść przed nimi.

Tomiyano wybałuszył oczy.

–Trzeba by czegoś więcej niż wołów, żeby mnie zaciągnąć do Rzeki...

Nnanji przeniósł wzrok na mentora.

–Jeśli rzeczywiście przybywają szermierze, to znaczy, że będzie prawdziwa wojna, którą Bogini pochwała! Saga o Arganarim i Za? Guiliko?

–Kto będzie dowodził? – spytała Thana, patrząc na Shonsu. – Siódmy, który zwołał zjazd?

Nnanji zmarszczył brwi.

–Nie sądzę... Niekoniecznie. – Zastanawiał się przez chwilę, poruszając ustami. – Kwestię przywództwa rozstrzyga się w bitwie. Wygra najlepszy szermierz. – Spojrzał na Walliego i krzyknął: – Najlepszy szermierz Świata! Oczywiście! Pamiętasz balladę o Chioxinie, bracie? Szmaragd prowadził szermierzy. Czwarty również! I rubin! Po to jest twój miecz!

Adiutant dowódcy i zaprzysiężony brat miał pewność, że w przyszłych eposach znajdzie się o nim pochlebna wzmianka. Nnanji był wniebowzięty jak średniowieczny giermek, który dostał bilet na następną krucjatę. Thanie i Tomiyano udzieliło się jego podniecenie. Nawet Jja i Holiyi promienieli. Wojna przeciwko czarnoksiężnikom, a na czele armii lord Shonsu władający mieczem Bogini.

Wcześniej Wallie musiał przemyśleć wiele spraw. Może źle interpretował zagadkę i żeglarze z Szafira wcale nie byli jego armią. Prawdziwą, największą, jaką znał Świat, mieli utworzyć szermierze przybyli na zjazd. Shonsu nie zrobił nic, żeby ich zgromadzić.

Nnanji poruszał ustami, ale milczał. Powtarzał sobie w myślach eposy o wojnach.

–Nie uda mi się namówić was na odwiedzenie dworu? – zapytała Yalia. – Quili bardzo pragnie cię zobaczyć, panie. Budowniczy również, ale niestety musi dotrzymać towarzystwa czarnoksiężnikom.

Wallie miał teraz zbyt dużo na głowie: zagadki, zjazdu, kręgi, armie. Casr i Aus. Poza tym nie uśmiechało mu się stanąć twarzą w twarz z dawnymi sojusznikami i przyznać, że historie, które o nim słyszeli, są prawdziwe.

–Raczej nie, świątobliwa. Przekaż im wyrazy miłości i jeszcze raz podziękowania. Powiedz, że nadal będziemy walczyć ze złem. Musimy wrócić na statek, nim zapadnie noc.

Albo Szafir zniknie, a łódź odpłynie do Casr z siódmym mieczem na pokładzie? Poczuł ulgę, że Jja i Vixini są przy nim.

–Do Casr, panie bracie? – zapytał Nnanji niecierpliwie.

Wallie westchnął.

–Tak. Bogini wezwała swoich szermierzy, więc musimy płynąć do Casr.

Raptem Thana wytrzeszczyła oczy, a na jej twarzy odbiła się łuna. Nim dziewczyna zdążyła coś powiedzieć, wszyscy odwrócili się i spojrzeli ku północy. Na

horyzoncie gigantyczny płomień rozwijał wdzięczne płatki, rósł coraz wyżej, oświetlał całą okolicę. Kiedy ciemniejący pióropusz dotarł do samego nieba, musnęły go promienie niewidocznego słońca, zabarwiając na różowo i złoto.

Erupcja wulkaniczna... Podmuch dotrze później, wiatr znosi popioły na zachód, do Casr. Wallie analizował sytuację, gdy raptem uświadomił sobie, jak na to zjawisko patrzają jego towarzysze.

–Bóg Ognia się gniewa! – wykrzyknęła Valia, robiąc znak Bogini. – Boi się wojska, które zwołano przeciwko jego czarnoksiężnikom!

–Nie bał się, póki nie usłyszał, kto je poprowadzi! – stwierdził Nnanji i uśmiechnął się z dumą do Walliego.

Ożywał kult bohatera. Lord Shonsu był człowiekiem honoru.

Pierwszą rzeczą, którą ujrzał Bóg Słońca, kiedy wrócił na Świat, był monstrualny grzyb wyrastający nad RegiYul, optycznie pomniejszający góry. Dla zabawy pomalował go na czerwono, później na złoto, a wreszcie na bladoniebiesko, lecz Bóg Ognia nadal ozdabiał spód grzyba różowymi smugami. Potem Bóg Słońca dostrzegł Szafir płynący do Ov.

Wallie spał mało i źle. Liczył na to, że boska zagadka wskaże rozwiązanie problemu. Myślał sobie, że zatoczy krąg i wtedy bogowie mu objawią, jak ma walczyć z czarnoksiężnikami. Teraz sprawa wyglądała jeszcze gorzej niż do tej pory. Okazało się, że wrogowie posiadli umiejętność przekazywania informacji na odległość. Wallie już rozumiał, dlaczego dostał legendarny miecz. Wszyscy szermierze mieli teraz uświęcony obowiązek ruszyć do Casr, ale powrót do tego miasta byłby dla Shonsu samobójstwem. Mógł się spodziewać nie tylko oskarżenia, ale również wyzwania ze strony Siódmych, którzy niewątpliwie przybędą na zjazd.

W ciemnościach nocy wyrzucał sobie jeszcze jeden błąd. Nie powinien zwracać uwagi na głupie skrupuły Nnanjiego, tylko urządzić zasadzkę na czarnoksiężnika, Szóstego, gdy ten będzie wracał do Ov.

Czy w ogóle zatoczył krąg? W czasie rozmowy, która trwała prawie do świtu, Honakura wyraził wątpliwości. W ręce czarnoksiężników wpadło siedem miast, a Szafir zawitał tylko do sześciu. Droga powrotna wiodła przez Ov, więc uznano, że należy złożyć w nim wizytę. Nikogo nie ucieszył ten pomysł, ale żaden z dyskutantów nie wpadł na lepszy. Czarnoksiężnicy bez wątpienia byli teraz wyczuleni na obecność szermierzy. W dodatku załoga statku nie miała powodu, żeby zawijać do Ov, znanego ośrodka wydobywania cyny. Brązowe sztaby, które Brota kupiła w Gi po okazyjnej cenie, pochodziły właśnie z Ov. Oferowanie ich na sprzedaż akurat w tym mieście mogło wzbudzić podejrzenia.

Wallie zaproponował, że sam uiszczy opłaty portowe, i obiecał, że pobyt będzie krótki. Brota zgodziła się bez protestów.

Ov okazało się większe nawet od Dri czy Ki San. Tak stwierdzili żeglarze. Leżało w wyższych partiach szarej równiny, której dużą część zajmowały cuchnące bagna. Domy były jednakowe, szare i brzydkie. Pośród tej monotonii korzystnie wyróżniała się wieża czarnoksiężników, czarna, złowieszcza i ponura. Jak wszędzie, stała jeden kwartał od Rzeki. Zewnętrzna część wyglądała na ukończoną. Słońce odbijało się od szyb co najmniej jednego z wysokich okien.

Nabrzeże nie przypominało żadnego z tych, które Wallie dotąd widział. Długi pirs sięgał daleko w Rzekę, tutaj wyjątkowo płytką, i tworzył literę T. Wszyscy kapitanowie próbowali zacumować jak najbliżej miasta, dlatego pionowa część litery była zatłoczona, a poprzeczna niemal pusta.

Wallie, Nnanji i Tomiyano zebrali się w nadbudówce rufowej, a tymczasem Brota znalazła dla Szafira miejsce w połowie pirsu.

–Dobra pozycja na szybką ucieczkę – stwierdził kapitan. – Wystarczy odciąć liny i prąd sam nas zniesie.

–I niezły teren do walki – dodał Wallie. – Żadnych magazynów górujących nad

statkiem. Wrogowie mogą nadejść tylko z jednej strony.

Podchwycił wzrok Trzeciego. Tomiyano zauważył, że Shonsu jest niespokojny. Sześć razy ryzykowali, przywożąc szermierza siódmej rangi do miasta czarnoksiężników i naruszając miejscowe prawa. Gdyby wierzyć przesądowi, coś powinno się wydarzyć właśnie teraz, za siódmym razem. Na Świecie przesady często się sprawdzały.

Nnanjiemu również udzielił się nastrój wyczekiwania. Przez pół nocy w głowie miał tylko zjazdy – Rofa, Za, Guiliko i Farhanderiego – honor, chwałę i nieśmiertelność. Przygnębiająca brzydota Ov nie poprawiła mu humoru.

W pewnym momencie do nadbudówki wszedł jego brat przebrany w strój niewolnika.

–Nie musisz, jeśli nie chcesz – powiedział Nnanji.

O dziwo, nawet Katanji wydawał się przygaszony.

–To mój obowiązek, mentorze? – zapytał z wahaniem.

Nnanji przygryzł wargę i skinął głową.

–Pospiesz się – ostrzegł Wallie. – Tylko rzuć okiem na wieżę i wracaj, dobrze?

Szafir uderzył w odbijacze. Do nadbudówki wszedł Honakura.

–Do miasta za daleko na moje stare nogi – mruknął i usiadł na skrzyni.

Wszyscy czuli, że wydarzy się coś niedobrego, ale nikt nic nie powiedział.

Po drewnianych balach ułożonych na kamiennych pirsach przejechał z donośnym turkotem wóz.

Droga była wąska i zastawiona z obu stron towarami wyładowanymi ze statków.

–Fuj! – Nnanji się skrzywił. – Teraz wiemy, dlaczego trafiło się nam wolne miejsce!

Statek cumujący naprzeciwko *Szafira* przewoził bydło, o czym świadczyło żalosne ryczenie i nieznośny odór.

–Pewnie na pokładzie są szermierze – zasugerował Tomiyano i zrobił unik przed pięścią Nnanjiego.

Przez chwilę obaj mocowali się na żarty. Wallie z rozbawieniem przypomniał sobie początek żeglugi. Na *Szafirze* było teraz dużo weselej.

Nnanji zakończył nierówną walkę i uderzył się w kark, mamrocząc pod nosem przekleństwo. Jeśli komary na Świecie przenosiły malarię, Ov nie należało do najzdrowszych miejsc. W kajucie roiło się od insektów.

–Krąg zatoczony – powiedział z zadumą starzec. Wyglądał na mocno zmęczonego. – Postanowiłeś, co dalej, lordzie Shonsu?

–Tak. Nic.

Nnanji gwałtownie wciągnął powietrze.

–Nic, bracie?

–Powiedz mi w takim razie, jak walczyć z czarnoksiężnikami? – odparował Wallie.

–To oszuści! – stwierdził kapłan.

Obecni spojrzeli na niego ze wzburzeniem.

–Oszuści? – zdziwił się Wallie. – Jeśli policzyć garnizony i inne historie... Ilu to już razem, Nnanji?

–Dwustu osiemdziesięciu jeden.

–Dwustu osiemdziesięciu jeden zabitych szermierzy. Jeden człowiek zginął na tym pokładzie. Nazywasz to oszustwem?

–To akurat prawda – przyznał Honakura. – Ale mimo wszystko oni oszukują. Jestem tego pewien. Dlaczego czarnoksiężnik zaproponował, że rzuci czar pomyślności na towar, skoro wiedział, że i tak dostaniemy za niego bardzo korzystną cenę? Dlaczego kapitanowi pokazano ptaka wyfruwającego z garnka? Oni zwyczajnie się popisują jak mali chłopcy. Wcale nie są tacy potężni, za jakich chcą uchodzić!

Kapłan już wcześniej zwrócił uwagę na tę słabostkę wrogów. Jednak czarnoksiężnicy posiadli również groźne moce, których obecności w epoce żelaza Wallie nie potrafił sobie wytłumaczyć.

–Co zamierzasz z nimi zrobić? – spytał Honakura.

–Odpowiedź nadal brzmi: nic. W każdym mieście powtarza się ta sama historia. Pojawiają się czarnoksiężnicy, szermierze ich atakują i giną! Wszystko zaczęło się piętnaście lat temu w Wal i sytuacja powtarza się co kilka lat. Podejrzewam, że magowie wkrótce przekroczą Rzekę. Ale czy to ma znaczenie? Szermierze nie dowiedzieli się niczego przez piętnaście lat. Niczego! Spróbują odzyskać miasta tradycyjnymi sposobami, przez które zginęli. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Stary kapłan zrobił znak Bogini.

–A edykt bogów?!

–Najwyższej nie podobają się ołtarze Boga Ognia w Jej świątyniach? Jakie to ma znaczenie? Nawet kapłani zbyt nie przejmują! Przez tysiące lat szermierze tłukli czarnoksiężników jak pluskwy. Teraz wrogowie są górą, a Bogini zaczyna zsyłać cuda.

–Błuznierstwo! – wybuchnął Honakura.

Wallie zaczął tracić cierpliwość. Poczucie klęski i frustracja w końcu zwyciężyły.

–Niech będzie błuznierstwo! Wrzućcie mnie do Rzeki, oskarżcie przed Brotą. Nie wiem, co się wydarzyło piętnaście lat temu. Czarnoksiężnicy wynaleźli lepsze pioruny czy może po prostu mieli dość pogromów z rąk szermierzy? Ludziom jest wszystko jedno. Równie źle pod rządami czarnoksiężników jak kiedyś pod rządami szermierzy. Z pewnością nie chcą, żeby na ich ulicach toczono bitwy, zabijano cywili, palono domy. Widziałem w Gi, co potrafi zdziałać ogień. Nie. Nic nie zrobię.

Wallie wrócił do obserwowania widoku za oknem. Nnanji miał niedowierzającą minę. Był wyraźnie zaniepokojony.

–A zjazd, panie bracie?

–Myślę, że czarnoksiężnicy poradzą sobie z całą armią szermierzy tak samo jak z garnizonami. Będzie wielkie nieszczęście.

Istniała jeszcze jedna tajemnica. Wywiadowcy z *Szafira* nie usłyszeli podczas swoich wypadów ani słowa na temat lorda Shonsu. Dowiedzieli się jedynie, że Siódmy był kiedyś kasztelanem zamku w Casr. Nie zdobyli żadnych informacji o rzeziach późniejszych niż ta, do której doszło po zdobyciu Ov. Nie wiadomo było, dlaczego Shonsu opuścił Casr i ruszył w pielgrzymkę do Hann, ścigany przez demony.

–Pamiętacie zagadkę? – odezwał się Wallie. – “Na koniec zwrócisz miecz”. Złożę go w świątyni w Casr, a potem niech sobie o niego walczą. Kupię niebieską przepaskę biodrową i zostanę szczurem wodnym. Potrzeba wam silnych rąk na statku, kapitanie?

–Kłamiesz, Shonsu – stwierdził Tomiyano pogodnie. – Przysięgniesz, że nie?

–Powiedz mi, jak walczyć z czarnoksiężnikami – burknął Siódmy i odwrócił się do okna. – Urzędnik portowy!

Spuszczono trap. Weszła po nim stara, siwowłosa i pulchna kobieta w brązowej wełnianej szacie Trzeciej. Miała różowe policzki i przyjazny uśmiech. U jej pasa zwiślała przytroczona duża sakiewka.

Wallie aż syknął na widok dwóch czarnoksiężników, Trzeciego i Drugiego, którzy szli za urzędniczką. Obaj stanęli na pokładzie niczym groźne posągi. Dłonie mieli schowane w rękawach, twarze ukryte pod kapturami.

–Ooo! – szepnął Nnanji.

–Jeśli przeszukają statek...

Wallie wyciągnął nóż z buta.

–Ja biorę Trzecią – powiedział Tomiyano; pamiętał, że sutry zabraniają szermierzom walczyć z kobietami. – Shonsu brązowego, Nnanji żółtego.

Oligarro występował jako kapitan. Brota stała obok niego. Część załogi kręciła się po pokładzie, czujnie obserwując intruzów.

Urzędniczka zasalutowała.

–W imieniu króla i czarodzieja witam w Ov, kapitanie. Ilu szermierzy masz na pokładzie?

W tym momencie Brota wysunęła się przed Oligarro, pozdrowiła niższą rangą i przyjęła salut.

–Ja, Druga i Pierwszy.

–To wszyscy? – zapytał jeden z czarnoksiężników, chyba Trzeci. – Żadnych wolnych? Przysięgniesz na statek, kapitanie?

–Oczywiście – powiedział Oligarro.

–Pani, ty również przysięgniesz, że na pokładzie nie ma wolnych szermierzy?

–Oczywiście – odparła Brota.

Czarnoksiężnicy odwrócili się i ruszyli w dół po trapie.

–To coś nowego, prawda? – zauważyła Piąta.

Urzędniczka skinęła głową.

–Zaczęło się dzisiaj. – Wzruszyła ramionami. – Coś gryzie zakapturzonych, ale nie wiem co.

Wallie wiedział. Poczul ulgę na widok zdziwionej miny Broty. Żaden urzędnik portowy nie mówił takich rzeczy.

–Cóż, przejdźmy do interesów – powiedziała handlarka. – Ile?

–Pięć.

Oligarro zmarszczył brwi.

–Myślałem, że opłata wynosi dwa.

–Może tak, a może nie. Zapłacicie pięć i kto się o tym dowie?

Kobieta uśmiechnęła się i potrząsnęła skórzaną sakiewką. Oligarro próbował się spierać, ale w końcu zapłacił.

Miła starsza pani wzięła pieniądze, pożegnała się uprzejmie i podreptała na brzeg. Piąta wykonała wulgarny gest za jej plecami i ruszyła do nadbudówki, żeby wyegzekwować pieniądze od lorda Shonsu.

Wallie dostrzegł przez okno Katanjiego idącego do miasta. W stroju niewolnika Pierwszy zupełnie nie rzucał się w oczy. Brota wróciła do swoich zajęć, a załoga robiła, co do niej należało. Siódmy znowu wyrztał na nabrzeże i zobaczył dwóch czarnoksiężników.

–Dlaczego nigdy nie pokazują rąk?

Nie doczekał się odpowiedzi.

Holiyi i Linihyo znieśli na brzeg sztabę z brązu, wrócili po drugą i zrobili z obu coś w rodzaju namiotu dla krasnoludków. Niebawem zjawili się domokrażcy i Lina poszła targować się z nimi o świeże owoce i inne artykuły spożywcze. Pozostali członkowie załogi ruszyli na brzeg w poszukiwaniu informacji. Większość skierowała się na lewo, do miasta, kilku w prawo, ku Rzece. Brota rozsiadła się na krzeselku przy trapie i czekała na kupców.

W szpalerze masztów i takielunków portowa ulica wyglądała jak aleja obsadzona zimowymi drzewami. Panował na niej ożywiony ruch. Koła głucho dudniły po deskach. Woźnice przeklinali i krzyczeli na żeglarzy i niewolników. Żeglarze odpowiadali równie hałaśliwie i dalej układali towary gdzie popadnie, tarasując drogę. Piesi rozpychali się i uskakiwali przed pojazdami. Na rejach siedziały ptaki podobne do mew i od czasu do czasu sfruwały po odpadki.

Gdy przybyła grupa jeźdźców, wyładowano bydło. Zwykły rozgardiasz przerodził się na krótko w chaos. W końcu zwierzęta popędzono do miasta i harmider ucichł. Statek bydlęcy odpłynął, co ucieszyło załogę *Szafira*.

Nnanji rozpoczął codzienne ćwiczenia. Honakura siedział na skrzyni i intensywnie myślał. Wallie i Tomiyano stali każdy przy swoim oknie i w smętnym milczeniu gapili się na tłum. Wszyscy ze złością tłukli komary.

Czarnoksiężnicy jak zwykle patrolowali nabrzeże parami. Bez przeszkód sunęli przez ciżbę, ignorując niecierpliwych, którzy nie mieli odwagi ich wyminąć. Nie mieli ustalonych rewirów, dlatego Wallie nie potrafił stwierdzić, ilu ich jest. Mógł opierać się jedynie na kolorach szat, ale wyglądało na to, że partnerzy często się zmieniają.

–Shonsu! – zawołał nagle Tomiyano. – Shonsu! Tamten Czwarty! Poznajesz go?

–Nasz zniewieściały przyjaciel z Aus!

–Ixiphino?

Nnanji podszedł do okna.

Od strony miasta nadchodził urzędnik portowy z Aus, szczupły i przystojny, w pomarańczowej przepasce biodrowej i lśniących skórzanych sandałach. Walliemu i tym razem skojarzył się z modelem prezentującym stroje plażowe. Obok niego kroczył czarnoksiężnik piątej rangi, w czerwonej szacie, wysoki i przygarbiony. Za nimi niewolnik ciągnął wózek wyładowany kosztami.

–Teraz nie ma już żadnych wątpliwości – stwierdził Wallie. – To czarnoksiężnik! I

spójrzcie tam!

W pewnej odległości za czarnoksiężnikami podążał Katanji. Najwyraźniej ich śledził. Mały spryciarz!

W pewnym momencie małą grupkę zasłonił kadłub jednego ze statków. Tomiyano wybiegł z nadbudówki i jak wiewiórka wspiał się na olinowanie.

Akurat wtedy przybiegła Thana i spytała, czy nie widzieli jej brata. Chwilę później zjawiała się Jja. Wallie podzielił się z nią nowiną. Wrócili pierwsi wywiadowcy. Fala nie odkryła niczego interesującego, natomiast Lae widziała w mieście fałszywego żeglarza towarzyszącego czarnoksiężnikowi. Poszła za nimi. Na nabrzeżu odczekała jakiś czas, by się upewnić, że nie jest śledzona. Lae znała się na wszystkim, nawet na szpiegowaniu.

–Sądzę, że przyszli z wieży – oznajmiła bardzo pewna siebie. Tomiyano zsunął się po linach i wpadł do kajuty.

–Skręcili w prawo – rzucił i podbiegł do okna wychodzącego na rufę. – Tamten biały statek.

Jednomasztowiec, który wskazał Trzeci, stał na końcu pirsu, przy mało zatłoczonej poprzeczce litery T.

–Wytłumacz szczeruowi lądowemu pewną rzecz – poprosił Wallie. – Taki mały żaglowiec z pewnością mógł wejść głębiej do portu? Dlaczego zacumował akurat tam?

Nie rozumiesz? – rzucił kapitan niecierpliwie. – To maleństwo zbudowano z myślą o szybkości. Ma duży kil. Za duży, żeby można korzystać ze środkowej części pokładu.

Wallie spojrzał na Lae.

–Widziałaś przypadkiem, co wiozą w koszach?

Kobieta zerknęła na Tomiyano. Uśmiech pogłębił jej zmarszczki.

–Ptaki, panie.

Żeglarz wymamrotał parę niecenzuralnych uwag na temat czarnoksiężników i ich głupich sztuczek.

Czas mijał niepostrzeżenie...

W głębi umysłu Walliego rozbłysło małe światełko. Katanji zawsze widywał przy wieżach ptaki chodzące po ziemi. Czarnoksiężnicy je karmili. Ich znakiem cechowym były pióra, ale... Wallie próbował sobie przypomnieć, jakiego ptaka mag wyczarował z garnka. A kosze?

–Może wiesz, co to za ptaki? – zapytał i wstrzymał oddech.

–Wydawały głosy jak gołębie.

–O, bogowie! Ośmiornice i pióra!

Światełko zajaśniało jak latarnia morska. Obecni spojrzeli na niego ze zdumieniem. Pogrążony w myślach Wallie nie zauważył na pół rozbawionych, na pół zaniepokojonych spojrzeń, które wymienili towarzysze. Jego mózg pracował na najwyższych obrotach.

–Panie bracie? – odezwał się Nnanji z troską w głosie. Mentor klepnął go w plecy z taką siłą, że adeptomal się nie przewrócił.

–Mam! Wprawdzie to niewiele, ale odkryłem jeden z sekretów czarnoksiężników. –

Przeniósł wzrok na Tomiyano. – Uzyskujecie z ośmiornic tę czarną ciecz?

–Chodzi ci o sepię? – zapytał kapitan poirytowany tajemniczością Siódmego.

–Sepię?

Shonsu wiedział o ośmiornicach tylko to, że nadają się do jedzenia. Sepia, atrament! I ptasie pióra! Przybory do pisania! Honakura napomknął, że magowie kiedyś współdziałali z kapłanami. Byli skrybami, na bogów! Gołębie pocztowe! Oto, jak czarnoksiężnicy dowiedzieli się o zerwanym moście, o pożarze w Gi i zjeździe szermierzy.

Gołębie mogły przenosić wiadomości tylko w jedną stronę, wracając do domu. Sieć kurierska wymagała więc odpowiedniego środka transportu, najlepiej szybkiej łodzi, i dobrych traktów. To dlatego naprawiono starą kopalnianą drogę. Fałszywy urzędnik portowy przywiózł gołębie z Aus i Wal, żeby je wykorzystać w Ov i Amb. Wszystko się zgadzało!

Kolejne działania same się narzucały. Trzeba znaleźć w wolnym mieście sklepikarza albo handlarza sprzedającego gołębie i w ten sposób dotrzeć do szpiega czarnoksiężników. Ci ludzie mieli swobodę poruszania się. Wallie nadal nie miał pojęcia, jak walczyć z magią, ale zrobił pierwszy krok ku walce z czarnoksiężnikami.

–Na razie nic nie mogę wam wyjaśnić – powiedział.

Nie wiadomo, czy kiedykolwiek będzie mógł. Wyjawienie tajemnicy pisma, na które monopol mieli czarnoksiężnicy, zachwiałoby całą strukturą społeczną. Bogowie na to nie pozwolą. Nie! Czarnoksiężnicy już wcześniej zadbali o swoje interesy! Wallie nareszcie zrozumiał, dlaczego grasują po Świecie w przebraniach. Chcą za wszelką cenę zapobiec ponownemu wynalezieniu pisma.

–Nnanji! Kiedy Katanji opuszczał wieżę, zobaczył półki z pudełkami. Jak je opisał?

–Skórzane pudełko – odparł adept, marszcząc brwi. – Za drugim razem powiedział “brązowe skórzane pudełko”, a następnym “płaskie pudełko”. Dużo pudełek.

Książki! Czarnoksiężnicy skupowali najdelikatniejsze skóry. Welin! Czy kiedyś uda się wykraść parę książek? Nauczyć się magii? Sytuacja zmieniłaby się całkowicie! Tymczasem...

–Co, do diabła, zatrzymuje Katanjiego?

Raptem mewy wzbily się w niebo, konie stanęły dęba, głowy wszystkich się odwróciły. Obok szybkiej łodzi, na wysokości której zniknął wózek, czarnoksiężnicy i Katanji, uniosła się wolno w powietrze chmura dymu.

Nad portem przetoczył się ostry huk pioruna.

Wallie Smith znał ten dźwięk.

To nie był piorun, tylko wystrzał.

Olśnienie.

“Lekcja zostanie przyswojona”.

Idiota!

Tomiyano i Nnanji zderzyli się w drzwiach. Szermierz przegrał wyścig. Kapitan wspiął się błyskawicznie na wanty. Liny na innych statkach zaroily się od żeglarzy. Czwarty odzyskał równowagę i już miał wypaść z nadbudówki, gdy przypomniał sobie o dyscyplinie. Podbiegł do mentora.

–Chcę pójść i zobaczyć! Katanji!

Wallie patrzył przed siebie pustym wzrokiem. Zbiegła się wystraszona załoga. Czarnoksiężnicy patrolujący port ruszyli w stronę Rzeki. Co odważniejsi z tłumu popędzili za nimi, a bojaźliwi zawrócili do domów.

–Panie bracie! Lordzie Shonsu!

–Koński mocz – szepnął do siebie mentor.

W głowie miał zamęt. Dopiero co ochłonął po niedawnym Objawieniu i Jlie zdążył jeszcze zastanowić się nad wszystkimi implikacjami. Lecz bez tego wstrząsu jego umysł może nie dokonałby kolejnego niewiarygodnego odkrycia. Latarnia morska rozbłysła jak słońce. Myśli pędziły przez głowę tak szybko, że Wallie nie mógł za nimi nadążyć. Świat stanął na głowie.

Wallie krzyknął i uderzył pięścią w ścianę kajuty. Był ślepy, uparty i głupi! Wszystko miał podane jak na tacy! Końska uryna i ogieniek płonący w ciemnym lesie. Pioruny i kopalnie w pobliżu wulkanów. Demony ognia i wrzące kadzie. Magiczne fujarki i komary. Ptaki w garnkach i długie rękawy. Skończony osioł! Dlaczego nie skojarzył faktów?

Panie bracie!

–Tomiyano! – ryknął Wallie.

Rozejrzał się i stwierdził, że kapitana nie ma w nadbudówce. Chwycił Brotę za ramiona.

–Aus! Statek, obok którego spotkałem Tomo. Co przewoził? Syn ci nie mówił?

W tym momencie uświadomił sobie, że potrząsa kobietą. Natychmiast ją puścił. Piąta gapiała się na niego przerażona.

–Siarke, panie!

–Siarke? Do czego się jej używa?

–Czasami do okadzania kabin, panie.

Brota trzęsa się ze strachu przed szaleńcem.

Panie bracie!

Ładunek siarki? Powinien domyślić się od razu. Czarnoksiężnicy wysyłali żółty proszek z Aus do innych wież. Katanji wspomniął coś o węglu drzewnym. Proch strzelniczy! Prymitywny czarny proch: piętnaście części azotanu potasowego, trzy części siarki, dwie części węgla drzewnego... Bogini nie przypadkiem wybrała inżyniera chemika, a on był za tępy, by zrozumieć dlaczego. Miejscowi pewnie znali azotan potasu jako saletrę, środek do konserwacji mięsa... Zresztą nieważne. Kadź pod schodami, której bulgot tak bardzo przeraził Katanjiego... Gdy kropla roztopionego ołowiu wpadała do wody, kadź oczywiście syczała i buchała parą!

Czarnoksiężnicy prawdopodobnie jeszcze nie skonstruowali gwintowanych luf, tylko gładkie. Demony ognia były szrapnelami albo kartaczami. Nic dziwnego, że ciała ofiar wyglądały jak rozszarpane!

–Katanji! Dałeś mi wiedzę, a ja jej nie przyjąłem! – jęknął Wallie.

Obecni spojrzeli po sobie z konsternacją.

Czarnoksiężnicy przez tysiąclecia chronili się w górskich ustroniach, osaczeni przez szermierzy, lecz dzięki pismu gromadzili wiedzę. W końcu wynaleźli proch. Z czasem zмайstrowali broń palną, skuteczną, choć niezbyt celną i dość prymitywną. Czarnoksiężnik nie strzelił do Nnanjiego w Wal, bo nie zdążył ponownie naładować broni po zabiciu urzędnika portowego.

Zdobywanie mądrości... pojawienie się magii. Wallie dziwił się kiedyś, że czarnoksiężnicy przejęli miasta dopiero piętnaście lat temu. Już sam ten fakt powinien dać mu do myślenia. Tylko skok technologiczny zmieniał bieg historii w tak gwałtowny sposób.

Wallie powoli wrócił do rzeczywistości i ujrzał wstrząśniętego Nnanjiego. Adept właśnie stracił brata, a teraz mentor zachowywał się jak szaleniec. Siódmego otaczali wystraszeni członkowie załogi. Nadbudówka była pełna zdezorientowanych ludzi, którzy oczekiwali na rozkazy.

–Chcę pójść i się rozejrzeć, panie bracie!

Być może Nnanji powtarzał te słowa po raz kolejny.

–Nie! Wojna już się zaczęła. Jeśli Katanji zginął, nic mu już nie pomożesz.

Minstrelowie będą od tej pory słać jego imię, wymieniać je na samym początku!

Znalazł właściwy ton. Czwarty wyprostował chude ramiona i uroczyście skinął głową.

–Przypuśćmy jednak, że nie zginął – dodał Wallie. – Postaw się na miejscu czarnoksiężników. Odkryłeś szpiega. Co robisz?

Pięć minut wcześniej nawet nie brał pod uwagę możliwości, że piorun nie trafił w cel.

–Oczywiście, zabrałbym go do wieży na przesłuchanie. Nie! – Przez chwilę poruszał ustami, mamrocząc bezgłośnie sutry. – Musiałbym po drodze minąć za dużo statków. Wziąłbym go dla bezpieczeństwa na pokład własnej łodzi. Ostrzegłbym wieżę przed atakiem. Postawiłbym straż na nabrzeżu. Zacząłbym przeszukiwać statki, jeden po drugim.

–Dobrze! To samo pomyślałem. Lecz oni nie są szermierzami! Mogą być na tyle głupi, żeby zaprowadzić jeńca do wieży. W oczach Nnanjiego pojawił się błysk, ale szybko zgasł.

–Jeśli żyje, panie bracie. Auu!

Wallie stwierdził, że ściska ramię protegowanego jak w imadle.

–Założmy, że Katanji żyje. Schwytemy ich w pułapkę!

Wokół rozległy się szepty powątpiewania. Walczyć z piorunami? Tomiyano na pewno rzuciłby ironiczną uwagę na temat szermierzy. W tym momencie na pokładzie zadudniły jego kroki. Kapitan wpadł do nadbudówki.

–Żyje! Chyba jest ranny, ale stoi o własnych siłach.

Kajutę wypełniły okrzyki radości.

–Cisza! – huknął Shonsu.

Przesunął wzrokiem po zgromadzonych. Niedobrze. Czarnoksiężnicy będą chcieli się dowiedzieć, skąd przybył szermierz przebrany za niewolnika. Jeśli z wieży obserwowano port, tłum żeglarzy wylewających się z rufówki wzbudziłby podejrzenia. Może rzucić czar, obracając talerz?

–Jeśli będą tędy prowadzić Katanjiego, Nnanji i ja go odbijemy. Chcecie pomóc?

–Tak – odparła jednogłośnie załoga.

–To niebezpieczne – ostrzegł Siódmy. – Możemy stracić życie.

Odpowiedział mu ryk! Od czasu potyczki z piratami Shonsu miał na rozkazy prywatną armię. Nnanji uśmiechał się szeroko. Jego bohater znowu był bohaterem. Zanosilo się na akcję.

Wallie przymknął oczy. W głowie kłębiły mu się plany.

–Dobrze! Zostało nam niewiele czasu. Róbcie dokładnie to, co mówię, bez żadnych dyskusji. Po pierwsze, kiedy krzyknę: “atak!” wszyscy padniecie na ziemię! Jasne? Hasło “atak” oznacza “padnij”. Natychmiast! “Wstać” oznacza “wstać”. Wyobraźcie sobie piorun jako nóż. Oba mają chyba taką samą celność, z tym że następny piorun czarnoksiężnik może cisnąć dopiero kilka minut po pierwszym. Rozumiecie?

Jeśli się mylił, wkrótce mógł stracić wielu przyjaciół. Liczył jednak na to, że technika, która okazała się skuteczna, nie rozwinęła się gwałtownie w ciągu ostatnich piętnastu lat. Niemal bez udziału świadomości Wallie zaczął wyrzucać z siebie rozkazy. Sam nie wiedział, jakie słowa padną zaraz z jego ust.

–Linihyo, Oligarro, Holiyi, Maloli, zejdźcie na brzeg po sztaby i...

–Nie... – zaczęła Brota.

–Cisza! Powiedziałem żadnych sprzeciwów! Kobieta zaniemówiła w wrażeniu. Od lat nikt nie mówił do niej takim tonem.

–Resztę przyniesiecie z ładowni – kontynuował Wallie, zwracając się do żeglarzy. – Ile tylko zdołacie. Nie ma czasu na uruchomienie bomu. Ustawcie je przy burcie od strony nabrzeża. Ruszać się!

Szczęśliwy traf. Sztaby z brązu mogły zatrzymać ołowianą kulę. Jeśli bogowie do tej pory skąpili cudów, pozwalali chociaż, żeby sprzyjał im los.

–Nnanji, na razie odłóż miecz. Niech sześciu szermierzy zajmie pozycje na nabrzeżu i ukryje się dobrze. Najlepiej kobiety. Mniej będą rzucać się w oczy. Rozstaw je i wracaj po broń. Ruszaj!

Czwarty rzucił pasy z mieczem przy drzwiach i wybiegł, wykrzykując po drodze imiona.

–Sinboro, weź Fię i Oligatę. Wdrapcie się na wanty. Jeśli coś zobaczycie, przyślij je na dół z wieściami.

–Diwa, zabierz wszystkie dzieci pod pokład i pilnuj, chyba że statek zacznie się palić. Linę i starca też. Nie do kabin, tylko do ładowni.

–Lae, siekiera przy każdej linie. Jeśli coś się nie uda, trzeba będzie je odciąć i uciekać.

–Kapitanie? Ilu czarnoksiężników?

Tomiyano zawahał się.

–Na demony! Nie liczyłem. Myślę, że dwóch albo trzech z Katanjim. Patrole... kolejnych ośmiu. To tylko zakapturzeni. Wallie pokiwał głową z zadowoleniem.

–Tylko zakapturzeni mnie martwią. Wyjmijcie miecze. Przebiegł w myślach plan działania i stwierdził, że nie jest najlepszy. Siódmy mógł zginąć.

–Brota, potrzebuję czegoś, co przypomina głowę. Przez pulchną twarz przebiegło drżenie. Kobieta nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać.

–Głowę?

–I floret.

Wyjaśnienie zabrało trochę czasu. Nim Brota odeszła, zjawił się pierwszy posłaniec z bocianiego gniazda, Oligata.

–Prowadzą go – wysapał podniecony. – Siedmiu czarnoksiężników i Katanji.

–Świetnie! Powiedz Sinboro, żeby miał oko na miasto. Stamtąd mogą nadejść posiłki. Wracaj na posterunek, heroldzie!

Z mieczem w dłoni Wallie wyprowadził resztę załogi na pokład. Żeglarze ustawili wzdłuż burty dziesięć sztab, niewidocznych od strony brzegu. Czy okażą się wystarczająco mocne? Siódmy wziął dwie kolejne i zasłonił nimi liny.

Po chwili przycłapała Brota z koszem wielkości głowy, owiązanym czarną szmatą. Końce materiału tworzyły kucyk. Wallie włożył w środek floret i z uśmiechem przyjrzał się dziełu.

–Teatr lalek.

–Jesteś jeszcze bardziej szalony niż zwykle, Shonsu – stwierdziła Piąta z niepokojem.

–Przeciwnie. Po raz pierwszy od Aus jestem zupełnie zdrowy na umyśle. – Rozejrzał się po pokładzie i zastanawiał się, czy coś przeoczył. – Jja i ty położycie się przy cumach.

Myślę, że sztaby zatrzymają pioruny.

–Trzeba bardzo dużej, żeby mnie osłoniła!

Brota przewróciła oczami i ruszyła posłusznie na wskazane miejsce.

Wallie spojrzał na nabrzeże. Tłum wcale się nie zmniejszył. Wkrótce mogło ucierpieć wielu niewinnych ludzi. Nagle wzięła go pokusa, żeby odwołać akcję i uciekać. Powstrzymała go jedynie myśl o torturach. Ech, Katanji!

Pięciu mężczyzn i jeden chłopiec patrzyli na niego wyczekująco. Sześć kobiet zeszło na brzeg. Fala ukryła się przy stosie pakunków. Rozmawiała z kobietą z innego statku. Mata po drugiej stronie gawędziła z dwoma żeglarzami. Przy Szafirze było stosunkowo pusto, ale na pozostałej części pirsu wały się towary. Wszędzie stały wozy, kręcili się i przepychali ludzie, nadjeżdżały kolejne pojazdy. Zanosilo się na wielki chaos.

Wallie odwrócił się do Nnanjiego. Czwartemu błyszcząły oczy.

–Zanieś im miecze. Niech ich nie wyjmują, póki nie będą potrzebne. Przypomnij, że mają paść za każdym razem, gdy krzyknę “atak!”. Nnanji, nie możemy zostawić rannych. To dotyczy również twojego brata!

Adept skinął głową, ale uśmiechał się szeroko. Młody szermierz nie przewidywał klęski.

–Rzucimy im z pokładu wyzwanie i schowamy się. Mam nadzieję, że wyciągną... pioruny. Będzie dużo hałasu! Zaatakujemy, nim zdążą rzucić następne czary.

Do Siódmego podbiegła drobna Fia. Dłonie rozgrzane od zsuwania się po linie wsadziła pod pachy.

–Shonsu, skręcili za róg.

–W porządku. Wracaj na górę. Powiedz Sinboro, że macie tam zostać.

Spodziewajcie się dużego hałasu. Nnanji? Kryj się, póki nie przejdziemy przez reling. Aha, i powiedz wszystkim, żeby celowali w ramiona, a nie w głowę czy korpus.

Rude brwi uniosły się w górę, ale pytanie nie zostało zadane. Czwarty popędził, trzymając w jednej ręce worek z bronią, a w drugiej własne pasy i miecz.

–Dlaczego w ramiona, panie? – zapytał Holiyi.

–Bo w rękawach chowają różne rzeczy – odparł Wallie tajemniczo.

Wszyscy przyjęli jego wyjaśnienie za dobrą monetę, ale Siódmy nie powiedział im całej prawdy. Pamiętał o obietnicy. “Ze względu na ciebie oszczędzę pierwszego czarnoksiężnika, którego spotkam”. Oczywiście istniała możliwość represji wobec żeglarzy albo mieszkańców Ov, ale Wallie nie sądził, żeby do nich doszło. Nie chciałby jednak, żeby ranni dostali się w ręce wrogów. Dla wszystkich byłoby lepiej, gdyby nie zginął żaden czarnoksiężnik. Poza tym wolał uniknąć zadawania śmierci.

–Shonsu! – krzyknął z masztu Sinboro. – Nadchodzą posiłki!

Wskazał w kierunku miasta. Wallie machnął ręką na znak, że zrozumiał. Następnie dwa razy przecwiczyl ze swoją małą armią zaplanowany manewr.

Kolejny okrzyk z masztu uprzedził go, że czarnoksiężnicy są już blisko.

Wallie przykucnął na szczycie trapu. Ze statku cumującego naprzeciwko Szafira wyładowywano podniszczone brązowe pakunki i długie bele płótna żaglowego. Ładunek mógł posłużyć jako barykada i zarazem osłona. Fala siedziała na skrzyni, ale jej towarzysza gdzieś zniknęła. Może poznała, że w długim zawiniątku leżącym obok żeglarki jest miecz.

Drogę od strony, z której nadchodził wróg, tarasowały stosy worków ze zbożem i wóz z beczkami. Nnanji kucnął za workami. Wybór miejsca był dziwny. Dlaczego Czwarty nie zaczął się od strony miasta, na wypadek gdyby czarnoksiężnicy próbowali uciekać do wieży? Fala i Mata ukryły się za wozem.

Po lewej stronie Wallie nie dostrzegł żadnego ze swoich wojowników, ale widok zasłaniały mu dwie fury: jedna wyładowana żółtymi koszami, a druga czerwonymi cegłami. Między nimi przeciskał się wóz z tarcicą, przy głośnym akompaniamencie wyzwisk, którymi obrzucali się woźnice. Obok Szafira stary domokrażca pchał wózek z rybami. Kolejne dwa pojazdy zbliżały się z prawej, a za nimi szli czarnoksiężnicy. Nad ciżbą widać było żółte kaptury.

Tłum wyraźnie się przerzedził. Dostrzegłszy miecze, najprzezomiejści szybko się oddalili. Rzecznym Ludzi i mieszkańców Ov czekał test lojalności. Dlatego Nnanji wybrał akurat to stanowisko. Gdyby wrogowie zostali ostrzeżeni, wycofali się razem z jeńcem. Wallie aż dostał gęsiej skórki na tę myśl. Czwarty niewątpliwie rzuciłby się w pościg.

Szermierz po raz ostatni obrzucił spojrzeniem pokład. Żeglarze kryjący się za sztabami zerkali na niego z niepokojem. Wallie pokazał im znak będący miejscowym odpowiednikiem kciuka w górze i w tym momencie ujrzał Honakurę. Kapłan stał przy maszcie i uśmiechał się błogo.

–Zejdź pod pokład! – ryknął Wallie.

Honakura wydał usta i potrząsnął głową.

–Zbieram wielkie czyny tak samo jak cuda!

–Zbierzesz pioruny, stary głupcze! Idź chociaż do dziobówki i schowaj się za kabestaniem.

Kapłan rzucił mu urażone spojrzenie, ale poczłapał na dziób.

Wóz z drewnem pokonał przeszkody i znajdował się teraz na wysokości Szafira. Na szczęście samolubny woźnica jechał środkiem drogi. Fury nadjeżdżające z przeciwka musiały go mijać od strony Walliego. W wolne miejsce od razu wlał się tłum pieszych.

Pierwszy z dwóch wozów przemknął z turkotem obok statku, roztaczając silny zapach piwa. Drugi posuwał się ostrożniej ze względu na ładunek: pojemniki z homarami.

Wkrótce ukazali się czarnoksiężnicy. Żółci, jeden czerwony i brązowi maszerowali trójkami w dwóch szeregach, uważnie obserwując statki i tłum. Wszyscy mieli ramiona skrzyżowane przed sobą, a dłonie chowali w rękawach. W środku szedł Katanji, drobny i ledwo widoczny między roslymi postaciami. Wallie dostrzegł, że prawa ręka nowicjusza spoczywa zabandażowana na temblaku. Na jego szyi wisiała

lina, której koniec trzymał bardzo wysoki Piąty.

Walliemu mocniej zabiło serce, w ustach zaschło. Wyraźniej zobaczył jeńca, gdy przejechał wóz z homarami. Katanji był blady, twarz miał posiniaczoną i zakrwawioną. Oczy wlepił w ziemię, żeby nie patrzeć na *Szafira*. Magowie najwyraźniej urządzili wstępne przesłuchanie.

Łotry!

–Czarnoksiężnicy! – ryknął. – Jestem posłańcem Bogini!

Stał na brzegu trapu, żeby wrogowie mogli dojrzeć jego niebieski kilt. Uniósł miecz.

Czarnoksiężnicy pobiegli wzrokiem ku śmiałkowi. Zobaczyli Siódmego i grupkę uzbrojonych ludzi. Zareagowali instynktownie, wyciągając broń z rękawów. Na ten widok przechodnie podnieśli wrzask i rzucili się do ucieczki.

–Atak! – krzyknął Wallie i padł na deski.

Huk! Seria głośnych wystrzałów. Sztaby zadrżały. Nad pokładem przeleciały kawałki drewna. Wallie chwycił kosz omotany czarnym płótnem i wystawił go przez reling, żeby ściągnąć kolejne pioruny, lecz nic się nie wydarzyło. Wstał i nie zginął.

Przewidział chaos, ale nie taki. W powietrzu gęstym od dymu niesło się rżenie koni i krzyki. Spłoszone zwierzęta wierzgały i tratowały ludzi. Lekki wóz z homarami został wręcz ciśnięty na furę z piwem. Beczki posypały się kaskadą na drogę. Inna fura skręciła gwałtownie w prawo, prosto na czarnoksiężników, przejechała po belach płótna żaglowego i wywróciła się na bok. Kosze wypadły między beczki i kłębiący się tłum.

Siódmy znajdował się w połowie trapu, kiedy ujrzał, że Nnanji przebija mieczem pierwszego czarnoksiężnika. Gdzie Katanji?

Nagle Wallie dostrzegł pośród dymu błysk czerwieni. Piąty oddalał się w stronę miasta. Wallie zostawił swoją armię i rzucił się w pościg.

Klnąc, omijał albo przeskakiwał beczki i kosze, które teraz były przeszkodą zamiast barykadą. Piąty z jeńcem przewieszonym przez bark lawirował wśród tłumu ogarniętego paniką, towarów, wozów i spłoszonych koni. Wallie pędził za nim, roztrącając przechodniów, ale wielki czarnoksiężnik okazał się dobrym biegaczem mimo obciążenia. Szermierz dogonił go na samym końcu nabrzeża i podciął mu nogi mieczem.

Czarnoksiężnik runął jak długi, przygniatając nowicjusza. Błyskawicznie przeokołkował i sięgnął do rękawa. Wallie ujrzał twarz wykrzywioną nienawiścią. Kopnął z całej siły. Pierwszy czarnoksiężnik, którego spotkał, został wyeliminowany z walki, być może okaleczony, ale nie zabity. Szermierz dotrzymał obietnicy, którą złożył w Aus.

Katanji usiadł oszołomiony i rozdygotany.

–O, lord Shonsu! – zawołał na widok Siódmego i wybuchnął płaczem.

Wallie obejrzał się i zobaczył kaptury. Z wieży przybywały posiłki. Schował miecz do pochwy, przerzucił sobie Katanjiego przez ramię i puścił się biegiem w stronę *Szafira*.

Nabrzeże opustoszało, a przydałby mu się teraz tłum dla osłony. Wallie biegł

najszybciej, jak mógł. Czekając na huk wystrzałów, zaczął kluczyć, choć przed sobą miał wolną drogę. Usłyszał jęk nowicjusza. Stwierdził, że niebieski kadłub jest jeszcze daleko, na końcu drogi pełnej wozów i towarów. Szpaler utworzony przez burty statków, maszty i żagle zdawał się nie mieć końca.

Tuż za nim rozbrzmiał okrzyk i trzask pioruna. Wallie runął na ziemię, kopnięty w plecy z siłą słonia. Nieszczęsny Katanji po raz drugi posłużył jako mata dla olbrzyma.

Od upadku Walliemu zagrzechotały wszystkie kości. Półprzytomny, mógł tylko leżeć i łapać powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg. Raptem chwycono go za ramiona. Wokół nadgarstków zatrzasnęło się coś zimnego.

–Siódmy! – zawołał rozradowany głos. – Wstawaj, szermierzu!

Słowom towarzyszyły dwa kopniaki wymierzone w żebra. Chwilę później dźwignięto go z ziemi. Walliemu kręciło się w głowie, każdy chrapliwy oddech był agonią. Wokół stali czarnoksiężnicy najróżniejszych kolorów, nawet zielony.

–Szermierz siódmej rangi! – Szósty o małej pomarszczonej twarzy zaśmiał się z satysfakcją. – Jesteś mile widzianym gościem, panie! Dostarczysz nam niejednej rozrywki!

Cholerne kajdanki! Wallie zachwiał się i podniósł wzrok. Zobaczył, że Katanji, też postawiony siłą na nogi, jest ledwo żywy. Bandaż przesiąkł krwią.

–Puście chłopca!

–On pójdzie na przekąskę – odparł czarnoksiężnik. – Będziesz mógł sobie popatrzeć. Shonsu, czy tak? Trudno cię zabić, szermierzu! Tym razem nie zamierzamy się spieszyć.

Nagle zmarszczył brwi i spojrzał za siebie.

Wallie usłyszał dudnienie. Skupił wzrok i próbował cokolwiek dojrzeć przez różnobarwną wirującą mgłę. Nadjeżdżał jakiś wóz. Furman okładał konie batem, drugi mężczyzna wymachiwał mieczem. Z nimi stała cała gromada uzbrojonych ludzi. Kolejni wskakiwali w bieg. Szermierze! Zbiegali po trapach statków i gonili pojazd.

Z odległości miliona kilometrów, miliona lat, Siódmy usłyszał słabiutkie wołanie. Głos brzmiał znajomo. Główny czarnoksiężnik zaczął wyrzaskiwać rozkazy. W tym momencie Wallie zrozumiał krzyk rozbrzmiewający w jego głowie: “Odwróć ich uwagę! Graj na zwłokę!”.

–Czcigodny... Ratharozo! – Odniósł wrażenie, że ma w ustach martwą rybę zamiast języka.

Szósty umilkł i spojrzał na niego ze zdziwieniem.

–Dobra robota! Jak... Zresztą mniejsza o to. Później mi powiesz. Wszystko powiesz.

Odwrócił się w stronę szarżującego pojazdu.

–Zwołano zjazd, czarnoksiężniku.

Tym razem mężczyzna spiorunował go wzrokiem.

–Nie możesz tego wiedzieć!

–Bogowie mi powiedzieli. Myślisz, że twoje gołębie są lepsze od bogów? – Świat wirował coraz szybciej. – Atrament i pióra, miękka skóra?

Zdobył punkt. Kilku czarnoksiężników spojrzało na niego z rozdziawionymi

ustami.

–Skąd o tym wiesz, Shonsu?

–Siarka, węgiel drzewny, koński mocz...

Na twarzach ukrytych pod kapturami pojawiły się gniew i strach.

Dudnienie było coraz głośniejsze. Szósty się ocknął i zaczął wydawać rozkazy.

Szermierz odepchnięty na bok drogi potknął się i upadł ciężko na stos pakunków. Poczul ogień w plecach. Z gardła wyrwał mu się krzyk. Maszty zakołysały się, niebo pociemniało...

Jeniec pomyślał, że zwymiotuje, ale opanował mdłości i wykręcił głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje. Głuche dudnienie zbliżało się, wóz nabierał szybkości, okrzyki były coraz wyraźniejsze. Mimo mgły zasnuwającej oczy Wallie rozpoznał Oligarro. Potężny żeglarz kierował końmi, trzaskając z bata. Chudzielcem, który wrzeszczał i wywijał mieczem, okazał się Nnanji. Kucyk powiewał za nim jak czerwona chorągiew. Oprócz szczurów wodnych ze statków wysypywali się uzbrojeni szermierze, w tym kilku wolnych w pełnym rynsztunku. Oligarro nie był jedynym kłamcą w porcie.

Rydwan Bogini jechał coraz szybciej, zabierając po drodze wojowników. Nagle jeniec spostrzegł, co próbują zrobić wrogowie. Ośmiu czarnoksiężników ustawiło się w poprzek drogi. Wszyscy trzymali w rękach pistolety. Katanji stał chwiejnie tuż za nimi, zbyt oszołomiony, by zrozumieć, co mu grozi. Wallie dźwignął się z ogromnym wysiłkiem. Głowa pękała mu z bólu. Podskoczył do chłopca, chwycił go za skute nadgarstki, odciągnął na skraj pirsu i powalił na ziemię.

–Gotowi! – krzyknął Szósty.

Magowie wyciągnęli przed siebie ręce. Wóz pędził dalej pośród kurzu, hałasu i zamieszaniu. Wallie dostrzegł przerażone ślepie koni.

–Cel! – ryknął dowódca.

Gdy otworzył usta do ostatniej komendy, Wallie rzucił się na najbliższego czarnoksiężnika. Ten zatoczył się na sąsiada. Gdyby Siódmy nie był półprzytomny i osłabiony, powaliłby cały szereg jak kostki domina, a tak odbił się od przeciwnika i upadł z impetem, waląc głową w deski. W tym momencie huknęły pistolety, wypuszczając kłęby dymu. W powietrzu błysnęły noże. Połowa czarnoksiężników upadła, wóz staranował resztę.

Przez długą chwilę słychać było tylko triumfalne wrzaski zwycięzców. Potem dym się rozwiął, hałas ucichł.

Walliego ostrożnie dźwignięto z ziemi – może niezbyt delikatnie – i postawiono na nogi. Ośmiu martwych czarnoksiężników i tłum szermierzy. Wolni w kiltach, wodne szcury w przepaskach biodrowych, żeglarze, Tomiyano, Holiyi i Maloli, a nawet parę kobiet – wszyscy śmiali się i wiwatowali. Nnanji objął mentora ramieniem, roześmiany i szczęśliwy.

–Udało się, bracie! Zabiliśmy wszystkich!

–Dobra robota – szepnął Wallie. – Dzielnie się spisaliście! Chyba nikt go nie usłyszał.

–Do wieży!

Czwartego natomiast usłyszało wielu.

–Do wieży! – podjęli bojowy okrzyk.

–Nie! – zawołał Wallie.

Rzucił się za Nnanjim i aż syknął z bólu. Wieża była pełna pułapek. Działa, kartacze, szrapnele.

–Nie możecie tam iść! Wracajcie na statki! Bogowie! Nawet mówienie sprawiało mu ból. Odpowiedziały mu pomruki gniewu i rozczarowania. Ranny wsparł się na protegowanym.

–Wracajcie na statki! – powtórzył słabo.

–Bracie! Musimy wykorzystać zwycięstwo. Sutry... Łomot w głowie... Wallie nie mógł nawet myśleć. Język odmawiał mu posłuszeństwa.

–Jestem... Siódmym – wymamrotał.

–Bracie!

–Siódmym!

Kolana miał jak z waty. Słyszał zawodzenie wiatru...

Zwycięzcy niechętnie ruszyli ku statkom, szmerząc pod nosem.

–Katanji?

Deski kołysały się pod nogami, przyprawiając o mdłości. Burza zagłuszała wszelkie odgłosy.

–Dochodzi do siebie.

Nnanji miał coraz bardziej zaniepokojoną minę.

–Straty?

–Tylko Oligarro jest ranny, bracie. Nic poważnego.

Trzęsienie ziemi. Nabrzeże unosiło się i opadało wielkimi falami.

–Ma w ramieniu niewielką okrągłą dziurkę – poinformował adept z dużej odległości. – Nic mu nie będzie, jeśli rana nie zacznie gnić.

Wallie miał coś bardzo ważnego do powiedzenia, ale nie mógł sobie przypomnieć co... Osunął się na kolana. Świat przestroniła szara mgła.

Gdy niesiono go na Szafir i ujrzał trupy czarnoksiężników, pomyślał, że niezbyt dokładnie wypełniono jego rozkaz, żeby tylko ranić wrogów, a nie zabijać. Chciał przykazać Nnanjiemu, żeby zebrał broń, ale jeśli nawet wydobył z siebie głos, nikt go nie usłyszał.

Ułożono go na pokrywie luku i statek wypłynął z portu.

Przez jakiś czas przyglądał się wiadru z piaskiem, kilka minut albo dłużej. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że był nieprzytomny. Pamiętał, jak zdejmowano mu kajdanki oraz pasy z bronią i ostrożnie kładziono na pokrywie. Teraz leżał na boku, a głowę trzymał na kolanach Jji Opóźniony szok nerwowy? Reakcja niegodna bohatera. Próbował się odwrócić, żeby spojrzeć na niewolnicę, ale z powodu bólu zadowolił się wykręceniem głowy. Uznał, że ma bardzo ciekawy punkt obserwacyjny. Przez chwilę z rozkoszą studiował widok, a potem przeniósł wzrok na niebo, na którym rysowała się najpiękniejsza i najmiłsza twarz Świata, brązowożłoty cud na tle błękitu.

–Taki uśmiech doprowadza mężczyzn do szaleństwa -stwierdził.

Kobieta nic nie odpowiedziała, tylko uśmiechnęła się szerzej.

–Co cię tak bawi? – zapytał Wallie. Chciał się podnieść, ale jęknął z bólu.

–Nie powinnaś mieć takiej miny, kiedy umieram. Widzisz dziurę w moich plecach"? Te białe i połamane to żebra, a różowe i gąbczaste to fragmenty płuc.

–Nie masz żadnej dziury w plecach. – Palce delikatne jak płatki śniegu przesunęły się od obojczyka do podstawy żeber. – Masz tylko parę siniaków. I guz na głowie. Żadnych złamanych kości. Tak mówi Brota.

–Brota widzi tylko to, co na zewnątrz. Czuję, że w środku mam pobojuwisko.

Wallie doszedł do wniosku, że uśmiech niewolnicy częściowo wyraża ulgę, częściowo pobłażliwość, z jaką Jja czasami spoglądała na Vixiniego, a częściowo podziw. Reszta musiała być miłością. Do licha, jak dobrze jest widzieć taki uśmiech. A jednak...

–Co cię tak bawi, dziewczyno?

–Masz znak macierzyński – oznajmiła Jja. – Wiem na pewno, że nie było go jeszcze dziś rano.

Kolejna wygrana bitwa. Po pierwszym zwycięstwie na jego prawej powiece nagle pojawił się znak ojcowski. Lewa do dzisiaj była czysta, rzecz na Świecie wyjątkowa.

–Mów – poprosił, zastanawiając się jednocześnie, co mały bóg sądzi o reporterach kryminalnych. Uśmiech nie zniknął z twarzy Jji.

–To pióro, ukochany!

Skryba, oczywiście. A może bóg znowu stroił sobie żarty? Czarnoksiężnicy byli kimś więcej niż skrybami; byli chemikami. Na osobowość nowego lorda Shonsu złożył się szermierz siódmej rangi i chemik Wallie Smith. Bardzo zabawne, Mały! Obiecałeś, zdaje się, że nie będzie cudów? Co sobie pomyślą szermierze, kiedy ujrzą znak?

Czarnoksiężstwo jako dziedzina techniki? Trzeba będzie przeanalizować tę kwestię.

Walliemu przyszły na myśl powieści szpiegowskie i kryminały. Niestety okazał się marnym detektywem, ślepym i głuchym.

Czarnoksiężnicy mieli proch. Świadczył o tym choćby zapach. Co jeszcze? Prawdopodobnie niewiele więcej. Honakura nie mylił się, nazywając ich szarlatanami. Bez względu na to, co wywołało w dawnych czasach spór między kapłanami a

skrybami, szermierze poparli świętobliwych. Skrybów wypędzono w góry. W samoobronie przypisali sobie magiczne moce i zapewne opracowali parę drobnych sztuczek. Stąd obszerne rękawy i ukrywanie dłoni.

Dzięki kuglarskiej zręczności ukradli Tomiyano sztylet i wyczarowali ptaka. Żeglarz nie otworzył garnka, bo go trzymał. Czarnoksiężnik uniósł pokrywkę, a ptak wyfrunął z rękawa. Nie wszystko jednak, co robili magowie, było tanimi sztuczkami. Gołębie prznosiły wiadomości.

Płonąca szmata? Światło w lesie? Fosfor! Całkiem możliwe. Połowa szesnastego wieku na Ziemi, ale nie wszędzie odkryć dokonuje się w takiej samej kolejności. Źródłem fosforu oraz azotanów do produkcji prochu był mocz, ludzki i zwierzęcy. Farbiarzy i garbarzy, którzy też wykorzystywali urynę, czarnoksiężnicy wypędzili z miast, bo chcieli przejąć całość dostaw. Dlaczego wcześniej nie skojarzył faktów? Blizna na twarzy Tomiyano powstała od oparzenia kwasem. Co jeszcze? Będzie musiał ponownie zinterpretować dane, które zgromadził. Z pewnością wszystko miało racjonalne wytłumaczenie. Magia albo nauka. Lub jedno i drugie.

A mógł dojść do podobnych wniosków już w Aus. Kotły destylacyjne, siarka, gołębie. Nawet jeszcze wcześniej. Co innego można wydobywać na terenie wulkanicznym jak nie siarkę? Tępy szermierz!

Kiedy inscenizował zabójstwo Kandoru, też był bliski odkrycia prawdy. Gdyby kierował się logiką, nie starałby się za wszelką cenę uwierzyć w magię. Zobaczyłby rzeczy w innym świetle.

Odwróciwszy głowę, ujrzał Nnanjiego i Thanę stojących przy relingu. Oboje na niego patrzyli, więc zebrał siły i usiadł z pomocą Jji. Rzeczywiście musiał być nieprzytomny przez jakiś czas. Szafir płynął między wyspami leżącymi na północ od miasta. Towarzyszyła mu grupa statków, uciekających z Ov przed gniewem czarnoksiężników. Promienie słońca igrały na niebieskiej wodzie, kontrastującej z ciepłymi jesiennymi barwami dereni i wierzb, które porastały wysepki. Na plażach brodziły czaple. Białe chmury nad RegiVul były prawie niewidoczne z powodu odległości, a same góry równie błękitne jak kopuła nieba. Brota czuwała przy sterze. Niewątpliwie rozkoszowała się samotnością po ostatnich przeżyciach. Gdy zobaczyła, że Siódmy się dźwignął, pomachała mu pulchną dłonią.

Nnanji i Thana pospieszyli ku szermierzowi, trzymając się za ręce.

–Gdzie jest Katanji? – zapytał Siódmy.

–Pod pokładem. Odpoczywa. – Czwarty ze smutkiem potrząsnął głową. – Trzeba będzie cudu, żeby teraz zrobić z niego szermierza, bracie! Ma zgruchotane ramię. Brota mówi, że nie mogą go unieruchomić, póki nie zejdzie opuchlizna.

–Bogini nagradza tych, którzy jej pomagają – rzekł Wallie z zakłopotaniem. – Krównka mieszka w pałacu, więc o Katanjiego Najwyższa też zadba.

Nnanji pokiwał głową, a Wallie spytał, jak złapano Pierwszego. Odpowiedź brzmiała: przez komary. Nowicjusz opędzał się od owadów i rozmazał niewolniczy pasek, który własnoręcznie namalował sobie na twarzy. Zauważył to fałszywy żeglarz, kiedy chłopiec podszedł do koszy, żeby zobaczyć, co jest w środku. Oligarro natomiast ma się dobrze, zapewnił adept. Czysta rana, żadnych złamań ani

skaleczonych tętnic.

Uśmiech nigdy na długo nie opuszczał Czwartego.

– Nikomu nic się nie stało, oprócz ciebie, bracie! Powinniśmy mieć ze sobą minstreli! – Mocno uścisnął Thanę. – Pierwsze zwycięstwo twojej wojny, lordzie Shonsu!

– To nie jest moja wojna! Auu! – Wykonał zbyt gwałtowny ruch. – Co to takiego?

Nnanji trzymał w ręce wąską srebrną rurkę.

– Znalazłem tę rzecz na nabrzeżu. Jest bezpieczna, panie bracie? Mogę ją wyrzucić za burtę...

– Bezpieczna, jeśli w środku nic nie ma! Obok nic więcej nie leżało?

– Nie, bracie.

Szkoda! Wallie wziął od protegowanego fujarkę i dokładnie ją obejrzał. Miała tylko trzy otwory, bo trudno byłoby nawiercić ich więcej, nie niszcząc jej. Szermierz wydobył z puszczalki kilka dźwięków, lecz obecni zakryli uszy dłońmi, a on sam się skrzywił.

– Kandoru nie dobył miecza, Nnanji, choć z łatwością mógł to zrobić. Uniósł rękę i odwrócił się, ale nie wyciągnął broni. Nawet nie próbował!

Adept popatrzył na niego pustym wzrokiem. Mentor westchnął.

– Wydawało mu się, że ugryzł go komar, ale namacał strzałkę, więc się odwrócił, żeby zobaczyć, skąd nadleciała.

Dmuchałka była wygodną bronią na krótki dystans, szczególnie w zamkniętych pomieszczeniach albo w bezwietrzne dni, jak wtedy w Aus, kiedy czarnoksiężnicy dopadli Siódmego. Z bliska działała równie skutecznie jak pistolet, a na świadkach robiła większe wrażenie. Czarnoksiężnicy lubili się popisywać. Podstępni mordercy!

Tymczasem wokół luku powoli zebrała się cała załoga, więc Shonsu objaśnił zasadę działania srebrnej fujarki i zatrutych strzałek.

– Dajcie mi miecz.

Pośrodku ozdobnej skórzanej pochwy znajdowała się okrągła dziurka o osmalonych brzegach. Wallie wyjął miecz. Na klindze, tuż przy dziewicy głaszczącej gryfa, widniała ciemna plamka.

– Tutaj trafił piorun? – zapytał Nnanji z przejęciem. – Czar nie dał rady mieczowi Bogini?

– Ani sztabom Broty. Oglądałeś je po bitwie?

Nnanji potrząsnął głową i poszedł naprawić błąd.

Wallie przyjrzał się uważnie ostrzu, ale nie dostrzegł żadnej skazy, co potwierdzało kunszt Chioxina. Gorsza broń z pewnością ucierpiałaby od pocisku wystrzelonego z muszkietu. Trzeba będzie sprawdzić miecz. Centymetr w prawo albo w lewo i kula minęłaby klingę. Gdyby nie dźwigał Katanjiego, pochwa nie przesunęłaby się w lewo... Wallie szybko porzucił te rozważania.

Spojrzał na burtę. Ziały w niej dwie dziury na wylot. W paru miejscach deski były obłupane. Tomiyano podążył na wzrokiem Shonsu.

– Będziemy musieli obciążyć cię kosztami naprawy – oświadczył z powagą. – Pasażerowie nie powinni niszczyć statku.

Zaraz jednak się roześmiał. Rzecz niesłychana.

–Nie! – zaprotestował Wallie szybko. – To zaszczytne blizny. Nannjemu udało się odciągnąć na bok jedną ze sztab. Wrócił z dwoma bezkształtnymi kawałkami metalu.

–Znalazłem je. Wyglądają jak srebro.

–To ołów – powiedział Wallie.

–Dlaczego nie pozwoliłeś nam iść do wieży, panie bracie? – spytał Czwarty z pretensją w głosie. – Pokonanie czarnoksiężników okazało się nie takie trudne! Piętnastu zabitych! – Zamilkł i łypnął na mentora z porozumiewawczym uśmiechem. – A może tylko czternastu?

–Mieliśmy szczęście, Nnanji, dużo szczęścia! Zakapturzeni nie są zbyt dobrzy w walce, prawda? Policzyłeś ich błędy?

–Dziesiątki! – prychnął Nnanji. – Ustawienie się w poprzek trasy szarżującego wozu? Powinni byli nas przepuścić, a później zająć statek. Powinni wrzucić cię do Rzeki, nim się zjawiliśmy, bracie! Amatorzy!

Dobrze jednak się stało, że lepiej poznali wroga. Szermierze byli wyszkolonymi wojownikami, a czarnoksiężnicy tylko uzbrojonymi cywilami. Potracili głowy. Jednak adept nie znał wielu ich sekretów. Atak na siedzibę magów to nie potyczka na nabrzeżu. W wieżach z pewnością roіło się od pułapek. Obrońcy mogli obrzucić szturmujących granatami. Katanji wspomniał o brązowych kratkach przed drzwiami i o wielkiej złotej kuli umieszczonej na kolumnie. Generator. Intruzów poraziłby prąd. Jeszcze jeden element układanki trafił na swoje miejsce.

–Znowu uratowałeś mi życie, bracie – stwierdził Wallie. – Dziękuję.

Nnanji uśmiechnął się od ucha do ucha.

–Byłem niezły, co?

–Niezły? Świetny!

Kiedyś Czwarty oblałby się rumieńcem, słysząc taką pochwałę. Teraz tylko się zaśmiał i powiedział:

–Dziękuję.

–Szybki refleks!

–A ocena sytuacji?

–Bezblędna!

–Taktyka?

–Doskonała! – Wallie też parsknął śmiechem, ale od razu tego pożałował. – Podsumuję krótko, bracie: zdolności przywódcze! Nie tylko osiągnąłeś piątą rangę w fechtunku, mistrzu Nnanji, ale jesteś prawdziwym dowódcą. Będziesz Piątym, i to dobrym!

Gdzie się podział niezgrabny chudzielec, którego Wallie spotkał na świątynnej plaży? Niewielu szermierzy dowolnej rangi tak błyskawicznie zorganizowałoby skuteczny ratunek. Siódmemu nie przyszło do głowy, żeby wezwać na pomoc szczury wodne, natomiast Czwarty wpadł na ten pomysł. Nie zapomniał również o transporcie.

Thana obejmująca Nnanjiego w pasie odezwała się po raz pierwszy.

–Szósty?

Wallie wzruszył ramionami i oczywiście został ukarany za ten gest.

–Niedługo. Bardzo niedługo – powiedział. Adeptowi rozbłyły oczy.

–Jedziemy do Casr, bracie?

Tak, lord Shonsu powinien wrócić do Casr. Musiałby stawić czoło oskarżeniu o tchórzostwo w Aus, ale teraz przynajmniej miał na koncie zwycięstwo. Nie wiedział tylko, jakie bomby zegarowe tykają w mieście, jakie miny zakopał jego poprzednik.

–Jeśli taka będzie wola Bogini. Otrzymasz promocję. Zasłużyłeś na nią. Tę sprawę załatwimy najpierw.

Tymczasem żeglarze siedzieli lub stali wokół luku i cierpliwie czekali, aż Siódmy wyjawi, jakie ma wobec nich plany. Był admirałem i orędownikiem Bogini, więc on decydował o ich losie.

–A zjazd, bracie?

Wallie przygarbił się, szukając dla siebie najwygodniejszej pozycji. Zjazd? Odkrył, jak walczyć z czarnoksiężnikami, ale ta przewaga nie zapewniała mu wygranej.

Boska zagadka też niewiele mogła mu pomóc. “Najpierw...”. Świetnie, to polecenie już wypełnił. “Od drugiego weźmiesz mądrość”. To również, a ponadto został upokorzony w Aus, zatoczył koło, wracając do Ov, zebrał armię i stoczył bitwę na nabrzeżu...

“Na koniec zwrócisz miecz tam, gdzie jego przeznaczenie”. Co oznaczały te słowa? “Na koniec”, czyli kiedy? Przeznaczenie? Może chodziło o poprowadzenie wojny, ale na pewno nie o zawiezenie chioxina do Casr, bo nie tam był przechowywany. Oddać broń Najwyższej, żeby mógł ją wziąć ze świątyni inny przywódca? Szermierz spojrział z zachwytem na piękną rękojeść, srebrny gryf, szafir. Po moim trupie!

Poprowadzić wojnę? Wszystkie miecze Chioxina spełniły takie zadanie, ale Wallie czuł, że przeznaczenie siódmego jest inne.

–Zjazd? – naciskał Czwarty.

–Nie wiem. – Mentor westchnął. – Może pojedziemy na wojnę, ale nie zamierzam pełnić funkcji drugiego kwatermistrza. Będę dowódcą, a ty moim zastępcą!

Nnanji uśmiechnął się do Thany. Sława i chwała!

–Niewykluczone jednak, że będziemy musieli odwołać zjazd, żeby nie dopuścić do masakry.

–Odwołać zjazd! – powtórzył Nnanji ze zgrozą.

Byłaby powtórka wojny Korteza z Montezumą. Trochę broni palnej przeciwko prymitywnej cywilizacji. Szermierze odpowiadali mniej więcej poziomem starożytnym wojskom greckim, a czarnoksiężnicy znajdowali się na etapie wczesnego Odrodzenia, czyli grali w innej lidze.

Jedno Wallie wiedział na pewno: gdyby armia Bogini zaatakowała wyznawców Boga Ognia, stosując tradycyjną taktykę, zostałaby doszczętnie rozbita. Siódmy uważał, że jego obowiązkiem – wobec cechu szermierzy, Bogini i własnego sumienia – jest zapobiec nieszczęściu.

Jak?

Musi intensywnie pomyśleć, zanim dopłyną do Casr... chyba że Bogini zażyczy

sobie go tam przed obiadem. Żeglarzom powoli rzedły miny. Rozterki lorda Shonsu przyprawiły ich o niepokój.

Wallie otoczył ramieniem Jję i przywołał na twarz uśmiech, żeby dodać załodze otuchy.

–Może zjazd to tylko zasłona dymna dla odwrócenia uwagi czarnoksiężników, podczas gdy my dwaj, adepcie Nnanji, będziemy robić co innego?

–Co, bracie? – spytał adept, gotów iść za mentorem i zaprzysiężonym bratem choćby do piekła.

–Ba! To dopiero jest pytanie, co?

Wallie dumął przez chwilę, ale miał pustkę w głowie.

–Odpowiedz na nie, przyjacielu, a wygrasz darmową podróż na dwie osoby.

Nnanji spojrzał na niego zdziwiony.

–Dokąd?

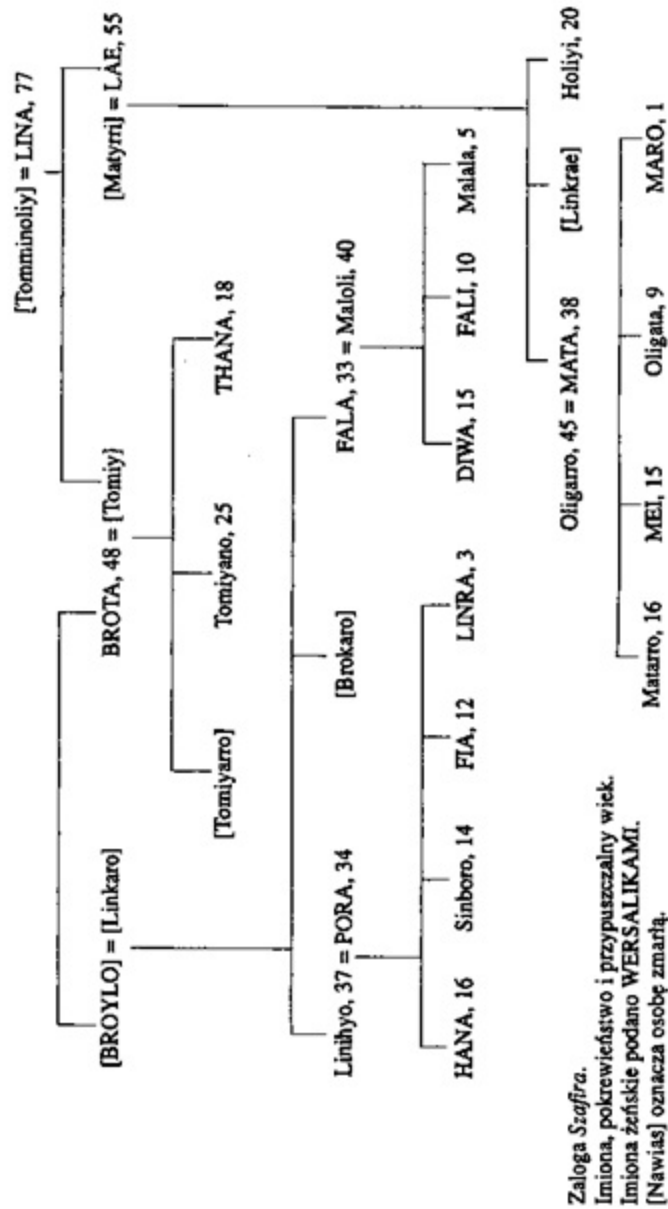
–Chyba do Vul – odparł Siódmy i roześmiał się. – Nie, to tylko żart. Nie bierz moich słów poważnie.

Mądrość rzadko dawała owoce w postaci gotowych odpowiedzi. Ona tylko pomagała uściślić pytania. Wallie jeszcze niedawno nie wiedział, jak poprowadzić armię szermierzy przeciwko czarnoksiężnikom, jak walczyć z magią. Natomiast z techniką... ale to już zupełnie inna historia.

Jest nią

Przeznaczenie miecza

które kończy trylogię
"Siódmy miecz"



This file was created with BookDesigner program
bookdesigner@the-ebook.org
2010-11-18

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/